DAVID BRIN

SŁONECZNY NUREK



Powrót do świata

Gwiezdnego przypływu

David Brin

Wspomaganie Tom 1

Słoneczny Nurek

Tytuł oryginału Sundiver

Tłumaczył Piotr Sitarski

Dla moich braci Dana i Stana, dla Arlebargle IV... i dla kogoś jeszcze

CZĘŚĆ PIERWSZA

...można mieć uzasadnioną nadzieję, że w niezbyt odległej przyszłości

potrafimy zrozumieć rzecz tak prostą jak gwiazda.

A. S. Eddington, 1926

1.

Poza sen wieloryba

- Makakai, jesteś gotowa?

Jacob nie zwracał uwagi na ciche brzęczenie silników i zaworów metalowego kokonu. Leżał bez ruchu, czekając na odpowiedź, a woda z delikatnym pluskiem uderzała o bulwiasty nos mechanicznego wieloryba.

Jeszcze raz rzucił okiem na malutkie wskazówki przyrządów świecące wewnątrz hełmu. W porządku, radio działało. Pilot drugiego mechanicznego pływacza, który leżał na wpół zanurzony kilka metrów dalej, słyszał każde słowo.

Woda była dziś wyjątkowo przejrzysta. Spoglądając w dół zdołał dojrzeć małego rekina

lamparciego, który przepływał leniwie w pobliżu, zabłąkany z dala od brzegu. - Makakai... jesteś gotowa?

Starał się nie okazywać zniecierpliwienia ani nie zdradzać napięcia, które opanowało jego kark, kiedy czekał. Zamknął oczy i rozluźnił po kolei wszystkie odpowiedzialne za to mięśnie. Ciągle czekał, aż jego uczennica odpowie.

- Jessstem gotowa... zaczynajmy! - rozległ się wreszcie szczebioczący, piskliwy głos.

Słowa brzmiały tak, jakby wypowiadano je z niechęcią, łapiąc przy okazji oddech. Całkiem długie przemówienie, jak na Makakai. Jacob widział maszynę treningową młodego delfina obok swojej, jej obraz odbijał się w lusterkach otaczających przednią szybę. Przebiegały przez nią drżenia, a jej szary metalowy ogon unosił się i opadał nieznacznie. Sztuczne płetwy poruszały się bezwładnie i niemrawo pod ściągniętą w drobne fale powierzchnią wody.

Jest gotowa jak nigdy dotąd - pomyślał. Nadszedł wreszcie czas, żeby przekonać się, czy technika może odzwyczaić delfina od Snu Wieloryba.

Ponownie nacisnął podbródkiem włącznik mikrofonu.

- W porządku, Makakai. Wiesz, jak działa pływacz. Wzmocni każdy twój ruch, tylko kiedy będziesz chciała użyć rakiet, komendę musisz wydać po angielsku. A żeby było sprawiedliwie, ja muszę zagwizdać w troistym, by uruchomić moje. - Usssłyszałam - zasyczała. Szare płetwy jej pływacza z hukiem uderzyły w górę i w dół, rozpryskując słoną wodę.

Mrucząc modlitwę do Wielkiego Marzyciela, Jacob dotknął przycisku zwalniającego wzmacniacze na waldzie Makakai i jego własnym, a potem ostrożnie poruszył ramionami, żeby wprawić w ruch płetwy. Podkurczył nogi, a kiedy masywny ogon szarpnął gwałtownie w odpowiedzi, maszyna natychmiast przekoziołkowała i się zanurzyła. Jacob spróbował wyrównać, ale przesadził, i pływacz zatoczył się jeszcze mocniej. Uderzenia płetw zmieniły na chwilę otoczenie w spienioną kipiel, aż wreszcie cierpliwie, metodą prób i błędów, wyprostował kurs.

Jeszcze raz ostrożnie odepchnął się, żeby móc nabrać rozpędu, potem wygiął plecy w łuk i wierzgnął nogami. Pływacz odpowiedział smagnięciem ogona, które poderwało go w powietrze.

Delfin był prawie kilometr dalej. Kiedy maszyna Jacoba osiągnęła najwyższy punkt łuku, zobaczył, jak Makakai opada z wdziękiem z wysokości dziesięciu metrów, gładko rozcinając wzburzoną powierzchnię wody.

Skierował przód hełmu w dół i zielona ściana morza nagle się przybliżyła. Wstrząs wywołany nurkowaniem uruchomił brzęczyk, ale Jacob ledwie go słyszał, przedzierając się przez splątane łodygi wodorostów i płosząc po drodze garbika. Schodził w dół zbyt ostro. Zaklął i kopnął dwa razy, żeby wyprostować tor. Ciężkie, metalowe płetwy maszyny biły wodę w rytm ruchów stóp, a każde uderzenie wprawiało kręgosłup Jacoba w wibracje i dociskało go do grubego podbicia skafandra. W odpowiedniej chwili znów wygiął się i kopnął, a maszyna wyrwała się na powierzchnię. Promień słońca uderzył jak pocisk w lewe okienko, gasząc swoim blaskiem przyćmione światełka małej

tablicy rozdzielczej. Jacob wygiął się, pochylił i znowu runął w jasną toń, słysząc w hełmie westchnięcie komputera.

Aż gwizdnął z uciechy, widząc, jak tuż przed nim gromadka drobnych srebrnych sardeli rozpryskuje się na wszystkie strony.

Jego dłonie ześlizgnęły się po tablicy aż do manetki rakiet, a przy następnym wyskoku zagwizdał kod w troistym. Silniki zamruczały i z zewnętrznego szkieletu po obu bokach wysunęły się lotki. Kiedy z dzikim dudnieniem włączyły się dopalacze, nagłe przyspieszenie docisnęło hełm w górę do pokrywy, gniotąc mu tył czaszki w rytmie fal przesuwających się pod pędzącym pojazdem.

Spadł z wielkim rozbryzgiem niedaleko Makakai, która wygwizdała przenikliwe powitanie w troistym. Jacob poczekał, aż rakiety wyłączą się samoczynnie, i powrócił do wspomaganych mechanicznie skoków obok delfina.

Przez jakiś czas poruszali się zgodnie. Z każdym susem Makakai nabierała śmiałości, wykonując zwroty i piruety podczas drugich sekund przed upadkiem w wodę. Raz nawet wyszczebiotała w delfinim nieprzyzwoity limeryk, niezbyt udany, ale Jacob mimo wszystko miał nadzieję, że nagrano go na statku, bo uderzając w wodę przegapił puentę. Reszta zespołu treningowego podążała za nimi na poduszkowcu. Przy każdym wyskoku widział kątem oka dużą łódź, teraz pomniejszoną przez odległość, aż wstrząs zagłuszał wszystko oprócz dźwięku rozbijanej wody, pisku sonaru Makakai i fosforyzującej, niebieskozielonej kipieli burzącej się dookoła maszyny.

Zegar Jacoba wskazywał, że upłynęło dziesięć minut. Nie mógłby dotrzymywać kroku Makakai dłużej niż pół godziny, bez względu na to, jak wielkiego wzmocnienia by użył. Mięśnie i układ nerwowy człowieka nie były przystosowane do ciągłych wyskoków i upadków.

- Makakai, już czas spróbować rakiet. Powiedz mi, kiedy będziesz gotowa, i zrobimy to przy następnym skoku.

Oboje zanurzyli się w morze i Jacob zaczął energicznie poruszać ogonem maszyny w spienionej wodzie, przygotowując się do kolejnego susa. Wyskoczyli jeszcze raz. - Makakai, teraz mówię poważnie. Jesteś gotowa?

Szybowali razem wysoko w powietrzu. Kiedy jej mechaniczny pływacz obrócił się przed zanurkowaniem, dojrzał za plastykowym okienkiem jej małe oko. Chwilę później już spadał. - W porządku, Makakai. Jeśli mi nie odpowiesz, będziemy musieli zaraz to skończyć.

Płynęli obok siebie, a błękitna woda burzyła się za nimi, niosąc obłoki piany.

Makakai obróciła się i zanurkowała w dół, zamiast wznieść się do następnego wyskoku. Zaświergotała coś w troistym tak szybko, że prawie nie można było tego zrozumieć... Coś o tym, że nie powinien psuć zabawy.

Jacob pozwolił swojej maszynie wynurzyć się wolno na powierzchnię. - Chodź, kochanie, i mów poprawnie po angielsku. Musisz to zrobić, jeśli chcesz, żeby twoje dzieci wyruszyły kiedyś w

kosmos. A to przecież nie byle co! Dalej! Powiedz Jacobowi, co o nim myślisz.

Przez kilka sekund panowała cisza. Potem Jacob zobaczył, jak coś pod nim porusza się bardzo szybko. To coś pomknęło jak błyskawica w górę i zanim uderzyło o powierzchnię, usłyszał kpiący pisk Makakai:

- G-goń mnie, zakuta p-pało! Ja leeecę!

Przy ostatnim słowie jej mechaniczny ogon machnął potężnie i Makakai wystrzeliła ponad wodę na kolumnie płomieni.

Śmiejąc się Jacob zanurkował dla rozpędu, a potem śmignął w powietrze za swoją uczennicą.

Gdy tylko skończył drugą filiżankę kawy, Gloria wręczyła mu wykres. Jacob próbował skupić wzrok na wijących się liniach, ale ich gąszcz przypływał i odpływał jak fale oceanu. Oddał jej kartę.

- Później przyjrzę się danym. Możesz mi przedstawić samo streszczenie? Wezmę też jedną kanapkę, jeśli pozwolisz mi potem posprzątać.

Podsunęła mu żytni chleb z tuńczykiem i usiadła na kontuarze, opierając ręce na brzegu, żeby zrównoważyć kołysanie łodzi. Jak zwykle, nie miała na sobie prawie nic. Ładna, czarnowłosa i dobrze zbudowana, młoda pani biolog wyglądała doskonale w prawie niczym. - Myślę, Jacob, że mamy wreszcie te informacje o falach mózgowych, które są nam potrzebne. Nie wiem, jak to zrobiłeś, ale natężenie uwagi w angielskim było u Makakai przynajmniej dwa razy większe niż normalnie. Manfred uważa, że odkrył mnóstwo połączonych skupisk synaptycznych. Podobno może dzięki temu ulepszyć następny zestaw mutacji eksperymentalnych. Jest parę węzłów, które chciałby rozwinąć w lewej półkuli mózgu u potomstwa Makakai. Moja grupa jest w zupełności zadowolona z tego, co już mamy. Makakai z łatwością posługuje się pływaczem, a to dowodzi, że obecne pokolenie może korzystać z maszyn.

Jacob westchnął.

- Jeśli masz nadzieję, że te wyniki przekonają Konfederację do zrezygnowania z następnych zmutowanych pokoleń, to raczej na to nie licz. Oni się coraz bardziej boją. Nie są zadowoleni, że muszą ciągle polegać na poezji i muzyce, żeby udowodnić inteligencję delfinów. Chcą rasy, która potrafi używać narzędzi w sposób analityczny, a to nie ma nic wspólnego z wydawaniem komend do uruchomienia rakietowego pływacza. Stawiam dwadzieścia do jednego, że Manfred będzie mógł użyć skalpela. - Operacje! - zawołała Gloria czerwona ze zdenerwowania. - To są LUDZIE, ludzie, którzy mają przepiękny sen. Przykroimy ich na inżynierów, a stracimy rasę poetów! Jacob odłożył resztkę kanapki i strząsnął okruchy z piersi. Teraz żałował, że w ogóle zaczął tę rozmowę.

- Wiem, wiem. Ja też bym chciał, żeby sprawy posuwały się trochę wolniej. Ale spójrz na to w ten sposób: może finy potrafią kiedyś ująć Sen Wieloryba w słowa. Nie będziemy potrzebowali troistego, żeby porozmawiać o pogodzie, ani łamanej angielszczyzny Aborygenów do rozmów o filozofii. Finy będą mogły dołączyć do szympansów i zagrać na nosie Galaktom, a my osiągniemy status dostojnych dorosłych. - Ale...

Jacob przerwał jej podnosząc rękę.

- Czy możemy porozmawiać o tym później? Chciałbym się na chwilę wyciągnąć, a potem zejść na dół odwiedzić naszą dziewczynkę.

Gloria spojrzała na niego niezadowolona, ale zaraz się uśmiechnęła. - Przepraszam, Jacobie. Pewnie jesteś strasznie zmęczony. Ale dzisiaj przynajmniej wszystko się udało.

Jacob odwzajemnił uśmiech, przez co na jego szerokiej twarzy wokół ust i oczu uwydatniły się głębokie bruzdy.

- Tak - powtórzył, podnosząc się - dziś wszystko się udało. - A przy okazji, był telefon do ciebie, kiedy byłeś na dole. Jakiś Iti! Johnny tak się tym podniecił, że prawie zapomniał przyjąć wiadomość. Gdzieś tutaj powinna być. Odsunęła na bok talerze z obiadu, wydobyła kartkę papieru i wręczyła mu ją. Gęste brwi Jacoba ściągnęły się, kiedy czytał wiadomość. Cerę miał smagłą i napiętą, na co złożyły się zarówno cechy dziedziczne, jak i działanie słońca i morskiej wody. Brązowe oczy zwęziły się w szparki, jak zawsze, gdy był skupiony. Żylastą dłonią gładził zakrzywiony, indiański nos, zmagając się z niewyraźnym pismem radiooperatora. - Myślę, że wszyscy wiedzieliśmy o twojej współpracy z Itimi - powiedziała Gloria. - Ale nie miałam pojęcia, że aż tutaj będę miała jednego z nich przy telefonie! Zwłaszcza takiego, co wygląda jak wielki kalafior i gada jak Mistrz Ceremonii. Jacob gwałtownie uniósł głowę.

- Dzwonił jakiś Kanten? Tutaj? Powiedział, jak się nazywa? - Powinno być tam zapisane. To było to, co mówisz? Kanten? Nie znam chyba naszych obcych aż tak dobrze. Rozpoznałabym Synthianina albo Tymbrymczyka, ale takiego widziałam pierwszy raz.

- Hm, będę musiał do kogoś zadzwonić. Posprzątam naczynia później, nie waż się ich dotykać! Powiedz Manfredowi i Johnny’emu, że za parę chwil zejdę na dół odwiedzić Makakai. I jeszcze raz dziękuję. - Uśmiechnął się i lekko trącił jej ramię, ale kiedy się odwrócił, jego twarz na powrót przybrała wyraz zatroskanego skupienia. Ściskając w ręku otrzymaną wiadomość, ruszył w stronę przedniego luku. Gloria spoglądała za nim przez moment, a potem zebrała wykresy z danymi, myśląc przy tym, że chciałaby wiedzieć, jak utrzymać zainteresowanie tego mężczyzny dłużej niż przez godzinę albo jedną noc.

Kabina Jacoba była właściwie komórką z wąską, składaną koją, ale stanowiła zaciszny kąt. Jacob wyciągnął z szafki obok drzwi przenośny teleaparat i ustawił go na koi. Nie było powodu przypuszczać, że Fagin dzwonił w celu innym niż towarzyski. W końcu naprawdę interesował się pracą z delfinami.

Zdarzyło się jednak kilka razy, że wiadomości od obcych prowadziły do samych kłopotów. Jacob zastanowił się, czy nie byłoby lepiej zapomnieć o telefonie Kantena. Po krótkim wahaniu wystukał na aparacie kod i usiadł wygodnie, żeby się uspokoić. Gdy nadarzała się okazja, nie potrafił oprzeć się pokusie porozmawiania z ET, wszystko jedno gdzie i kiedy.

Na ekranie rozbłysnął szereg cyfr kodu dwójkowego, podający aktualne położenie aparatu, do którego dzwonił. Rezerwat ET Baja. To ma sens - pomyślał Jacob. Tam właśnie jest Biblioteka. -

Pojawił się urzędowy komunikat przestrzegający Nadzorowanych przed kontaktami z obcymi. Jacob przyglądał mu się z niechęcią. Jasne punkciki wyładowań elektrostatycznych zamrowiły się przed ekranem, a potem na wyciągnięcie ręki przed Jacobem wyrósł Fagin, a raczej jego wierna kopia.

ET rzeczywiście przypominał trochę kalafior. Z jego prążkowanego, pokrytego guzami tułowia wyrastały zaokrąglone niebieskie i białe odrośle, układające się w symetryczne, kuliste grudy. Tu i ówdzie drobne krystaliczne płatki okraszały kilka gałęzi, które tworzyły pęk u wierzchołka, nad niewidocznym nozdrzem.

Listowie zakołysało się, a zebrane u góry kryształy zabrzęczały poruszone powietrzem, które stwór właśnie wydychał.

- Witaj, Jacobie - głos Fagina zadźwięczał metalicznie w powietrzu. - Witam cię z radością i z wdzięcznością oraz z surowym brakiem wszelkich konwenansów, którego tak często i żarliwie się domagasz.

Jacob zdusił w sobie śmiech. Fagin przypominał mu starożytnego mandaryna, zarówno ze względu na melodyjny akcent, jak i na zawiły ceremoniał, który stosował nawet wobec swoich najbliższych ludzkich przyjaciół.

- Pozdrawiam cię, przyjacielu Faginie, i z głębokim szacunkiem życzę ci wszystkiego dobrego. A teraz, kiedy mamy to już za sobą, i zanim powiesz choćby jedno słowo, moja odpowiedź brzmi: nie.

Kryształki zadzwoniły cichutko.

- Jacob! Jesteś tak młody, a mimo to tak przenikliwy! Podziwiam twoją intuicję i to, że domyśliłeś się, w jakim celu dzwoniłem do ciebie.

Jacob potrząsnął głową.

- Fagin, twój wyraźny sarkazm niezbyt mi pochlebia. Nalegam na używanie potocznej angielszczyzny, bo to jedyny sposób, żeby mi nerwy nie puściły, kiedy mam do czynienia z tobą. I ty już dobrze wiesz, o czym mówię!

Obcy zatrząsł się w parodii wzruszenia ramion.

- Och, Jacobie, muszę przychylić się do twojej woli i posługiwać się tą zaszczytną uczciwością, która powinna napawać dumą twój gatunek. Zaiste, jest pewna drobna przysługa, o którą ośmieliłem się prosić. Teraz jednak, skoro udzieliłeś mi już odpowiedzi... opartej bez wątpienia na pewnych nieprzyjemnych zajściach z przeszłości, z których wszakże większość skończyła się jak najlepiej... powinienem po prostu porzucić ten temat. Czy mógłbym zapytać, jak postępują prace ze wspaniałą rasą podopieczną morświnów? - Hm, tak, praca idzie znakomicie. Dzisiaj mieliśmy przełomowy dzień. - To wyśmienicie. Jestem pewien, że nie stałoby się to bez twojego udziału. Słyszałem, że twój wkład jest trudny do przecenienia!

Jacob potrząsnął głową, chcąc wyjaśnić tę sprawę. Czuł, że Faginowi znów w jakiś sposób udało się

przejąć inicjatywę.

- Cóż, to prawda, że na początku mogłem trochę pomóc przy problemie Wodnego Sfinksa, ale od tamtej pory mój udział nie był wcale taki wielki. Do diabła, każdy potrafiłby zrobić to, czym się ostatnio zajmowałem.

- Ach, w coś takiego jest mi bardzo trudno uwierzyć.

Jacob zmarszczył brwi. Niestety, była to prawda. A teraz jego praca w Centrum Wspomagania stanie się jeszcze bardziej rutynowa.

Setka specjalistów czekała tylko, żeby włączyć się do badań, a wielu z nich znało się na psychologii morświnów lepiej od niego. Centrum pewnie chciałoby go zatrzymać, po części z wdzięczności, ale czy on sam naprawdę chciał zostać? Ostatnio był tego coraz mniej pewny, chociaż tak bardzo kochał delfiny i morze.

- Fagin, przepraszam, że na początku byłem niezbyt uprzejmy. Chciałbym jednak dowiedzieć się, w jakiej sprawie do mnie dzwoniłeś... Ale zastrzegam, że odpowiedź ciągle raczej brzmi: nie.

Liście Fagina zaszeleściły.

- Zamierzałem zaprosić cię na niewielkie przyjacielskie spotkanie z pewnymi zacnymi istotami różnych gatunków, w celu przedyskutowania ważnego problemu natury czysto intelektualnej. Spotkanie to odbędzie się w ten czwartek, w Ośrodku dla Przybyszów w Ensenadzie, o jedenastej. Twoje ewentualne przybycie nie pociągnie za sobą żadnych zobowiązań.

Jacob przez chwilę rozważał ten pomysł.

- Mówisz, że będą tam ET. Kto? Po co jest to spotkanie? - Żałuję niezmiernie, Jacobie, ale tego nie powinienem wyjawiać, przynajmniej nie przez teleaparat. Na szczegóły musisz poczekać, aż przybędziesz we czwartek, jeśli przybędziesz. Jacob natychmiast nabrał podejrzeń.

- Słuchaj, ten problem nie ma nic wspólnego z polityką, co? Jesteś okrutnie tajemniczy. Obraz obcego pozostał nieruchomy. Tylko jego listowie marszczyło się powoli, jak gdyby pogrążył się kontemplacji.

- Nigdy nie potrafiłem zrozumieć, Jacobie - odezwał się wreszcie melodyjny głos - czemu człowiek taki jak ty tak mało interesuje się grą potrzeb i emocji, którą wy nazywacie polityką. Gdyby taka metafora była właściwa, rzekłbym, że politykę mam we krwi. Za to ty masz ją z pewnością.

- Mojej rodziny do tego nie mieszaj. Chciałbym się tylko dowiedzieć, dlaczego muszę czekać do czwartku, żeby usłyszeć, o co w tym wszystkim chodzi! Kanten zawahał się ponownie.

- Są pewne... aspekty tej sprawy, które nie powinny być omawiane w eterze. Niektóre z bardziej „talamicznych” odłamów twojego społeczeństwa mogłyby zrobić niewłaściwy użytek z tej wiedzy, gdyby... podsłuchano naszą rozmowę. Jednakże mogę cię zapewnić, że twój udział będzie miał charakter wyłącznie techniczny. Chcielibyśmy wykorzystać tylko twoją wiedzę i umiejętności,

którymi posługiwałeś się w Centrum. Bzdura - pomyślał Jacob - chcecie czegoś więcej.

Znał Fagina. Jeśli weźmie udział w spotkaniu, Kanten na pewno będzie próbował wykorzystać to jako pretekst do wplątania go w jakąś absurdalnie skomplikowaną i niebezpieczną awanturę. Do tej pory obcy zrobił mu coś takiego już trzykrotnie. O dwa pierwsze razy Jacob nie miał pretensji - wtedy jednak był inny, lubił takie rzeczy. Potem przyszła Igła. Koszmar ekwadorski całkowicie zmienił jego życie. Nie miał ochoty pakować się w coś takiego jeszcze raz.

Z drugiej strony bardzo nie chciał rozczarować starego Kantena. Fagin nigdy go tak naprawdę nie okłamał, a przy tym spośród wszystkich ET, których Jacob spotkał, był jedynym autentycznym wielbicielem ludzkiej kultury i historii, A chociaż ze wszystkich znanych Jacobowi stworzeń Fagin był fizycznie najbardziej obcy, to przecież właśnie on najbardziej starał się zrozumieć Ziemian.

Powinienem być bezpieczny, jeśli po prostu powiem Faginowi prawdę - pomyślał Jacob. - Jeśli zacznie za bardzo nalegać, powiem mu o moim stanie psychicznym: eksperymentach z autohipnozą i ich dziwacznych rezultatach. Nie będzie naciskał zbyt mocno, jeżeli odwołam się do jego poczucia uczciwości.

- W porządku - westchnął. - Wygrałeś, Fagin. Zjawię się tam. Tylko nie spodziewaj się, że będę główną atrakcją spotkania.

W świstliwym śmiechu Fagina słychać było oboje i klarnety. - Tym sobie nie zaprzątaj głowy, przyjacielu Jacobie! To będzie szczególne spotkanie i nikt nie weźmie cię za główną atrakcję!

Kiedy szedł po górnym pokładzie do pomieszczenia Makakai, blado-pomarańczowe słońce ciągle jeszcze wisiało nad horyzontem, a jego dobrotliwe i zwyczajne światło przedzierało się przez rzadkie chmury na zachodzie. Na chwilę zatrzymał się przy barierce, podziwiając barwy wieczoru i wdychając zapach morza. Zamknął oczy i czekał, aż promienie ogrzeją mu twarz i z łagodnym uporem przenikną w głąb ogorzałej skóry. W końcu przerzucił nogi przez barierkę i zeskoczył na dolny pokład. Nastrój ożywienia wyparł prawie zupełnie całodzienne wyczerpanie. Zaczął nucić jakąś melodię, oczywiście w niewłaściwej tonacji.

Stanął przy krawędzi basenu, do której leniwie podpłynął zmęczony delfin. Makakai przywitała go wierszem w troistym, zbyt szybkim, by go zrozumieć, ale o niewątpliwie frywolnej treści. Coś o jego życiu erotycznym. Delfiny opowiadały ludziom świńskie dowcipy przez tysiące lat, jeszcze zanim ludzie zaczęli je hodować, rozwijać ich umysł i zdolności mowy, a w końcu rozumieć.

Makakai jest o wiele bystrzejsza od swoich przodków - pomyślał Jacob - ale jej poczucie humoru pozostało najzupełniej delfinie.

- No cóż - powiedział - pracowity był dzisiaj dzień.

Ochlapała go wodą, słabiej niż zazwyczaj, i powiedziała coś, co brzmiało zupełnie jak:

Waaal się!

Podpłynęła jednak bliżej, kiedy przykucnął, żeby zanurzyć rękę w wodzie i przywitać się z nią.

2. Skórzani i koszule

Wiele lat temu dawne rządy Ameryki Północnej zrównały z ziemią Pas Pogranicza, aby móc kontrolować ruch z Meksykiem. Teren, na którym kiedyś niemal stykały się dwa miasta, pokryła pustynia.

Od czasów Przewrotu i końca ucisku Biurokracji dawnych rządów syndykalistycznych władze Konfederacji utrzymywały na tym obszarze rezerwat przyrody. Strefa graniczna między San Diego i Tihuaną była obecnie jednym z największych terenów zalesionych na południe od parku Pendleton.

Nadchodziły jednak zmiany. Jadąc wynajętym samochodem po nadziemnej autostradzie na południe, Jacob dostrzegał ślady świadczące o tym, że pas powracał do swojego dawnego przeznaczenia. Po obu stronach drogi, na wschód i zachód od niej, pracowali robotnicy, wycinając drzewa i ustawiając w trzydziestometrowych odstępach cienkie tyczki w cukierkowych kolorach. Tyczki były okropne. Odwrócił wzrok. W miejscu gdzie szereg żerdzi krzyżował się z autostradą, widać było wielką zielono-białą tablicę.

Nowe Pogranicze POZAZIEMSKI REZERWAT BAJA

Mieszkańcy Tihuany, którzy nie posiadają praw obywatelskich,

proszeni są o zgłaszanie się do Ratusza

w celu odebrania wysokiej premii dla przesiedleńców!

Jacob pokręcił głową i mruknął:

- Oderint, dum metuant. - Niech nienawidzą, byleby się bali . - To co, że ktoś mieszkał w mieście całe życie. Jeśli nie ma prawa wyborczego, musi się wynieść, bo nadchodzi postęp. Tihuana, Honolulu, Oslo i jeszcze kilka innych miast miało znaleźć się w nowych, rozszerzonych granicach rezerwatów dla ET. Pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt tysięcy stałych i czasowych Nadzorowanych będzie musiało się wyprowadzić, żeby miasta stały się „bezpieczne” dla tysiąca obcych. Niewygody nie będą w istocie wielkie. Większa część powierzchni Ziemi ciągle jeszcze nie interesowała ET, więc ci bez praw obywatelskich mieli mnóstwo miejsca. Poza tym rząd przyznawał wysokie odszkodowania. Nie zmieniało to jednak faktu, że na Ziemi znowu pojawili się uchodźcy. Na południowej krawędzi Pasa znów zaczynało się miasto. Wiele budynków naśladowało styl hiszpański czy neohiszpański, na ogół jednak dominował eksperymentalizm architektoniczny, typowy dla nowoczesnych aglomeracji meksykańskich. Budowle utrzymane były w tonacji biało-błękitnej. Ruch po obu stronach autostrady wypełniał powietrze cichym piskiem silników elektrycznych.

Mającą nadejść zmianę ogłaszały rozstawione w całym mieście zielono-białe metalowe tablice,

podobne do tej na granicy. Jedna z nich, w pobliżu autostrady, została pomazana czarnym sprayem. Przejeżdżając obok niej Jacob zdołał uchwycić wzrokiem zarys krzywo nabazgranych słów „Okupacja” i „Inwazja”.

Pewnie robota jakiegoś stałego Nadzorowanego - pomyślał. Obywatel nie zrobiłby czegoś tak zwariowanego, skoro miał setki legalnych sposobów na wyrażenie swojej opinii. A czasowy Nadzorowany, skazany na okres próbny za przestępstwo, nie chciałby przedłużenia wyroku. Czasowy zdawałby sobie sprawę, że na pewno go złapią. Z pewnością jakiś biedny, czekający na eksmisję Stały wyładował swoje uczucia, nie dbając o konsekwencje. Jacoba ogarnęło współczucie. Do tej pory ten SP był już pewnie w areszcie.

Jacob nie interesował się szczególnie polityką, chociaż sam pochodził z rozpolitykowanej rodziny. Dwóch jego dziadków było bohaterami Przewrotu, w którym małej grupie technokratów udało się obalić Biurokrację. Rodzina Jacoba żywiła w stosunku do Prawa Nadzoru namiętną niechęć.

W ciągu ostatnich kilku lat Jacob nabrał zwyczaju unikania wspomnień przeszłości. W tej chwili jednak pewien obraz powrócił do niego ze szczególną siłą. Wakacyjna szkoła w posiadłości klanu Alvarezów na wzgórzach ponad Caracas... w tym samym domu, gdzie Joseph Alvarez i jego przyjaciele trzydzieści lat wcześniej przygotowywali swoje plany... Trwał właśnie wykład wuja Jeremy’ego, którego słuchali kuzyni Jacoba i kuzyni adoptowani - w uszach pełno samych podniosłych haseł, a w głowach sącząca się powoli letnia nuda. Jacob wiercił się w kącie, chcąc jak najszybciej znaleźć się w swoim pokoju, gdzie razem z przyrodnią siostrą Alice umieścili skonstruowane przez siebie „tajne urządzenie”.

Jeremy, układny i pewny siebie, wchodził wtedy dopiero w wiek średni, wyrastając na znaczącą postać w Zgromadzeniu Konfederacji. Wkrótce miał zostać przywódcą rodu Alvarezów, usuwając w cień swojego starszego brata, Jamesa. Wuj Jeremy opowiadał o tym, jak dawna Biurokracja zarządziła, że każdy zostanie poddany badaniom stwierdzającym jego skłonności do przemocy, a wszyscy, którzy nie przejdą tego testu, znajdą się pod stałą kontrolą - Nadzorem. Jacob pamiętał słowo w słowo to, co wuj mówił tamtego popołudnia, kiedy dwunastoletnia Alice zakradła się do Biblioteki z twarzą rozpaloną od ekscytacji. „Zadali sobie wiele trudu, aby przekonać masy - głos Jeremy’ego był niski i grzmiący - że prawo to zmniejszy przestępczość”. I rzeczywiście - odniosło ono taki skutek. Osobnik z nadajnikiem radiowym w kręgosłupie najczęściej zastanawiał się dwa razy, zanim zrobił coś złego swoim bliźnim.

Wtedy, tak jak i teraz, obywatele uwielbiali Prawo Nadzoru. Bez trudu zapomnieli, że łamało ono wszystkie tradycyjne, zagwarantowane w Konstytucji prawa do uczciwego procesu. Zresztą większość obywateli mieszkała w krajach, które nigdy nie znały podobnych subtelności.

Kiedy zaś szczęśliwy traf pozwolił Josephowi Alvarezowi i jego przyjaciołom pobić Biurokratów na głowę wykorzystując przy tym te prawa - no cóż, wówczas przepełnieni tryumfem Obywatele pokochali testy na Nadzorowanie jeszcze bardziej. Podniesienie kwestii Prawa Nadzoru nie wyszło na dobre przywódcom Przewrotu. Mieli zresztą dosyć kłopotów z ustanawianiem Konfederacji...

Jacobowi chciało się krzyczeć. Tutaj stary wuj Jeremy ględził w kółko o tych samych starych bzdurach, a tymczasem Alice - ta szczęściara Alice, której teraz przypadła kolej narażać się na gniew

dorosłych i nastawiać ucha przy podsłuchu zamontowanym przez nich na odbiorniku kosmicznym - co też ona usłyszała!

To musiał być statek kosmiczny! Jedyny z trzech wielkich, powolnych pojazdów, który w ogóle powrócił! Tylko to mogło wyjaśniać telefon z Sił Kosmicznych i wielkie zamieszanie we wschodnim skrzydle, gdzie dorośli mieli swoje biura i laboratoria. Jeremy ciągle rozwodził się nad trwającym w społeczeństwie brakiem współczucia, ale Jacob nie widział go już ani nie słyszał. Starał się zachować poważną i niewzruszoną minę, kiedy Alice przychyliła się, żeby wyszeptać - nie, raczej wysapać mu w podnieceniu do ucha:

„...Obcy, Jacob! Są z nimi istoty spoza Ziemi! W swoich własnych statkach! Ach, Jake, Vesarius przywozi do domu Itich!”

Jacob usłyszał wtedy to słowo po raz pierwszy. Często zastanawiał się, czy to właśnie Alice je wymyśliła. Przypomniał sobie, że mając dziesięć lat, rozmyślał, czy nazwa Iti sugeruje, że ktoś inny miał być zjedzony .

Jadąc teraz ponad ulicami Tihuany, zdał sobie sprawę, że na to pytanie wciąż nie ma odpowiedzi.

Przy kilku głównych skrzyżowaniach usunięto po jednym narożnym budynku, wstawiając w to miejsce tęczowe „Toalety dla ET”. Jacob dostrzegł też sporo nowych niskich odkrytych autobusów przystosowanych do przewożenia ludzi, oraz ślizgających się lub chodzących trzymetrowych obcych.

Mijając Ratusz, zobaczył pikietę około dziesięciu Skórzanych. W każdym razie wyglądali jak Skórzani: mieli na sobie futra i wymachiwali plastykowymi dzidami. Któż inny ubierałby się w ten sposób przy takiej pogodzie?

Podkręcił radio głośniej i przełączył je na wyszukiwanie głosem.

- Wiadomości lokalne - powiedział. - Słowa kluczowe: Skórzani, Ratusz, pikieta. Po krótkiej chwili z tablicy rozdzielczej mechaniczny głos o nieco fałszywie brzmiącej modulacji rozpoczął wygłaszanie komputerowego biuletynu wiadomości. Jacob pomyślał, że tego głosu pewnie nigdy nie uda im się ustawić jak należy. - Przegląd wiadomości. Streszczenie. - Sztuczny głos mówił z oksfordzkim akcentem. - Wyciąg: dziś jest 12 stycznia 2246 roku, godzina dziewiąta czterdzieści jeden. Dzień dobry. Trzydzieści siedem osób pikietuje Ratusz miasta Tihuany w sposób zgodny z prawem. Oficjalnie zgłoszonym powodem zażalenia jest rozszerzenie Rezerwatu Istot Pozaziemskich, streszczone w odpowiednim dodatku. Proszę przerwać, jeśli życzy pan sobie przesłania faksem lub odsłuchania zarejestrowanego manifestu protestacyjnego. Aparat ucichł na moment. Jacob też milczał, zastanawiając się, czy naprawdę chce mu się wysłuchiwać reszty wyciągu. Protest Skórzanych przeciwko skutkom Rezerwatu znał dość dobrze: według nich przynajmniej niektórzy ludzie nie nadawali się do współżycia z obcymi. - Dwudziestu sześciu spośród trzydziestu siedmiu członków grupy protestacyjnej posiada wszczepione na mocy Prawa Nadzoru nadajniki - komputer ciągnął raport. - Reszta to oczywiście Obywatele. Dla porównania: ogółem w Tihuanie jeden Nadzorowany przypada na stu dwudziestu czterech Obywateli. Zachowanie i strój protestujących pozwalają określić ich wstępnie jako rzeczników tak zwanej Etyki Neolitycznej, potocznie zaś jako „Skórzanych”. Ponieważ żaden z Obywateli nie powołał się na przywilej tajemnicy osobistej, można

stwierdzić, że trzydziestu spośród trzydziestu siedmiu protestujących to mieszkańcy Tihuany, resztę zaś stanowią przybysze...

Jacob pchnął przycisk wyłącznika i głos zamarł w pół zdania. Widowisko sprzed Ratusza dawno już zniknęło z pola widzenia, więc i relacja straciła aktualność. Spory wokół rozszerzenia Rezerwatu ET przypomniały mu, że od jego ostatniej wizyty u wuja Jamesa w Santa Barbara minęły już prawie dwa miesiące. Stary bufon tkwił teraz pewnie po uszy w procesach o prawa połowy tihuańskich Nadzorowanych. Chyba jednak zauważyłby, gdyby Jacob wyjechał w jakąś długą podróż bez pożegnania z nim albo z innymi wujami, ciotkami i kuzynami rozgadanego i kłótliwego rodu Alvarezów. Długa podróż? Jaka długa podróż? - zreflektował się nagle. - Nigdzie się nie wybieram. Gdzieś w zakamarku świadomości słyszał jednak głos, który zazwyczaj odzywał się w takich sytuacjach, a który teraz mówił, że coś niedobrego czai się w organizowanym przez Fagina spotkaniu. Przez głowę Jacoba przebiegł błysk przeczucia, a jednocześnie chęć, by je stłumić. Uczucia te pewnie nawet by go zaintrygowały, gdyby nie znał ich tak dobrze. Jakiś czas jechał w ciszy. Wkrótce miasto zastąpiły pola, a rzeka samochodów skurczyła się do małego strumyczka. Przez następne dwadzieścia kilometrów słońce ogrzewało jego ramię, a w głowie kłębiły się wątpliwości.

Pomimo przeżywanych ostatnio rozterek niechętnie przyznawał, że czas już opuścić Centrum Wspomagania. Praca z delfinami i szympansami fascynowała go i była znacznie spokojniejsza (gdy minęły już pierwsze burzliwe tygodnie po sprawie Wodnego Sfinksa) niż jego dawny zawód detektywa od przestępstw naukowych. Personel Centrum pracował z zapałem i - w odróżnieniu od wielu innych zespołów prowadzących obecnie na Ziemi rozmaite przedsięwzięcia badawcze - nie był zdemoralizowany. Ich zadanie posiadało kolosalną i autentyczną wartość, a ostateczne otwarcie Oddziału Biblioteki w La Paz nie miało z dnia na dzień pozbawić ich pracy sensu.

Najważniejsze jednak, że spotkał tam prawdziwych przyjaciół. To właśnie oni wspierali go przez ostatni rok, kiedy zaczął powoli sklejać swoją podartą na strzępy psychikę. Zwłaszcza Gloria. Będę musiał coś zrobić w jej sprawie, jeśli zostanę - pomyślał Jacob. Tym bardziej że zaszło między nami coś więcej niż wspólne sapania i jęki. Uczucia dziewczyny coraz wyraźniej rzucają się w oczy.

Zanim wydarzyła się katastrofa w Ekwadorze - strata, przez którą zjawił się w Centrum, szukając tam przede wszystkim pracy i spokoju - wiedziałby, co trzeba zrobić i miałby na to odwagę. Teraz jego uczucia przypominały grzęzawisko. Wątpił, czy kiedykolwiek zdecyduje się na coś poważniejszego niż przelotna miłostka.

Od śmierci Tani upłynęły dwa długie lata. Zdarzało mu się przez ten czas być samotnym pomimo pracy, przyjaciół i wciąż tak samo fascynujących gier z własnym umysłem. Pola wokół samochodu zniknęły, a w ich miejsce pojawiły się brunatne wzgórza. Jacob rozparł się wygodnie, rozkoszując się powolnym rytmem jazdy i spoglądając na mijane kaktusy. Jeszcze teraz jego ciało kołysało się nieznacznie, jakby nadal był na morzu. Za wzgórzami skrzył się błękitem ocean. Im bliżej miejsca spotkania wiodła go wijąca się droga, tym bardziej pragnął być daleko stąd: na pokładzie łodzi wyglądać pierwszych garbatych grzbietów i uniesionych ogonów tegorocznej Szarej Migracji, słuchać wielorybiej „Pieśni Przywódcy”.

Okrążył jeden z pagórków i natrafił na pobocze do parkowania ciasno zastawione elektrycznymi samochodzikami podobnymi do tego, którym sam jechał. Dalej, na szczytach wzgórz, dostrzec można

było gromadę ludzi.

Jacob zjechał na prawo, na pas samoprowadzący; samochód sunął powoli, ale on mógł wreszcie przestać wpatrywać się w autostradę. Co tu się działo? Dwoje dorosłych i kilkoro dzieci krzątało się wokół samochodu, wyciągając z niego koszyki ze śniadaniem i lornetki. Najwyraźniej byli czymś podekscytowani. Wyglądali jak typowa rodzina na majówce, tyle że wszyscy mieli na sobie błyszczące srebrne tuniki i złote amulety. Większość ludzi na wzgórzu ubrana była podobnie. Wielu miało małe teleskopy, które kierowali w górę drogi. Pagórek po prawej stronie zasłaniał Jacobowi cel ich spojrzeń.

Tłum zebrany na drugim wzgórzu nosił jaskiniowe kostiumy oraz pióropusze. Poza tym jednak ci kromaniończycy z krwi i kości nie byli ortodoksyjni. Oprócz włóczni i krzemiennych toporów uzbrojeni byli w teleskopy, a także zegarki, radia i megafony. Nic dziwnego, że te dwie grupy zajęły przeciwległe wzgórza. Jedyne, co kiedykolwiek łączyło Koszule i Skórzanych, to ich wspólna nienawiść do Obszaru Kwarantanny Istot Pozaziemskich.

Między szczytami dwóch wzgórz wisiał rozpięty ponad autostradą ogromny transparent.

KALIFORNIJSKI REZERWAT POZAZIEMSKI

BAJA

Nieupoważnionym Nadzorowanym

wstęp wzbroniony

Goście przybywający po raz pierwszy

proszeni są o zgłoszenie się

do Centrum Informacyjnego

Zakaz wnoszenia fetyszy i strojów neolitycznych

Prosimy o pozostawienie Skór w Centrum Informacyjnym

Jacob uśmiechnął się. Swego czasu gazety nieźle sobie używały na tym ostatnim poleceniu. Na każdym kanale można było obejrzeć kreskówki, przedstawiające gości Rezerwatu, zmuszonych do obdzierania się z własnych skór pod aprobującym spojrzeniem pary podobnych do węży ET.

Na wzniesieniu drogi zaparkowane samochody utworzyły korek. Kiedy Jacob dotarł do tego miejsca, jego oczom ukazała się Bariera.

W długim pasie nagiej ziemi ciągnącym się ze wschodu na zachód biegła kolejna linia kolorowych tyczek; ta była ukończona. Na wielu palikach barwy zdążyły już wyblaknąć. Kurz pokrył kuliste lampy wieńczące ich wierzchołki.

Obywatele mogli swobodnie wchodzić i wychodzić przez to sito czujnych Wykrywaczy, tylko Nadzorowani musieli trzymać się z daleka, obcy zaś - pozostawać wewnątrz. Brutalnie przypominało to o fakcie tak chętnie ignorowanym przez większość społeczeństwa: spora część ludzkości nosiła wszczepione przekaźniki, ponieważ pozostali im nie ufali. Większość nie chciała, żeby pozaziemcy i ci, którzy na teście psychologicznym okazali się „skłonni do przemocy”, mogli się kontaktować.

Najwyraźniej Bariera dobrze spełniała swoje zadanie. Zbiorowisko po obu stronach drogi gęstniało, kostiumy były coraz bardziej zwariowane, ale zbita w ciżbę gromada zatrzymała się przed linią tyczek. Część Skór i Koszul stanowili zapewne Obywatele, ale i oni pozostali po tej stronie razem z resztą - z uprzejmości, a może na znak protestu. Tłum był najgęstszy tuż przy samej Barierze, po jej północnej stronie. Stojący tutaj Skórzani i Koszule prezentowali przejeżdżającym szybko kierowcom swoje transparenty. Jacob, zadowolony z widowiska, trzymał się pasa samoprowadzącego i rozglądał się na wszystkie strony, osłaniając oczy przed oślepiającym blaskiem. Po lewej stronie młody mężczyzna od stóp do głów owinięty w srebrny atłas wyciągał w górę afisz głoszący: „Ludzkość też była wspomagana. Uwolnić naszych pozaziemskich kuzynów!”

Po przeciwnej stronie drogi jakaś kobieta podtrzymywała transparent przyczepiony do drzewca włóczni: „Zrobiliśmy to sami... Iti precz z Ziemi!” W tych paru słowach zawarte było sedno sporu. Cały świat chciał nareszcie przekonać się, czy rację mieli zwolennicy Darwina, czy też ci, którzy ufali von Danikenowi. Koszule i Skórzani stanowili tylko nieco bardziej fanatyczne przejawy rozłamu, który podzielił ludzkość na dwa stronnictwa filozoficzne. Kwestią sporną było, w jaki sposób powstał homo sapiens, istota myśląca.

Czy Koszulom i Skórzanym chodziło tylko o to?

Ci pierwsi zmienili swoją miłość do obcych w pseudoreligijne szaleństwo. Histeryczna ksenofilia?

A troglodyci, uwielbiający jaskiniowe stroje i starodawną wiedzę? Czy ich wołanie o niezależność od wpływu pozaziemców było spowodowane czymś jeszcze bardziej pierwotnym - lękiem przed nieznanym, przed potężnymi obcymi? Ksenofobią? Jednego Jacob był pewien: Koszule i Skóry łączyło wspólne oburzenie. Oburzenie na ostrożną politykę kompromisów Konfederacji w stosunku do ET. Oburzenie na Prawo Nadzoru, które tak wielu z nich skazywało na izolację. Oburzenie na świat, w którym żaden człowiek nie był pewien swych korzeni.

Uwagę Jacoba zwrócił starszy, nieogolony mężczyzna. Kucał przy drodze, podskakując, wskazując ziemię przed sobą i krzycząc pośród kurzu wznieconego przez ciżbę. Jacob zwolnił, zbliżając się do niego.

Mężczyzna nosił futrzany kaftan i ręcznie szyte skórzane spodnie. Jego krzyki i podskoki stały się jeszcze bardziej szaleńcze, kiedy Jacob podjechał bliżej. - O-Pe - wrzasnął, jakby wypowiadając wielką zniewagę. Kiedy jeszcze raz wskazał na ziemię, jego wargi pokryły się pianą. - O-Pe! O-Pe!

Jacob, zaintrygowany, prawie zatrzymał samochód.

Z lewej strony coś przeleciało koło jego głowy i huknęło w okno po stronie pasażera. Usłyszał grzmotnięcie w dach, a za sekundę grad małych kamyków spadł na samochód z nieznośnym

dudnieniem.

Podniósł szybę po lewej stronie, gwałtownie wyprowadził samochód z pasa prowadzącego i ruszył naprzód. Każde trafienie pocisku wgniatało słabą plastykową maskę. Nagle w bocznych oknach pojawiły się groźnie wyglądające twarze - młode, drapieżne, wąsate. Młodzi biegli obok niemrawo przyspieszającego samochodu, tłukąc w niego pięściami i wrzeszcząc.

Do Bariery było tylko kilka metrów, więc Jacob postanowił dowiedzieć się, o co im chodzi. Zmniejszył trochę gaz i odwrócił się do jednego z tych, którzy biegli obok samochodu, podrostka ubranego jak bohater dwudziestowiecznych komiksów science fiction. Plakaty i stroje tłumu na poboczu zlewały się w niewyraźną plamę. Zanim zdołał cokolwiek powiedzieć, samochodem wstrząsnęło gwałtowne uderzenie. W szybie pojawiła się dziura, a wnętrze pojazdu wypełnił zapach spalenizny. Jacob ruszył w kierunku Bariery. Przemknął ze świstem obok rzędu tyczek i nagle został sam. W lusterku wstecznym widział, jak ciżba gromadzi się na drodze. Młodzi krzyczeli za nim, podnosząc pięści wysunięte z rękawów futurystycznych tunik. Wyszczerzył zęby w uśmiechu i otworzył okno, żeby im pomachać.

Jak ja to wytłumaczę w wypożyczalni samochodów? - pomyślał. - Mam powiedzieć, że zaatakowały mnie wojska Cesarstwa Ming, czy też uwierzą w prawdziwą wersję? Wezwanie policji nie wchodziło w grę. Miejscowy posterunek nie mógłby nic zrobić, nie ustaliwszy wpierw, kto jest Nadzorowany. A w takim tłumie kilka przekaźników na pewno by się zapodziało. Poza tym Fagin prosił go o dyskretne przybycie. Opuścił szyby, żeby podmuch wiatru wywiał dym. Wetknął koniec palca w otwór po kuli w szybie i uśmiechnął się z zakłopotaniem.

Podobało ci się to, co? - pomyślał.

Czym innym było pozwolić, żeby adrenalina swobodnie krążyła z krwią, a zupełnie czym innym - śmiać się z niebezpieczeństwa. Bardziej niż tajemnicza gwałtowność tłumu zaniepokoiło go poczucie uniesienia, które towarzyszyło mu podczas całej awantury. Znał ten symptom z przeszłości.

Nie minęły dwie minuty, kiedy z tablicy rozdzielczej rozległ się dźwięk. Podniósł spojrzenie na drogę. Autostopowicz? Tutaj? Nie dalej jak pół kilometra przed nim na poboczu stał człowiek, przecinając swoją postacią tor wiązki prowadzącej. Obok niego leżały na ziemi dwie torby.

Jacob zawahał się, pamiętając o ostatniej przygodzie. Choć przecież wewnątrz Rezerwatu mogli przebywać tylko Obywatele. Zjechał do krawężnika, zaledwie kilka metrów za czekającym.

Facet miał w sobie coś znajomego. Był rumiany i niski, nosił szary garnitur. Wydatny brzuch trząsł mu się, kiedy dźwigał dwie ciężkie torby do samochodu Jacoba. Schylił się do drzwi i zajrzał do środka, jego twarz była pokryta potem. - Dajcie spokój, ale upał! - jęknął. Mówił standardowym angielskim z nieco chrypiącym akcentem. - Nikt nie używa samoprowadnicy! - kontynuował, ocierając czoło chusteczką. - Pędzą jak najszybciej, bo chcą złapać troszeczkę wiaterku, prawda? Ale my się chyba znamy, musieliśmy gdzieś się wcześniej spotkać. Jestem Peter LaRoque... Pierre, jeśli pan pozwoli. Pracuję dla „Les Mondes”.

Jacob drgnął.

- Ach tak, pan LaRoque. Rzeczywiście, spotkaliśmy się już. Nazywam się Jacob Demwa.

Proszę wsiadać, jadę tylko do Centrum Informacyjnego, ale tam może pan złapać autobus.

Miał nadzieję, że twarz nie zdradza jego uczuć. Dlaczego od razu nie poznał LaRoque'a?

Mógłby się nie zatrzymywać.

Nie miał właściwie nic przeciwko temu człowiekowi... z wyjątkiem nieznośnego egoizmu LaRoque'a i jego niewyczerpanego zapasu poglądów, które narzucał każdemu przy lada okazji. Pod wieloma względami stanowił on zapewne fascynującą osobowość. Niewątpliwie miał autorytet w prasie danikenistycznej. Jacob czytał parę jego artykułów i podobał mu się ich styl, choć treść - trochę mniej.

LaRoque należał także do hordy dziennikarzy, która przez długie tygodnie tropiła Jacoba, gdy rozwiązał tajemnicę Wodnego Sfinksa. W dodatku był jednym z najmniej taktownych członków tej bandy. Artykuł w „Les Mondes" był pochlebny, a przy tym pięknie napisany, ale jednak niewart fatygi Jacoba.

Jacob był zadowolony, że prasa nie zdołała go znaleźć po wcześniejszym wydarzeniu, po ekwadorskiej klęsce w Waniliowej Igle. Wtedy nie zniósłby LaRoque'a. Z trudem przychodziło mu uwierzyć w wyraźnie udawany „pierwotny" akcent LaRoque'a. Dziennikarz mówił z jeszcze większą chrypką niż przy ostatnim spotkaniu, jeśli to w ogóle było możliwe.

- Demwa. Ach, oczywiście! - powiedział. Upchnął torby za siedzeniem i wsiadł. - Twórca aforyzmów! Znawca tajemnic! Czy jest pan tu przypadkiem po to, by rozwiązywać zagadki z naszymi międzyplanetarnymi gośćmi? A może zamierza pan skonsultować się z Wielką Biblioteką w La Paz?

Jacob wrócił na pas samoprowadzący, żałując, że nie wie, kto zaczął modę na ten akcent.

Mógłby wtedy udusić pomysłodawcę.

- Mam tu do wykonania pewne prace konsultacyjne. Wśród moich pracodawców są również istoty pozaziemskie, jeśli o to panu chodzi. Ale nie wolno mi wchodzić w szczegóły. - Ależ oczywiście, cóż za dyskrecja! - LaRoque z uśmiechem pogroził palcem. - Dziennikarza zwodzić pan tak nie powinien! Pańskie sprawy mogłyby stać się moimi. Ale pan zapewne zastanawia się, co też przywiodło czołowego reportera „Les Mondes" w to odludzie, nieprawdaż?

- W istocie - odparł Jacob - bardzo mnie ciekawi, jak to się stało, że podróżuje pan autostopem w samym środku tego odludzia.

LaRoque westchnął.

- Rzeczywiście, odludzie! Jakież to smutne, że ci znakomici obcy przybywający do nas w odwiedziny tkwią tu i na innych pustkowiach, jak pańska Alaska. - I Hawaje, i Caracas, i Sri Lanka, stolice Konfederacji - dodał Jacob. - Wracając jednak do tego, w jak sposób został pan...

- W jaki sposób zostałem tutaj wysłany? Ależ oczywiście, panie Demwa! A może rozerwiemy się wspólnie pana słynnymi zdolnościami dedukcyjnymi? Może potrafiłby pan to sam zgadnąć?

Jacob stłumił jęk. Pochylił się, żeby wyprowadzić samochód z pasa prowadzącego i nacisnął silniej na pedał gazu.

- Mam lepszy pomysł, panie LaRoque. Skoro nie chce mi pan powiedzieć, czemu stał pan tam, na zupełnym bezludziu, to może zechce pan wyjaśnić mi inny mały sekret. Jacob opowiedział o wydarzeniach przy Barierze. Opuścił tylko brutalne zakończenie, mając nadzieję, że LaRoque nie zauważył dziury w szybie. Opisał jednak dokładnie zachowanie podskakującego mężczyzny.

- Ależ z przyjemnością! - wykrzyknął LaRoque. - To nie takie trudne! Zna pan inicjały zwrotu, którego pan użył, „Stały Nadzorowany”, tego straszliwego piętna, które pozbawia człowieka jego podstawowych praw: prawa wyborczego, prawa do bycia rodzicem... - Dobrze, zgadzam się z tym! Może pan sobie darować przemowę. - Jacob zastanowił się. Jakie były te inicjały? - A, myślę, że rozumiem.

- Tak, ten biedak tylko się odwzajemniał! Wy, Obywatele, nazywacie go Es-En... czyż to więc nie zwykła sprawiedliwość, kiedy on oskarża was o to, że jesteście Oswojeni i Posłuszni? Czyli O-Pe!

Jacob zaśmiał się wbrew swojej woli. Droga zaczęła skręcać. - Zastanawiam się, czemu ci wszyscy ludzie zebrali się przy Barierze. Wyglądało, że na kogoś czekają.

- Przy Barierze? - powtórzył LaRoque. - Ach, tak. Słyszałem, że jest tak w każdy czwartek. Iti z Ośrodka schodzą się, żeby popatrzeć na nie-Obywateli, a ci z kolei przychodzą, żeby zobaczyć Itiego. Komiczne, co? Nie wiadomo, kto komu rzuca orzeszki! Droga okrążyła wzgórze i ukazał się cel ich jazdy.

Centrum Informacyjne leżało kilka kilometrów na północ od Ensenady i było rozległym kompleksem składającym się z mieszkań ET, muzeów publicznych oraz ukrytych z tyłu koszar dla straży granicznej. Naprzeciw sporego parkingu stał główny budynek, w którym przybywający po raz pierwszy goście pobierali lekcje ceremoniału galaktycznego. Zabudowania leżały na małym płaskowzgórzu między autostradą a oceanem, skąd roztaczała się szeroka panorama na obydwie strony. Jacob zaparkował samochód w pobliżu głównego wejścia.

LaRoque, czerwony na twarzy, zmagał się z jakąś myślą. Nagle podniósł wzrok.

- Wie pan, żartowałem, kiedy mówiłem o orzeszkach. To był tylko żart.

Jacob skinął głową, zastanawiając się, co tamtego napadło. Dziwne.

3. Wrażenia

Jacob pomógł LaRoque’owi zanieść torby do przystanku autobusu, a potem obszedł główny budynek, szukając miejsca, gdzie mógłby usiąść. Do rozpoczęcia umówionego spotkania zostało dziesięć minut.

W miejscu, gdzie do budynków przylegała niewielka przystań, znalazł ukrytą w cieniu drzew altanę z kilkoma stołami. Wybrał jeden z nich i siadł na nim, opierając nogi o ławkę. Dotyk chłodnego kamienia i wiatr znad oceanu przenikały pod ubranie, chłodząc zaczerwienioną skórę i przepoconą koszulę.

Kilka minut siedział w ciszy i rozluźniał po kolei stwardniałe mięśnie ramion i pleców, pozbywając się w ten sposób napięcia spowodowanego jazdą. Skupił wzrok na małej żaglówce, której kliwer i główny żagiel były zieleńsze niż ocean, a potem pozwolił oczom zapaść w odrętwienie.

Zaczęło się szybowanie. Jedna po drugiej badał rzeczy, które odkrywały przed nim zmysły, po czym usuwał je. Skupił się na mięśniach, by po kolei uwolnić je od napięć i doznań. W członkach powoli narastał bezwład.

Swędzenie w udzie nie chciało ustąpić, ale nie poruszał rękoma spoczywającymi na kolanach, aż wreszcie i ono zniknęło. Słony zapach morza był równie przyjemny, co rozpraszający. Jacob pozbył się go. Zatamował odgłos uderzeń serca słuchając ich w całkowitym skupieniu, aż stały się zbyt oczywiste, by je zauważać. Poprowadził teraz trans w fazę oczyszczającą, tak jak robił to przez ostatnie dwa lata. Obrazy z przerażającą szybkością nadciągały i oddalały się, powodując uzdrawiający ból, jakby dwie rozdzielone części na powrót próbowały się połączyć w całość. Nigdy nie było to przyjemne.

Był sam, prawie sam. Pozostały tylko głosy, mruczące ledwie słyszalne strzępy zdań na granicy sensu. Przez chwilę wydawało mu się, że słyszy, jak Gloria i Johnny kłócą się o Makakai, a potem samą Makakai skrzeczącą coś pogardliwie w łamanym troistym. Ostrożnie pozbywał się wszystkich dźwięków, czekając na ten, który jak zawsze przyszedł z oczekiwaną raptownością: głos Tani krzyczący coś, czego nie mógł zrozumieć, gdy spadała obok niego z rozpostartymi ramionami. Słyszał ją jeszcze, kiedy leciała całe trzydzieści kilometrów do ziemi, zmieniając się w maleńki punkcik, a potem całkiem znikając... Krzyczała bez przerwy.

Ten słaby głos także zamarł, ale tym razem wprawił go w większy niepokój niż zazwyczaj.

Przez umysł Jacoba przemknęła zniekształcona, wypełniona przemocą wersja zajścia przy Granicy Strefy. Nagle znalazł się tam znowu, tym razem stał pomiędzy Nadzorowanymi. Brodaty mężczyzna w stroju piktyjskiego szamana trzymał przed sobą lornetkę i ponaglająco kiwał głową.

Jacob wziął lornetkę i spojrzał tam, gdzie wskazywał mężczyzna. Z powierzchni autostrady unosiły się fale żaru, które zniekształcały obraz autobusu podjeżdżającego na przystanek tuż po drugiej stronie cukierkowatych tyczek ciągnących się po horyzont. Wydawało się, że każda z nich sięga słońca.

Naraz widok zniknął. Z wyćwiczoną obojętnością Jacob pozbył się pokusy myślenia o tamtym i pozwolił, żeby w jego umyśle zapanowała zupełna pustka. Cisza i ciemność.

Pozostawał w głębokim transie, zdając się na wewnętrzny zegar, który miał odezwać się, gdy nadejdzie czas wynurzenia. Powoli poruszał się między pustymi formami i znajomymi znaczeniami, które wymykały się opisowi i pamięci. Szukał wśród nich cierpliwie klucza. Wiedział, że tam jest, i że pewnego dnia go znajdzie.

Czas nie różnił się teraz od innych rzeczy, gubił się w nurcie głębszego strumienia. Głuchą ciemność przewiercił nagłe ostry ból, przenikający wszystkie zasłony w jego umyśle. Potrzeba było chwili, wieczności trwającej zapewne setną część sekundy, żeby go umiejscowić. Ból był jasnoniebieskim światłem, które wbijało się przez zamknięte powieki aż do wyczulonych przez hipnozę oczu. W następnej chwili, zanim jeszcze zdążył zareagować, światło zniknęło.

Przez jakiś czas Jacob walczył z ogarniającym go przerażeniem. Spróbował skupić się wyłącznie na powrocie do świadomości, mimo strumienia panicznych pytań strzelających w jego umyśle jak flesze.

Z jakiego miejsca podświadomości pochodziło to niebieskie światło? Tak gwałtowny przebłysk neurozy musi oznaczać jakieś kłopoty! Na jaki ukryty lęk się natknąłem? Kiedy wynurzył się na powierzchnię, powrócił słuch.

Przed nim słychać było odgłos kroków. Już wcześniej wyłowił je spośród dźwięków wiatru i morza, w transie jednak podobne były do odgłosów, jakie powodować mogły miękkie łapy strusia obute w mokasyny.

Głębokie odrętwienie skończyło się wreszcie w kilka sekund po wewnętrznym wybuchu jasności. Jacob otworzył oczy. Przed nim, w odległości kilku metrów, stał wysoki obcy. Największe wrażenie robił jego znaczny wzrost, a także bladość i ogromne, czerwone oczy.

Przez chwilę wydawało się, że świat się kołysze.

Jacob wsparł ręce o brzeg stołu i opuścił głowę. Żeby się uspokoić, zamknął oczy. Jakiś nowy trans! - pomyślał. - Czuję się, jakby moja głowa miała przebić Ziemię i wyskoczyć po drugiej stronie!

Jedną ręką potarł oczy, a potem ostrożnie spojrzał jeszcze raz. Obcy ciągle tam stał, a więc istniał naprawdę. Był człekokształtny, miał przynajmniej dwa metry wzrostu. Niemal całe jego szczupłe ciało okrywała obszerna, srebrzysta tunika. Długie, lśniące ręce skrzyżował z przodu w Postawie Szacunku i Oczekiwania. Obcy skłonił wielką, okrągłą głowę wspartą na cienkiej szyi. Miał ogromne, czerwone, pozbawione powiek oczy na słupkach i wydatne wargi. Poza tym na jego twarzy było jeszcze kilka innych, niewielkich organów, których przeznaczenia Jacob nie znał. Ten gatunek widział po raz pierwszy.

W oczach obcego płonął blask inteligencji.

Jacob odchrząknął. Nadal zmagał się z falami zawrotów głowy. - Przepraszam... Ponieważ nie zostaliśmy sobie przedstawieni... nie wiem, jak powinienem zwracać się do pana, rozumiem jednak, że przyszedł pan spotkać się ze mną? Wielka biała głowa pochyliła się głęboko w geście potwierdzenia.

- Czy należy pan do grupy, z którą miałem się spotkać na prośbę Kantena Fagina?

Obcy skinął ponownie.

To chyba znaczy „tak", pomyślał Jacob. Ciekawe, czy on potrafi mówić i jaki niesamowity mechanizm kryje się za tymi ogromnymi ustami. Czemu jednak stworzenie ciągle stało? Czy w jego postawie było coś...? - Czy wolno mi przypuścić, że należy pan do gatunku podopiecznych i że czeka pan na pozwolenie, by mówić?

„Wargi" rozsunęły się nieco i Jacob dostrzegł przelotnie coś białego i świecącego. Obcy jeszcze raz skinął głową.

- Proszę zatem przemówić! My, ludzie, stale zapominamy o ceremoniale. Jak się pan nazywa?

Głos obcego był zaskakująco głęboki. Przybysz seplenił, ledwie otwierając usta. - Jesztem Kulla. Dziękuję panu. Przyszłano mnie, żebym szprawdził, czy pan nie zabłądził. Inni już czekają. Jeśli pan szobie życzy, możemy więcz udać się na szpotkanie, albo jeśli pan woli, może pan kontynuować medytaczje aż do umówionego czaszu. - Nie, nie! Chodźmy, oczywiście.

Jacob podniósł się niepewnie. Zamknął na chwilę oczy, żeby oczyścić umysł z resztek odrętwienia. Wcześniej czy później będzie musiał wyjaśnić to, co się wydarzyło, gdy był w głębi siebie, ale na razie musiał z tym poczekać.

- Prowadź.

Kulla odwrócił się i wolnym, płynnym krokiem zaczął iść w stronę jednego z bocznych wejść do Centrum.

Obcy był najwidoczniej członkiem „gatunku podopiecznego", czyli takiego, który nie zakończył jeszcze terminowania u swoich „opiekunów". Rasy podopiecznych stały dość nisko w galaktycznej hierarchii. Jacob, nieustannie zagubiony w zawiłościach układów galaktycznych, cieszył się, że szczęśliwy traf dał ludzkości pozycję lepszą, choć niezbyt bezpieczną.

Kulla zaprowadził go po schodach do wielkich dębowych drzwi. Otworzył je bez uprzedzenia i wszedł przed Jacobem do sali.

Jacob ujrzał dwoje ludzi oraz, nie licząc Kulli, dwóch obcych: jeden z nich był niski i pokryty futrem, drugi - jeszcze mniejszy i podobny do jaszczurki. Siedzieli na poduszkach pomiędzy dużymi pokojowymi krzewami i oknem widokowym wychodzącym na zatokę. Jacob próbował przyjrzeć się uważnie obcym, zanim ci go spostrzegą, ale ledwie upłynęła chwila, ktoś wypowiedział jego imię.

- Jacobie, mój przyjacielu! Jakże to miło z twojej strony, że przybyłeś, aby spędzić z nami czas! - rozległ się melodyjny głos Fagina. Jacob prędko rozejrzał się po pokoju. - Fagin, gdzie...?

- Jestem tutaj.

Jeszcze raz spojrzał na grupkę przy oknie. Ludzie i pokryty futrem ET wstawali. Obcy podobny do

jaszczurki pozostał na poduszce.

Jacob przyjrzał się uważnie - Faginem okazał się jeden z „krzewów pokojowych”.

Srebrzyste końce jego liści zabrzęczały cichutko, jakby poruszone wiatrem.

Jacob uśmiechnął się. Przy każdym spotkaniu z Faginem pojawiał się ten sam problem. W przypadku humanoidów szukało się twarzy albo czegoś, co miało takie samo przeznaczenie. Zazwyczaj potrzeba było niewiele czasu, żeby w niezwykłej sylwetce obcego odnaleźć miejsce, na którym można było skupić wzrok.

Prawie zawsze istniała taka część ciała, do której można było mówić i którą uznawało się za siedlisko cudzej świadomości. U ludzi, a bardzo często też u nieziemców, rolę tę pełniły oczy.

Kanteni nie mają oczu. Jacob domyślał się, że świecące srebrne drobinki, które dźwięczały jak dzwoneczki u sań, były receptorami światła. Nawet jeśli tak było, to niewiele to pomagało. Trzeba było patrzeć na całego Fagina, nie zaś na jedno miejsce, gdzie jaźń przebijałaby się na zewnątrz. Jacob zastanawiał się, co bardziej odpowiadało prawdzie: czy lubił Kantena pomimo tej trudności, czy też mimo trwającej lata przyjaźni ciągle czuł się przy nim nieswojo.

Pokryta ciemnymi liśćmi postać Fagina zbliżyła się do niego w serii obrotów przesuwających do przodu kolejne sploty korzeni. Jacob ukłonił się oficjalnie, jeden raz, i czekał.

- Jacobie Alvarezie Demwa, a-Człowiek, ul-Delfin, ul-Szymp, witamy cię. Cieszy mnie, oddanego tobie, że mogę spotkać się z tobą po raz kolejny. - Fagin mówił wyraźnie, ale w niekontrolowanym, melodyjnym rytmie, przez co jego akcent brzmiał jak mieszanka szwedzkiego i chińskiego. Radził sobie znacznie lepiej, kiedy posługiwał się troistym albo delfinim.

- Faginie, a-Kanten, ab-Linten-ab-Siqul-ul-Nish, Mihorki Keephu. Cieszę się, że znowu cię widzę - ukłonił się Jacob.

- Te oto czcigodne istoty przybyły, abyście mogli podzielić się wzajemnie swoją mądrością - powiedział Fagin. - Przyjacielu Jacobie, mam nadzieję, że jesteś przygotowany do oficjalnego przedstawienia.

Jacob spróbował skupić się na zawiłych imionach każdego z obcych, a zarazem bacznie ich obserwować. Nazwiska rodowe i złożone nazwy ras podopiecznych mogły sporo powiedzieć o ich statusie. Skinął potwierdzająco w stronę Fagina. - Przedstawię cię teraz oficjalnie Bubbakubowi, a-Pil, ab-Kisa-ab-Soro-ab-Hul-ab-Puber-ul-Gello-ul-Pring, z Instytutu Bibliotecznego.

Jeden z ET wystąpił naprzód. Jacob odniósł w pierwszej chwili wrażenie, że stoi przed nim czworonożny szary pluszowy miś. Szeroki pysk oraz frędzle rzęs otaczających oczy nie pasowały jednak do tego skojarzenia.

A więc to był Bubbakub, dyrektor Filii Biblioteki! Mieszcząca się w La Paz Filia pożarła niemal zupełnie skromną nadwyżkę bilansu handlowego, którą Ziemia zgromadziła od czasów Kontaktu, a i

tak większość kolosalnego wysiłku przystosowania niewielkiej podmiejskiej Filii do potrzeb ludzkich wziął na siebie ogromny galaktyczny Instytut Biblioteczny. Ten filantropijny gest miał pomóc zapóźnionej rasie ludzkiej dogonić resztę Galaktyki. Jako szef Filii Bubbakub był jednym z najważniejszych obcych na Ziemi! Także nazwa jego gatunku wskazywała na wysoki status, w hierarchii stał wyżej nawet od Fagina! To „ab" do czwartej potęgi oznaczało, że gatunek Bubbakuba został doprowadzony do poziomu stworzeń rozumnych przez inny gatunek, który z kolei zawdzięczał to samo jeszcze innemu i tak dalej, aż do mitycznych początków w czasach Przodków. Jacob zrozumiał z tego także, że cztery generacje „Rodziców" nadal istniały gdzieś w Galaktyce. Miejsce w takim łańcuchu zapewniało odpowiednią pozycję w rozsianej po Galaktyce społeczności, której każdy gatunek kosmicznych wędrowców (jedynym wyjątkiem była być może ludzkość) został wydobyty z na wpół inteligentnego barbarzyństwa przez jakąś wcześniejszą rasę kosmicznych podróżników.

„Ul" do kwadratu mówiło, że rasa Pilan sama z kolei wychowała dwie nowe. To także liczyło się w hierarchii.

Tylko dzięki temu, że zanim Vesarius przywiózł na Ziemię wiadomość o Kontakcie, człowiek obdarował inteligencją dwa inne gatunki, rasa ludzkich „sierot" nie była do reszty pogardzana przez Galaktów.

Obcy skłonił się lekko.

- Jestem Bubbakub.

Głos wydobywał się z krążka wiszącego na szyi Pilanina i brzmiał sztucznie. Brzmieniacz! Rasa Pilan potrzebowała więc dodatkowej pomocy, żeby mówić po angielsku. Po prostocie urządzenia, znacznie mniejszego niż używane przez obcych, których języki ojczyste składały się z pisków i ćwierkania, Jacob domyślał się, że Bubbakub mógł wprawdzie wymawiać ludzkie słowa, ale w zakresie częstotliwości przekraczającym ludzką zdolność słyszenia. Postanowił uznać, że stworzenie może go słyszeć. - Jestem Jacob. Witam na Ziemi - skinął głową.

Usta Bubbakuba kłapnęły kilka razy w ciszy.

- Dziękuję - zahuczał brzmieniacz, ucinając końcówki słów. - Miło mi, że tu jestem. - I mnie jest miło pełnić obowiązki gospodarza - Jacob odkłonił się odrobinę głębiej, niż zrobił to Bubbakub, kiedy wysuwał się naprzód. Obcy cofnął się. Wyglądał na zadowolonego. Fagin na nowo podjął ceremonię prezentacji.

- Te czcigodne istoty pochodzą z twojej rasy.

Wyciągnął gałązkę z pękiem płatków w stronę dwojga ludzi: siwowłosego pana w tweedowym garniturze i stojącej obok niego atrakcyjnej wysokiej i opalonej kobiety w średnim wieku.

- Przedstawię teraz państwa - ciągnął Fagin - w sposób nieoficjalny, który ludzie stosują chętniej.

- Jacobie Demwa, poznaj doktora Dwayne'a Keplera z Ekspedycji „Słoneczny Nurek" i doktor

Mildred Martine z Wydziału Parapsychologii na Uniwersytecie w La Paz. W twarzy Keplera najbardziej rzucały się w oczy wielkie, sumiaste wąsy. Ich właściciel uśmiechnął się, ale Jacob był tak zdumiony, że zdołał odpowiedzieć na tę oznakę wesołości zaledwie mruknięciem.

Ekspedycja „Słoneczny Nurek"! Badania na Merkurym i w chromosferze słonecznej były ostatnimi czasy kością niezgody na Zgromadzeniu Konfederacji. Frakcja „Przystosuj się i przetrwaj" twierdziła, że nie ma sensu wydawać tylu pieniędzy na wiedzę, którą dałoby się z łatwością uzyskać z Biblioteki, skoro za tę samą sumę można by zatrudnić znacznie więcej bezrobotnych uczonych tu, na Ziemi, w ramach programów prac publicznych. Na razie jednak dominowała frakcja „Samowystarczalności", i to pomimo ataków ze strony prasy danikenistycznej.

Jacob uważał, że już sam pomysł wysyłania ludzi i statków do wnętrza gwiazdy jest absolutnym szaleństwem.

- Rekomendacje Kanta Fagina były entuzjastyczne - powiedział Kepler. Szef Słonecznego Nurka uśmiechnął się, chociaż jego oczy były zaczerwienione. Ich napuchnięte obrysy zdradzały jakąś wewnętrzną troskę. Ścisnął dłoń Jacoba w swojej i gniótł ją dalej, mówiąc. Głos miał głęboki, ale brzmiało w nim drżenie. - Przybyliśmy na Ziemię tylko na krótko. To łaska losu, że Fagin zdołał namówić pana do spotkania z nami. Mamy nadzieję, że będzie pan mógł lecieć z nami na Merkurego i pozwoli nam wykorzystać swoje doświadczenie w kontaktach międzygatunkowych.

Jacoba zamurowało. O, nie! Co to, to nie, ty liściasty potworze! Miał ochotę odwrócić się i spiorunować wzrokiem Fagina, ale nawet nieoficjalna międzyludzka grzeczność nakazywała, aby odpowiedzieć coś tym ludziom. Merkury! Akurat! Na twarzy doktor Martine zajaśniał serdeczny uśmiech, choć ona sama wyglądała na lekko znudzoną, kiedy ściskał jej rękę.

Jacob zastanawiał się właśnie, jak nie okazując zainteresowania zapytać, co ma wspólnego parapsychologia z fizyką słoneczną, ale Fagin uprzedził go. - Muszę przerwać, jak jest to powszechnie uznawane za dopuszczalne w nieoficjalnych rozmowach pomiędzy ludźmi, kiedy zdarzy się chwila milczenia. Pozostała do przedstawienia jeszcze jedna czcigodna istota.

Aj! - pomyślał Jacob - mam nadzieję, że ten Iti nie należy do nadmiernie wrażliwych. - Odwrócił się w stronę, gdzie obok wielobarwnej mozaiki na ścianie stał jaszczurkowaty nieziemiec. Stwór podniósł się już z poduszki i kroczył teraz w ich stronę na sześciu nogach. Miał niecały metr długości i około dwudziestu centymetrów wysokości. Przeszedł obok Jacoba bez jednego spojrzenia, zbliżył się do Bubbakuba i zaczął ocierać się o jego nogę. - Hm - stwierdził Fagin - to jest zwierzę domowe. Ten czcigodny, któremu masz być przedstawiony, to szacowny podopieczny, który przyprowadził cię do tej sali. - Ach, przepraszam! - Jacob uśmiechnął się, po czym zmusił się do przybrania poważnej miny.

- Jacobie Demwa, a-Człowiek, ul-Delfin, ul-Szymp, poznaj proszę Kullę, a-Pring, ab-Pil-ab-Kisa-ab-Soro-ab-Hul-ab-Puber, asystenta Bubbakuba i reprezentanta Biblioteki w Projekcie „Słoneczny Nurek".

Zgodnie z oczekiwaniami Jacoba, imię składało się z samych imion rodowych. Pringowie nie posiadali własnych podopiecznych. Pochodzili wszakże z linii Puber/Soro, a to oznaczało, że kiedyś

osiągną wysoką pozycję jako członkowie tego starego i potężnego rodu. Jacob spostrzegł, że gatunek Bubbakuba wywodził się z tej samej linii, i żałował, że nie pamięta, czy Pilanie i Pringowie byli dla siebie opiekunami i podopiecznymi. Obcy wystąpił naprzód, ale nie zaproponował uścisku dłoni. Jego ręce były długie i mackowate, przedramiona zakończone sześcioma palcami. Wyglądały na wątłe. Kulla pachniał delikatnie, a jego zapach przypominał nieco świeżo skoszone siano. Było to nawet dość przyjemne.

Ogromne oczy na słupkach błysnęły, kiedy obcy skłonił się do oficjalnego przedstawienia. Jego „wargi" odwinęły się do tyłu, ukazując parę białych, lśniących zębów trzonowych, po jednym na górze i na dole. Chwytne częściowo wargi zwarły te dwa kafary z porcelanowym klekotem.

Tam, skąd ten stwór pochodzi, ten gest nie może być przyjazny - Jacoba przeszedł dreszcz. Prezentacja zębów miała zapewne stanowić imitację ludzkiego uśmiechu. Był to widok niepokojący, a zarazem intrygujący. Jacoba zaciekawiło, po co są te szczęki. Miał przy tym nadzieję, że w przyszłości Kulla nie będzie... otwierał ust.

Lekko pochylając głowę powiedział:

- Jestem Jacob.

- Jesztem Kulla, proszę pana - odparł obcy. - Na pańszkiej Ziemi jeszt bardzo przyjemnie. - Wielkie czerwone oczy zmatowiały i Kulla cofnął się. Bubbakub poprowadził ich z powrotem do siedzisk przy oknie. Następnie ułożył się na brzuchu, tak że jego kończyny zwisały symetrycznie po bokach poduszki. Jaszczurkowate zwierzę domowe pobiegło za nim i zwinęło się obok w kłębek.

Kepler pochylił się naprzód i zaczął z ociąganiem:

- Przykro mi, że oderwaliśmy pana od ważnych zajęć, panie Demwa. Wiem, że pochłania pana wiele obowiązków... Mimo to mam nadzieję, że uda nam się przekonać pana, że... że nasz mały... problem jest wart pana czasu i zdolności. - Doktor Kepler splótł ręce na kolanach.

Doktor Martine obserwowała jego przejęcie z wyrazem lekko rozbawionej cierpliwości.

Jacoba niepokoiły te niuanse.

- No cóż, doktorze Kepler, Fagin na pewno powiedział panu, że od śmierci mojej żony wycofałem się ze „spraw tajemniczych", a teraz jestem dość zajęty. Chyba zbyt zajęty, aby angażować się w długą podróż poza naszą planetę.

Kepler do reszty stracił pewność siebie. Wyraz jego twarzy stał się nagle tak beznadziejnie smutny, że poruszyło to Jacoba.

- ...Jednakże, ponieważ Kant Fagin jest osobą spostrzegawczą, z przyjemnością porozmawiam z każdym, kogo do mnie skieruje. Wtedy też będę mógł podjąć ostateczną decyzję co do meritum sprawy.

- Ach, tę sprawę na pewno uzna pan za interesującą! Bez przerwy powtarzam, że potrzeba nam

świeżego spojrzenia. Teraz zaś, kiedy Zarząd zgodził się na udział konsultantów...

- Zaraz, zaraz! - doktor Martine weszła mu w słowo. - Dwayne, nie jesteś sprawiedliwy. Ja przyłączyłam się jako konsultantka pół roku temu, a z usług Kulli i Biblioteki korzystacie jeszcze dłużej. Bubbakub zgodził się teraz zwiększyć pomoc Biblioteki dla Projektu i osobiście udać się z nami na Merkurego. Myślę, że Zarząd jest więcej niż hojny. Jacob westchnął.

- Czy ktoś mógłby mi wytłumaczyć, o co w tym wszystkim chodzi? Na przykład, doktor Martine, może zechciałaby mi pani powiedzieć, co robi pani... na Merkurym? Miał trudności z wymówieniem nazwy „Słoneczny Nurek". - Jestem konsultantem, panie Demwa. Zatrudniono mnie do przeprowadzenia testów psychologicznych i parapsychologicznych na załodze i w środowisku Merkurego. - Rozumiem, że miały one coś wspólnego z problemem, o którym wspomniał doktor Kepler?

- Tak. Początkowo sądzono, że te zjawiska są jakimś oszustwem albo zbiorową halucynacją. Obydwie te możliwości wykluczyłam. Obecnie jest pewne, że zjawiska te są rzeczywiste i naprawdę mają miejsce w chromosferze słonecznej. Przez ostatnie miesiące przygotowywałam eksperymenty parapsychologiczne przeprowadzane podczas nurkowań słonecznych. Pracowałam także jako terapeuta kilku członków załogi Słonecznego Nurka; dla wielu ludzi takie badania Słońca stanowią znaczne obciążenie. Martine mówiła jak prawdziwy fachowiec, ale w jej postawie było coś odpychającego. Nonszalancja? Jacob zastanawiał się, co jeszcze łączyło ją z Keplerem. Czy on także był jej pacjentem?

Skoro tak, to czy jestem tutaj tylko po to, żeby zaspokoić kaprys chorego wielkiego człowieka, który ma być w dobrej formie? Ten pomysł nie był zbyt pociągający. Podobnie jak perspektywa wplątania się w politykę.

Bubbakub, szef całej Filii Biblioteki na Ziemi - dlaczego on się angażuje w jakiś skromny ziemski projekt badawczy? Pod pewnymi względami niewielki Pilanin był najważniejszym ET na całej planecie, z wyjątkiem Ambasadora Tymbrymii. W porównaniu z Instytutem Bibliotecznym, największą i najbardziej wpływową ze wszystkich organizacji galaktycznych, Instytut Postępu, dla którego pracował Fagin, wyglądał jak mrówka przy słoniu. A Martine chyba powiedziała nawet, że Bubbakub ma osobiście lecieć na Merkurego. Szef Filii Biblioteki gapił się w sufit, najwyraźniej ignorując rozmowę. Jego usta poruszały się, jakby śpiewał w zakresie niesłyszalnym dla ludzkiego ucha. Błyszczące oczy Kulli wpatrywały się w Bubbakuba. Być może słyszał śpiew, a może i jego rozmowa zdążyła już znudzić.

Kepler, Martine, Bubbakub, Kulla... nigdy bym nie pomyślał, że znajdę się kiedyś w pokoju, gdzie najmniej dziwną istotą jest Fagin!

Właśnie obok rozległ się szelest Kantena. Fagin był najwyraźniej podekscytowany. Jacob zastanawiał się, co też takiego mogło zdarzyć się podczas badań, że obcy jest tak podniecony. - Doktorze Kepler, być może istnieje ewentualność, że znalazłbym czas, aby wam pomóc... być może - Jacob wzruszył ramionami. - Ale na początek dobrze byłoby chyba dowiedzieć się, o co w tym wszystkim chodzi!

Twarz Keplera rozjaśniła się.

- Ach, czyżbym rzeczywiście o tym nie wspomniał? A niech to! Chyba po prostu wolę teraz o tym nie myśleć... raczej, że tak powiem, staram się lawirować wokół tego tematu. Wyprostował się i głęboko zaczerpnął powietrza.

- Panie Demwa, wygląda na to, że na Słońcu straszy.

CZĘŚĆ DRUGA

W czasach prehistorycznych Ziemię odwiedzały nieznane istoty z kosmosu.

Istoty te stworzyły inteligencję ludzką za pomocą celowych mutacji genetycznych.

Przybysze spoza Ziemi uszlachetnili ludzi na swój własny obraz.

Dlatego właśnie to my jesteśmy podobni do nich, nie oni do nas.

Erich von Daniken, Rydwany bogów

Wszystkie najwyższe czynności psychiczne, jak religia, altruizm czy moralność,

są rezultatem ewolucji i posiadają podstawy fizyczne.

Edward O. Wilson, O naturze ludzkiej

4. Obraz wirtualny

Bradbury był nowym statkiem. Jego poprzednikami były jednostki o przeznaczeniu handlowym, ale teraz zastosowano znacznie nowszą technikę, dzięki czemu do startu z poziomu morza wystarczała mu jego własna moc; olbrzymi balon nie musiał unosić go do stacji na szczycie jednej z równikowych „Igieł”. Bradbury był ogromną kulą, wprost gigantyczną jak na wcześniejsze standardy.

Była to pierwsza podróż Jacoba na pokładzie statku poruszanego dzięki miliardoletniej wiedzy Galaktów. Siedząc w salonie pierwszej klasy patrzył, jak Ziemia się oddala, a Baja w Kalifornii staje się najpierw brązowym wybrzuszeniem rozdzielającym dwa morza, a potem ledwie widocznym występem wzdłuż meksykańskiego wybrzeża. Widok zapierał dech w piersi, ale przynosił też

rozczarowanie. Huk i przyspieszenie pasażerskiego odrzutowca albo powolny majestat zeppelina musiały mieć w sobie więcej romantyczności. Kiedy zaś poprzednio kilkakrotnie opuszczał Ziemię, unosząc się i powracając balonem, mógł przyglądać się innym statkom, poruszającym się żwawo w górę, do Stacji Energetycznej, lub w dół ciśnieniowego wnętrza jednej z „Igieł”.

Żadna z dwóch wielkich „Igieł” nie była nudna. Na cienkich ceramitowych ścianach, które utrzymywały w dwudziesto-pięciokilometrowych wieżach ciśnienie takie, jak na poziomie morza, wymalowano gigantyczne freski - ogromne, rzucające się w dół ptaki i kosmiczne bitwy science fiction skopiowane z dwudziestowiecznych magazynów. Nie miało się poczucia klaustrofobii.

Mimo to Jacob był zadowolony, że znajduje się na pokładzie Bradbury’ego. Któregoś dnia nostalgia zaprowadzi go może do Igły Czekoladowej, na szczycie góry Kenia. Ale co do tej drugiej, tej w Ekwadorze, Waniliowej... Jacob miał nadzieję, że nigdy więcej już jej nie zobaczy.

Nieważne, że gigantyczna wieża była ledwie o rzut kamieniem od Caracas. Nieważne, że gdyby kiedyś tam trafił, powitano by go jak bohatera, jak człowieka, który ocalił jedyny cud ludzkiej inżynierii, który robił wrażenie nawet na Galaktach. Za uratownie Igły Jacob Demwa zapłacił życiem żony i pokiereszowaniem własnej psychiki. Cena była zbyt wysoka.

Kiedy Jacob wyszedł na poszukiwanie baru, Ziemia była już tarczą. Nagle nabrał ochoty na towarzystwo. Gdy wchodził na pokład, niczego takiego nie czuł. Przeżył nieprzyjemne chwile, tłumacząc się przed Glorią i innymi w Centrum. Makakai dostała napadu szału. Poza tym wiele zamówionych przez niego materiałów dotyczących heliofizyki nie dotarło na czas, trzeba więc było kazać przesłać je na Merkurego później. No, i cały trząsł się ze złości, kiedy pomyślał, że w ogóle dał się namówić na tę podróż.

Teraz szedł drugim korytarzem ciągnącym się wzdłuż równika statku, aż znalazł zatłoczony, oświetlony przyćmionym światłem bar. Wszedł do środka i zaczął przeciskać się między gromadkami rozmawiających i pijących pasażerów, chcąc dostać się do kontuaru. W barze tłoczyło się około czterdziestu osób; wielu z nich było pracownikami kontraktowymi zatrudnionymi na Merkurym przy pracach specjalistycznych. Kilku z tych, którzy wypili za dużo, rozmawiało głośno z sąsiadami lub po prostu patrzyło tępo w przestrzeń. Niektórym ciężko przychodziło rozstanie z Ziemią. Paru nieziemców odpoczywało na poduszkach w specjalnie dla nich wydzielonym kącie. Jeden z nich, Synthianin o błyszczącym futrze, w grubych okularach słonecznych, siedział naprzeciw Kulli, którego wielka głowa kiwała się w ciszy, podczas gdy Pring popijał wytwornie przez słomkę z czegoś, co wyglądało na butelkę wódki. W pobliżu obcych stało kilku ludzi, typowych ksenofilów, co to czatują na każde słowo podsłuchane z rozmowy ET i wytrwale czekają, aż będą mogli zadawać pytania. Jacob zastanowił się, czy nie prześlizgnąć się przez tłum do rogu ET. Synthianin mógłby być jednym z jego znajomych. W drugim końcu sali było jednak zbyt tłoczno. Postanowił więc zamówić jeszcze jednego drinka i czekać, aż pojawi się jakiś gawędziarz. Wkrótce przyłączył się do grupy słuchającej inżyniera górniczego, który opowiadał przyjemnie wyolbrzymioną historię o wypadkach implozji i wyprawach ratowniczych w głębokich kopalniach Merkurego. Jacob musiał natężać słuch w otaczającym go gwarze, ale mimo to czuł, że na razie może lekceważyć zbliżający się ból głowy. W każdym razie na tyle długo, by wysłuchać historii do końca.

Nagłe dźgnięcie palcem w żebra sprawiło, że podskoczył. - Demwa! To pan! - zawołał Pierre

LaRoque. - Jakie to szczęście! Skoro podróżujemy razem, to mogę mieć pewność, że zawsze znajdzie się ktoś do inteligentnej pogawędki. LaRoque miał na sobie błyszczącą, luźną tunikę. Z powagą palił fajkę. Jacob spróbował się uśmiechnąć, ale ponieważ z tyłu ktoś właśnie nastąpił mu na piętę, wyszło z tego raczej zgrzytnięcie zębami.

- Witam pana, LaRoque. Czemu to leci pan na Merkurego? Pańscy czytelnicy byliby chyba bardziej zainteresowani opowieściami o peruwiańskich wykopaliskach albo... - Albo innymi wstrząsającymi dowodami na to, że naszym prymitywnym przodkom dopomogli starożytni kosmonauci? - LaRoque wszedł mu w słowo. - Tak, panie Demwa, podobne dowody będą już wkrótce tak oczywiste, że nawet Skórzani i sceptycy z Rady Konfederacji dostrzegą błędność swoich przekonań!

- Widzę, że pan sam nosi Koszulę - Jacob wskazał na srebrzystą tunikę LaRoque'a. - Wkładam szatę Towarzystwa Danikenistycznego, kiedy opuszczam Ziemię, aby uczcić Starszych, dzięki którym mogliśmy wyruszyć w kosmos. - LaRoque przełożył szklankę i fajkę do jednej ręki, drugą zaś ujął złoty medalion, który miał zawieszony na łańcuszku na szyi.

Jacob pomyślał, że jak na dorosłego człowieka efekt jest nieco zbyt teatralny. Tunika i biżuteria sprawiały wrażenie zniewieściałości, co kontrastowało z gburowatymi manierami Francuza. Trzeba jednak przyznać, że ten sposób bycia pasował dobrze do skandalicznie afektowanego akcentu.

- Niech pan da spokój - uśmiechnął się Jacob. - Nawet pan musi przyznać, że loty kosmiczne zawdzięczamy tylko sobie samym, poza tym to my odkryliśmy nieziemców, a nie oni nas.

- Niczego nie muszę przyznawać - odparł LaRoque zapalczywie. - Musimy udowodnić, że jesteśmy godni opiekunów, którzy w zamierzchłej przeszłości obdarzyli nas inteligencją, a wówczas oni nagrodzą nas i wtedy dopiero dowiemy się, jak bardzo pomogli nam potajemnie w tamtych czasach!

Jacob wzruszył ramionami. Spór między Skórami i Koszulami nie był niczym nowym. Jedna strona twierdziła, że człowiek powinien być dumny ze swojego wyjątkowego dziedzictwa rasy, która rozwinęła się bez żadnej pomocy, a inteligencję zdobywaną na sawannach i wybrzeżach wschodniej Afryki zawdzięcza samej tylko Naturze. Druga strona utrzymywała, że homo sapiens, podobnie jak każda inna znana rasa sofontów, był ogniwem łańcucha wspomagania genetycznego i cywilizacyjnego, który sięgał wstecz do legendarnych początków Galaktyki, do czasów Przodków.

Wiele ludzi, w tym także Jacob, z rozmysłem nie zajmowało żadnego stanowiska w tym konflikcie, ale ludzkość, a także jej rasy podopieczne, z zainteresowaniem oczekiwały na rozwiązanie. Od czasów Kontaktu archeologia i paleontologia stały się powszechną pasją. Argumenty LaRoque'a były jednak tyle razy odgrzewane, że zupełnie straciły wszelki smak. A ból głowy dokuczał Jacobowi coraz bardziej.

- To bardzo interesujące, panie LaRoque - powiedział, powoli się wycofując. - Wie pan co, może porozmawiamy o tym innym razem...

Ale Francuz jeszcze nie skończył.

- Kosmos, proszę pana, pełen jest neandertalskich sentymentów. Ludzie na naszych statkach woleliby

nosić zwierzęce skóry i chrząkać jak małpy! Są obrażeni na Starszych i chętnie upokarzają tych, którzy są wrażliwi i kierują się pokorą! Przedstawiając swoje poglądy, LaRoque szturchał jednocześnie swojego rozmówcę cybuchem fajki. Jacob cofał się, usiłując być grzeczny, ale stawało się to coraz trudniejsze. - No nie, teraz posunął się pan chyba trochę za daleko. To znaczy, mówi pan w końcu o kosmonautach. Wie pan przecież, że podstawowym kryterium przy ich wyborze jest rozwaga emocjonalna i polityczna...

- Aha! Pan chyba nie ma pojęcia, o czym pan mówi. Żartuje pan, prawda? Wiem to i owo o rozwadze politycznej i emocjonalnej kosmonautów! Kiedyś panu o tym opowiem - ciągnął LaRoque. - Któregoś dnia cała ta historia wyjdzie na jaw. Społeczeństwo dowie się wszystkiego o planie Konfederacji odizolowania dużej części ludzkości od starszych ras i od ich kosmicznego dziedzictwa. Ci wszyscy biedni „niepewni"! Wtedy będzie już za późno, żeby zatrzymać lawinę! - Wypuścił kłąb niebieskiego dymu w stronę Jacoba, którego ogarnęła nagle fala zawrotów głowy.

- Taa, panie LaRoque, wszystko się zgadza. Musi pan mi kiedyś o tym opowiedzieć.

Odwrócił się, żeby odejść.

LaRoque zmierzył Jacoba nieprzychylnym spojrzeniem, a potem uśmiechnął się i klepnął go w ramię, gdy ten przeciskał się już do drzwi.

- Owszem - powiedział. - Wszystko panu opowiem. Tymczasem jednak powinien się pan położyć. Nie wygląda pan zbyt dobrze! Do zobaczenia! - Jeszcze raz poklepał go po plecach i powrócił do miejsca przy barze.

Jacob doszedł do najbliższego świetlika i oparł głowę o przezroczystą taflę. Jej chłód pomógł uspokoić tętnienie w skroniach. Kiedy otworzył oczy i wyjrzał, Ziemi nie było widać, zobaczył tylko ogromną przestrzeń usianą nieruchomymi gwiazdami, błyszczącymi w ciemności. Te jaśniejsze otoczone były promieniami dyfrakcyjnymi, które mógł wydłużać lub skracać, mrużąc oczy. Jeśli nie liczyć jasności, widok był taki sam jak nocą na ziemskiej pustyni. Tutaj gwiazdy nie mrugały, ale były to te same gwiazdy. Jacob wiedział, że powinien czuć coś więcej. Gwiazdy oglądane z kosmosu powinny być bardziej tajemnicze, bardziej... „filozoficzne". Jednym z najtrwalszych wspomnień z wieku młodzieńczego był niesamowity huk rozgwieżdżonego nieba. Nie miało to nic wspólnego z tym oceanicznym wrażeniem, jakie teraz dawała mu hipnoza. Tamto przypominało raczej na wpół zapomniane sny z innego życia.

W sali głównej znalazł doktora Keplera, Bubbakuba i Fagina. Kepler poprosił, by się do nich dołączył.

Rozsiedli się wokół sterty poduszek w pobliżu świetlików widokowych. Bubbakub miał ze sobą filiżankę czegoś, co wyglądało na truciznę i zalatywało trującym zapachem. Fagin kroczył powoli, obracając się na swych korzenio-nogach. Nie miał ze sobą niczego. Rząd świetlików, biegnący wzdłuż zakrzywionego obwodu statku, przerwany był w salonie przez wielką okrągłą tarczę, podobną do gigantycznego kolistego okna, sięgającego od podłogi do sufitu. Jego płaska powierzchnia wystawała ze ściany na około trzydziestu centymetrów. Cokolwiek znajdowało się w środku, skryte było za ściśle dopasowaną płytą. - Cieszymy się, że pan się zdecydował - szczeknął Bubbakub przez

swój brzmieniacz. Wypowiedziawszy tę uwagę, rozparł się na jednej z poduszek, zanurzył ryjek w filiżance, którą ze sobą przyniósł, i przestał zwracać uwagę na Jacoba i pozostałych. Jacoba zainteresowało, czy Pilanin próbował być towarzyski, czy też wypływało to z jego wrodzonego uroku.

Myślał o Bubbakubie „on", choć nie miał pojęcia, jaka jest jego rzeczywista płeć. Dyrektor Filii Biblioteki nie miał na sobie żadnych ubrań z wyjątkiem brzmieniacza i małego woreczka, ale mimo to szczegóły anatomiczne, które Jacob mógł dojrzeć, gmatwały tylko tę kwestię. Wiedział na przykład, że Pilanie są jajorodni i swoich młodych nie karmią piersią. Tymczasem od gardła do krocza Bubbakuba ciągnął się, niby guziki od koszuli, rząd czegoś, co wyglądało jak sutki. Jacob nie próbował nawet zgadywać ich przeznaczenia. Sieć Informacyjna nic o tym nie wspominała, zamówił więc pełniejszą informację z Biblioteki. Fagin i Kepler rozmawiali o historii okrętów słonecznych. Głos Fagina był stłumiony, gdyż jego górne liście i otwór oddechowy zamiatały dźwiękochłonne płyty sufitu. (Jacob miał nadzieję, że Kanten nie miał skłonności do klaustrofobii. W końcu czego miałyby obawiać się mówiące warzywa? Co najwyżej schrupania. Zastanawiał się też na obyczajami seksualnymi rasy, której miłość fizyczna wymagała pośrednictwa specjalnego gatunku oswojonych trzmieli).

- Potem te wspaniałe improwizacje - mówił Fagin - pozwoliły wam na wyniesienie przyrządów aż do samej fotosfery. I to bez najmniejszej nawet pomocy z zewnątrz! To robi ogromne wrażenie. Sam się sobie dziwię, że przez tyle lat mojego pobytu na Ziemi nie wiedziałem nic o tej cudownej przygodzie z czasów sprzed Kontaktu! Kepler promieniał.

- Musi pan wiedzieć, że wykorzystanie batysfery to zaledwie... początek, ja zająłem się tym znacznie później. Kiedy przed Kontaktem opracowano napęd laserowy dla pojazdów międzygwiezdnych, można było zrzucać statki sterowane automatycznie. Potrafiły same się unosić, a dzięki zastosowaniu termodynamiki laserów o wysokiej temperaturze mogły także wydalać nadmiar ciepła, chłodząc przy tym wnętrze próbnika. - Byliście więc tylko o krok od wysłania ludzi!

Kepler uśmiechnął się smutno.

- No cóż, może i tak. Były takie plany. Żeby wysłać na Słońce i z powrotem żywe istoty, trzeba uporać się nie tylko z ciepłem i grawitacją. Najpoważniejszą przeszkodą były turbulencje. Wspaniale byłoby przekonać się, czy mimo wszystko potrafilibyśmy rozwiązać ten problem. - Przez moment oczy Keplera zapłonęły blaskiem. - Były takie plany. Ale wtedy Vesarius natrafił w konstelacji Łabędzia na statki tymbrymskie - włączył się Jacob.

- Tak. Nigdy więc się tego nie dowiemy. Plany opracowywano, kiedy byłem małym dzieckiem. Teraz są już beznadziejnie przestarzałe. Pewnie zresztą tak jest też dobrze... Nie uniknęłoby się strat, nawet śmierci, gdybyśmy próbowali robić to bez stazy... Kluczem do Słonecznego Nurka jest kontrola przepływu czasu, a na wyniki z pewnością nie mogę się skarżyć.

Wyraz twarzy uczonego nagle spochmurniał.

- To znaczy, nie mogłem aż do teraz.

Kepler zamilkł i wpatrywał się w dywan. Jacob przyglądał mu się przez chwilę, a potem zakrył usta i zakaszlał.

- Skoro o tym rozmawiamy, to zauważyłem, że w Sieci Informacyjnej nie ma żadnej wzmianki o Słonecznych Duchach, nie znalazłem nic nawet w specjalnie zamówionym materiale z Biblioteki... a mam pozwolenie 1-AB. Myślałem, że może zechce pan udostępnić mi kilka swoich raportów dotyczących tego tematu. Mógłbym je przestudiować w czasie podróży.

Wzrok Keplera nerwowo uciekał przed Jacobem.

- Nie byliśmy jeszcze dostatecznie przygotowani do tego, żeby dane mogły wydostać się poza Merkurego, panie Demwa. Są pewne względy... polityczne związane z tym odkryciem, które, hm, opóźnią pańską lekturę aż do czasu, gdy znajdziemy się w bazie. Mam nadzieję, że tam znajdzie pan odpowiedź na wszystkie swoje pytania. Wydawał się tak szczerze zawstydzony, że Jacob postanowił na razie nie wracać do tego tematu. Nie był to jednak dobry znak.

- Pozwolę sobie dodać jedną informację, Jacobie - powiedział Fagin. - Po naszym spotkaniu odbyło się jeszcze jedno nurkowanie i poinformowano nas, że zaobserwowano podczas niego tylko pierwszy i bardziej prozaiczny gatunek Solariowców. Nie napotkano drugiej odmiany, tej, która przysporzyła tyle trosk doktorowi Keplerowi. Jacob był ciągle jeszcze zdumiony pospiesznymi wyjaśnieniami, których wcześniej udzielił mu doktor Kepler, a które dotyczyły dwóch rodzajów stworzeń słonecznych zauważonych do tej pory.

- Rozumiem zatem, że to ten pierwszy typ jest trawożerny? - Nie trawożerny! - wtrącił Kepler. - Magnetożerny. Karmi się energią pola magnetycznego. Ten gatunek poznajemy zresztą coraz lepiej, chociaż... - Przerywam! Mając płonną nadzieję na wybaczenie mojej ingerencji, nalegam na dyskrecję. Zbliża się obca osoba. - Górne gałęzie Fagina otarły się z szelestem o sufit. Jacob odwrócił się, żeby spojrzeć na wejście, wstrząśnięty, że coś mogło zmusić Fagina do przerwania komuś w pół zdania. Ponuro skonstatował, że jest to jeszcze jeden znak świadczący o tym, iż wdepnął w sytuację politycznie napiętą i ciągle nie ma pojęcia, o co w niej chodzi Niczego nie słyszę - pomyślał, i wtedy w drzwiach stanął Pierre LaRoque z drinkiem w garści; jego jak zwykle rumianą twarz pokrywały jeszcze dodatkowe wypieki. Uśmiech dziennikarza poszerzył się, kiedy dostrzegł Fagina i Bubbakuba. Wszedł i klepnął Jacoba jowialnie po plecach, domagając się, by ten natychmiast go przedstawił. Jacob pohamował wzruszenie ramion.

Powoli dokonywał prezentacji. Przejęty LaRoque głęboko ukłonił się Bubbakubowi.

- Ab-Kisa-ab-Soro-ab-Hul-ab-Puber! I dwie rasy podopieczne, jakie to były, Demwa? Jello i coś jeszcze? To dla mnie zaszczyt poznać osobiście sofonta z linii Soran! Studiowałem mowę pańskiego rodu, który być może pewnego dnia okaże się i naszym! Język Soran jest przecież tak bardzo podobny to prasemickiego i pra-Bantu! Rzęsy nad oczami Bubbakuba nastroszyły się. Z brzmieniacza Pilanina dobiegły dźwięki skomplikowanej, aliteracyjnej, niezrozumiałej mowy. Potem szczęki obcego kłapnęły szybko kilka razy i rozległ się wysoki skowyt, częściowo wzmocniony jeszcze przez brzmieniacz. Stojący za Jacobem Fagin odpowiedział w języku złożonym z mlaśnięć i terkotów. Bubbakub spojrzał na niego rozpalonym wzrokiem i znów wydał z siebie gardłowy ryk, wymachując gwałtownie serdelkowatym ramieniem w kierunku LaRoque’a. Od wibrującej odpowiedzi Kantena

Jacobowi przeszedł po plecach lodowaty dreszcz. Bubbakub obrócił się i nie odezwawszy się słowem do ludzi, głośno tupiąc wyszedł z pokoju.

LaRoque zaniemówił z osłupienia, a potem spojrzał niepewnie na Jacoba.

- Przepraszam bardzo, co ja takiego zrobiłem?

Jacob westchnął.

- Może nie podobało mu się, że nazwał go pan kuzynem, panie LaRoque. Zwrócił się z kolei do Keplera, żeby zmienić temat. Uczony gapił się na drzwi, którymi wyszedł Bubbakub.

- Doktorze Kepler, skoro nie ma pan przy sobie żadnych konkretnych danych, to może zechciałby pan pożyczyć mi jakieś podstawowe pozycje z heliofizyki i trochę materiałów historycznych dotyczących samego Słonecznego Nurka? - Z największą przyjemnością, panie Demwa - Kepler skinął głową. - Prześlę je panu przed kolacją.

Myślami wydawał się być gdzie indziej.

- Mnie też! - wrzasnął LaRoque. - Jestem akredytowanym dziennikarzem i domagam się materiałów dotyczących pańskich niecnych poczynań!

Po chwilowym zdumieniu Jacob wzruszył ramionami. Trzeba przyznać, że LaRoque do tej pory nieźle się maskował. Jego bezczelny tupet można było łatwo wziąć za siłę charakteru. Kepler uśmiechnął się, jak gdyby nie dosłyszał.

- Słucham pana?

- Cóż za niebotyczna zarozumiałość! Ten pański Projekt „Słoneczny Nurek” pochłania góry pieniędzy, które mogłyby pójść na meliorację ziemskich pustyń albo na większą Bibliotekę dla naszej planety! Cóż to za próżność badać to, co lepsi od nas doskonale rozumieli, jeszcze zanim staliśmy się małpami!

- Proszę mnie posłuchać. Konfederacja finansuje te poszukiwania... - Kepler poczerwieniał.

- Poszukiwania! Raczej oszukiwania! Szukacie tego, co już dawno jest w Bibliotekach Galaktyki i kompromitujecie nas wszystkich, robiąc z ludzkości głupców! - Panie LaRoque... - zaczął Jacob, ale Francuz nie chciał się zamknąć. - A ta pańska Konfederacja! Upychają Starszych w rezerwatach, jak Indian z Ameryki w dawnych czasach! Odmawiają społeczeństwu dostępu do Filii Biblioteki! Pozwalają trwać temu absurdowi, przez który wszyscy się z nas śmieją, temu twierdzeniu o samorodnej inteligencji!

Kepler cofał się przed zapalczywością LaRoque’a. Pobladł i zaczął się jąkać.

- Ja... ja myślę, że nie...

- LaRoque! Niech pan da temu spokój! - Jacob złapał Francuza za ramię i przyciągnął go do siebie,

po czym wyszeptał mu stanowczo do ucha: - Daj spokój, człowieku, nie chcesz chyba kompromitować nas przed czcigodnym Kantenem Faginem, co? Oczy LaRoque rozszerzyły się. Ponad ramieniem Jacoba widział, jak górne liście zaniepokojonego Fagina szumią donośnie. W końcu spuścił wzrok. Drugiego afrontu nie mógł już znieść. Wymamrotał przeprosiny dla obcego i odszedł, rzucając Keplerowi pożegnalne spojrzenie.

- Dzięki za efekty specjalne, Fagin - odezwał się Jacob, kiedy LaRoque już poszedł.

Odpowiedział mu krótki i niski gwizd.

5. Refrakcja

Odległe o czterdzieści milionów kilometrów Słońce było czeluścią piekieł. Wrzało wśród czarnego kosmosu, w niczym nie przypominając świecącej plamki, którą dzieci na Ziemi przyjmowały jako oczywistość, i od której bez trudu odruchowo odwracały oczy. Tutaj jego przyciąganie było znacznie silniejsze. Czuło się przemożną potrzebę patrzenia w jego stronę, choć było to niebezpieczne.

Słońce oglądane z Bradbury’ego miało wielkość pięciocentówki trzymanej w odległości trzydziestu centymetrów przed oczyma. Światło było zbyt jasne, by można je było znieść bez przesłony. Uchwycenie zarysu tarczy, jak to czasami robi się na Ziemi, tutaj mogłoby przyprawić o ślepotę. Kapitan nakazał spolaryzowanie ekranów stazowych statku i zakrycie normalnych świetlików widokowych.

W salonie odsłonięte było okno Lyota, aby pasażerowie mogli bez szkody przyglądać się Dawcy Życia.

Jacob zatrzymał się przed nim podczas nocnej pielgrzymki do automatu z kawą, na wpół obudzony z niespokojnego snu w małej kabinie. Tępo wpatrywał się w okrągły otwór przez kilka minut, ciągle jeszcze nie całkiem przytomny, aż dobudził go sepleniący głos:

- Tak właśnie wygląda wasze szłończe z aphelium Merkurego. W słabo oświetlonym salonie przy jednym ze stolików do kart siedział Kulla. Tuż za obcym, ponad rzędem automatów z napojami, zegar na ścianie pokazywał jarzące się cyfry „04:30”.

Zaspany głos Jacoba z trudem przeciskał się przez gardło:

- Teraz... eee... jesteśmy już tak blisko?

- Jeszteśmy - potwierdził Kulla.

Jego trzonowce były schowane. Za każdym razem, gdy próbował wymówić „s”, duże, zwinięte wargi ściągały się i wydobywał się spomiędzy nich gwizd. W przyćmionym świetle jego oczy jaśniały czerwonym blaskiem wpadającym przez okno widokowe. - Do końca podróży zostały już tylko dwa

dni - powiedział obcy. Ręce trzymał skrzyżowane na stole przed sobą. Luźne fałdy rękawów jego srebrnej tuniki przykrywały połowę blatu.

Jacob odwrócił się, by znów spojrzeć przez iluminator i zachwiał się przy tym lekko.

Tarcza słońca zamigotała mu przed oczyma.

- Dobrze się czujesz? - z niepokojem zapytał Pring i zaczął się już nawet podnosić.

- Nie, proszę, nie - Jacob powstrzymał go unosząc rękę.

Mam po prostu miękkie nogi. Trochę mało spałem. Kawa dobrze mi zrobi. Powlókł się do automatów, ale w połowie drogi przystanął, odwrócił się i jeszcze raz popatrzył na obraz słonecznego paleniska.

- Ono jest czerwone! - mruknął zdumiony.

- Czy chczesz, żebym wytłumaczył, dlaczego tak jeszt? - spytał Kulla.

- Proszę.

Jacob spojrzał na pogrążony w ciemności rząd automatów z napojami i jedzeniem, szukając maszyny do kawy.

- Okno Lyota przepuszcza do wnętrza tylko światło w posztaci monochromatycznej - zaczął Kulla. - Wykonane jeszt z wielu okrągłych płytek, niektóre z nich polaryzują światło, inne opóźniają je. Obraczają się one względem siebie i osztatecznie dosztrajają się do fali, która jeszt wpuszczana do środka. Jeszt to niezmiernie preczyzyjne i pomyszłowe urządzenie, choć według sztandardów galaktycznych zupełnie przesztarzałe... jak szwajczarszkie zegarki noszone jeszcze przez niektórych ludzi w epocze elektronicznej. Kiedy wasze szpołeczeńsztwo zacznie w pełni korzysztać z Biblioteki, wówczasz ten... Patek przejdzie do hisztorii.

Jacob pochylił się, żeby przyjrzeć się najbliższemu automatowi. Wyglądał jak maszyna do kawy. Miał z przodu przezroczystą płytkę, za którą znajdowała się mała podstawka z metalową kratką na wierzchu. Jeśli teraz nacisnąłby prawy guzik, na podstawkę powinien spaść jednorazowy kubek, a potem jakaś rurka nalałaby strumień gorzkiego czarnego napoju. Jacob słyszał sączący się powoli, głęboki głos Kulli i co jakiś czas wydawał z siebie potakujące dźwięki: - aha, tak, no, no.

Na lewo od przycisków paliła się zielona lampka. Nacisnął ją mimowolnie.

Mętnym wzrokiem przyglądał się maszynie. Już! Coś zabrzęczało i stuknęło! Oto kubek!

Ale zaraz... co u licha?

Do kubka wpadła duża, żółtozielona pigułka.

Jacob podniósł klapkę i wziął kubek. Sekundę później w miejsce, gdzie stał kubeczek, trafiła struga

gorącej cieczy i zaraz zniknęła w kratce poniżej. Niepewnie spojrzał na pigułkę. Cokolwiek to było, nie wyglądało jak kawa. Przetarł oczy wierzchem dłoni. Potem rzucił oskarżycielskie spojrzenie na guzik, który przycisnął. Guzik miał napis. Brzmiał on „Synteza żywnościowa ET”. Niżej, pod napisem, ze szczeliny wysunęła się karta komputerowa. Wzdłuż wystającego brzegu wydrukowane było:

„Pring: Uzupełnienie dietetyczne - Kompleks białkowy kumaryny”. Jacob rzucił szybkie spojrzenie na Kullę. Obcy ciągnął swoje wyjaśnienia, stojąc przed oknem Lyota. Dla podkreślenia argumentów wymachiwał jedną ręką w kierunku dantejskiego blasku.

- Teraz widać czerwoną linię wodoru alfa - mówił. - Bardzo pożyteczna linia szpektralna. Zamiaszt tonąć w powodzi przypadkowego światła ze wszysztkich poziomów Szłończa, możemy patrzeć tylko na te regiony, gdzie atomy wodoru abszorbują lub emitują więczej niż normalnie... - Kulla wskazał nakrapianą powierzchnię Słońca. Pokrywały ją ciemnoczerwone cętki i pierzaste łuki.

Jacob czytał o nich. Te łuki to włókna. Widziano je na tle kosmosu w kręgu świetlnym Słońca, od kiedy po raz pierwszy do obserwacji zaćmienia użyto teleskopu. Kulla najwyraźniej objaśniał, dzięki czemu widać je na tarczy słonecznej. Jacob zastanowił się. Przez całą podróż z Ziemi Pring unikał jadania posiłków z innymi. Co najwyżej sączył czasami wódkę lub piwo przez słomkę. Chociaż obcy nie podał żadnych wyjaśnień, Jacob mógł przypuszczać, że w kulturze Pringów istniał zakaz jedzenia w miejscach publicznych.

A poza tym - pomyślał - z takimi kafarami w gębie mógłby narobić niezłego bałaganu. Najwyraźniej wpakowałem się tutaj podczas jego śniadania, a Kulla jest zbyt grzeczny, żeby o tym napomknąć.

Spojrzał na tabletkę ciągle leżącą na dnie kubka, który trzymał w dłoni.

Wrzucił ją do kieszeni marynarki, a zgnieciony kubek cisnął do kosza na śmieci.

Teraz dopiero dostrzegł przycisk z napisem „Czarna kawa”. Uśmiechnął się ponuro. Może lepiej byłoby darować sobie kawę i nie narażać się na ryzyko obrażenia Kulli. ET wprawdzie nie zaprotestował, gdy Jacob podszedł do automatów z jedzeniem i piciem, ale przecież odwrócił się do niego tyłem.

Kulla podniósł wzrok, kiedy Jacob podszedł bliżej. Otworzył nieco usta i przez chwilę można było dostrzec błysk białej porcelany.

- Czy teraz nogi masz... mniej miękkie? - spytał troskliwie. - Tak, teraz jeszt, tfu, jest lepiej. Dziękuję... Dziękuję także za wyjaśnienia. Zawsze wydawało mi się, że Słońce jest raczej gładkie... oprócz plam i wzniesień. Myślę jednak, że w istocie jest bardzo skomplikowane.

Kulla skinął głową.

- Doktor Kepler jeszt szpezjaliszta. On udzieli ci lepszych wyjaśnień, kiedy wyruszysz z nami na nurkowanie.

Jacob uśmiechnął się uprzejmie. Ależ skrupulatnie szkolono wysłanników Galaktów! Czy skinięcie głową rzeczywiście coś dla Kulli znaczyło? Czy też było to coś, co nauczono go robić w określonej sytuacji pośród ludzi?

Nurkowanie?

Uznał, że nie należy prosić Kulli o powtórzenie tej uwagi.

Lepiej nie kusić losu - pomyślał.

Zaczął ziewać, akurat w porę, by przypomnieć sobie, że należy zakryć usta ręką. Strach pomyśleć, co podobny gest mógł oznaczać na ojczystej planecie Pringa! - Chyba wrócę do pokoju i spróbuję się jeszcze trochę się przespać. Dzięki za rozmowę.

- Doprawdy nie ma za czo, Jacob. Dobranocz.

Powłócząc nogami ruszył korytarzem i ledwie upadł na łóżko, już spał jak zabity.

6. Retardacja i dyfrakcja

Przez iluminatory wlewało się miękkie, perłowe światło i oświetlało twarze tych, którzy oglądali powierzchnię Merkurego przesuwającą się pod zniżającym lot statkiem. Prawie wszyscy, którzy nie mieli akurat żadnych obowiązków, zebrali się w salonie, przyciągnięci do rzędu okien widokowych przez groźne piękno planety. Głosy przycichły, a rozmowy przeniosły się do małych grupek zebranych wokół świetlików. Jedynym donośniejszym odgłosem był słaby, trzaskający dźwięk, którego Jacob nie mógł zidentyfikować.

Powierzchnia planety była zryta kraterami i pocięta długimi rowami. Cienie rzucane przez merkuriańskie góry były czarne jak kosmos i niezwykle ostre na tle jasnych brązów i srebrzystości. Pod wieloma względami widok przypominał ziemski Księżyc. Były też różnice. W jednym miejscu jakiś starożytny kataklizm wyrwał cały obszar gruntu. Po tej stronie Merkurego, która zwrócona była do Słońca, blizna składała się z siatki głębokich bruzd. Dokładnie wzdłuż krawędzi wyrwy biegł terminator, wyraźna granica dzieląca dzień od nocy.

W dole, tam gdzie nie sięgał cień, padał nieustannie ognisty deszcz siedmiu różnych płomieni. Protony i promienie rentgenowskie oderwane od magnetosfery wraz ze zwyczajnym, oślepiającym blaskiem Słońca, zmieszanym jeszcze z innymi zabójczymi składnikami, sprawiały, że powierzchnia Merkurego skrajnie różniła się od księżycowej. Wyglądało to na miejsce, gdzie można napotkać duchy. Przypominało czyściec. Jacob przypomniał sobie fragment starożytnego, wcześniejszego niż Haiku wiersza japońskiego, który czytał zaledwie miesiąc wcześniej:

Najwięcej posępnych myśli przybywa

Wraz z wieczorem. Wtedy zjawia się

Także twoja złudna postać

I mówi do mnie tak, jak ty mówiłaś.

- Czy pan coś powiedział?

Jacob otrząsnął się z płytkiego odrętwienia i ujrzał Dwayne'a Keplera, który stał obok niego.

- Nie, nic takiego. Oto pańska marynarka.

Wręczył ją Keplerowi, który uśmiechnął się w podziękowaniu.

- Przepraszam, ale fizjologia odzywa się w najmniej spodziewanych momentach. Prawdziwi kosmiczni wędrowcy też muszą chodzić do łazienki. A Bubbakub nie potrafi chyba oprzeć się temu materiałowi. Za każdym razem, gdy ją zdejmuję, żeby coś zrobić, przychodzę potem, a on śpi na niej. Po powrocie na Ziemię będę musiał mu taką kupić. Ale o czym to rozmawialiśmy, zanim wyszedłem?

Jacob wskazał na powierzchnię poniżej.

- Zastanawiałem się... Teraz już rozumiem, dlaczego kosmonauci nazywają Księżyc „przedszkolem". Tutaj z pewnością trzeba bardziej uważać. Kepler pokiwał głową.

- Tak, ale to bez porównania lepsze niż posady w domu, przy jakichś głupich „programach prac publicznych"! - Kepler urwał, jak gdyby miał na końcu języka coś zjadliwego. Wzburzenie jednak wyparowało, tak że mógł ciągnąć dalej. Odwrócił się do iluminatora i wskazał panoramę pod nimi.

- Dawni obserwatorzy, Antoniodi i Schiaparelli, nazwali tę okolicę Charit Regio. Ten ogromny starożytny krater tam dalej to Goethe - pokazał obwarzanek ciemnej materii na jasnej równinie. - Leży bardzo blisko Bieguna Północnego, trochę niżej jest sieć jaskiń, dzięki której istnieje Baza Merkuriańska.

Kepler reprezentował teraz idealny wizerunek dostojnego i uczonego dżentelmena, może tylko oprócz tych momentów, kiedy jeden lub drugi koniec jego długich płowych wąsów wchodził mu do ust. Zdenerwowanie fizyka zdawało się ustępować w miarę zbliżania się do Merkurego i bazy Słonecznego Nurka, gdzie był szefem. Podczas podróży zdarzało się bowiem, zwłaszcza gdy rozmowa schodziła na wspomaganie albo na Bibliotekę, że przybierał on minę człowieka, który ma mnóstwo do powiedzenia i nijak nie może tego zrobić. Wyglądał wtedy na podenerwowanego i zakłopotanego, jakby bał się wyrazić swoje poglądy.

Po zastanowieniu Jacob uznał, że częściowo zna przyczynę tego. Chociaż dowódca Słonecznego Nurka nie powiedział wprost nic takiego, co mogłoby go zdradzić, Jacob był przekonany, iż Dwayne Kepler jest człowiekiem religijnym. Pośród sporów Skór z Koszulami i problemów Kontaktu z nieziemcami, zorganizowana religia rozpadła się w proch.

Danikeniści głosili wiarę w jakąś wielką (ale nie wszechmocną) rasę istot, które przyczyniły się do

rozwoju człowieka i mogły zrobić to znowu. Zwolennicy Etyki Neolitycznej nauczali, że nie sposób zaprzeczyć istnieniu „ducha ludzkości”. Samo zaś istnienie tysięcy podróżujących w kosmosie ras, z których tylko niewiele wyznawało coś, co byłoby podobne do starych ziemskich doktryn religijnych, zadało dotkliwy cios koncepcji wszechpotężnego i antropomorficznego Boga. Większość oficjalnych wyznań albo stanęła po którejś stronie w konflikcie między Skórami i Koszulami, albo przekształciła się w filozoficzny teizm. Legiony wiernych przeszły pod inne sztandary, ci zaś, którzy tego nie uczynili, siedzieli cicho pośród całego zgiełku. Jacob zastanawiał się często, czy czekali na Znak.

Jeśli Kepler był wierzący, to jego ostrożność dałaby się w części wytłumaczyć. Bezrobocie wśród naukowców było przecież spore. Nie chciałby narażać się na to, że zyska sobie opinię fanatyka, a jego nazwisko dołączone zostanie do listy bezrobotnych. Jacob uważał, że to wstyd tak myśleć. Warto byłoby przecież wysłuchać jego poglądów.

Szanował jednak prawo Keplera do prywatności w tej sferze. Zawodową ciekawość Jacoba budził udział, jaki w problemach psychicznych Keplera mogło mieć odosobnienie. W umyśle tego człowieka kryło się coś więcej niż dylematy filozoficzne, coś, co czasami osłabiało jego skuteczność jako przywódcy i jego wiarę w siebie jako uczonego.

Martine, psycholog, przebywała często z Keplerem, przypominając mu regularnie, by zażywał leki z fiolek wypełnionych rozmaitymi pigułkami w różnych kolorach, które nosił po kieszeniach.

Jacob czuł, jak powracają stare nawyki, nie stępione przez ostatnie spokojne miesiące w Centrum Wspomagania. Pragnął dowiedzieć się, co to za pigułki, prawie tak bardzo, jak chciał wiedzieć, czym Mildred Martine zajmowała się naprawdę na Słonecznym Nurku. Martine ciągle stanowiła dla niego zagadkę. W żadnej z rozmów, jakie przeprowadzili na pokładzie statku, nie udało mu się przebić przez jej przeklętą przyjacielską obojętność. Jej przychylność w stosunku do Jacoba była równie wyraźna, jak przesadne zaufanie, jakim darzył go Kepler. Myślami mulatka i tak była gdzie indziej. Martine i LaRoque prawie nie wyglądali przez swój świetlik. Psycholog opowiadała zamiast tego o swoich badaniach nad wpływem barwy i jasności na zachowania neurotyczne. Jacob słyszał już o tym na spotkaniu w Ensenadzie. Jedną z pierwszych rzeczy, jakie zrobiła Martine po przyłączeniu się do Słonecznego Nurka, było sprowadzenie środowiskowych czynników psychogennych do minimum, na wypadek gdyby „zjawiska” okazały się złudzeniem wywołanym przez stres.

Jej przyjaźń z LaRoque’em rosła przez całą podróż, w miarę jak w skupieniu wysłuchiwała jednej po drugiej jego sprzecznych ze sobą opowieści o zaginionych cywilizacjach i starożytnych przybyszach z kosmosu. Dziennikarz reagował na jej zainteresowanie elokwencją, z której słynął. Kilka razy ich prywatne rozmowy w salonie przyciągnęły tłumy. Jacob też przysłuchiwał się im raz czy dwa. LaRoque, jeśli tylko chciał, potrafił naprawdę porwać słuchaczy.

Mimo to Jacob czuł się bardziej skrępowany w obecności tego człowieka niż w obecności kogokolwiek z pozostałych pasażerów. Przedkładał towarzystwo osób bardziej bezpośrednich, takich jak Kulla. Polubił nawet obcego. Pomimo ogromnych oczu i niewiarygodnych organów dentystycznych gusta Pringa w wielu sprawach podobne były do jego własnych.

Kulla zadawał mnóstwo zaskakujących pytań na temat Ziemi i jej mieszkańców, zwłaszcza zaś tego,

w jaki sposób ludzie traktowali swoje rasy podopieczne. Kiedy dowiedział się, że Jacob brał udział w programie doprowadzania do pełnej rozumności szympansów, delfinów, a ostatnio także psów i goryli, zaczął odnosić się do niego z jeszcze większym szacunkiem.

Pring ani razu nie powiedział, że ziemska technika jest archaiczna czy przestarzała, chociaż każdy wiedział, że w całej Galaktyce wyróżnia się ona swoją oryginalnością. Jak daleko sięgała pamięć, żadna inna rasa nie musiała przecież wynajdywać wszystkiego sama, zaczynając od zera. Dbała o to Biblioteka. Sam Kulla z entuzjazmem odnosił się do korzyści, jakie wiedza Galaktów miała przynieść jego ludzkim i szympansim przyjaciołom. Pewnego razu ET poszedł z Jacobem do sali gimnastycznej statku i swoimi wielkimi, czerwonymi oczyskami przyglądał się, jak Jacob odbywa maratoński trening kondycyjny, jeden z wielu podczas tej podróży. Podczas krótkich odpoczynków Jacob odkrył, że Pring przyswoił już sobie sztukę opowiadania nieprzyzwoitych dowcipów. Jego rasa musiała mieć obyczaje seksualne podobne do tych, jakie cechowały współczesne społeczeństwo ludzi, ponieważ zakończenie „...teraz spieramy się już tylko o cenę” miało chyba takie samo znaczenie dla nich obu.

To właśnie dowcipy, bardziej niż cokolwiek innego, sprawiły, że Jacob zdał sobie sprawę, jak daleko od domu znajdował się szczupły pringijski dyplomata. Zastanawiał się, czy Kulla czuł się tak samotny, jak czułby się on sam w podobnej sytuacji. Podczas kolejnych dyskusji o tym, czy najlepszym gatunkiem piwa jest Tuborg, czy L-5, Jacob musiał wysilać się, aby nie zapomnieć, że rozmawia z obcym, a nie z sepleniącym, trochę zbyt uprzejmym człowiekiem. Dostał jednak nauczkę, kiedy podczas jednej z takich rozmów nagle odkryli, że dzieli ich przepaść nie do przebycia. Jacob opowiedział historię o dawnych konfliktach klasowych na Ziemi, której Kulla nie zrozumiał. Jacob spróbował zilustrować istotę rzeczy chińskim przysłowiem: „Chłop zawsze wiesza się na wrotach swojego pana”.

Oczy obcego nagle pojaśniały i Jacob po raz pierwszy usłyszał wypełnione wzruszeniem klekotanie dochodzące z jego ust. Początkowo wytrzeszczył oczy w zdumieniu, a potem szybko zmienił temat.

Mimo wszystko jednak, spośród wszystkich pozaziemców, jakich spotkał, Kulla dysponował czymś najbardziej zbliżonym do ludzkiego poczucia humoru. Oczywiście wyłączając Fagina.

Teraz, tuż przed lądowaniem, Pring stał w milczeniu obok swojego opiekuna. Wyrazu ich twarzy nie sposób było odgadnąć.

Kepler trącił Jacoba w ramię, wskazując przy tym iluminator. - Już niedługo kapitan uszczelni ekrany stazowe i zacznie zmniejszać prędkość przeciekania czasoprzestrzeni. Skutki będą na pewno interesujące. - Sądziłem, że statek jak gdyby ślizga się po tkaninie przestrzeni, tak jakby jeździć na desce do surfmgu po plaży.

Kepler uśmiechnął się.

- Nie, panie Demwa. To powszechny błąd. Ślizganie się w przestrzeni to tylko zwrot, którego używają popularyzatorzy. Kiedy mówię o czasoprzestrzeni, nie mam na myśli „tkaniny”. Przestrzeń nie jest materialna. W rzeczywistości kiedy zbliżamy się do osobliwości planetarnej - czyli do zniekształcenia przestrzeni powodowanego przez planetę - musimy przyjąć stale zmieniającą się

metrykę, to znaczy zestaw parametrów, za pomocą których mierzymy czas i przestrzeń. To tak, jak gdyby natura chciała, żebyśmy stopniowo zmieniali długość naszych wzorców metra i tempo naszych zegarów za każdym razem, gdy znajdziemy się blisko jakiejś masy.

- Rozumiem, że kapitan kontroluje nasze zbliżanie, pozwalając, by zmiana ta odbywała się powoli?

- Dokładnie tak! Oczywiście w dawnych czasach takie dostosowanie było o wiele gwałtowniejsze. Przyjmowało się daną metrykę albo hamując stale napędem rakietowym aż do samego lądowania, albo rozbijając się o planetę. Teraz zwijamy po prostu nadmiar metryczny jak kawałek materiału. Ach! Znowu to „materialne" skojarzenie! - Kepler uśmiechnął się szeroko. - Jednym z pożytecznych produktów ubocznych jest przy tym neutronium o czystości handlowej, głównym jednak celem jest bezpieczne lądowanie. - Kiedy więc zaczniemy w końcu upychać przestrzeń do worka, co będzie widać?

Kepler wskazał na iluminator.

- Może pan to zobaczyć właśnie teraz.

Na zewnątrz gasły gwiazdy. W miarę jak patrzyli, powoli znikał olbrzymi tuman jasnych punkcików, widocznych nawet przez osłony przyciemniające. Wkrótce pozostało ich zaledwie kilka, brunatno-żółtych i słabo widocznych na czarnym tle. Planeta pod nimi również uległa zmianie.

Światło odbijane przez powierzchnię Merkurego straciło swój poprzedni żar i wyrazistość, przybrało natomiast odcień pomarańczowy. Planeta była teraz właściwie ciemna. W dodatku była coraz bliżej. Wolno, ale wyraźnie horyzont ulegał spłaszczeniu. Obiekty, które uprzednio ledwie można było dostrzec, stawały się teraz lepiej widoczne, w miarę jak Bradbury opuszczał się coraz niżej.

Wielkie kratery otwierały się, ukazując mniejsze zagłębienia w swoich wnętrzach. Kiedy statek przelatywał nad poszarpaną krawędzią jednego z nich, Jacob zobaczył, że te małe także kryły w sobie jeszcze mniejsze jamy, kształtem przypominające wielki krater. Horyzont planety zniknął za pasmem gór i Jacob stracił wspaniałą perspektywę. Statek zniżał lot, ale teren pod nimi wyglądał teraz ciągle tak samo. Nie dało się stwierdzić, jak wysoko był Bradbury.

Czy to pod nami to góra, czy tylko głaz? - pomyślał. - A może wylądujemy za sekundę lub dwie, i to jest po prostu większy kamień?

Jacob poczuł, że są już blisko. Szare cienie i pomarańczowe wąwozy zdawały się być na wyciągnięcie ręki.

Spodziewał się, że statek za moment usiądzie, dlatego zaskoczyło go, kiedy lej w ziemi popędził nagle w górę i pochłonął ich.

W czasie przygotowań do zejścia z pokładu Jacob przypomniał sobie z przerażeniem, co robił podczas lądowania, kiedy zapadł w płytki trans, trzymając w ręku marynarkę Keplera. Z wielką zręcznością przeszukał wtedy ukradkiem jej kieszenie i wykradł nieco leku z każdej fiolki oraz zabrał

mały ogryzek ołówka, nie zostawiając przy tym odcisków palców. Trofeum wypełniało teraz jego boczną kieszeń, ale pakunek był na tyle mały, że nie wybrzuszał kurtki.

- A więc już się zaczęło - mruknął.

Zacisnął szczęki.

Tym razem - pomyślał - poradzę sobie z tym sam! Nie potrzebuję pomocy od mojego alter ego. Nie będę włóczył się po okolicy i włamywał gdzie popadnie! Zaciśniętą pięścią uderzył w udo, żeby wypędzić z palców świerzbiące uczucie zadowolenia.

CZĘŚĆ TRZECIA

Obszar przejściowy pomiędzy koroną a fotosferą(powierzchnią słońca oglądaną w białym świetle) wygląda podczas zaćmienia jak ciemnoczerwony pierścień otaczający słońce.

Przy dokładnym badaniu chromosfery widać, że nie jest to jednorodna warstwa, ale szybko zmieniająca się, włóknista struktura. Opisuje się ją czasem jako płonącą prerię.

Nieustannie strzelają z niej w górę liczne, krótkotrwałe wytryski nazywane „kolcami"; ich wysokość dochodzi do wielu tysięcy kilometrów.

Czerwoną barwę zawdzięcza dominującemu promieniowaniu w zakresie alfa wodoru.

Niezmiernie trudno jest wyjaśnić,co dzieje się w tym tak skomplikowanym obszarze...

Harold Zirin

7. Interferencja

Kiedy doktor Martine opuściła swoją kabinę i ruszyła korytarzem transportowym do Oddziału Środowiska ET, uznała, że wybrała tę drogę przez dyskrecję, a nie z chęci ukrycia się. Do surowych, niewykończonych ścian przyczepione były klamrami rury i przewody telekomunikacyjne. Merkuriańska skała błyszczała od rosy i wydzielała zapach mokrego kamienia, a kroki kobiety rozbrzmiewały echem w dole korytarza. Dotarła do włazu ciśnieniowego oświetlonego z góry zielonym światłem. To było tylne wejście do pomieszczeń obcych. Gdy nacisnęła czujnik, właz otworzył się natychmiast. Wokół rozlewało się jasne światło o zielonkawym odcieniu - kopia promieni słonecznych gwiazdy odległej o wiele parseków. Doktor Martine osłoniła jedną rękę oczy, a drugą sięgnęła do zawieszonej na biodrach torby po okulary słoneczne i włożyła je, żeby móc

zajrzeć do pokoju.

Na ścianach zobaczyła pajęczynowate gobeliny przedstawiające wiszące ogrody i miasto obcych na krawędzi górskiego urwiska. Miasto przywarło do postrzępionej ściany skalnej, skrząc się, jakby pokrywały j e krople wody. Martine pomyślała, że słyszy niemal wysokie dźwięki muzyki, zawodzące tuż poza zasięgiem słuchu. Czy to tłumaczyło jej krótki oddech? Jej zdenerwowanie?

Bubbakub podniósł się z wyściełanego poduchami siedziska, żeby ją powitać. Jego szare futro połyskiwało w aktynicznym świetle, kiedy kołysząc się kroczył na serdelkowatych nogach. W tym mieszkaniu, przy ciążeniu wynoszącym jeden i pięć dziesiątych ziemskiego, Bubbakub stracił wszelki „wdzięk", jaki Martine dostrzegała w nim poprzednio. Z postawy wspartego na kabłąkowatych nogach Pilanina emanowała siła. Usta jego poruszyły się w serii krótkich kłapnięć. Głos dochodzący z brzmieniacza wiszącego na jego szyi brzmiał łagodnie i donośnie, choć poszczególne słowa były od siebie oddzielone, a niektórym brakowało końcówek.

- Dobrze. Cieszę się, że przyszłaś.

Martine poczuła ulgę. Przedstawiciel Biblioteki wydawał się odprężony. Ukłoniła się lekko.

- Witam, Pilu Bubbakubie. Przychodzę, żeby zapytać, czy otrzymałeś jakieś nowe wiadomości z Filii Biblioteki.

- Wejdź i usiądź. Tak, dobrze, że pytasz. Mam nowy fakt. Ale wejdź. Poczęstuj się najpierw jedzeniem i piciem. - Bubbakub ukazał pysk pełen ostrych jak igły zębów. Martine skrzywiła się, przechodząc przez pole zmiany ciążenia na progu, uczucie było nieprzyjemne jak zawsze. W pokoju czuła się tak, jakby ważyła siedemdziesiąt kilo. - Nie, dziękuję. Przed chwilą jadłam. Usiądę tylko.

Wybrała odpowiednie dla ludzi krzesło i ostrożnie opuściła się na nie. Siedemdziesiąt kilo to więcej, niż powinno się ważyć!

Pilanin rozciągnął się na swoich poduchach tak, że jego niedźwiedzia głowa ledwie wystawała ponad stopy. Przyglądał się jej małymi czarnymi oczkami. - Dostałem wiadomość z La Paz maserem. Nic nie mówi o Słonecznych Duchach. Zupełnie nic. To może w ogóle nie być kwestia semantyki. Może to Filia jest za mała. To mała, malutka Filia, wierz mi. Ale niektórzy Ludzcy Urzędnicy narobią mnóstwo hałasu o to, że brakuje informacji.

- O to bym się nie martwiła - Martine wzruszyła ramionami. - W rezultacie okaże się, że w Projekt Biblioteki włożono zbyt mało wysiłku. Większa Filia, a moja grupa naciskała na taką przez cały czas, z pewnością udzieliłaby odpowiedzi. - Posłałem po dane z Pila przez uskok czasowy. W Głównej Bibliotece nie może być żadnego zamieszania!

To dobrze - kiwnęła głową Martine. - Najbardziej martwi mnie jednak to, co Dwayne zrobi przez ten czas. Cały aż kipi od zwariowanych pomysłów na porozumiewanie się z Duchami. Obawiam się, że kręcąc się tam na dole, znajdzie w końcu jakiś sposób, żeby obrazić te parapsychiczne stworzenia tak dotkliwie, że cała mądrość Biblioteki nie będzie mogła tego naprawić. A przecież Ziemia koniecznie musi mieć dobre stosunki z najbliższymi sąsiadami!

Bubbakub uniósł nieco głowę i oparł ją na krótkim ramieniu.

- Starasz się wyleczyć doktora Keplera?

- Oczywiście - odpowiedziała chłodno. - Naprawdę trudno mi zrozumieć, jak przez ten cały czas udało mu się uniknąć Nadzoru. Jego umysł to jeden wielki chaos, choć muszę przyznać, że wyniki N zawierają się w akceptowanej krzywej. Na Ziemi robili mu testy tachistoskopem. Myślę, że teraz jest już znacznie spokojniejszy. Ale i tak dostaję szału, próbując określić jego główny problem. Nawroty depresji maniakalnej przypominają „błyszczące szaleństwo" z przełomu dwudziestego i dwudziestego pierwszego wieku, kiedy to społeczeństwo było o krok od zagłady z powodu psychicznych skutków hałasu w otoczeniu. „Błyszczące szaleństwo" rozbiło niemal zupełnie kulturę przemysłową i doprowadziło do okresu represji, który ludzie nazywają dziś eufemistycznie Biurokracją. - Tak. Czytałem, że twoja rasa próbowała samobójstw. Wydaje mi się, że następny okres, ten, o którym właśnie mówiłaś, to był czas ładu i spokoju. Ale to nie moja sprawa. Masz szczęście, że nie znasz się nawet na samobójstwach. Nie zmieniajmy jednak tematu. Co z Keplerem?

Intonacja Pilanina nie podniosła się na końcu tego zdania. Zamiast tego zrobił coś ze swoim pyskiem - zwinął fałdy służące jako wargi - a to oznaczało, że pyta, a raczej żąda odpowiedzi. Przez plecy doktor Martine przebiegł dreszcz. Jest strasznie arogancki - pomyślała. - A wszyscy myślą chyba, że to tylko kapryśność. Jak mogą być tak ślepi na potęgę, jaką rozporządza ta istota, i na zagrożenie, jakie niesie ze sobą jej pobyt na Ziemi?

Zdumieni jego odmiennością, widzą małego, podobnego do człowieka misia. Do tego nawet ładnego! Czy tylko mój szef i jego przyjaciele z Rady Konfederacji potrafią rozpoznać demona z kosmosu, gdy go przed sobą zobaczą?

Jednak to mnie przypadł obowiązek wybadania, jak można zjednać tego potwora, a do tego jeszcze muszę powstrzymywać Dwayne'a przed strzeleniem sobie w usta i próbować znaleźć sensowny sposób na porozumienie się ze Słonecznymi Duchami! Ifni, wspomóż swoją siostrę!

Bubbakub ciągle czekał na odpowiedź.

- Cóż, wiadomo mi, że Dwayne uparł się złamać tajemnicę Słonecznych Duchów bez pomocy spoza Ziemi. Część jego zespołu jest pod tym względem nastawiona bardzo radykalnie. Nie posunę się do stwierdzenia, że ktokolwiek z nich należy do Skór, ale są naprawdę chorobliwie ambitni.

- Czy możesz go powstrzymać przed nierozważnym postępowaniem? - spytał Bubbakub.

- Wprowadził już elementy przypadkowe.

- Zaproszenie Fagina i jego przyjaciela, Demwy? Wydają się niegroźni. Doświadczenia Demwy z delfinami dają słabą, ale realną nadzieję, że może być pożyteczny. Fagin zaś ma dryg do radzenia sobie z obcymi rasami. Ważne jest to, że Dwayne ma z kim dzielić się swoimi paranoicznymi fantazjami. Porozmawiam z Demwą i poproszę go o zrozumienie. Bubbakub uniósł się błyskawicznym szarpnięciem wszystkich kończyn jednocześnie.

Usadowił się w nowej pozycji i spojrzał Martine prosto w oczy. - Oni mnie nie obchodzą. Fagin to beztroski romantyk. Demwa wygląda na głupca. Jak każdy przyjaciel Fagina. Nie, bardziej obchodzą mnie ci dwaj, którzy sprawiają teraz kłopoty w Bazie. Kiedy tu leciałem, nie miałem pojęcia, że członkiem zespołu zrobiono szympansa. Odkąd zaczęły się te brudy, on i ten dziennikarz ciągle zawadzają. Załoga Bazy przytarła nosa dziennikarzowi, więc robi mnóstwo hałasu. A szymp ciągle nagabuje Kullę, próbując go „wyzwolić" i...

- Czy Kulla był nieposłuszny? Myślałam, że okres jego terminowania dopiero co...

Bubbakub poderwał się na nogi, sycząc przez obnażone, ostre kły:

- Nie przerywaj, człowieku!

Martine nie pamiętała, żeby kiedykolwiek wcześniej usłyszała jego prawdziwy głos, wysoki kwik wznoszący się ponad ogłuszający wrzask brzmieniacza. Przez chwilę była zbyt oszołomiona, żeby się poruszyć.

Agresja Bubbakuba zaczęła powoli opadać. Po minucie nastroszone włosie jego futra na powrót się wygładziło.

- Przepraszam, człowieku Martine. Nie powinienem unosić się z powodu tak niewielkiego wykroczenia członka jakiejś niedorosłej rasy. Martine odetchnęła głęboko, starając się zrobić to bezdźwięcznie.

Bubbakub znowu usiadł.

- Odpowiadając na twoje pytanie: nie, Kulla nie złamał reguł. Wie przecież, że jego gatunek jeszcze długo będzie terminował u mojego na mocy Praw Wspomagania. To jednak źle, że ten doktor Jeffrey rozpuszcza mit o prawach bez obowiązków. Wy, ludzie, musicie nauczyć się trzymać swoje zwierzęta krótko, bo to tylko dzięki łaskawości nas, Starszych, w ogóle nazywa się ich podopiecznymi sofontami. A jak oni nie są sofontami, to gdzie się znajdziecie wy, ludzie? - Zęby Bubbakuba zalśniły przez ułamek sekundy, po czym obcy zamknął pysk z głośnym kłapnięciem.

Martine czuła w gardle suchość. Starannie dobierała słowa.

- Przepraszam za wszystko, co mogłeś uznać za zniewagę, Pilu Bubbakubie.

Porozmawiam z Dwaynem, może uda mu się przekonać Jeffreya, żeby trochę się uspokoił.

- A dziennikarz?

- Tak, z Pierre'em też pomówię. Jestem pewna, że nie chce nikomu szkodzić. Nie sprawi już więcej żadnych kłopotów.

- Byłoby dobrze. - Słowa z medalionu Bubbakuba były ciche. Obcy ponownie rozparł niedbale swoje krępe ciało. - Ty i ja mamy wielkie wspólne cele. Mam nadzieję, że zdołamy połączyć nasze wysiłki. Wiedz jednak: środki, które stosujemy, mogą się różnić. Rób to, co potrafisz, bo inaczej będę musiał,

jak wy to mówicie, upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Martine ulegle skinęła głową.

8. Odbicie

Kiedy LaRoque przystąpił do jednego ze swoich popisów, Jacob zatopił się we własnych myślach. Bądź co bądź małemu człowieczkowi zależało teraz bardziej na zrobieniu wrażenia na Faginie niż na zdobyciu przewagi nad swoim drugim słuchaczem. Jacob zastanowił się, czy było objawem grzesznej antropomorfizacji to, że współczuje Faginowi, który musiał słuchać Francuza.

Cała trójka jechała małym pojazdem poruszającym się w tunelach horyzontalnie i wertykalnie. Dwiema ze swoich korzenio-nóg Fagin obejmował niską poręcz, biegnącą kilka centymetrów nad podłogą. Dwaj ludzie trzymali się barierki opasującej pojazd nieco wyżej. Pojazd sunął naprzód, a Jacob słuchał jednym uchem rozmowy. LaRoque nadal zmagał się z tematem, który rozpoczął jeszcze na pokładzie Bradbury'ego: mówił, że nieobecni opiekunowie Ziemi... te mityczne istoty, które miały rozpocząć wspomaganie ludzkości tysiące lat temu, by potem porzucić je na pół dokończone... były w jakiś sposób powiązane ze Słońcem. LaRoque sądził wręcz, że rasą tą mogą być same Słoneczne Duchy. - No więc ma pan całe mnóstwo odniesień w ziemskich religiach. Niemal w każdej z nich Słońce jest czymś świętym! Ten wspólny wątek przewija się we wszystkich kulturach! - Uczynił ramionami szeroki gest, jakby obejmując w ten sposób całą wielkość swojej idei. - To naprawdę ma sens - mówił dalej. - W ten sposób można też wytłumaczyć, dlaczego tak trudno odnaleźć w Bibliotece ślady naszego pochodzenia. Oczywiście rasy typu solarnego były wcześniej znane... Dlatego właśnie te „badania" są takie głupie... Ale takie rasy występują niewątpliwie bardzo rzadko, i jak dotąd nikt nie wpadł na pomysł, żeby podać Bibliotece taką współzależność, co rozwiązałoby za jednym zamachem dwa problemy! Kłopot w tym, że ta koncepcja była cholernie trudna do obalenia. W głębi ducha Jacob westchnął. Oczywiście wiele prymitywnych cywilizacji ziemskich miało kiedyś kulty słoneczne. Słońce nieodparcie jawiło się jako źródło ciepła, światła i życia, jako byt o cudownej mocy! Animizacja własnej gwiazdy musi być pospolitą fazą w rozwoju ludów prymitywnych.

Z tym właśnie był problem. Galaktyka znała niewiele „ludów prymitywnych", których doświadczenia można by porównać z dziejami ludzkości. Albo przedrozumni zbieracze i łowcy (lub analogiczne typy), albo w pełni rozwinięte rasy sofontów; prawie nigdy nie pojawiał się przypadek „pośredni", jak ludzie - najwyraźniej porzuceni przez swoich opiekunów, zanim nowo nabyta rozumność zaczęła w pełni funkcjonować. Wiadomo było, że w podobnych, nieczęstych przypadkach dopiero co obdarzone rozumem gatunki z impetem wyrywały się ze swoich nisz ekologicznych. Wynajdywały dziwaczne parodie nauki, przedziwne prawa przyczyny i skutku: zabobony i mity. Bez pomocnej ręki opiekunów takie szczenięce rasy na ogół ginęły bardzo szybko. Obecny rozgłos ludzkość zawdzięczała w dużej części temu, że przetrwała. Właśnie brak innych gatunków o podobnych doświadczeniach sprawiał, iż łatwo było formułować uogólnienia, natomiast obalać je - trudno. Skoro Filia w La Paz nie znała żadnych innych przykładów powszechnego występowania kultu Słońca w jakimś gatunku, LaRoque mógł bezpiecznie twierdzić, że obyczaj ten przywołuje wspomnienia ludzkości o nigdy nie dokończonym wspomaganiu.

Jacob słuchał jeszcze przez chwilę, na wypadek gdyby LaRoque powiedział coś nowego, a potem pozwolił myślom wędrować zupełnie swobodnie. Od lądowania minęły dwa długie dni. Jacob musiał przyzwyczaić się do przechodzenia z tych części stacji, gdzie grawitacja była kontrolowana, do innych, w których panowało słabiutkie przyciąganie Merkurego. Przedstawiono mu wielu członków personelu; większość nazwisk zapomniał zresztą natychmiast. Na koniec Kepler wyznaczył kogoś, kto miał zaprowadzić go do jego kwatery.

Główny lekarz Bazy Merkuriańskiej okazał się entuzjastą wspomagania delfinów. Był tak uszczęśliwiony, że prawie nie spojrzał na recepty, które pokazał mu Kepler, wyraził tylko zdumienie, że jest ich tak wiele. Zaraz potem zaczął nalegać na zorganizowanie przyjęcia. Twierdził, za każdy członek wydziału medycznego chce zadać pytania dotyczące Makakai i przyjęcie dałoby do tego znakomitą sposobność. Oczywiście, w przerwach między toastami. Tych pytań nie byłoby w końcu tak wiele.

Myśli Jacoba płynęły leniwie, kiedy pojazd zatrzymał się przy rozsuniętych wrotach prowadzących do ogromnej, podziemnej groty, gdzie przechowywano i naprawiano heliostatki. Przez króciutką chwilę wyglądało to tak, jakby przestrzeń wyginała się i deformowała, a w dodatku Jacob i jego towarzysze zyskali nagle braci - bliźniaków! Wydawało się, że przeciwna ściana groty wydyma się, tworząc okrągłą bańkę zaledwie kilka metrów od Jacoba. W miejscu, gdzie była najbliżej, stali dwuipółmetrowy Kanten, niski, rumiany człowiek i wysoki, barczysty mężczyzna o ciemnej karnacji, który wpatrywał się w niego jednym z najgłupszych spojrzeń, jakie Jacob kiedykolwiek widział. Nagle zdał sobie sprawę, że patrzy na kadłub heliostatku, będący najdoskonalszym zwierciadłem w całym układzie planetarnym. Zdumiony mężczyzna naprzeciw niego, najwyraźniej na kacu, to było jego własne odbicie.

Kulisty statek miał dwadzieścia dwa metry średnicy i był tak idealnym lustrem, że trudno było dokładnie określić jego kształt. Tylko obserwując ostrą nieciągłość krawędzi i przesuwanie się odbić na zakrzywieniach można było skupić wzrok na czymś, co w ogóle dało się zinterpretować jako realnie istniejący przedmiot. - Nieźle, nieźle - przyznał niechętnie LaRoque. - Cudowny, świetny, niepotrzebny kryształ.

Podniósł do oka maleńką kamerę i przejechał po statku.

- Niezwykle imponujące - dodał Fagin.

Taa - pomyślał Jacob - a do tego wielkie jak dom.

Chociaż statek był ogromny, na tle groty wyglądał niepozornie. Jej surowe, skalne sklepienie tworzyło wysoko w górze łuk ginący w lepkiej mgle. Tu, gdzie stali, jaskinia była dość wąska, ale w prawo ciągnęła się na kilometr, a potem zakręcała i znikała w oddali. Znajdowali się na platformie równoległej do równika statku, powyżej poziomu remontowego hangaru. Pod nimi zgromadził się niewielki tłumek, który pomniejszony odbijał się w srebrzystej kuli.

Na lewo, w odległości dwustu metrów widać było masywne wrota próżniowe, szerokie na co najmniej sto pięćdziesiąt metrów. Jacob pomyślał, że stanowią one część śluzy powietrznej prowadzącej przez tunel na nieprzyjazną powierzchnię Merkurego, gdzie w ogromnych naturalnych

jaskiniach spoczywały gigantyczne statki międzyplanetarne takie, jak Bradbury. Z platformy na dno pieczary prowadziła pochylnia. Na dole Kepler rozmawiał z trzema ludźmi w kombinezonach. Nie opodal stał Kulla. Towarzyszył mu elegancko ubrany szympans, który bawił się monoklem stojąc na krześle, aby móc patrzeć Kulli prosto w oczy. Szymp podskakiwał na ugiętych nogach, kołysząc przy tym krzesłem. Zawzięcie stukał też w zawieszony na szyi przyrząd. Dyplomata Pringów patrzył na niego z wyrazem twarzy, w którym Jacob nauczył się rozpoznawać przyjazny szacunek. W postawie Kulli było także coś, co zaskoczyło Jacoba - niedbałość i swoboda, których nigdy nie widział, gdy obcy rozmawiał z ludźmi, z Kantenem, Cyntianinem, czy zwłaszcza z Pilaninem, a które teraz, w pogawędce z szympansem, ujawniły się wyraźnie.

Kepler pozdrowił wpierw Fagina, po czym zwrócił się do Jacoba. - Miło, że znalazł pan czas na tę wycieczkę, panie Demwa. - Uczony potrząsnął głową z energią, która zdumiała Jacoba, a następnie zawołał do siebie szympansa. - To jest doktor Jeffrey, pierwszy przedstawiciel swojego gatunku, który został pełnoprawnym członkiem kosmicznego zespołu badawczego, oraz świetny pracownik. To jego statek będziemy zwiedzać.

Jeffrey wyszczerzył zęby w krzywym, niespokojnym uśmiechu charakterystycznym dla gatunku superszympów. Dwa wieki inżynierii genetycznej zaowocowały zmianami w kształcie czaszki i budowie miednicy. Modyfikacje te naśladowały ludzką sylwetkę, jako że była ona najłatwiejsza do skopiowania. Jeffrey wyglądał więc jak bardzo zarośnięty, niski, brunatny mężczyzna o długich ramionach i wielkich, wystających zębach. Kolejne osiągnięcie inżynierii ujawniło się, kiedy Jacob podał mu rękę. Szympans ścisnął ją mocno całkowicie przeciwstawnym kciukiem, jakby chciał przypomnieć Jacobowi, że nie jest to już wyłącznie atrybut człowieka.

Tam, gdzie Bubbakub nosił swój brzmieniacz, Jeffrey miał urządzenie z czarnymi klawiszami rozmieszczonymi po obu stronach. Środek zajmował pusty ekran, mniej więcej dwadzieścia na dziesięć centymetrów.

Superszymp skinął głową, a jego palce zatańczyły na klawiszach. Ekran rozjaśnił się literami:

MIŁO MI PANA POZNAĆ. DOKTOR KEPLER MÓWI, ŻE JEST PAN JEDNYM Z TYCH „DOBRYCH”. Jacob zaśmiał się.

- Wielkie dzięki, Jeff. Próbuję, chociaż ciągle nie wiem, co będę miał tu do zrobienia. Jeffrey wydał z siebie dobrze znany, piskliwy chichot, a potem po raz pierwszy przemówił:

- Wkrótce się pan dowie!

Zabrzmiało to jak rechot, ale Jacob i tak był zdumiony. Dla tego pokolenia superszympów mówienie nadal było niesłychanie bolesne, a mimo to słowa Jeffa brzmiały bardzo wyraźnie.

- Zaraz po naszej wycieczce doktor Jeffrey zabierze najnowszy heliostatek na nurkowanie - wyjaśnił Kepler. - Czekamy tylko, aż komendant deSilva wróci z rekonesansu drugim statkiem.

- Przykro mi, że komendant nie mogła nas powitać, kiedy schodziliśmy z Bradbury’ego. Teraz z kolei wygląda na to, że w czasie naszej odprawy nie będzie Jeffa. Jego pierwszy meldunek dotrze do nas

jutro po południu, kiedy będziemy już kończyć, ale może być to mocny punkt naszego spotkania.

Kepler rzucił spojrzenie w stronę statku.

- Zapomniałem kogoś przedstawić, Jeff? O ile wiem, Kantena Fagina poznałeś już wcześniej. Pil Bubbakub odrzucił, jak się zdaje, nasze zaproszenie. To jest pan LaRoque, spotkałeś go już wcześniej?

Szymp wydął wargi na znak pogardy, prychnął i odwrócił się tyłem, spoglądając na swoje odbicie w zwierciadle statku.

LaRoque poczerwieniał i rzucił mu piorunujące spojrzenie. Jacob z trudem powstrzymał śmiech. Nic dziwnego, że na superszympy mówiono „ostrzaki”! Przynajmniej raz trafił się ktoś gorzej wychowany od LaRoque’a! Ich wczorajsze wieczorne spotkanie w jadalni urosło już do legendy. Żałował, że go przy tym nie było. Kulla położył wąską, sześciopalczastą dłoń na rękawie Jeffrey’a. - Chodźmy, przyjacielu Jeffreyu. Pokażmy panu Demwie i jego przyjaciołom twój sztatek.

Szymp spojrzał ponuro na LaRoque’a, potem na pozostałych, i uśmiechnął się szeroko.

Wziął za rękę Jacoba i Kullę i pociągnął ich do wejścia statku. Dotarli do wierzchołka drugiej pochylni, a następnie przeszli przez krótki mostek sięgający ponad przepaścią do wnętrza lustrzanej kuli. Minęła chwila, zanim oczy Jacoba przyzwyczaiły się do ciemności. Ujrzał wtedy płaski pokład, ciągnący się od jednego końca statku do drugiego.

Okrągła płyta, wykonana z ciemnego, sprężystego materiału, unosiła się na równiku statku. Jej płaską powierzchnię zakłócało tylko około dziesięciu foteli akceleracyjnych, wpuszczonych w pokład i ustawionych w równych odstępach na obwodzie. Niektóre z nich wyposażone były w niewielkie tablice z przełącznikami. Dokładnie na środku płyty wybrzuszała się siedmiometrowa kopuła.

Kepler uklęknął przy tablicy rozdzielczej i dotknął przełącznika. Ściany statku stały się półprzeźroczyste. Ze wszystkich stron lało się przyćmione światło z pieczary, rozjaśniając nieco wnętrze. Kepler wyjaśnił, że w środku statku oświetlenie utrzymywane było na minimalnym poziomie, co chroniło przed refleksami na wewnętrznej powierzchni powłoki kuli, które mogły wprowadzać w błąd zarówno załogę, jak i przyrządy. Wewnątrz nieomal doskonałej osłony heliostatek przypominał przestrzenny model Saturna. Szeroki pokład tworzył „pierścień”. Dwie półkule „planety” wystawały nad płytę i pod nią. Powierzchnia górnej połowy, którą Jacob właśnie oglądał, wyposażona była w kilka włazów i gablot. Jacob czytał wcześniej, że centralna kula zawierała wszystkie urządzenia napędzające statek, w tym także regulator przepływu czasu, generator grawitacji i laser chłodzący. Podszedł do krawędzi pokładu. Płyta unosiła się na polu siłowym, mniej więcej metr od zakrzywionej czaszy, która sklepiała się wysoko nad głowami, zdumiewająco skutecznie tłumiąc rozbłyski i cienie.

Odwrócił się, gdy ktoś zawołał go po imieniu. Grupa zwiedzających stała przy wejściu w ścianie wewnętrznej kopuły. Kepler pomachał mu, żeby do nich dołączył. - Obejrzymy teraz półkulę aparatury. Nazywamy ją „odwrotną stroną”. Proszę uważać, tu jest łuk grawitacyjny, nie zdziwcie się więc.

W przejściu Jacob odsunął się na bok, żeby przepuścić Fagina, ale ET pokazał, że wolałby raczej zostać na górze. W dwumetrowym luku dwumetrowy Kanten nie czułby się pewnie zbyt dobrze. Jacob wszedł za Keplerem do środka. Zaraz też rzucił się w bok, żeby uniknąć zderzenia. Ponad nim Kepler wspinał się po ścieżce piętrzącej się przed Jacobem jak fragment górskiego stoku ograniczony z obu stron ścianami. Uczony wyglądał, jakby zaraz miał spaść, sądząc po kącie nachylenia jego ciała. Jacob nie miał pojęcia, w jaki sposób doktorowi udaje się zachować równowagę. Kepler jednak szedł pod górę eliptycznej ścieżki, potem dotarł do niewielkiego horyzontu i zaczął za nim znikać. Jacob oparł dłonie na przegrodach po obu stronach i zrobił próbny krok.

Nie stracił równowagi. Przesunął do przodu drugą stopę. Ciągle bez problemów. Jeszcze jeden krok... Obejrzał się.

Przejście nachyliło się w jego stronę. Najwyraźniej kopuła otaczała pole pseudograwitacyjne tak ciasno, że udało się je zwinąć na kilku zaledwie metrach. Pole było tak gładkie i pełne, że zmyliło błędnik Jacoba. We włazie stał jeden z robotników i uśmiechał się.

Jacob zacisnął zęby i szedł dalej poprzez pętlę, próbując zapomnieć o tym, że stopniowo obraca się do góry nogami. Przyjrzał się oznaczeniom na drzwiczkach rozmieszczonych na ścianach i podłodze ścieżki. W połowie drogi przeszedł obok pokrywy z napisem KOMPRESJA CZASU.

Elipsa kończyła się łagodną pochyłością. Kiedy Jacob doszedł do wyjścia, poczuł, że stoi dobrą stroną do góry, i wiedział, czego się spodziewać. Mimo to jęknął z wrażenia. - No nie! - Podniósł dłonie do oczu.

Kilka metrów nad jego głową na wszystkie strony rozciągało się dno hangaru. Ludzie spacerowali wokół łoża statku jak muchy po suficie.

Jacob wyszedł z westchnieniem rezygnacji i dołączył do Keplera, który stojąc na krawędzi pokładu, zaglądał we wnętrzności skomplikowanej maszyny. Uczony podniósł wzrok i uśmiechnął się.

- Korzystałem właśnie z przywileju szefa do wścibiania nosa w różne miejsca. Oczywiście statek został już dokładnie sprawdzony, ale lubię sam wszystkiego doglądać - poklepał maszynę z uczuciem.

Zaprowadził Jacoba na brzeg pokładu, gdzie jeszcze wyraźniej widać było, że stoją do góry nogami. Zamglone sklepienie pieczary majaczyło hen „pod" stopami. - Oto jedna z kamer multipolaryzacyjnych, które zamontowaliśmy zaraz po tym, jak pierwszy raz zobaczyliśmy Duchy Spójnego Światła - Kepler wskazał w kierunku jednego z kilku identycznych urządzeń umocowanych w odstępach wzdłuż brzegu. - Zdołaliśmy wyłowić Duchy z mieszanki fal świetlnych w chromosferze, ponieważ udało się nam śledzić zmieniającą się nieustannie płaszczyznę polaryzacji. Okazało się wtedy, że światło istnieje rzeczywiście i jest stabilne.

- Dlaczego wszystkie kamery są tu, na dole? U góry nie widziałem ani jednej. - Odkryliśmy, że żywi obserwatorzy i maszyny przeszkadzają sobie wzajemnie, kiedy pracują obok siebie. Z tej i z innych przyczyn instrumenty upchaliśmy na odwrotnej stronie, a my, zwierzaki, zajmujemy górną połowę. Zresztą wykorzystać możemy obie połówki jednocześnie, ustawiając statek tak, by krawędź pokładu znalazła się w jednej płaszczyźnie ze zjawiskiem, które chcemy obserwować. Okazuje się, że jest to

doskonały kompromis: skoro o grawitację nie trzeba się martwić, możemy nachylić statek pod dowolnym kątem i tak to nachylenie dopasować, żeby punkt widzenia obserwatorów żywych i mechanicznych był dokładnie taki sam, bo to pomaga przy późniejszym porównywaniu danych. Jacob spróbował wyobrazić sobie statek przekrzywiony pod kątem i ciskany na wszystkie strony przez burze atmosfery słonecznej, a wewnątrz niego załogę i pasażerów, którzy spokojnie prowadzą obserwacje.

- Ostatnio mieliśmy trochę kłopotów z tym ustawieniem - ciągnął Kepler. - Ten statek jest nowszy, mniejszy i trochę poprawiony. Jeff weźmie go na dół, można więc mieć nadzieję, że niedługo... A! Oto i przyjaciele...

W przejściu stanęli Kulla i Jeffrey. Pół-małpią, pół-ludzką twarz szympa wykrzywiał grymas pogardy.

Postukał w ekran na piersiach:

LR CHORY. DOSTAŁ NUDNOŚCI PRZECHODZĄC PO RAMPIE. PIEPRZONY KOSZULOWIEC.

Kulla powiedział coś cicho do szympa. Jacob ledwie dosłyszał słowa:

- Wyrażaj się z szaczunkiem, przyjacielu Jeffie. Pan LaRoque jeszt człowiekiem. Rozdrażniony Jeffrey wystukał, robiąc przy tym błędy, że szacunku ma dokładnie tyle, co pierwszy lepszy szymp, ale nie będzie płaszczyć się przed każdym człowiekiem, a zwłaszcza takim, który nie miał żadnego udziału we wspomaganiu jego gatunku. CZY TY NAPRAWDĘ MUSISZ WŁAZIĆ DO TYŁKA BUBBAKUBOWI TYLKO DLATEGO, ŻE PÓŁ MILIONA LAT TEMU JEGO PRZODKOWIE WYŚWIADCZYLI PRZYSŁUGĘ TWOIM?

Oczy Pringa zaiskrzyły się. Między jego mięsistymi wargami błysnęło coś białego. - Proszę, przyjacielu Jeffie. Wiem, że masz dobre intencje, ale Bubbakub jeszt moim Patronem. Ludzie obdarzyli twoją raszę wolnością. Mój gatunek musi szłużyć. Tak nakazuje tradycja.

Jeffrey prychnął pogardliwie i zakrakał:

- Jeszcze się przekonamy!

Kepler wziął Jeffreya na bok, prosząc wcześniej Kullę, by oprowadzał Jacoba dalej. Pring poprowadził go na przeciwległy kraniec półkuli, żeby pokazać przyrządy, które umożliwiały sterowanie statkiem niczym batysferą w półpłynnej plazmie atmosfery Słońca. Zdjął kilka pokryw i zaprezentował Jacobowi holograficzne agregaty pamięci. Generator stazy kontrolował przepływ czasu i przestrzeni przez korpus statku, tak że gwałtowne podrzuty w chromosferze wewnątrz wydawały się łagodnym kołysaniem. Ziemscy uczeni ciągle jeszcze nie rozumieli do końca fizycznych zasad działania generatora, ale mimo to rząd naciskał, by zbudowano go ludzkimi rękoma.

Oczy Kulli płonęły, a jego sepleniący głos zdradzał dumę z nowych technologii, które Biblioteka dała Ziemi.

Układy logiczne nadzorujące generator wyglądały jak gmatwanina światłowodów. Kulla wyjaśnił, że przezroczyste pałeczki i włókna przechowywały informację optyczną upakowaną znacznie gęściej, niż pozwalała na to jakakolwiek wcześniejsza technologia ziemska. Dane te były też łatwiej dostępne. Przyglądali się razem, jak wzdłuż najbliższej pałeczki przesuwają się w górę i w dół błękitne błyski interferencyjne, migotliwe pakiety informacji. Wydawało się, że w urządzeniu jest coś niemal żywego. Dotknięcie Kulli uruchomiło złącze laserowe i obaj przez długie minuty wpatrywali się w pulsowanie surowej informacji krążącej w żyłach maszyny.

Chociaż Kulla musiał widzieć wnętrzności komputera setki razy, wydawał się równie oczarowany jak Jacob. Wpatrywał się w urządzenie bez jednego mrugnięcia, jakby pogrążony w transie.

W końcu zamknął pokrywę. Jacob zauważył, że ET wygląda na zmęczonego. Pewnie za ciężko pracuje - pomyślał. Zamienili parę słów idąc wokół kopuły z powrotem do Jefferya i Keplera.

Jacob słuchał z uwagą, choć niewiele rozumiał ze sprzeczki między szympansem i jego szefem dotyczącej jakiegoś mało istotnego wyskalowania jednej z kamer. Jeffrey zresztą zaraz ich opuścił, tłumacząc się jakąś sprawą na dnie groty, chwilę później odszedł też Kulla. Dwaj mężczyźni pozostali jeszcze kilka minut rozmawiając o aparaturze, potem Kepler przepuścił Jacoba, żeby szedł przodem, kiedy będą wracać dookoła pętli. Jacob był w połowie drogi, gdy do jego uszu dobiegły nagle odgłosy zamieszania. Przed nim, u góry, ktoś krzyczał w gniewie. Przyspieszył kroku, próbując nie zwracać uwagi na to, co oczy mówiły mu o zakrzywieniu pętli grawitacyjnej. Ścieżka nie była jednak przeznaczona do szybkiego marszu. Szarpnęły nim różne części skomplikowanego pola grawitacyjnego i po raz pierwszy doświadczył nieprzyjemnego przyciągania z różnych kierunków. Na szczycie łuku zaczepił stopą o obluzowaną płytę w podłodze i wyrwał ją. Kilka sworzni rozsypało się po zakrzywionym pomoście. Starał się utrzymać równowagę, ale nieprzyjemny widok na obie części wygiętej ścieżki sprawił, że się zatoczył. Zanim zdołał dotrzeć do włazu wiodącego na górną połowę pokładu, Kepler dogonił go. Krzyk rozlegał się na zewnątrz statku.

U stóp pochylni podniecony Fagin wymachiwał gałęziami. Kilku członków personelu bazy biegło w kierunku LaRoque’a i Jeffreya, którzy siłowali się, spleceni w zapaśniczym uścisku.

LaRoque z twarzą czerwoną jak burak sapał i natężał siły, próbując odepchnąć ręce Jeffreya od swojej głowy. Złożył dłoń w pięść i walił nią na odlew bez żadnego widocznego efektu. Szymp wrzeszczał co chwila i obnażał zęby, usiłując lepiej chwycić głowę LaRoque’a i zniżyć ją do poziomu swojej własnej. Żaden z nich nie zauważył tworzącego się zbiegowiska. Nie zwracali też uwagi na ramiona, które usiłowały ich rozdzielić. Pędząc na górę Jacob ujrzał, jak LaRoque wyswobadza jedną rękę i sięga po zwisającą na sznurku u pasa kamerę.

Jacob przecisnął się do walczących. Nie czekając uderzył dziennikarza kantem dłoni w nadgarstek i wytrącił mu kamerę, a drugą ręką chwycił szympansa za sierść na karku. Szarpnął do tyłu z całej siły i odrzucił Jeffreya w ramiona Keplera i Kulli. Szympans nie przestawał się wyrywać. Długimi, potężnymi małpimi ramionami próbował wyswobodzić się z obejmującego go uścisku. Odrzucił głowę do tyłu i wrzasnął. Jacob wyczuł za sobą ruch. Obrócił się i palnął dłonią w pierś LaRoque’a, który właśnie ruszył do przodu. Dziennikarzowi ziemia wymknęła się spod stóp i wylądował z głośnym:

„Oop”!

Jacob sięgnął po kamerę na pasku LaRoque’a, ale ten w tej samej chwili też wyciągnął po nią rękę. Sznurek pękł z trzaskiem. Próbującego podnieść się dziennikarza odciągnęli robotnicy.

Jacob uniósł ręce.

- Dosyć już tego! - zawołał. Ustawił się tak, że ani LaRoque, ani Jeffrey nie mogli swobodnie zobaczyć jeden drugiego. LaRoque spoglądał gniewnie i przyciskał do siebie jedną rękę, nie zwracając uwagi na mechaników, który trzymali go za ramiona. Jeffrey ciągle natężał mięśnie próbując się uwolnić, Kulla i Kepler trzymali go jednak mocno. Stojący za nimi Fagin pogwizdywał bezradnie.

Jacob ujął w dłonie twarz szympa. Jeffrey warknął na niego.

- Szympansie Jeffreyu, posłuchaj mnie! Jestem Jacob Demwa. Jestem człowiekiem. Jestem kierownikiem w Programie Wspomagania. Mówię ci, że postępujesz w sposób niewłaściwy... zachowujesz się jak zwierzę!

Głowa Jeffreya odskoczyła do tyłu, jakby dostał w twarz. Przez chwilę spoglądał na Jacoba nieprzytomnie, zaczynał już nawet warczeć, ale nagle głęboko osadzone brązowe oczy rozbiegły się. Zwisł bezwładnie w ramionach Kulli i Keplera. Jacob przytrzymał kudłatą głowę. Drugą ręką przygładził zmierzwioną sierść szympansa.

Jeffrey wzdrygnął się.

- Teraz się odpręż - powiedział łagodnie Jacob. - Spróbuj się pozbierać. I opowiedz nam, co się stało. Wszyscy posłuchamy.

Roztrzęsiony Jeffrey podniósł rękę do wyświetlacza mowy. Minęło kilka minut, zanim powoli wypisał na nim: PRZEPRASZAM. Podniósł pokorny wzrok na Jacoba. - W porządku - odparł człowiek. - Tylko prawdziwi mężczyźni potrafią przepraszać. Jeffrey wyprostował się. Z wystudiowanym opanowaniem skinął głową do Keplera i Kulli. Ci zwolnili uścisk, a Jacob cofnął się o krok.

Pomimo wszelkich swoich sukcesów w postępowaniu z delfinami i szympami przy Programie, czuł się nieco zażenowany swoją protekcjonalnością, kiedy przemawiał do Jeffreya. Ryzykował, powołując się wobec naukowca - szympa na imię rodowe, ale udało się. Z tego, co Jeffrey mówił wcześniej, Jacob wywnioskował, że szympans miał w sobie mnóstwo szacunku dla opiekunów, rezerwował go jednak tylko dla niektórych ludzi, bynajmniej nie dla wszystkich. Jacob był zadowolony, że udało mu się wykorzystać ten kapitał, ale nie napełniało go to szczególną dumą.

Kepler przejął kierownictwo, gdy tylko zobaczył, że Jeffrey się uspokoił.

- Co tu się dzieje, do jasnej cholery! - krzyknął, patrząc z wściekłością na LaRoque’a.

- To zwierzę mnie zaatakowało - zapiszczał dziennikarz. Właśnie udało mi się pokonać lęk i

wydostać się z tej okropnej maszyny. Rozmawiałem ze szlachetnym Faginem, kiedy ta bestia rzuciła się na mnie zwinnie jak tygrys, i musiałem walczyć o życie!

KŁAMCA! SABOTAŻYSTA! ZNALAZŁEM OBLUZOWANĄ POKRYWĘ KONTROLERA PC. FAGIN MÓWI, ŻE TEN PALANT WYSZEDŁ DOPIERO WTEDY, KIEDY USŁYSZAŁ, ŻE NADCHODZIMY.

- Proszę wybaczyć moje sprostowanie! - zaświstał Fagin. - Nie użyłem pejoratywnego określenia „palant”. Odpowiedziałem tylko na zapytanie... - Był tam całą godzinę! - Jeffrey przerwał na głos, krzywiąc twarz z wysiłku.

Biedny Fagin - pomyślał Jacob.

- Mówiłem ci już! - odkrzyknął LaRoque. - Boję się tego zwariowanego miejsca! Połowę tego czasu spędziłem, trzymając się podłogi! Posłuchaj, ty małpiatko, nie wyzywaj mnie! Obelgi zachowaj dla swoich kumpli z drzewa!

Szymp wrzasnął, a Kulla i Kepler pospieszyli, żeby powstrzymać obu przeciwników.

Jacob podszedł do Fagina, nie wiedząc, co powiedzieć.

Kanten przemówił do niego łagodnie przez wrzawę:

- Wydaje się, że kimkolwiek byli wasi opiekunowie, musieli być w istocie bardzo wyjątkowi, przyjacielu Jacobie.

Jacob bezsilnie pokiwał głową.

9. Wspomnienie o alce olbrzymiej

Jacob obserwował grupkę zebraną u stóp pochylni. Kulla i Jeffrey, każdy na swój własny sposób, prowadzili ożywioną dyskusję z Faginem. Obok zgromadziło się kilka osób z personelu Bazy; być może chcieli w ten sposób uciec od natarczywych pytań LaRoque’a. Od wybuchu kłótni dziennikarz przechadzał się z godnością po grocie, zasypując pytaniami zajętych pracą i użalając się przed tymi, którzy odpoczywali. Przez jakiś czas jego wściekłość z powodu utraty kamery była naprawdę straszliwa, potem powoli opadła do poziomu, który Jacob określiłby jako graniczący z apopleksją. - Nie wiem właściwie, dlaczego odebrałem to LaRoque’owi - powiedział Jacob do Keplera, wyjmując przedmiot z kieszeni. Wąska czarna kamera ozdobiona była mnóstwem maleńkich guzików i przełączników. Wyglądała jak doskonałe narzędzie reporterskie, małe, wszechstronne i najwyraźniej bardzo drogie.

Wręczył ją Keplerowi.

- Chyba myślałem, że sięga po jakąś broń.

- Tak czy owak, sprawdzimy to, na wszelki wypadek. Tymczasem chciałbym podziękować panu za to, jak pan sobie z tym wszystkim poradził - Kepler schował kamerę do kieszeni.

- Proszę nie przesadzać. Przepraszam, że wszedłem w pana kompetencje. - Jacob wzruszył ramionami.

Kepler zaśmiał się.

- Do diabła, ciszę się, że pan to zrobił! Ja na pewno nie wiedziałbym, jak się zachować!

Jacob uśmiechnął się, choć nadal czuł zakłopotanie.

- Co chce pan teraz zrobić? - spytał.

- Cóż, zamierzam przetestować układ kontrolujący przypływ czasu na statku Jeffa, żeby upewnić się, że wszystko jest w porządku, choć mam nadzieję, że w istocie jest. Nawet jeśli LaRoque myszkował koło aparatury, to co mógł zrobić? Do obsługi obwodów potrzebne są specjalne narzędzia, a on nic takiego nie miał.

- Ale pokrywa rzeczywiście była obluzowana, kiedy wychodziliśmy z łuku grawitacyjnego.

- Owszem, może LaRoque był po prostu ciekawski. Zresztą, nie zdziwiłbym się zbytnio, gdyby się okazało, że to Jeff obluzował pokrywę, żeby mieć pretekst to zaczepki - zaśmiał się uczony. - Niech pan nie będzie taki zdumiony. Chłopcy jak to chłopcy. A wie pan sam, że nawet najbardziej zaawansowane szympy oscylują pomiędzy skrajną zarozumiałością a psotliwością nastolatka. Jacob wiedział, że to prawda. Nadal jednak nie mógł zrozumieć, czemu Kepler jest tak wyrozumiały wobec LaRoque'a, którym przecież bez wątpienia pogardzał. Czyżby aż tak bardzo zależało mu na dobrej prasie? Kepler jeszcze raz podziękował i odszedł w stronę wejścia do heliostatku, zabierając ze sobą po drodze Kullę i Jeffreya. Jacob znalazł sobie miejsce, w którym nikomu nie przeszkadzał, i usiadł na pakach z ładunkiem.

Z wewnętrznej kieszeni kurtki wyciągnął plik papierów. Wielu pasażerów Bradbury'ego otrzymało dziś maserogramy z Ziemi. Jacob z trudem powstrzymał się od śmiechu, widząc konspiracyjne spojrzenia, które Millie Martine wymieniała z Bubbakubem, kiedy Pilanin przyszedł odebrać zakodowaną wiadomość. Podczas śniadania doktor Martine usiadła pomiędzy Bubbakubem a LaRoque'em, starając się pogodzić kłopotliwą ksenofilię Ziemianina z powściągliwą podejrzliwością dyrektora Biblioteki. Wyglądało na to, że zależy jej na zbudowaniu pomostu pomiędzy nimi. Kiedy jednak nadeszły depesze, LaRoque pozostał sam, a Martine i Bubbakub pospieszyli na górę. Nie wpłynęło to chyba korzystnie na humor dziennikarza. Jacob skończył jedzenie i zastanawiał się nad wizytą w laboratorium medycznym, zamiast tego jednak poszedł odebrać maserogramy. Kiedy wrócił do swoich pokoi, materiały z Biblioteki utworzyły ćwierćmetrową stertę. Umieścił ją na biurku i zapadł w trans czytania. Trans ten był techniką służącą do przyswajania wielkiej ilości informacji w krótkim czasie. W przeszłości już wiele razy okazał się przydatny, a jego jedyną wadą było to, że wyłączał zdolności krytycznej analizy. Zdobyte dzięki niemu informacje były przechowywane w umyśle, ale cały materiał trzeba było przeczytać jeszcze raz, normalnie, żeby go sobie przypomnieć.

Kiedy Jacob odzyskał przytomność, papiery leżały po lewej stronie. Był pewien, że wszystkie przeczytał. Przyswojone informacje czaiły się na krawędzi świadomości - pojedyncze fragmenty kapryśnie wyskakiwały z niepamięci, żywiołowe i na razie jeszcze nie powiązane w całość. Przynajmniej tydzień miało mu zająć wyuczenie się, z poczuciem deja vu, tego, co przeczytał w transie. Jeśli więc nie chciał zbyt długo czuć się zagubiony, powinien zaraz zacząć brnąć przez materiały metodą tradycyjną. Teraz więc, przysiadłszy na plastykowej pace z ładunkiem w grocie heliostatków, Jacob przeglądał na chybił trafił papiery, które ze sobą przyniósł. Oderwane fragmenty wydawały się znajome.

...Rasa Kisa, dopiero co wyzwolona z terminowania u Soran, odkryła planetę Pila niedługo po

ostatniej migracji kultury galaktycznej w ten obszar kosmosu. Wyraźne ślady wskazywały, że około dwustu milionów lat wcześniej planeta ta była zasiedlona przez inną wędrującą rasę. W danych Archiwum Galaktycznego stwierdzono, że Pilę przez sześćset mileniów zamieszkiwał gatunek Mellin (zob. indeks: gatunki wymarłe, Mellin). Ponieważ Pila leżała odłogiem przez okres dłuższy niż wymagany, po przeprowadzeniu rutynowej inspekcji zarejestrowano ją jako kolonię Kisa w klasie C (zamieszkanie czasowe, nie dłużej niż trzy miliony lat, dozwolony tylko minimalny wpływ na istniejącą biosferę). Kisa odkryli na Pili gatunek przedrozumny, którego nazwa powstała od nazwy rodzinnej planety...

Jacob spróbował wyobrazić sobie Pilan przed przybyciem rasy Kisa oraz początek ich wspomagania. Niewątpliwie prymitywni myśliwi i zbieracze. Czy byliby tacy sami dzisiaj, pół miliona lat później, gdyby Kisa nigdy do nich nie przybyli? A może własnymi siłami, bez żadnej pomocy opiekunów, stworzyliby odrębną kulturę? Niektórzy z ziemskich antropologów utrzymywali, że to możliwe.

Tajemniczy odnośnik do wymarłego gatunku „Mellin" ujawniał skalę czasową, jaką obejmowały starożytne cywilizacje Galaktów i ich niewiarygodna Biblioteka. Dwieście milionów lat! Tak dawno temu planeta Pila była w posiadaniu rasy kosmicznych wędrowców, którzy zamieszkiwali ją przez sześćset tysiącleci, w czasach gdy przodkowie Bubbakuba byli nic nie znaczącymi, ryjącymi nory zwierzętami.

Mellinowie płacili pewnie należne stawki i mieli własną Filię Biblioteki. Odnosili się z należnym szacunkiem (choć może bardziej w słowach niż w czynach) do rasy opiekunów, która wspomogła ich na długo, zanim skolonizowali Pilę i zanim sami z kolei, być może, wspomogli jakiś obiecujący gatunek, który znaleźli po przybyciu - biologicznych kuzynów ludu Bubbakuba - który zresztą do dzisiaj też już pewnie wyginął. Nagle dziwaczne Galaktyczne Prawo Rezydentury i Migracji ukazało Jacobowi swój sens. Zmuszało ono gatunki do patrzenia na ich planety jak na czasowe miejsca pobytu, mające w przyszłości przypaść rasom, których obecna postać mogła być śmieszna i niepozorna. Nic dziwnego, że wielu z Galaktów patrzyło złym okiem na postępowanie ludzkości na Ziemi. Tylko dzięki wpływom Tymbrymczyków i innych przyjaznych ras ludziom udało się nabyć od nieruchawego i fanatycznie proekologicznego Instytutu Migracji trzy kolonie w konstelacji Łabędzia. Dobrze się przy tym stało, że Vesarius przywiózł dosyć ostrzeżeń, by ludzkość zdołała zniszczyć dowody części swoich przestępstw! Jacob był jednym z mniej niż stu tysięcy ludzi, którzy wiedzieli, że kiedykolwiek istniały takie stworzenia jak krowa morska, gigantyczny leniwiec naziemny czy orangutan. Demwa bardziej od innych zdawał sobie sprawę, że te ofiary Człowieka mogły kiedyś stać się gatunkami myślącymi, i żałował, że nie dano im tej szansy. Pomyślał o Makakai, o wielorybach i o tym, z jakim trudem je uratowano.

Zebrał papiery i powrócił do kartkowania. Czytając dalej, natrafił na kolejny fragment, który rozpoznał natychmiast. Dotyczył on rasy Kulli.

...skolonizowana przez ekspedycję z Pili. (Pilanie, zagroziwszy swym patronom Kisa, że wezwą Soran do Świętej Wojny, uwolnili się spod ich opieki.) Uzyskawszy koncesję na planetę Pring, Pilanie objęli ją w posiadanie, poważnie odnosząc się do ustalonych w kontrakcie warunków minimalnego wpływu na środowisko. Inspektorzy Instytutu Migracji zanotowali, że przebywający na Pringu Pilanie stosują doskonalsze od przeciętnych zabezpieczenia, mające na celu ochronę miejscowych gatunków, z których kilka zdawało się posiadać rzeczywisty potencjał przedrozumny.

Wśród tych, którym na skutek założenia kolonii zagroziło wyginięcie, znajdowali się także genetyczni przodkowie rasy Pringów. Ich nazwa gatunkowa również pochodzi od rodzinnej planety... Jacob zanotował sobie w pamięci, żeby dowiedzieć się więcej o Świętych Wojnach Pilan. Rasę Bubbakuba cechował w polityce galaktycznej agresywny konserwatyzm. Święte Wojny, czyli Dżihad, były w założeniu ostatecznym środkiem, który ludy galaktyki stosowały, by zmusić opornych do przestrzegania odwiecznych obyczajów. Instytuty strzegły tradycji, ale jej narzucenie pozostawiały opinii większości - albo najsilniejszego. Jacob był pewien, że w rejestrach Biblioteki znalazłoby się mnóstwo usprawiedliwionych Świętych Wojen, wobec nielicznych tylko, „godnych pożałowania" przypadków, kiedy to jakieś gatunki wykorzystały tradycję jako pretekst do wzniecenia wojny z nienawiści lub żądzy władzy.

Historię piszą zazwyczaj zwycięzcy.

Ciekaw był, jaka skarga sprawiła, że Pilanie wyzwolili się spod opieki gatunku Kisa. Był też ciekaw, jak ci Kisa wyglądali.

Drgnął, kiedy rozległ się głośny dźwięk dzwonu, odbijający się echem po całej grocie. Łoskot odezwał się jeszcze trzy razy, rezonując na kamiennych ścianach i podrywając Jacoba na równe nogi.

Wszyscy robotnicy w zasięgu jego wzroku przerwali pracę i patrzyli na olbrzymie wrota prowadzące przez śluzę powietrzną i tunel na powierzchnię planety. Wierzeje rozsunęły się powoli z niskim dudnieniem. Z początku w poszerzającej się szczelinie widać było tylko ciemność. Potem ukazało się coś dużego i jasnego, co uderzało w szparę z drugiej strony, jak szczeniak, który niecierpliwie trąca nosem drzwi, żeby prędzej je otworzyć i wpaść do środka.

Była to druga lśniąca, lustrzana bańka, podobna do tej, którą Jacob niedawno zwiedzał, tyle że większa. Unosiła się ponad dnem tunelu, jakby była niematerialna. Statek zahuśtał się nieznacznie w powietrzu, a kiedy droga stanęła wreszcie otworem, wleciał do wysokiego hangaru, jak gdyby gnał go powiew z zewnątrz. Wzdłuż jego boków przepływały błyszczące odbicia skalnych ścian, urządzeń i ludzi.

Kiedy statek podleciał bliżej, rozległy się trzaski i słabe buczenie. Robotnicy zgromadzili się przy niedalekim rusztowaniu.

Obok przemknęli Jeffrey i Kulla. Jacob zobaczył, że szympans posyła mu uśmiech i macha, żeby się przyłączył. Odwzajemnił uśmiech i ruszył za nimi, składając po drodze papiery i wsuwając je do kieszeni. Poszukał wzrokiem Keplera. Szef Słonecznego Nurka został pewnie na pokładzie statku Jeffreya, żeby dokończyć inspekcji, bo Jacob nie mógł go nigdzie dojrzeć. Nowo przybyły statek trzaskał tymczasem i syczał, manewrując nad swoim gniazdem, nim zaczął się na nie powoli opuszczać. Trudno było uwierzyć, że nie świeci swoim własnym światłem, tak bardzo jaśniała jego zwierciadlana powierzchnia. Jacob stanął na uboczu, obok Fagina. Obaj patrzyli, jak statek opada na gniazdo. - Wydajesz się zatopiony w myślach - zagwizdał Fagin. - Wybacz, proszę, że przeszkadzam, ale uznałem za dopuszczalne pytanie o naturę twoich rozmyślań. Jacob stał na tyle blisko Fagina, że mógł wyłowić słaby zapach podobny trochę do oregano. Listowie obcego drżało łagodnie tuż obok.

- Myślałem chyba o tym, gdzie ten statek był przed chwilą - odpowiedział Jacob. - Próbowałem

sobie wyobrazić, jak jest tam, na dole. I po prostu nie potrafiłem... - Nie powinieneś się martwić. Ja odczuwam podobny lęk, a w dodatku nie jestem zdolny pojąć tego, czego dokonaliście tutaj wy, Ziemianie. Z pokorą oczekuję swojej pierwszej wyprawy na dół.

Znowu mnie zawstydzasz, ty zielony draniu - pomyślał Jacob. - Ciągle próbuję znaleźć jakiś sposób, żeby nie musieć lecieć na to zwariowane nurkowanie. A ty paplesz naokoło, jak to się niecierpliwisz, żeby już się tam znaleźć!

- Nie chciałbym nazywać cię kłamcą, Faginie, ale myślę, że przesadzasz nieco z dyplomacją, mówiąc, że ten program robi na tobie wrażenie. Według standardów galaktycznych ta technika to wczesna epoka kamienna. I nie powiesz mi, że do tej pory nikt nigdy nie nurkował w gwiazdach! Sofonci wędrują w Galaktyce prawie od miliarda lat. Cokolwiek warto było zrobić, zrobiono już przynajmniej trylion razy! Kiedy to mówił, w jego głosie słychać było nieuchwytną gorycz. Siła tego uczucia zdziwiła go samego.

- To bez wątpienia prawda, przyjacielu Jacobie. Nie udaję wcale, że Słoneczny Nurek jest jedyny w swoim rodzaju. Jest tylko wyjątkowy dla mnie. Rozumne rasy, z którymi miałem do czynienia, zadowalały się badaniem swoich słońc na odległość i porównywaniem wyników z normami z Biblioteki. Dla mnie ta ekspedycja to przygoda w najczystszej postaci. Prostokątny płatek heliostatku zaczął odchylać się w dół, tworząc trap sięgający krawędzi rusztowania.

- Ale przecież musiano dokonywać wcześniej nurkowań załogowych! - Jacob zmarszczył brwi. - To chyba oczywiste, że jeśli jest taka możliwość, trzeba ją w którymś momencie wypróbować! Nie uwierzę, że jesteśmy pierwsi!

- To rzeczywiście nie ulega raczej wątpliwości - odparł Fagin powoli. - Jeśli nawet nie kto inny, to na pewno robili to Przodkowie. Mówi się, że zanim odeszli, zrobili wszystko. Tak wiele ludów robiło tyle różnych rzeczy, że trudno jest wiedzieć coś na pewno. Jacob zadumał się nad tym zdaniem.

Kiedy statek przybliżył się do pochylni, podszedł Kepler, uśmiechając się do Jacoba i Fagina.

- A! Tutaj jesteście. Porywające, prawda? Wszyscy się zebrali! Tak jest za każdym razem, kiedy ktoś wraca ze Słońca, nawet z takiego krótkiego nurkowania zwiadowczego jak to!

- Tak - odparł Jacob. - Strasznie porywające. Hm, chciałbym pana o coś zapytać, doktorze Kepler. Zastanawiałem się, czy pytał pan Filię Biblioteki w La Paz o informacje na temat pańskich Słonecznych Duchów. Ktoś na pewno spotkał już podobne zjawisko i jestem pewien, że bardzo by to pomogło, gdyby mieć...

Jego głos zamarł, kiedy zobaczył, jak gaśnie uśmiech Keplera. - Z tego właśnie powodu przydzielono do nas Kullę, panie Demwa. Miał to być projekt prototypowy: miał sprawdzać, jak radzimy sobie z łączeniem samodzielnych badań i ograniczonej pomocy ze strony Biblioteki. Plan działał nieźle, dopóki budowaliśmy statki. Muszę przyznać, że technika galaktyczna jest zdumiewająca. Jednak od tamtego czasu Biblioteka właściwie w ogóle się nie przydała. To naprawdę bardzo skomplikowane. Miałem nadzieję, że powiem o tym szerzej jutro, jak już będzie pan miał kompletny raport, ale widzi pan sam...

Zewsząd dobiegły głośne wiwaty, tłum zafalował. Kepler uśmiechnął się z rezygnacją.

- Później! - zawołał.

Dwie kobiety i trzech mężczyzn machało ze szczytu rusztowania do wiwatującego tłumu. Jedna z kobiet, wysoka i szczupła, z krótko obciętymi blond włosami, spostrzegła spojrzenie Jacoba i uśmiechnęła się. Kiedy zaczęła schodzić, reszta załogi ruszyła za nią. To musiała być komendant Bazy Merkuriańskiej. Jacob słyszał o niej od czasu do czasu przez ostatnie dwa dni. Zeszłego wieczoru na przyjęciu jeden z lekarzy nazwał ją najlepszym komendantem, jakiego Konfederacja kiedykolwiek miała na merkuriańskiej placówce. Jakiś młodszy mężczyzna wpadł wówczas w słowo staremu wydze, mówiąc, że jest ona także „lisem". Jacob uznał, że technik medyczny miał na myśli zdolności umysłowe komendanta. Patrząc teraz jak kobieta (sądząc z wyglądu, była to właściwie dziewczyna) schodzi sprężystym krokiem po trapie, zdał sobie sprawę, że tamta uwaga mogła mieć jeszcze inne pochlebne znaczenie.

Tłum rozdzielił się i kobieta podeszła do szefa Słonecznego Nurka, wyciągając rękę. - Są tam bez dwóch zdań! - powiedziała. - Zeszliśmy w dół do tau dwie dziesiąte w pierwszym aktywnym regionie i były tam! Do jednego doszliśmy bliżej niż na osiemset metrów! Jeff nie będzie miał żadnych problemów. To było największe stado magnetożerców, jakie kiedykolwiek widziałam!

Jacob stwierdził, że jej głos jest niski i melodyjny. A także pewny siebie. Trudno było tylko określić jej akcent. Wymawiała słowa dość osobliwie, jakby staroświecko. - Cudownie! Cudownie! - kiwnął głową Kepler. - Gdzie pszczoły, tam i miód, co?

Ujął ją za ramię i obrócił, żeby przedstawić Fagina i Jacoba. - Sofonci, to jest Helene deSilva, komendant Konfederacji na Merkurym i moja prawa ręka. Bez niej bym sobie nie poradził. Helene, to jest pan Jacob Alvarez Demwa, o którym mówiłem ci przez maser. Kantena Fagina spotkałaś już oczywiście parę miesięcy temu na Ziemi. O ile mi wiadomo, wymieniliście kilka maserogramów od tamtego czasu. Kepler dotknął ręki deSilvy.

- Muszę teraz biec, Helene. Trzeba się zająć paroma wiadomościami z Ziemi. Już i tak odkładałem je zbyt długo, żeby być tu na twoje przybycie, muszę więc już chyba iść. Na pewno wszystko poszło gładko? Załoga jest wypoczęta? - Jasne, doktorze Kepler, wszystko jest wyśmienicie. Spaliśmy w drodze powrotnej.

Zobaczymy się później, kiedy będziemy odprowadzać Jeffa. Szef Słonecznego Nurka pożegnał się z Jacobem i Faginem, skinął też zdawkowo LaRoque'owi, który stał na tyle blisko, że mógł co nieco podsłuchać, ale nie dość blisko, by uczestniczyć w rozmowie. Kepler oddalił się w kierunku wind. Helene deSilva ukłoniła się z szacunkiem Faginowi w taki sposób, że większość ludzi nie potrafiłaby uściskać się równie ciepło. Promieniowała radością, widząc obcego ponownie, i to samo uczucie brzmiało w jej głosie.

- A oto pan Demwa - powiedziała potrząsając dłonią Jacoba. - Kant Fagin mówił o panu. To pan jest tym dzielnym młodym człowiekiem, który zszedł aż do dna Igły Ekwadorskiej, żeby ją ocalić. Nie ustąpię, dopóki nie usłyszę tej opowieści od samego bohatera! Jacob poczuł, że w środku coś mu się skuliło, jak zawsze, kiedy wspominano o Igle.

Pokrył to śmiechem.

- Proszę mi wierzyć, ten skok nie był umyślny! Tak naprawdę, to myślę, że raczej wolałbym iść na jedną z tych pani słonecznych majówek z przypiekaniem stóp, niż zrobić tamto jeszcze raz!

Kobieta zaśmiała się, ale jednocześnie obrzuciła go dziwnym, szacującym spojrzeniem, które spodobało się Jacobowi, mimo że wprawiło go w zakłopotanie. Poczuł się niezręcznie, gdy zabrakło mu słów.

- Eee... w każdym razie to trochę dziwne być nazwanym „młodym człowiekiem" przez osobę tak młodą, na jaką pani wygląda. Musi pani być bardzo kompetentna, skoro powierzono pani takie stanowisko, zanim troski naznaczyły zmarszczkami pani twarz. DeSilva znów się zaśmiała.

- Jak szarmancko! To bardzo miło z pana strony, ale tak się składa, że moje niewidzialne zmarszczki warte są sześćdziesięciu pięciu lat życia. Byłam młodszym oficerem na Calypso. Może pan pamięta, że parę lat temu powróciliśmy do naszego Układu. Mam ponad dziewięćdziesiąt lat!

- Ach!

Członkowie załóg statków kosmicznych stanowili bardzo specyficzną kategorię ludzi. Bez względu na subiektywny wiek, po powrocie do domu mogli przebierać w zajęciach. Jeśli oczywiście zdecydowali się pracować dalej.

- Cóż, w takim razie naprawdę muszę traktować panią z należnym jej respektem... babciu.

DeSilva cofnęła się o krok i podniosła głowę, spoglądając na niego zmrużonymi oczami. - Tylko proszę nie popaść za bardzo w przesadę z drugiej strony! Zbyt ciężko pracowałam nad tym, by stać się kobietą, a jednocześnie oficerem, żeby chcieć teraz wprost z małolaty zmienić się w rencistkę. Jeżeli pierwszy pociągający mężczyzna, który zjawia się tutaj od miesięcy i nie jest pod moją komendą, zacznie myśleć, że jestem nieprzystępna, to mogę zwyczajnie nabrać chęci, żeby kazać zakuć go w kajdany! Połowa jej określeń była archaiczna i niezrozumiała (co to, u diabła, jest „małolata"?), ale to, co mówiła, było mimo wszystko jasne. Jacob uśmiechnął się i złożył ręce w geście poddania - zresztą dość chętnie. Helene deSilva w pewien sposób przypominała mu bardzo Tanie. Podobieństwo było nieuchwytne. Poczuł dreszcz, także nieuchwytny i trudny do określenia. Wyglądało jednak, że warto iść tym śladem.

Jacob otrząsnął się. Filozoficzno-emocjonalne pieprzenie. Był w tym bardzo dobry, kiedy sobie pofolgował. Prosty fakt był zaś taki, że komendant Bazy była cholernie atrakcyjną kobietą.

- Niechaj tak się stanie - rzekł. - I przeklęty ten, kto pierwszy powie: „Dość już tego"!

DeSilva zaśmiała się. Ujęła go delikatnie za ramię i zwróciła się do Fagina:

- Chodźmy. Chcę, żebyście obydwaj poznali załogę. Potem będziemy zajęci, przygotowując Jeffreya do odlotu. A on jest okropny, jeśli idzie o pożegnania. Nawet wyruszając na takie krótkie nurkowanie jak to, zawsze wrzeszczy i ściska się ze wszystkimi, którzy zostają, jakby już nigdy nie miał ich

zobaczyć!

CZĘŚĆ CZWARTA

Wykorzystanie Sondy Słonecznej jest jedynym sposobem na uzyskanie danych dotyczących rozkładu masy i momentu pędu we wnętrzu Słońca... wykonanie zdjęć o dużej rozdzielczości... wykrycie neutronów uwalnianych w procesach jądrowych zachodzących na powierzchni Słońca lub w jej pobliżu... [oraz] określenie, jakie przyspieszenie posiada wiatr słoneczny.

Wreszcie, uwzględniając wykorzystanie układów komunikacyjnych i naprowadzających, a także, być może, pokładowego masera wodorowego...

Sonda Słoneczna będzie zdecydowanie najlepszym miejscem do poszukiwań fal grawitacyjnych niskiej częstotliwości pochodzących ze źródeł kosmologicznych.

Wyjątek z raportu przedstawionego przez seminarium przygotowawcze NASA

poświęcone Sondzie Słonecznej

10. Żar

Brunatnożółte kształty wisiały na tle różowej mgły, podobne do pierzastych boa i wielkich cukierków zawieszonych na niewidzialnych nitkach. Powyżej sklepiał się rząd smukłych, ciemnych łuków ginących hen, w oddali. Każdy z nich był puszystym powrozem splecionym z gazowych pasemek; łuki malały kolejno wraz z perspektywą, aż ostatni z nich roztapiał się zupełnie w wirującym, czerwonym tumanie. Jacob nie mógł skupić wzroku na żadnym ze szczegółów obrazu holograficznego. Ciemne włókna i serpentyny, które składały się na wizualną topografię środkowej chromosfery, zwodziły zarówno swoim kształtem, jak i strukturą.

Najbliższe włókno wypełniało niemal całkowicie lewy przedni róg obrazu. Wiotkie sploty ciemniejszego gazu okręcały się wokół niewidzialnego pola magnetycznego, które biegło stromym łukiem ponad plamą słoneczną, leżącą prawie tysiąc kilometrów niżej. Wysoko nad tym miejscem, skąd jako światło ulatywała w kosmos większość produkowanej przez Słońce energii, można było na przestrzeni dziesiątków tysięcy kilometrów rozróżnić wiele szczegółów. Mimo to trudno było przywyknąć do myśli, że łuk magnetyczny, na który teraz patrzył, miał mniej więcej rozmiary Norwegii. Był przecież ledwie drobiną w łańcuchu, który sklepiał się na wysokości dwustu tysięcy kilometrów ponad leżącym w dole zgrupowaniem plam słonecznych.

A i ono było fraszką w porównaniu z innymi, które oglądali. Jeden z takich łukowych pejzaży ciągnął

się na długości ćwierć miliona kilometrów. Jego obraz zarejestrowano kilka miesięcy wcześniej, ponad rejonem aktywnym, który od tamtego czasu dawno już zniknął. Podczas robienia zdjęć statek zanadto się do niego nie zbliżał. Powód stał się oczywisty, gdy wierzchołek gigantycznego, skręconego łuku eksplodował w wybuchu, będącym najniezwyklejszym ze wszystkich zjawisk słonecznych. Eksplozja była piękna i straszna - spieniony, wrzący wir jasności, odpowiadający krótkiemu spięciu o niewyobrażalnej mocy. Nawet heliostatek nie przetrzymałby tego nagłego potopu neutronów o wysokiej energii, pochodzących z reakcji jądrowych napędzanych wybuchem, jako że cząstki te były niewrażliwe na osłony elektromagnetyczne statku i było ich zbyt wiele, by wytłumić je za pomocą kompresji czasu. Dlatego właśnie szef Programu Słoneczny Nurek podkreślał, że wybuchy można było zazwyczaj przewidzieć i uniknąć ich.

Dla Jacoba zapewnienie to byłoby bardziej krzepiące bez zastrzeżenia „zazwyczaj". Poza tym odprawa była raczej rutynowa: Kepler przedstawił słuchaczom krótki zarys heliofizyki. Jacob zapoznał się z większością tych zagadnień wcześniej, studiując je na pokładzie Bradbury'ego, ale musiał przyznać, że projekcje z rzeczywistych nurkowań w chromosferze były fantastyczną pomocą wizualną. Jeśli trudno było mu uzmysłowić sobie rozmiary obiektów, które widział, to pretensje mógł mieć tylko do siebie. Kepler objaśnił pokrótce podstawy dynamiki wnętrza Słońca, prawdziwej gwiazdy, dla której chromosfera była tylko cieniutką powłoką.

Ukryte pod tą powłoką jądro niewyobrażalnej masy Słońca napędza reakcje nuklearne, które wytwarzają ciepło i ciśnienie oraz chronią gigantyczną kulę plazmy przed zapadnięciem się pod własnym przyciąganiem grawitacyjnym. Ciśnienie sprawia, że słoneczna kula jest stale „napompowana".

Energia produkowana w tym wewnętrznym palenisku przedostaje się powoli na zewnątrz, czasem jako światło, a czasem w postaci konwekcyjnej wymiany gorącej masy z dołu na chłodniejszą materię napływającą z góry. Dzięki promieniowaniu, potem konwekcji i potem znowu promieniowaniu, energia dociera do grubej na wiele kilometrów warstwy zwanej fotosferą, czyli sferą światła, gdzie ostatecznie wydostaje się na wolność i na zawsze opuszcza Słońce, ulatując w kosmos.

W środku gwiazdy materia jest tak gęsta, że gdyby wewnątrz wydarzył się jakiś nagły kataklizm, to ujawniłby się on na górze jako zmiana ilości światła opuszczającego powierzchnię dopiero po milionie lat.

Słońce jednak nie kończy się na fotosferze; gęstość materii zmniejsza się powoli ze wzrostem wysokości. Jeśliby wziąć pod uwagę jony i elektrony, które rozbiegają się we wszystkich kierunkach w słonecznym wietrze, powodującym zorze polarne na Ziemi i formującym plazmowe ogony komet, to można by powiedzieć, że Słońce nie ma w ogóle kresu. Rozpościera się na wszystkie strony, sięgając innych gwiazd. Aureola korony lśni dookoła obrzeża Księżyca podczas zaćmień Słońca. Jej promienie, które tak delikatnie wyglądają na kliszy fotograficznej, składają się z elektronów rozgrzanych do temperatury milionów stopni. Elektrony te nie szkodzą heliostatkom, gdyż są niemal tak rozrzedzone jak wiatr słoneczny.

Pomiędzy fotosferą i koroną leży chromosfera, „sfera barwy". To w niej stare bóstwo Sol dokonuje ostatecznej przemiany przed spektaklem świetlnym, to w niej odciska swoją spektralną pieczęć na

blasku oglądanym przez Ziemian.

W chromosferze temperatura spada gwałtownie do minimum, do zaledwie kilku tysięcy stopni. Pulsowanie komórek fotosferycznych wysyła fale grawitacji w górę, poprzez chromosferę, delikatnie potrącając odległe o miliony kilometrów struny czasoprzestrzeni, a potężny wiatr porywa ze sobą naładowane cząstki pędzące na grzebieniach fal Alfvena. To było królestwo Słonecznego Nurka: chromosfera, gdzie pola magnetyczne Słońca grają w berka, a zwykłe związki chemiczne łączą się w przedziwne efemerydy. Jeśli tylko wybierze się tu odpowiednie pasmo, wzrok sięga na kolosalną odległość. A jest na co patrzeć. Kepler był w swoim żywiole. W przyciemnionym pokoju jego włosy i wąsy jarzyły się na czerwono w świetle wydobywającym się z projektora. Jego głos brzmiał pewnie, kiedy cienką pałeczką wskazywał zebranym osobliwości chromosfery. Opowiedział o cyklu plam słonecznych, naprzemiennym rytmie wysokiej i niskiej aktywności magnetycznej, który odwraca swój biegun co jedenaście lat. Pola magnetyczne „wyskakują" ze Słońca i tworzą w chromosferze skomplikowane pętle, które czasem można wyśledzić przyglądając się układowi ciemnych włókien w wodorowym świetle. Te skręcone dookoła linii pól włókna żarzyły się pod wpływem skomplikowanych, indukcyjnych prądów elektrycznych. Na zbliżeniu włókna były mniej postrzępione, niż Jacob początkowo sądził. Przez całą długość łuku biegły jasno - i ciemnoczerwone, splątane ze sobą wstęgi, które czasem zwijały się w skomplikowane wzory, aż jakiś zaciśnięty węzeł zbierał je, rozbryzgując wokoło jasne krople, podobne do drobin tłuszczu pryskających z gorącej patelni. Widok był paraliżująco piękny, chociaż jednobarwny czerwony obraz sprawił w końcu, że Jacoba rozbolały oczy. Odwrócił wzrok od projektora i dał mu odpocząć, gapiąc się na ścianę sali projekcyjnej.

Dwa dni, które minęły od czasu, gdy Jeffrey pożegnał się i poprowadził statek na rejs w kierunku Słońca, upłynęły Jacobowi na przyjemnościach zmieszanych z niepowodzeniami. Na pewno były też bardzo pracowite.

Poprzedniego dnia oglądał merkuriańskie kopalnie. Wielkie, wielowarstwowe rzeki, wypełniające gładką, tęczową skorupą czystego metalu ogromne jaskinie wydrążone na północ od Bazy, poraziły Jacoba swoim pięknem. Patrzył z trwogą, jak pomniejszeni przez odległość ludzie i maszyny szarpią ich krawędzie. Na zawsze miał zapamiętać to zdumienie urokiem gigantycznej, zamarzniętej tafli i zuchwałością ludzi, którzy ośmielili się zakłócić go dla zdobycia skarbów.

Przyjemne było też popołudnie spędzone w towarzystwie Helene deSilva. W swoim salonie pani komendant Bazy rozpieczętowała butelkę pozaziemskiego koniaku, której wartości Jacob nie ośmielił się oceniać, i wspólnie ją wypili. W ciągu niewielu godzin polubił ją za jej bystrość i szerokie zainteresowania, a także za miły, staromodny, kokieteryjny powab. Opowiadali sobie mało ważne historie, w niemym porozumieniu zachowując te najciekawsze na później. Helene z przyjemnością słuchała, kiedy opowiadał jej o swojej pracy z Makakai i objaśniał, jak można przekonać młodego delfina - dzięki hipnozie, przekupstwu (pozwalając jej bawić się zabawkami w rodzaju mechanicznego pływacza) i miłości - do skupienia się na charakterystycznym dla ludzi toku myślenia abstrakcyjnego, zamiast (albo oprócz) Wielorybiego Snu. Opowiadał, jak z kolei Sen Wielorybów jest stopniowo coraz lepiej rozumiany, dzięki zastosowaniu filozofii Indian Hopi i Aborygenów australijskich, które pomagały przetłumaczyć ten całkowicie obcy świat na coś, co było mgliście dostępne dla umysłu człowieka.

Helene deSilva słuchała tak, że wysysało to wprost słowa z Jacoba. Kiedy skończył opowieść, promieniała zadowoleniem i odwzajemniła się taką historią o mrocznej gwieździe, że włosy stanęły mu dęba.

Mówiła o Calypso tak, jak gdyby była jej matką, dzieckiem i kochankiem jednocześnie. Ten statek i jego załoga były dla niej domem zaledwie przez trzy lata czasu subiektywnego, ale po powrocie na Ziemię czas ten stał się nicią łączącą ją z przeszłością. Z tych, których pozostawiła na Ziemi, wyruszając w kosmos, tylko najmłodsi doczekali powrotu Calypso, a i oni byli już bardzo starzy.

Kiedy zaproponowano jej czasowy przydział do Słonecznego Nurka, skwapliwie skorzystała z tej możliwości. Naukowa przygoda ekspedycji słonecznej wraz z szansą na zdobycie doświadczenia w dowodzeniu były prawdopodobnie dostatecznymi powodami, ale Jacob pomyślał, że wyczuwa za jej decyzją jeszcze inną przyczynę. Choć Helene próbowała tego nie okazywać, najwyraźniej potępiała obydwie skrajności zachowania, z których słynęli powracający z gwiazd kosmonauci: pustelniczą zaściankowość i rozpasany hedonizm. Spod maski rzeczowości i kompetencji z roześmianego, wesołego wnętrza przezierało coś, co najlepiej można by określić mianem nieśmiałości. Jacob miał nadzieję, że podczas pobytu na Merkurym dowie się o niej więcej. Kolację jednak odłożono. Doktor Kepler urządził oficjalny bankiet i, jak to się na ogół przy takich okazjach dzieje, Jacob przez cały wieczór nie musiał o niczym myśleć, patrząc, jak wszyscy kłaniają się sobie i prawią grzeczności i pochlebstwa. Największy zawód przyszedł ze strony samego Słonecznego Nurka. Jacob próbował wypytywać deSilve, Kullę i z tuzin inżynierów, ale za każdym razem dostawał tę samą odpowiedź:

- Oczywiście, panie Demwa, tylko czy nie lepiej byłoby porozmawiać o tym po prelekcji doktora Keplera? Wtedy będzie to o wiele prostsze...

Nabierał coraz więcej podejrzeń.

Sterta dokumentów z Biblioteki ciągle leżała w jego pokoju. Co jakiś czas poświęcał godzinę na ich czytanie w normalnym stanie świadomości. Brnąc przez górę papierów, rozpoznawał poszczególne fragmenty, gdy tylko rzucił na nie wzrokiem. ...nie wiadomo też, dlaczego Pringowie są gatunkiem dwuocznym, skoro żadna miejscowa postać życia na ich planecie nie ma więcej niż jedno oko. Przyjmuje się na ogół, że zarówno ta, jak i inne różnice są rezultatem manipulacji genetycznych dokonywanych przez kolonistów pilańskich. Mimo że Pilanie nie są skłonni do udzielania odpowiedzi na pytania przedstawicieli Instytutów, przyznają jednak, że przekształcili Pringów z poruszających się za pomocą brachiacji zwierząt nadrzewnych w sofontów mogących chodzić i pracować na roli i w miastach.

Wyjątkowe uzębienie Pringów ma swoje źródło w fakcie, że poprzednio byli oni zwierzętami żerującymi na drzewach. Ich szczególny aparat zębowy rozwinął się, by umożliwić zeskrobywanie zewnętrznej warstwy pożywnej kory z drzew na planecie. Kora ta zastępowała owoce, służąc wielu roślinom na Pringu jako narząd do rozprzestrzeniania zarodników...

Taka więc była geneza dziwacznych zębów Kulli! Kiedy się znało przeznaczenie kafarów Pringa, ich widok był mniej odrażający. Fakt, że miały funkcję wegetariańską, był zdecydowanie uspokajający.

Ciekawe, swoją drogą, jak dobrze spisała się Biblioteka z tym raportem. Oryginał został pewnie

napisany dziesiątki, jeśli nie setki lat świetlnych od Ziemi, na długo przed Kontaktem. Maszyny semantyczne z Filii w La Paz z pewnością znały się na przekładzie obcych słów i znaczeń na sensowne angielskie zdania, choć oczywiście coś mogło zaginąć w tłumaczeniu. Instytut Biblioteczny musiał poprosić ludzi o pomoc w programowaniu tych maszyn, zaraz po tamtych pierwszych, fatalnych próbach tuż po Kontakcie, i fakt ten mógł być źródłem niewielkiej satysfakcji. ET, przyzwyczajeni do tłumaczeń dla gatunków, których języki wywodziły się wszystkie z tej samej powszechnej Tradycji, zlękli się początkowo „kapryśnej i nieprecyzyjnej" struktury języków ludzkich. Lamentowali więc (albo ćwierkali, albo terkotali, albo kląskali) w rozpaczy nad poziomem, do jakiego stoczył się zwłaszcza angielski, stając się wspaniałym, zależnym od kontekstu, bałaganem. Łacina, czy jeszcze lepiej indoeuropejski z późnego neolitu, ze swoimi dobrze rozwiniętymi systemami koniugacji i deklinacji, byłyby dogodniejsze. Ludzie jednak z uporem odmawiali zmiany swojej lingua franca ze względu na Bibliotekę (chociaż Skórzani i Koszule zaczęli dla przyjemności studiować indoeuropejski, jedni i drudzy z własnych powodów) i w zamian wysłali najinteligentniejszych spośród siebie, by pomogli przystosować się pomocnym pozaziemcom.

Pringowie służą na farmach i w miastach prawie wszystkich planet Pilan, z wyjątkiem ich macierzystej planety, Pili. Słońce Pili, karzeł klasy F3, jest najwyraźniej zbyt jasne dla Pringów na ich obecnym poziomie wspomagania (słońce Pring ma klasę F7). Powód ten podawany jest jako uzasadnienie trwających dalej badań genetycznych nad układem wzrokowym Pringów, które Pilanie prowadzą nadal, choć normalny termin licencji na Wspomaganie dawno już wygasł...

...zezwolili Pringom na kolonizację wyłącznie światów klasy A, pozbawionych życia i wymagających przystosowania, których wszakże nie dotyczą ograniczenia użytkowania ustanawiane prze Instytuty Tradycji i Migracji. Pilanie, którzy sami wzięli udział w kilku Świętych Wojnach, najwidoczniej nie życzą sobie, by ich Podopieczni znaleźli się w sytuacji, w której mogliby narazić na szwank swoich Opiekunów przez złe potraktowanie jakiegoś starszego, żyjącego świata...

Informacje dotyczące rasy Kulli świadczyły także o Cywilizacji Galaktycznej. Były fascynujące, ale manipulacje, o których mówiły, przygnębiły Jacoba. Nie wiadomo czemu, poczuł się za nie osobiście odpowiedzialny.

Czytał właśnie ten fragment, kiedy przybyło wezwanie na długo oczekiwaną prelekcję doktora Keplera.

Teraz Jacob siedział w sali projekcyjnej i zastanawiał się, kiedy mówca przejdzie do sedna sprawy. Czym były te magnetożerne stwory? I co mieli na myśli ludzie, kiedy wspominali o „drugim" typie Solariowców... które bawiły się w berka z heliostatkami i przybierając antropomorficzne kształty straszyły ich załogi? Jacob spojrzał na projektor holograficzny.

Włókno, które wybrał Kepler, urosło do takich rozmiarów, że wypełniło całe pole widzenia i powiększało się dalej, aż widz poczuł, że sam jest zanurzony w pierzastej, płomienistej masie. Uwidoczniły się szczegóły: poskręcane bryły oznaczające zagęszczenie linii pola magnetycznego, pędzące wstęgi podobne do dymu, które dzięki efektowi Dopplera pojawiały się na moment w paśmie widzenia kamery, oraz roje punkcików tańczących w oddali, gdzie wzrok już ginął.

Kepler kontynuował monolog, który chwilami stawał się dla Jacoba zbyt specjalistyczny, choć

zawsze ostatecznie powracał do prostych metafor. Głos mówiącego nabrał śmiałości i zdecydowania, Kepler był najwyraźniej zadowolony ze swojego wystąpienia. Wskazał teraz na jedną z pobliskich serpentyn plazmy: grube, poskręcane pasmo ciemnej purpury, zwinięte dookoła kilku jasnych aż do bólu punkcików. - Początkowo sądzono, że są to zwyczajne kompresyjne gorące plamki - powiedział. - Dopóki nie przyjrzeliśmy się im bliżej. Odkryliśmy wtedy, że spektrum zupełnie się nie zgadza.

Kepler skorzystał z przycisków w rączce wskaźnika, żeby przybliżyć środek włókna.

Jasne punkty powiększyły się. Widać było teraz jeszcze mniejsze kropeczki. - Przypominacie sobie państwo - mówił Kepler - że gorące plamki, które widzieliśmy wcześniej, były czerwone, aczkolwiek w bardzo jasnym odcieniu czerwieni. Dzieje się tak dlatego, że w czasie, gdy zrobiono te zdjęcia, filtry statku były nastrojone na przepuszczanie bardzo wąskiego pasma spektralnego, ze środkiem na wodorze alfa. Nawet teraz możecie państwo zobaczyć to, co przykuło naszą uwagę.

Rzeczywiście - pomyślał Jacob.

Jasne punkty żarzyły się na zielono!

Migotały intensywnie i miały barwę szmaragdów.

- Istnieje kilka zakresów zieleni i błękitu - ciągnął uczony - które filtry oddzielają mniej skutecznie niż pozostałe, ale linia alfa zazwyczaj wymazuje je do szczętu wraz z odległością. Poza tym ta zieleń nie należy do takich zakresów! Możecie sobie państwo oczywiście wyobrazić nasze osłupienie. Żadne cieplne źródło światła nie mogłoby przedrzeć się przez ekrany z takim kolorem. Aby przedostać się przez filtry, światło pochodzące z tych obiektów musiało być nie tylko niewiarygodnie jasne, ale także całkowicie monochromatyczne, a temperatura jego źródła musiała dochodzić do wielu milionów stopni! Jacob, nareszcie zaintrygowany, wyprostował się z przygarbionej pozycji, w jakiej do tej pory słuchał wykładu.

- Innymi słowy - dokończył Kepler - musiały to być lasery. - W pewnych warunkach światło laserowe może pojawić się w gwieździe w sposób naturalny - mówił Kepler. - Ale nikt nigdy nie widział przedtem czegoś takiego na naszym Słońcu, wyruszyliśmy więc, żeby to zbadać. To zaś, co znaleźliśmy, jest najbardziej niewiarygodną formą życia, jaką można było sobie wyobrazić! Uczony nacisnął przycisk we wskaźniku i pole widzenia zaczęło się zmieniać. Z pierwszego rzędu widowni rozległo się ciche brzęczenie. Widać było, jak Helene deSilva podnosi słuchawkę telefonu i zaczyna mówić do niej półgłosem. Kepler skupił się na demonstracji. Jasne punkty rosły powoli w holograficznym obrazie, aż zmieniły się w drobne kółeczka światła, ciągle jeszcze zbyt małe, by można było rozpoznać szczegóły.

Nagle Jacob zdał sobie sprawę, że rozróżnia wypowiadane przez deSilve do telefonu ciche słowa.

Nawet Kepler przerwał i czekał, podczas gdy komendant rzucała ściszone pytania osobie po drugiej stronie.

Kiedy wreszcie odłożyła słuchawkę, jej twarz zastygła w chłodnej masce opanowania. Jacob patrzył,

jak Helene wstaje i podchodzi do miejsca, gdzie stał Kepler, nerwowo obracający w rękach wskaźnik. Kobieta przychyliła się trochę, żeby szepnąć mu coś do ucha. Kierownik Słonecznego Nurka zamknął na chwilę oczy, a gdy je otworzył, była w nich zupełna pustka.

Nagle wszyscy zaczęli mówić jednocześnie. Kulla opuścił swoje miejsce w pierwszym rzędzie i podszedł do deSilvy. Jacob poczuł powiew powietrza, kiedy doktor Martine biegła przejściem w kierunku Keplera.

Demwa podniósł się na równe nogi i spojrzał na Fagina, który stał obok niego w przejściu.

- Fagin, idę dowiedzieć się, co się dzieje. Nie zechciałbyś tu poczekać?

- To jest zbyteczne - zagwizdał kanteński filozof.

- Co masz na myśli?

- Udało mi się podsłuchać, co powiedziano przez telefon do Człowieka komendant Helene deSilva, przyjacielu Jacobie. Nie jest to dobra wiadomość. Jacob miał ochotę wrzasnąć: ty pieprzony, liściasty, jagodowy jajogłowcu z kamienną twarzą! Oczywiście, że to nie jest dobra wiadomość!

- Więc co u diabła się dzieje? - zapytał.

- Szczerze ubolewam, przyjacielu Jacobie. Wydaje się, że heliostatek uczonego szympansa Jeffreya uległ zniszczeniu w chromosferze waszego Słońca.

11. Turbulencja

Doktor Martine stała przy Keplerze w brunatnożółtym świetle holoprojektora, raz po raz wymawiając jego imię i przesuwając dłonią przed pustymi oczyma uczonego. Podekscytowana publiczność stłoczyła się na podium. Kulla stał samotnie, na wprost Keplera, a jego wielka okrągła głowa kołysała się lekko na wąskich ramionach.

Jacob przemówił do niego:

- Kulla...

Wydawało się, że Pring go nie słyszy. Jego ogromne oczy pozbawione były wyrazu, słychać było też podobny do szczękania zębami terkot, który dobiegał spoza grubych warg nieziemca.

Jacob zmrużył oczy pod wpływem ponurego, czerwonego blasku rozlewającego się z holoprojektora. Podszedł do skamieniałego w szoku Keplera i delikatnie wyjął z jego rąk wskaźnik z włącznikiem. Martine, zajęta bezskutecznymi próbami ocucenia uczonego, nie zwróciła na niego uwagi.

Po kilku próbach z pilotem udało mu się wreszcie spowodować, że obraz zgasł i włączyło się oświetlenie sali. Wydawało się, że teraz będzie łatwiej poradzić sobie z całą sytuacją. Inni też musieli to wyczuć, gdyż gwar głosów opadł.

DeSilva podniosła wzrok znad słuchawki i zobaczyła Jacoba trzymającego wskaźnik. Uśmiechnęła się w podziękowaniu, a potem znowu wróciła do rozmowy, zasypując krótkimi pytaniami osobę na drugim końcu telefonu.

Zaraz przybiegł zespół medyczny z noszami. Pod kierownictwem doktor Martine sanitariusze położyli Keplera na obitej tkaniną ramie i ostrożnie przenieśli go przez tłum zebrany przy drzwiach.

Jacob odwrócił się do Kulli. Fagin zdołał dopchnąć krzesło za przedstawiciela Biblioteki i próbował teraz posadzić go na nim. Szelest gałęzi i wysokie pogwizdywanie ucichło, kiedy zbliżył się Jacob.

- Uważam, że nic mu się nie stało - powiedział Kanten śpiewnym głosem. - Kulla jest osobą wysoce wrażliwą i obawiam się, że będzie nadmiernie zamartwiał się utratą przyjaciela. U młodych gatunków to częsta reakcja na utratę kogoś, z kim było się blisko.

- Może powinniśmy coś zrobić? Czy on nas słyszy?

Oczy Kulli były zupełnie puste. Z drugiej jednak strony Jacob nigdy nie potrafił z nich niczego odczytać. Z ust obcego znów dobiegło szczękanie. - Uważam, że słyszy - odparł Fagin.

Jacob ujął Kullę za ramię. Było wiotkie i delikatne. Wydawało się, że nie ma w ogóle kości.

- No, Kulla - powiedział. - Za tobą stoi krzesło. Byłoby lepiej dla nas wszystkich, gdybyś teraz na nim usiadł.

Obcy próbował odpowiedzieć. Wielkie wargi rozwarły się i szczękanie stało się znienacka bardzo głośne. Barwa jego oczu zmieniła się nieco, po czym usta znów się zamknęły. Trzęsąc się skinął głową i pozwolił posadzić się na krześle. Powoli opuścił głowę i ukrył twarz w wąskich dłoniach.

Może Kulla i był wrażliwy, ale i tak było coś niesamowitego w obcym, przeżywającym tak bardzo śmierć człowieka - a raczej szympansa - który był mu przecież, aż do najbardziej elementarnej fizjologii, zupełnie obcy: jego rybi przodkowie pływali w innych morzach i w beztlenowym osłupieniu wpatrywali się w blask zupełnie innej gwiazdy. - Proszę państwa o uwagę! - DeSilva weszła na podium. - Informuję tych z państwa, którzy jeszcze tego nie usłyszeli, że wstępne raporty wskazują, iż być może straciliśmy statek doktora Jeffreya w rejonie aktywnym J-12, w okolicy Plamy Słonecznej Jane. Jest to tylko wstępne doniesienie, a ewentualne dalsze potwierdzenie będzie możliwe dopiero po zbadaniu zapisów telemetrycznych, które otrzymywaliśmy aż do wypadku. LaRoque zamachał z odległego końca sali, próbując zwrócić jej uwagę. W jednej ręce trzymał małą stenokamerę, innego typu niż ta, którą odebrano mu w grocie heliostatków. Jacob zastanawiał się, dlaczego Kepler nie zwrócił mu jeszcze tamtej. - Panno deSilva! - wołał LaRoque. - Czy prasa mogłaby uczestniczyć w badaniu zapisów telemetrycznych? Opinia publiczna powinna mieć do tego dostęp.

Dziennikarz w podnieceniu wyzbył się doszczętnie swojego akcentu. Staroświecki zwrot:

„Panno deSilva” brzmiał bez niego wyjątkowo dziwacznie. Kobieta zawahała się, nie patrząc jednak wprost na niego. Prawo Świadectwa było jednoznaczne, jeśli chodzi o odmawianie opinii publicznej dostępu do wydarzeń nie objętych klauzulą tajności Agencji Rejestracji Tajemnic. Nawet ludzie z ART, których zadaniem było przecież wprowadzanie uczciwości nawet kosztem prawa, niechętnie odnosili się do przypadków naruszenia tej reguły. LaRoque bez wątpienia przyparł deSilve do muru, ale nie naciskał mocniej. Na razie.

- W porządku. Balkon widokowy nad Centrum Dowodzenia może pomieścić wszystkich, którzy zechcą przyjść... z wyjątkiem - rzuciła spojrzenie na grupkę członków załogi, którzy zebrali się obok drzwi - z wyjątkiem tych, którzy mają teraz pracę - skończyła unosząc brwi. Jej słowom towarzyszył pospieszny ruch przy wyjściu.

- Zbieramy się za dwadzieścia minut - powiedziała i zeszła z podium. Załoga Bazy Merkuriańskiej zaczęła natychmiast wychodzić. Ci, którzy nosili ziemskie ubrania - nowo przybyli i goście - wolniej zbierali się do odejścia. LaRoque już poszedł, niewątpliwie prosto do stacji maserów, żeby przesłać swoją relację na Ziemię.

Był jeszcze Bubbakub. Mały, niedźwiadkowaty obcy rozmawiał z doktor Martine przed spotkaniem, ale nie przyszedł na nie. Jacob zastanawiał się, gdzie był Pilanin podczas prelekcji.

Helene deSilva podeszła do Fagina i Jacoba.

- Biedny Iti z tego Kulli - powiedziała cicho do Jacoba. - Żartował, że zżył się z Jeffreyem tak bardzo, bo obaj mieli niski status w hierarchii i obaj tak niedawno zeszli z drzew. - Spojrzała na Kullę ze współczuciem i przycisnęła dłoń do jego głowy. Założę się, że go to podniesie na duchu - pomyślał Jacob. - Smutek jest nieodłącznym przymiotem młodości. - Fagin poruszył listowiem. Rozległ się szelest podobny do szelestu tataraku na wietrze.

DeSilva opuściła rękę.

- Jacob, doktor Kepler pozostawił pisemną instrukcję. Poleca w niej, żebym skonsultowała się z tobą i Kantenem Faginem, gdyby cokolwiek mu się przytrafiło. - Tak?

- Tak jest. Oczywiście zarządzenie to ma niewielką moc prawną. Jedyne, co tak naprawdę muszę zrobić, to dopuścić was do zebrań personelu. Ale jest jasne, że wszystko, co zaproponujecie, będzie przydatne. Mam nadzieję, że szczególnie wy dwaj nie przegapicie odtworzenia zapisów telemetrycznych.

Jacob rozumiał jej sytuację. Jako komendant Bazy dźwigała ciężar wszelkich decyzji, jakie zostaną dziś podjęte. Tymczasem z tych, których opinia się liczyła, LaRoque nastawiony był wrogo, Martine odnosiła się do programu ledwie przyjaźnie, zaś postawa Bubbakuba była zagadką. Jeśli Ziemia miała wysłuchać wielu relacji z tego, co się tu wydarzyło, to w interesie komendant leżało, żeby mieć także jakichś przyjaciół.

- Oczywiście - wygwizdał Fagin. - Będzie to dla nas wielki zaszczyt, wspomóc pani załogę.

DeSilva odwróciła się do Kulli i przyciszonym głosem spytała go, czy dobrze się czuje. Po krótkiej chwili Pring uniósł głowę i wolno nią skinął. Szczękanie ustało, ale oczy obcego ciągle były bez wyrazu, a na ich obrzeżach migotały tu i ówdzie jasne punkciki. Wyglądał na wyczerpanego i przygnębionego.

DeSilva odeszła, żeby pomóc w przygotowaniu przesłuchania przekazu telemetrycznego. Wkrótce potem do sali wkroczył z ważną miną Pil Bubbakub; sierść nastroszyła się mu wokół krótkiej szyi jak kołnierz. Kiedy zaczął mówić, jego usta poruszały się w krótkich kłapnięciach, a brzmieniacz zawieszony na piersi huczał w słyszalnym zakresie słowami. - Słyszałem nowiny. Konieczne, żeby wszyscy byli na przeglądzie te-le-metrii, za-prowadzę was tam więc.

Bubbakub przesunął się, by spojrzeć za plecy Jacoba. Ujrzał tam Kullę siedzącego nieprzytomnie na składanym krześle.

- Kulla! - zawołał.

Pring podniósł wzrok, zawahał się, a potem uczynił gest, którego Jacob nie zrozumiał.

Wydawało się, że oznacza błaganie, odmowę.

Bubbakub zjeżył sierść. Wydał z siebie bardzo szybką serię mlaśnięć i wysokich kwików. Kulla prędko dźwignął się na równe nogi. Bubbakub natychmiast odwrócił się do wszystkich tyłem i krótkim, zdecydowanym krokiem ruszył przez korytarz. Jacob i Fagin poszli za nim, pomagając Kulli. Gdzieś z wierzchołka „głowy” Fagina słychać było dziwną muzykę.

12. Grawitacja

Pokój telemetryczny mógł być mały dzięki automatyzacji. Nie więcej jak tuzin pulpitów układało się w dwa rzędy poniżej wielkiego ekranu projekcyjnego. Stojąc na wysokim podium, zaproszeni goście patrzyli zza barierki na operatorów, którzy po raz kolejny starannie sprawdzali zarejestrowane dane.

Czasem jakiś mężczyzna albo kobieta wychylali się i przyglądali szczegółowi na ekranie, w próżnej nadziei na znalezienie śladu, który oznaczałby, że heliostatek ciągle jeszcze istnieje.

Helene deSilva stała nie opodal pary konsoli najbliższych podium. Stamtąd wyświetlane było nagranie ostatnich słów Jeffreya.

Pojawił się rząd liter odpowiadających uderzeniom palców na klawiaturze odległej o czterdzieści milionów kilometrów i kilka godzin.

WYGODNIE SIĘ JEDZIE NA AUTOMATYCE... PODCZAS TURBULENCJI MUSIAŁEM

WYTŁUMIĆ WSPÓŁCZYNNIK CZASOWY DZIESIĘĆ... PO PROSTU ZJADŁEM OBIAD W DWADZIEŚCIA SEKUND, HA, HA... Jacob uśmiechnął się. Wyobraził sobie, jak mały szympans dostaje kopa przy współczynniku czasowym.

TERAZ PONIŻEJ TAU ZERO PRZECINEK JEDEN... LINIE POLA ZBIEGAJĄ SIĘ Z PRZODU... PRZYRZĄDY POKAZUJĄ, ŻE JEST TAM STADO, TAK JAK MÓWIŁA HELENE... OKOŁO SETKI... KOŃCZĘ NA RAZIE...

Potem z głośników rozległ się małpi głos Jeffreya, gruby i szorstki:

- Czekajta, chłopaki, aż je zagnam na drzewa! Pierwszy człowiek sam jeden leci na Słońce! Popatrz se na to, Tarzanie!

Jeden z operatorów zaczął się śmiać, ale przestał natychmiast. Urwany śmiech zabrzmiał jak szloch.

- To znaczy, że on był tam w dole sam? - spytał Jacob.

- Myślałam, że wiesz! - deSilva wyglądała na zaskoczoną. - Nurkowania są dziś w znacznym stopniu zautomatyzowane. Tylko komputer może dopasować pola stazy na tyle szybko, żeby turbulencje nie starły pasażera na miazgę. Jeff... miał dwa komputery: jeden na pokładzie i jeszcze połączenie laserowe z dużą maszyną tutaj, na Merkurym. A zresztą co może zrobić człowiek? Najwyżej poprawi minimalnie to czy tamto. - Ale po co było wprowadzać jakiekolwiek ryzyko?

- To był pomysł doktora Keplera - odpowiedziała, jakby się broniąc. - Chciał się przekonać, czy tylko ludzki rozkład psi sprawia, że duchy uciekają albo wykonują groźne gesty.

- Nie doszliśmy do tej części prelekcji.

Helene odgarnęła do tyłu kosmyk jasnych włosów.

- Tak, no cóż, podczas kilku pierwszych spotkań z magnetożercami nie zobaczyliśmy ani razu żadnych pasterzy. Później, kiedy nam się to udało, przyglądaliśmy się z daleka, próbując określić ich stosunek do pozostałych stworzeń. Kiedy wreszcie zbliżyliśmy się, pasterze najpierw po prostu uciekli. Potem ich zachowanie zmieniło się całkowicie. Chociaż większość z nich umykała, jeden lub dwa przelatywali ponad statkiem, z dala od płaszczyzny pokładu maszynowego, i schodzili niżej, bardzo blisko!

Jacob potrząsnął głową:

- Nie jestem pewien, czy rozumiem...

DeSilva rzuciła spojrzenie na najbliższą konsolę, ale nic się tam nie zmieniło. Ze statku Jeffreya nadchodziły jedynie meldunki zawierające dane solonomiczne - rutynowe raporty o warunkach słonecznych.

- Jacob, heliostatek jest płaskim pokładem wewnątrz niemal doskonale odbijającej powłoki. Silniki grawitacyjne, generatory pola stazy i laser chłodzący znajdują się wszystkie w małej kuli,

usytuowanej pośrodku pokładu. Przyrządy rejestrujące rozmieszczone są na obrzeżu pokładu po „odwrotnej” stronie, ludzie zaś zajmują część „wierzchnią”, z góry i z dołu można więc swobodnie obserwować wszystko, co pojawi się w pobliżu. Nie wzięliśmy jednak pod uwagę czegoś, co rozmyślnie umyka kamerom! - Skoro Duchy ginęły z pola widzenia przyrządów uciekając do góry, to czemu po prostu nie przekręcaliście statku? Grawitację kontrolujecie przecież całkowicie. - Próbowaliśmy. Zwyczajnie znikały! Albo jeszcze gorzej, zostawały u góry bez względu na to, jak szybko się obracaliśmy. Zwyczajnie tam wisiały! To wtedy właśnie niektórzy członkowie załogi zaczęli widzieć te ohydne antropoidalne kształty!

Nagle pokój znowu wypełnił się chrapliwym głosem Jeffreya:

- Hej! Jest tu całe stado psów pasterskich popędzających te toroidy! Lecę tam się z nimi zabawić! Dobre psiaki!

Helene wzruszyła ramionami.

- Jeff zawsze był sceptykiem. Nigdy nie zobaczył żadnych kształtów „na suficie” i stale nazywał pasterzy „psami pasterskimi”, bo według niego nic w ich zachowaniu nie zdradzało inteligencji.

Jacob uśmiechnął się niewyraźnie. Protekcjonalność superszympów w stosunku do psów była jednym z zabawniejszych aspektów ich obsesji na własnym punkcie. Być może pomagała im ona radzić sobie z zazdrością o związki łączące psy i ludzi, które wyprzedzały związki między ludźmi a szympansami. Wielu z nich trzymało psy jako zwierzęta domowe. - Nazwał magnetożerców toroidami?

- Tak, kształtem przypominają ogromne obwarzanki. Zobaczyłbyś to, gdyby prelekcja nie została... przerwana. - Zasmucona potrząsnęła głową i spuściła wzrok. Jacob przestąpił z nogi na nogę.

- Jestem pewien, że nic nie można już zrobić... - zaczął. Natychmiast zdał sobie sprawę, że brzmi to idiotycznie. DeSilva kiwnęła głową i odwróciła się do konsoli, zajęta odczytami technicznymi, albo tylko udając zajętą.

Bubbakub leżał na lewo od nich, rozwalony na poduszce obok barierki. W rękach trzymał czytnik książkowy i był całkowicie pochłonięty czytaniem obcych znaków, które rozbłyskiwały od góry do dołu na maleńkim ekranie. Kiedy rozległ się głos Jeffreya, podniósł głowę i wysłuchał go, po czym rzucił zagadkowe spojrzenie Pierre’owi LaRoque. Oczy dziennikarza błyszczały, kiedy rejestrował ten „moment historyczny”. Co jakiś czas mówił coś niskim, podnieconym głosem do mikrofonu pożyczonej stenokamery. - Trzy minuty - powiedziała ochryple deSilva.

Przez najbliższą minutę nic się nie działo. Potem na ekranie znowu pojawiły się wielkie litery.

TE DRYBLASY W KOŃCU DO MNIE PODCHODZĄ! PRZYNAJMNIEJ KILKA Z NICH. WŁAŚNIE WŁĄCZYŁEM KAMERY DO ZBLIŻEŃ... HEJ! MAM TU P-P-PRZECHYŁ! KOMPRESJA CZASU SIĘ ZABLOKOWAŁA!! - Zmywam się! - dobiegł nagle niski, skrzeczący głos. - Idę szybko w górę... większy przechył! „S” się rozlatuje! Iti! Oni...

Rozległ się bardzo krótki wybuch trzasków, potem nastąpiła cisza, a za nią głośny syk, kiedy operator

konsoli podkręcał głośność. A potem już nic. Przez długą chwilę nikt nie wypowiedział ani słowa. Wreszcie jeden z operatorów podniósł się ze swojego stanowiska.

- Implozja potwierdzona - powiedział.

Komendant skinęła głową.

- Dziękuję. Proszę przygotować podsumowanie danych do przekazania na Ziemię. To dziwne, ale najsilniejszym uczuciem, które towarzyszyło teraz Jacobowi, była gorzka duma. Jako pracownik Centrum Wspomagania zauważył, że Jeffrey w ostatnich chwilach życia wzgardził klawiaturą. Zamiast cofać się przed lękiem, uczynił dumny i trudny gest. Jeff Ziemianin mówił na głos.

Jacob miał ochotę zwrócić komuś na to uwagę. Najlepiej nadawał się do tego Fagin, ruszył więc w stronę, gdzie stał Kanten, ale zanim tam doszedł, rozległ się głośny syk Pierre’a LaRoque.

- Głupcy! - Dziennikarz rozglądał się wokoło z wyrazem niedowierzania. - A ja jestem największym głupcem ze wszystkich! To ja powinienem był dostrzec, jak niebezpiecznie jest wysyłać szympansa na Słońce w pojedynkę!

W pokoju było cicho. Puste spojrzenia wyrażające tylko zdziwienie zwróciły się na LaRoque’a, który wymachiwał rękami w nerwowych gestach. - Nie widzicie? Ślepi jesteście? Jeśli Solariowcy są naszymi Przodkami, a co do tego nie ma wątpliwości, to na pewno zadali sobie mnóstwo trudu, żeby unikać nas przez całe tysiąclecia. Mimo to jakaś daleka słabość do ludzi powstrzymywała ich do tej pory przed zniszczeniem nas! Usiłowali odpędzić was i wasze heliostatki tak, że nie mogliście tego zignorować, a wy uporczywie wkraczaliście na ich teren. Jak więc miały zareagować te potężne istoty, nagabywane teraz przez podopiecznego rasy, którą oni sami porzucili? Co, według was, miały zrobić, skoro napadła na nie małpa?! Kilku członków załogi powstało w gniewie. DeSilva musiała podnieść głos, żeby ich uspokoić. Kiedy stanęła twarzą w twarz z LaRoque’em, jej rysy ściągnięte były w stalowym opanowaniu.

- Szanowny panie, jeśli zechciałby pan ująć swoje interesujące hipotezy na piśmie, unikając przy tym w miarę możności inwektyw, załoga z całą pewnością weźmie je pod rozwagę.

- Ale...

- Teraz zaś wystarczy już na ten temat! Później będzie mnóstwo czasu, żeby o tym porozmawiać!

- Nie, nie ma ani chwili czasu.

Wszyscy się odwrócili. Z tyłu galerii, w przejściu stała doktor Martin.

- Myślę, że lepiej będzie, jeśli przedyskutujemy to od razu - powiedziała.

- Czy doktor Kepler dobrze się czuje? - spytał Jacob.

Skinęła głową.

- Właśnie byłam przy jego łóżku. Udało mi się wyrwać go z szoku, teraz śpi. Ale zanim zasnął, mówił dość natarczywie o wysłaniu natychmiast następnego statku. - Natychmiast? Dlaczego? Czy nie powinniśmy zaczekać, aż upewnimy się, co stało się ze statkiem Jeffreya?

- Wiemy, co się z nim stało! - odparła ostro. - Usłyszałam, co mówił pan LaRoque, kiedy wchodziłam, i wcale nie podoba mi się to, jak zareagowaliście na jego pomysł! Jesteście tak ograniczeni i pewni swego, że nie potraficie wysłuchać świeżej opinii!

- Czy to ma znaczyć, że naprawdę uważa pani Duchy za naszych rodowych opiekunów?

- DeSilva nie chciała uwierzyć.

- Może tak, może nie. W każdym razie reszta jego wyjaśnień ma sens! W końcu czy Solariowcy kiedykolwiek przedtem posunęli się dalej niż do groźby? A teraz nagle zastosowali przemoc. I dlaczego? Może dlatego, że nie mieli skrupułów zabijając członka tak niedojrzałego gatunku?

Smutno pokręciła głową.

- Sami wiecie, że to tylko kwestia czasu, zanim ludzie zaczną uświadamiać sobie, jak bardzo będzie trzeba się przystosować! Fakt jest taki, że każda rasa tlenodyszna uczestniczy w systemie hierarchii... porządku opartym na starszeństwie, sile i pochodzeniu. Wielu z nas sądzi, że to nieprzyjemne. Ale tak to już jest urządzone! I jeśli nie chcemy powtórzyć losu nieeuropejskich ras w dziewiętnastym wieku, musimy po prostu nauczyć się traktować odpowiednio inne, silniejsze gatunki!

Jacob zmarszczył brwi.

- To znaczy, według pani, że jeśli szympans zostaje zabity, a ludziom grozi się albo daje po nosie, to...

- To może Solariowcy nie chcą zawracać sobie głowy dziećmi i zwierzakami...

Jeden z operatorów trzasnął pięścią w pulpit. Powstrzymało go spojrzenie deSilvy. - ...ale może zechcieliby rozmawiać z delegacją złożoną z członków starszych, bardziej doświadczonych gatunków. W końcu, żeby się przekonać, musimy spróbować, prawda? - Kulla był tam z nami podczas większości nurkowań - mruknął operator znad pulpitu. - A jest przecież doświadczonym ambasadorem!

- Z całym respektem należnym Pringowi Kulli - Martine ukłoniła się nieznacznie w kierunku obcego. - Pochodzi on z bardzo młodej rasy. Niemal tak młodej jak nasza. To oczywiste, że Solariowcy nie uważają go za bardziej godnego uwagi od nas. Nie, proponuję, żebyśmy skorzystali z bezprecedensowej obecności na Merkurym dwóch członków starożytnych i poważanych ras. Powinniśmy z pokorą poprosić Pila Bubbakuba i Kantena Fagina, żeby przyłączyli się do nas, tam, na Słońcu, podczas ostatniej próby nawiązania kontaktu!

Bubbakub powstał niespiesznie. Powoli rozejrzał się dookoła, zdając sobie sprawę, że Fagin będzie czekał, aż on przemówi pierwszy.

- Jeśli ludzie uważają, że jestem potrzebny na gwieździe Sol, to pomimo jawnego zagrożenia, jakim grożą prymitywne heliostatki, gotów jestem przychylić się do tej prośby. Zadowolony z siebie opadł na poduszkę.

Fagin zaszeleścił, a potem rozległ się jego głos:

- Również i ja wyruszę z przyjemnością. Zaprawdę, podjąłbym się każdego trudu, by zasłużyć choćby na najgorszą koję na takim statku. Nie wiem, jaką pomocą mógłbym służyć, chętnie się jednak przyłączę.

- A ja się, psiakrew, sprzeciwiam! - krzyknęła deSilva. - Odmawiam zgody na polityczne następstwa zabrania Pila Bubbakuba i Kantena Fagina, zwłaszcza po tym wypadku! Mówi pani o dobrych stosunkach z potężnym rasami obcych, doktor Martine, ale może pani sobie chyba wyobrazić, co by się stało, gdyby oni zginęli tam, w dole, na ziemskim statku?

- A żeby was licho! - odparła Martine. - Tylko ci sofonci mogą tak pokierować sprawami, żeby Ziemia nie była winna. Galaktyka jest w końcu niebezpiecznym miejscem. Jestem pewna, że mogą zostawić oświadczenia albo coś takiego. - Tego rodzaju dokumenty zostały już na wszelki wypadek sporządzone - powiedział Fagin.

Również Bubbakub potwierdził swoją wspaniałomyślną chęć narażenia życia w prymitywnym statku, biorąc całą odpowiedzialność na siebie. Pilanin odwrócił się tyłem, kiedy LaRoque zaczął mu dziękować. Nawet Martine poprosiła dziennikarza, żeby się wreszcie zamknął.

DeSilva spojrzała na Jacoba. Ten wzruszył ramionami.

- Cóż, mamy czas. Dajmy załodze możliwość sprawdzenia danych z nurkowania Jeffa, a doktor Kepler niech wyzdrowieje. My zaś możemy przez ten czas zwrócić się z tym pomysłem do Ziemi i poprosić o wskazówki.

Martine westchnęła.

- Chciałabym, żeby to było tak proste, ale chyba tego nie przemyślałeś. Zastanów się, jeżeli mamy próbować zawrzeć pokój z Solariowcami, to czy nie powinniśmy zwrócić się do tej samej grupy, którą obraziła wizyta Jeffa?

- Hm, nie jestem pewien, że jedno koniecznie wynika z drugiego, ale brzmi to sensownie.

- A jak pan zamierza znaleźć tę samą grupę tam, w atmosferze słonecznej?

- Myślę, że trzeba po prostu wrócić w ten sam region aktywny, gdzie pasą się te stwory...

A! Wiem już, o co ci chodzi.

- Jasne, że pan wie - uśmiechnęła się. - Tam w dole nie ma stałej „solografii”, którą można by przenieść na mapę. Regiony aktywne i same plamy słoneczne znikają w przeciągu tygodni! Słońce nie ma powierzchni w zwykłym sensie tego słowa, tylko różne poziomy i różne stopnie gęstości gazu. A

równik obraca się szybciej niż inne równoleżniki! Jak byś chciał później znaleźć tę samą grupę, jeśli nie wyruszysz od razu, zanim szkoda wyrządzona przez wizytę Jeffa rozprzestrzeni się na całą gwiazdę?

Zdumiony Jacob odwrócił się do deSilvy.

- Helene, myślisz, że ona może mieć rację?

Komendant podniosła oczy do góry.

- Kto wie? Może i tak. To jest coś, nad czym trzeba się zastanowić. Wiem tylko tyle, że nie zrobimy nic, dopóki doktor Kepler nie będzie na tyle zdrowy, by mógł mówić. Doktor Martine zmarszczyła brwi.

- Mówiłam już! Dwayne zgodził się, żeby następna ekspedycja wyruszyła natychmiast!

- Wolałabym usłyszeć to od niego osobiście - odparła gniewnie deSilva. - Hej, no to jestem, Helene. - Dwayne Kepler stał w drzwiach, opierając się o framugę. Z drugiej strony podpierał go Laird, główny lekarz, wpatrując się w doktor Martine. - Dwayne! Dlaczego wstałeś z łóżka?! Chcesz dostać ataku serca? - Zdenerwowana i zaniepokojona Martine ruszyła do uczonego, ale Kepler powstrzymał ją gestem. - Dobrze się czuję, Millie. Po prostu zmniejszyłem dawkę tego lekarstwa, które mi podawałaś, to wszystko. W mniejszych ilościach jest naprawdę korzystne, więc rozumiem, że miałaś dobre intencje. Po prostu nie dało mi rady! - Kepler zachichotał cicho. - W każdym razie cieszę się, że nie byłem zbyt przyćmiony i mogłem usłyszeć twoje błyskotliwe przemówienie. Było słychać w korytarzu.

Martine poczerwieniała.

Jacob poczuł ulgę, że Kepler nie wspomniał o jego roli w tej sprawie. Po wylądowaniu i uzyskaniu dostępu do laboratorium wydawało się absurdem nie posunąć się dalej i nie zanalizować próbek, które zwędził jeszcze na Bradburym z marynarki Keplera. Na szczęście nikt nie zapytał, skąd pochodziły. Chociaż lekarz w Bazie, zapytany o to, uznał niektóre dawki za trochę zbyt wysokie, wszystkie leki oprócz jednego okazały się standardowymi środkami stosowanymi w leczeniu łagodnych stanów maniakalnych. Nieznany medykament nie dawał Jacobowi spokoju - jeszcze jedna zagadka do rozwiązania. Na jakie fizyczne schorzenie cierpieć musiał Kepler, że potrzebował dużych dawek potężnego antykoagulantu? Doktor Laird był wściekły, gdy okazało się, że Martine przepisała warfarin.

- Czy jest pan pewien, że czuje się pan na tyle dobrze, żeby uczestniczyć w tym spotkaniu? - spytała Keplera deSilva, pomagając lekarzowi doprowadzić go do krzesła. - Dobrze się czuję - odparł. - Poza tym pewne sprawy nie mogą czekać. Po pierwsze, nie jestem w ogóle przekonany do teorii Millie, że Duchy powitają Pila Bubbakuba i Kantena Fagina z większym entuzjazmem niż ten, który okazały reszcie z nas. Wiem natomiast, że stanowczo nie biorę żadnej odpowiedzialności za zabranie ich na nurkowanie! Powód jest taki, że gdyby tam w dole zginęli, to nie stałoby się to przez Solariowców... ale przez ludzi! Następne nurkowanie powinno się odbyć natychmiast... oczywiście bez udziału naszych znakomitych pozaziemskich przyjaciół... Natomiast rzeczywiście trzeba je

przeprowadzić bez zwłoki, żeby dotrzeć do tego samego regionu, jak to proponowała Millie. - Absolutnie się nie zgadzam! - DeSilva zdecydowanie potrząsnęła głową. - Albo Jeffa zabiły Duchy, albo zawiodło coś na statku. I myślę, że raczej to drugie, chociaż to przykra prawda. Powinniśmy wszystko sprawdzić, zanim...

- O, nie ma wątpliwości, że to statek - przerwał Kepler. - Duchy nikogo nie zabiły. - Co też pan mówisz?! - wrzasnął LaRoque. - Ślepy pan jesteś? Jak można przeczyć oczywistym faktom?

- Dwayne - zaczęła łagodnie Martine. - Jesteś zbyt zmęczony, żeby teraz o tym myśleć.

Kepler uciszył ją gestem.

- Przepraszam pana, doktorze Kepler - włączył się Jacob. - Wspominał pan coś o niebezpieczeństwie pochodzącym od ludzi? Komendant deSilva sądzi prawdopodobnie, że miał pan na myśli jakiś błąd w przygotowaniu statku Jeffa, który spowodował jego śmierć. Czy nie chodziło panu czasem o coś innego?

- Chciałbym tylko dowiedzieć się jednego - odparł wolno Kepler. - Czy telemetria wykazała, że statek Jeffa został zniszczony w wyniku załamania się pola stazy? Do przodu wysunął się operator konsoli, który już wcześniej się odzywał.

- Dlaczego...? Tak jest. Skąd pan wiedział?

- Nie wiedziałem - uśmiechnął się Kepler. - Ale kiedy już wpadłem na to, że miał miejsce sabotaż, odgadnąć nie było trudno.

- Co?! - Martine, deSilva i LaRoque poderwali się niemal równocześnie.

Jacob nagle zrozumiał.

- To znaczy, że podczas wycieczki...? - odwrócił się i spojrzał na LaRoque’a. Martine podążyła za jego spojrzeniem i zamarła.

LaRoque cofnął się, jakby go uderzono.

- Pan jest szaleńcem! - krzyknął. - I pan też! - Wycelował palec w Keplera. - Jak mógłbym zrobić coś takiego, skoro w tym zwariowanym miejscu przez cały czas było mi niedobrze?

- Zaraz, zaraz, LaRoque - odparł Jacob. - Ja przecież nic nie powiedziałem i jestem pewien, że doktor Kepler rozważa tylko różne możliwości - zakończył pytającym tonem i podniósł wzrok na uczonego.

Kepler potrząsnął głową.

- Obawiam się, że mówię poważnie. LaRoque spędził godzinę w pobliżu generatorów grawitacyjnych Jeffa i nie było z nim wtedy nikogo. Sprawdziliśmy urządzenia, szukając uszkodzeń, które mógł spowodować ktoś, kto by przy tym grzebał gołymi rękoma, i nic takiego nie znaleźliśmy.

Dopiero później przyszło mi do głowy, żeby sprawdzić kamerę pana LaRoque'a. Kiedy to zrobiłem, odkryłem, że jest wyposażona w mały ogłuszacz dźwiękowy. - Z kieszeni kombinezonu wyciągnął kamerę dziennikarza. - Tak właśnie złożono judaszowy pocałunek!

LaRoque poczerwieniał.

- Ogłuszacz jest dla dziennikarzy standardowym narzędziem samoobrony. Nawet o nim nie pamiętałem. I w żaden sposób nie mógłby uszkodzić tak ogromnej maszyny. Zresztą to zupełnie nie o to chodzi! Ten ziemski szowinista, ten maniak religijny, który prawie zaprzepaścił wszelkie szansę na przyjazne spotkanie z naszymi opiekunami, on śmie oskarżać mnie o zbrodnię, dla której nie ma motywu! To on zabił tę biedną małpę i chce zrzucić winę na kogoś innego!

- Zamknij się pan, LaRoque! - DeSilva przerwała opanowanym głosem, po czym zwróciła się do Keplera: - Czy zdaje pan sobie sprawę z tego, co mówi? Obywatel nie popełniłby morderstwa tylko z takiego powodu, że kogoś nie lubi. Tylko Osobnik Nadzorowany mógłby zabić bez jakiejś skrajnej przyczyny. Czy może pan sobie wyobrazić jakikolwiek powód, dla którego pan LaRoque miałby posunąć się do rzeczy tak drastycznej? - Nie wiem - Kepler wzruszył ramionami i spojrzał badawczo na LaRoque'a. - Obywatel, który uważa, że ma prawo zamordować, czuje jednak potem wyrzuty sumienia. Pan LaRoque nie wygląda, jakby żałował czegokolwiek, więc albo jest niewinny, albo jest dobrym aktorem... albo jest mimo wszystko Nadzorowany! - W kosmosie! - krzyknęła Martine. - Dwayne, to przecież niemożliwe! Dobrze o tym wiesz. Każdy port kosmiczny jest naszpikowany odbiornikami N. Detektory ma każdy statek! Powinieneś teraz przeprosić pana LaRoque'a!

- Przeprosić? - uśmiechnął się Kepler. - Wiem przynajmniej, że LaRoque kłamał, mówiąc o swoich „zawrotach głowy" w pętli grawitacyjnej. Wysłałem maserogram na Ziemię. Poprosiłem gazetę, w której pracuje, o jego dossier. Z wielką przyjemnością wyświadczyli mi tę przysługę. Wygląda na to, że pan LaRoque jest wyszkolonym kosmonautą! Odszedł ze służby „z powodów medycznych" - zwrot używany często, kiedy czyjeś wyniki testów N podnoszą się do poziomu Nadzorowania i osoba taka musi porzucić odpowiedzialną pracę! To może nic nie znaczyć, ale dowodzi przynajmniej, że LaRoque miał zbyt wiele doświadczenia ze statkami kosmicznymi, żeby „śmiertelnie się przerazić" w pętli grawitacyjnej statku Jeffreya. Szkoda tylko, że zdałem sobie z tego sprawę zbyt późno, aby zdążyć ostrzec Jeffa.

LaRoque protestował, Martine się sprzeciwiała, ale Jacob widział, jak nastroje zebranych w pokoju zwracają się przeciwko nim. DeSilva mierzyła dziennikarza spojrzeniem, w którym płonął chłodny, dziki blask i które go trochę przestraszyło. - Chwileczkę. - Podniósł rękę. - Może byśmy sprawdzili, czy tu, na Merkurym, są jacyś Nadzorowani bez przekaźników. Proponuję, żeby każdy z nas przesłał wzór swojej siatkówki na Ziemię do weryfikacji. Jeśli pan LaRoque nie figuruje w wykazie Nadzorowanych, wówczas do doktora Keplera będzie należało wykazanie, dlaczego jako Obywatel miałby sądzić, że ma powód do morderstwa.

- Niech tak będzie, na litość Kecalkoatla, zróbmy to od razu! - zgodził się LaRoque. - Ale tylko pod warunkiem, że nie będę jedyny!

Kepler po raz pierwszy spojrzał niepewnie.

DeSilva zarządziła, żeby dla dobra uczonego zredukować ciążenie w całej Bazie do poziomu grawitacji merkuriańskiej. Z Centrum Kontrolnego odpowiedziano, że modyfikacja potrwa pięć minut. Komendant podeszła do interkomu i ogłosiła załodze i gościom sprawdzanie tożsamości, po czym wyszła, żeby nadzorować przygotowania. Zebrani w pokoju telemetrycznym zaczęli rozchodzić się do wind. LaRoque trzymał się Keplera i Martine, zadzierając brodę w wyrazie męczeństwa, jakby chciał zademonstrować gotowość do obalenia wszelkich skierowanych przeciwko niemu zarzutów. Cała ta trójka, a także Jacob i dwaj członkowie załogi czekali właśnie na windę, kiedy nadeszła zmiana grawitacji. Zabawne, że spotkało ich to w takim miejscu, bo stojąc przed windą poczuli, jakby podłoga nagle zaczęła opadać.

Mieszkańcy byli przyzwyczajeni do podobnych zmian, wiele miejsc Bazy Merkuriańskiej nie posiadało bowiem ciążenia ziemskiego. Zazwyczaj jednak przechodziło się tam przez kontrolowane stazą śluzy, same w sobie niewiele przyjemniejsze od tego, co właśnie się działo, ale bardziej znajome, a przez to mniej stresujące. Jacob przełknął ślinę, a jeden z członków załogi lekko się zachwiał. W tej samej chwili LaRoque zanurkował niespodziewanym i dynamicznym ruchem po kamerę, którą Kepler trzymał w ręce. Martine zamarła, a zdumiony Kepler zdołał tylko chrząknąć. Ten z załogi, który rzucił się w pogoń, dostał od LaRoque’a pięścią w twarz, kiedy dziennikarz obracał się jak akrobata, by uciec korytarzem, unosząc z sobą odzyskaną kamerę. Jacob i drugi z załogi instynktownie ruszyli za nim w pościg.

Wtem coś błysnęło i Jacob poczuł w ramieniu eksplodujący ból. Kiedy rzucał się w bok, żeby uniknąć następnego uderzenia z ogłuszacza, w jego głowie rozległ się głos, który powiedział: - Dobra, to mój fach. Biorę to na siebie.

Stał w korytarzu i czekał. To, co się wydarzyło, było pasjonujące, ale teraz zostało już tylko samo piekło. Przejście zaszło na moment mgłą. Wstrzymał oddech i oparł się o nagą ścianę, czekając, aż złudzenie minie.

Był sam w korytarzu transportowym, bolało go ramię, a resztki głębokiego, niemal nieuświadomionego zadowolenia ulatniały się jak znikający sen. Rozejrzał się ostrożnie wokoło i westchnął.

- A więc wziąłeś to na siebie i myślałeś, że dasz sobie radę beze mnie, co? - mruknął.

Ramię mrowiło go, jakby się dopiero teraz budziło.

Jacob nie miał pojęcia, w jaki sposób jego drugiej połowie udało się uwolnić ani dlaczego próbowała pokierować biegiem spraw bez pomocy głównej osobowości. Widać jednak musiała mieć jakieś kłopoty, skoro się teraz poddała.

Kiedy o tym pomyślał, poczuł przypływ złości. Pan Hyde był czuły na punkcie swoich ograniczeń, w końcu jednak trzeba było skapitulować.

To wszystko? Przypomniał sobie szczegółowo wszystkie wydarzenia z ostatnich dziesięciu minut. Wybuchnął śmiechem. Jego niemoralne Ja napotkało barierę nie do przekroczenia.

Pierre LaRoque znajdował się w pokoju na końcu korytarza. W chaosie, który nastąpił po tym, jak odzyskał kamerę-ogłuszacz, tylko Jacobowi udało się nie zgubić jego tropu. Dopadniecie zwierzyny zachował samolubnie dla siebie. Bawił się z LaRoque'em jak z pstrągiem, pozwalając mu myśleć, że wymknął się pościgowi. Raz nawet skierował w złą stronę grupę członków załogi Bazy, kiedy zanadto się zbliżyli.

Teraz LaRoque wkładał skafander kosmiczny w schowku na narzędzia, dwadzieścia metrów od prowadzącej na zewnątrz śluzy powietrznej. Był tam już od pięciu minut i potrzebował jeszcze przynajmniej dziesięciu, żeby skończyć się przebierać. To właśnie była ta bariera nie do pokonania. Pan Hyde nie potrafił czekać. Był tylko zespołem emocji, a nie osobą - to Jacob posiadał cierpliwość. Tak to zresztą wszystko zaplanował. Parsknął z obrzydzenia, choć nie bez ukłucia bólu. Nie tak dawno temu te same emocje stanowiły normalną część jego ja. Rozumiał mękę, jaką czekanie sprawiało tej małej, sztucznej osobowości, domagającej się natychmiastowego zaspokojenia. Minuty płynęły. Jacob w ciszy obserwował drzwi. Nawet w pełni świadomości zaczynał się niecierpliwić. Musiał zdobyć się na poważny wysiłek woli, żeby nie sięgnąć ręką do klamki.

Wreszcie klamka się poruszyła. Jacob cofnął się, opuszczając ręce.

Drzwi otworzyły się na zewnątrz i ze szpary wysunęła się szklista bańka hełmu skafandra. LaRoque zbadał wzrokiem oba końce korytarza. Kiedy ujrzał Jacoba, wargi wykrzywił mu grymas. Drzwi rozwarły się i dziennikarz wyszedł na korytarz, trzymając w dłoni pręt ze wzmocnionego plastyku.

Jacob podniósł rękę.

- Stój, LaRoque, chcę z tobą porozmawiać. Zresztą i tak się stąd nie wydostaniesz. - Nie chcę ci zrobić krzywdy, Demwa. Uciekaj! - Głos LaRoque'a rozbrzmiewał niewyraźnie z głośnika na piersi skafandra. Dziennikarz zgiął pałkę w groźnym geście. Jacob potrząsnął głową.

- Przykro mi. Zablokowałem śluzę na korytarzu, zanim tu przyszedłem. A do następnej czeka cię długi spacer. Do tego w skafandrze.

Twarz LaRoque'a wykrzywiła się.

- Dlaczego?! Nic nie zrobiłem! A zwłaszcza tobie!

- To się dopiero okaże. Tymczasem możemy porozmawiać. Nie ma zbyt wiele czasu. - Pewnie, że porozmawiam! - wrzasnął LaRoque. - Tym! - Ruszył naprzód, wymachując pałką.

Jacob uchylił się i podniósł obie ręce, próbując dosięgnąć nadgarstka napastnika. Zapomniał jednak o zdrętwiałym ramieniu. Drżąca lewa ręka zatrzymała się w pół drogi do celu. Prawa wyskoczyła do góry, próbując zablokować cios, a pałka zwinęła się na niej. Jacob rzucił się rozpaczliwie do przodu, kuląc głowę, kiedy pręt gwizdnął kilka centymetrów przed nim.

Przynajmniej ten przewrót był doskonały. Słabsza grawitacja pomogła mu, kiedy płynnie powstawał i okrążał dziennikarza, gotując się do skoku. Stracił także czucie w prawej ręce, kiedy odruchowo zatamował ból pochodzący z okropnego stłuczenia. Ubrany w skafander LaRoque obrócił się

szybciej, niż się Jacob spodziewał. Czy to Kepler mówił, że dziennikarz był kosmonautą? Nie ma na to czasu. Znowu się zbliża.

Pałka runęła w pełnym wściekłości ciosie znad głowy. LaRoque trzymał ją oburącz, jak w kendo. Uderzenie byłoby łatwe do sparowania, gdyby tylko Jacob miał sprawne ręce. Tymczasem jednak zanurkował pod ciosem i rąbnął głową w mostek przeciwnika. Pchał dalej, aż obaj grzmotnęli o ścianę korytarza. LaRoque wydusił z siebie długie: „Ooo!" i wypuścił pałkę.

Jacob kopnął ją na bok i odskoczył.

- Przestań, LaRoque! - z trudem chwytał oddech. - Chcę z tobą tylko porozmawiać. Nie można ci przecież niczego udowodnić, więc po co uciekać? Zresztą i tak nie ma dokąd! LaRoque pokręcił głową ze smutkiem.

- Przykro mi, Demwa.

Jego sztuczny akcent zniknął całkowicie. Ruszył do przodu z wyciągniętymi ramionami. Jacob wymknął się i cofnął na bezpieczną odległość, licząc powoli. Kiedy doszedł do pięciu, jego powieki opadły pozostawiając wąskie szparki. Przez mgnienie oka Jacob Demwa był jednością. Cofnął się jeszcze i nakreślił w myśli krzywą biegnącą od czubka własnego buta do podbródka przeciwnika. Stopa zatoczyła ten łuk kopnięciem, które zdawało się trwać długie minuty. Uderzenie wydało się lekkie jak puch.

LaRoque wyleciał w powietrze. Jacob Demwa, wewnętrznie zjednoczony, patrzył, jak kształt w skafandrze leci w zwolnionym tempie do tyłu. Nagle jego uczucia zespoliły się z doznaniami LaRoque'a i wydawało się, że to on sam szybuje poziomo w powietrzu, a potem opada na dół, zawstydzony i poraniony, aż wreszcie twarda podłoga wali go w plecy poprzez pakiet z oprzyrządowaniem.

Wtedy trans się skończył. Rozpinał hełm skafandra, ściągał go i pomagał dziennikarzowi oprzeć się o ścianę. LaRoque cicho płakał.

Jacob dostrzegł pakunek przytroczony do pasa skafandra. Odciął paski i zaczął go odwijać, odpychając przy tym ręce LaRoque'a, kiedy ten chciał mu przeszkodzić. - No tak - Jacob ściągnął usta. - Nie strzelałbyś do mnie z ogłuszacza tylko dlatego, że kamera jest taka droga. To po co, w takim razie? Może się to wyjaśni, kiedy puszczę nagranie. Dalej, LaRoque - wstał i podniósł dziennikarza. - Pójdziemy do najbliższego odtwarzacza. Chyba, że chcesz coś najpierw powiedzieć. LaRoque potrząsnął głową. Potulnie dał się Jacobowi prowadzić za rękę. Kiedy wyszli na główny korytarz, gdzie Jacob miał zamiar skręcić do laboratorium fotograficznego, napotkali oddział prowadzony przez Dwayne'a Keplera. Choć grawitacja była obniżona, uczony musiał wspierać się na ramieniu jednego z pielęgniarzy. - Aha! Złapał go pan! Świetnie! To dowód, że wszystko, co powiedziałem, jest prawdą!

Ten człowiek uciekał przed słuszną karą! To morderca!

- To się okaże - powiedział Jacob. - Ta przygoda dowodzi tylko, że porządnie się wystraszył. Nawet

Obywatel może w panice posunąć się do przemocy. Chciałbym natomiast wiedzieć, dokąd on miał zamiar pójść. Tam przecież nie ma nic oprócz kupy kamieni! Może na wszelki wypadek powinien pan wysłać kilku ludzi na zewnątrz, żeby przeszukali teren wokół Bazy.

Kepler zaśmiał się.

- Nie sądzę, żeby on szedł dokądkolwiek. Nadzorowani nigdy nie wiedzą, dokąd idą. Kierują nimi najprostsze instynkty. Po prostu chciał wydostać się na otwartą przestrzeń, jak każde ścigane zwierzę.

Twarz LaRoque'a pozostała bez wyrazu. Trzymający go Jacob poczuł jednak, jak napiął mięśnie, kiedy wspomniano o przeszukaniu otoczenia Bazy, a potem rozluźnił je, gdy Kepler zlekceważył ten pomysł.

- Więc porzuca pan koncepcję świadomego morderstwa? - spytał Jacob Keplera, kiedy skierowali się do wind. Uczony szedł powoli.

- Jaki mógłby być motyw? Biedny Jeff nie skrzywdził nigdy nawet muchy! Poczciwy, bogobojny szympans! Poza tym w całym Systemie przez ostatnie dziesięć lat żaden Obywatel nie popełnił morderstwa! Takie przypadki są tak rzadkie jak złote meteoryty! Jacob miał co do tego pewne wątpliwości. Statystyki świadczyły raczej o metodach policji niż o czymkolwiek innym. Nie odezwał się jednak. Zatrzymali się przy windach i Kepler powiedział coś krótko do mikrofonu w ścianie.

Prawie natychmiast przybyło jeszcze kilku ludzi, którzy odebrali LaRoque'a od Jacoba.

- A przy okazji, czy znalazł pan kamerę? - spytał Kepler. Jacob milczał przez moment. Zastanawiał się, czy nie ukryć kamery, a potem udać, że ją znalazł.

- Ma camera a votre oncle! - krzyknął LaRoque. Wyszarpnął rękę i sięgnął do tylnej kieszeni Jacoba. Odciągnięto go, ale jeden z członków załogi wystawił dłoń. Jacob niechętnie wręczył mu kamerę.

- Co on powiedział? - zapytał Kepler. - Po jakiemu to było? Jacob wzruszył ramionami. Nadjechała winda i wysypało się z niej jeszcze więcej osób, między nimi Martine i deSilva.

- To było przekleństwo - odparł. - On nie ma chyba zbyt dobrego mniemania o pańskim pochodzeniu.

Kepler roześmiał się głośno.

13. Pod słońcem

Kopuła komunikacyjna przypominała Jacobowi bąbel przylepiony do smoły. Wokół półkuli ze szkła i stazy powierzchnia Merkurego lśniła przyćmionym, migotliwym blaskiem. Odbite światło słoneczne przypominało ciecz, co powiększało wrażenie bycia wewnątrz kryształowej kuli, która ugrzęzła w błocie i nie może wyrwać się w nieskalane obszary kosmosu.

Leżące nie opodal skały także wyglądały niesamowicie. Ciepło i nieustanne bombardowanie cząsteczek wiatru słonecznego wytworzyły niezwykłe minerały. Wzrok nie dawał sobie rady z pyłem i dziwacznymi formami kryształów. Lśniły tam też kałuże, ale o nich lepiej było w ogóle nie myśleć.

Uwagę przyciągało jeszcze coś innego, daleko na horyzoncie. Słońce. Było bardzo blade, bo tłumiły je potężne ekrany. Białożółta kula wyglądała jak złoty mlecz, rozżarzona moneta na wyciągnięcie ręki. Ciemne plamy tworzyły skupiska gęstniejące na północy i południu, z dala od równika. Powierzchnia miała strukturę tak drobną, że wzrok nie mógł się na niej skupić.

Spoglądając prosto w Słońce Jacob poczuł dziwne odosobnienie. Światło - przyćmione, ale nie czerwone - omywało ożywczym żarem tych, którzy byli wewnątrz kopuły. Wydawało się, że strumienie blasku pieszczą mu czoło.

Jak jakiś starożytny jaszczur, szukający czegoś więcej niż tylko ciepła, Jacob odkrył przed Bogiem Niebios każdą część swojego ja i pod wpływem boskiego ognia doznał przemożnego przyciągania, konieczności czynu.

Poczuł nieprzyjemną pewność. W tym ogniu coś żyło. To coś było potwornie stare i potwornie nieufne.

Pod kopułą ludzie i maszyny stali na płycie ze stopu żelaza i krzemu. Jacob wyciągał głowę, żeby spojrzeć na ogromny słup zajmujący środek pomieszczenia i wystający ponad szczyt osłony stazowej wprost na gorące, merkuriańskie słońce. Na jego wierzchołku znajdowały się masery i lasery, które zapewniały Bazie kontakt z Ziemią, i które poprzez sieć sprzężonych satelitów zawieszonych piętnaście milionów kilometrów nad powierzchnią planety czuwały nad heliostatkami zanurzającymi się w wiry Heliosa.

Maser pracował bardzo intensywnie. Wzory siatkówek, jeden po drugim, wylatywały z prędkością światła, by trafić do komputerów w domu. Kusiło wręcz, żeby wyobrazić sobie, że leci się na tej wiązce z powrotem na Ziemię, do rzek i błękitnego nieba. Czytnik wzoru siatkówki był niewielkim urządzeniem dołączonym do laserowych układów optycznych systemu komputerowego, który zaprojektowano dzięki Bibliotece. Sam czytnik składał się głównie z dużego okularu, do którego użytkownik przyciskał czoło i policzek. Przyrząd sam odczytywał dane optyczne.

Pomimo iż nieziemców zwolniono z kontroli (zupełnie się do tego nie kwalifikowali, a zresztą i tak wzory siatkówek kilku tysięcy Galaktów przebywających w Układzie Słonecznym nie były nigdzie zarejestrowane), Kulla nalegał, żeby włączono i jego. Twierdził, że jako przyjaciel Jeffreya, ma prawo do uczestnictwa, choćby symbolicznego, w śledztwie dotyczącym śmierci szympansa.

ET miał kłopoty z jednoczesnym dopasowaniem obojga oczu do okularów. Bardzo długo stał bez ruchu, aż wreszcie rozległ się gong i Kulla odszedł od urządzenia. Operator dostosował wysokość okularu dla Helene deSilva. Później przyszła kolej Jacoba. Poczekał, aż dopasowano okular, przycisnął nos, policzek i czoło do podpórek, po czym otworzył oczy.

W środku świeciła jasna plamka. Nic poza tym. Plamka przypominała coś Jacobowi, ale nie mógł skojarzyć sobie, co. Kiedy na nią patrzył, zdawała się obracać i iskrzyć. Wymykała się analizie jak

blask ludzkiej duszy.

Gong był znakiem, że jego kolej minęła. Cofnął się, przepuszczając nadchodzącego Keplera wspartego na ramieniu Millie Martine. Mijając Jacoba uczony uśmiechnął się. To właśnie było to! - pomyślał. Plamka wyglądała jak błysk w oku człowieka. No cóż, to by się zgadzało. Komputery dzisiaj już prawie myślą. Mówi się, że niektóre mają podobno nawet poczucie humoru, więc czemu by i nie to? Dajmy komputerom oczy, niech błyszczą, i ręce, niech się biorą pod boki. Niech rzucają wieloznaczne spojrzenia, niech patrzą wilkiem... Dlaczego maszyny nie miałyby zacząć przypominać tych, których wchłaniają w siebie?

LaRoque poddał się czytnikowi z pewną siebie miną. Kiedy skończył, bez słowa usiadł na uboczu pod ciężkim spojrzeniem Helene deSilva i kilku innych członków załogi. Komendant Bazy kazała przynieść posiłek w czasie, gdy każdy, kto był związany ze statkami Słonecznego Nurka, czekał na swoją kolej do czytnika. Wielu inżynierów sarkało na przerwę w pracy. Patrząc na przesuwającą się procesję, Jacob musiał przyznać, że naprawdę było z tym mnóstwo zachodu. Nigdy by nie przypuścił, że Helene będzie chciała sprawdzić każdego.

DeSilva wyjaśniła to częściowo, kiedy jechali windą na górę. Posłała najpierw osobno Keplera i LaRoque’a, a sama pojechała z Jacobem następną windą. - Jedna rzecz mnie niepokoi - zaczął on.

- Tylko jedna? - uśmiechnęła się ponuro.

- No, jedna się wyróżnia. Jeśli doktor Kepler oskarża LaRoque’a o sabotaż na statku Jeffa, to czemu sprzeciwia się zabraniu na następne nurkowanie Bubbakuba i Fagina, niezależnie od wyniku dochodzenia? Skoro LaRoque jest winny, to by oznaczało, że po jego odsunięciu następna wyprawa będzie absolutnie bezpieczna. DeSilva patrzyła na niego przez chwilę, zastanawiając się. - Jeżeli w tej bazie mogę komukolwiek zaufać, to tylko tobie, Jacob. Powiem ci więc, co myślę. Doktor Kepler nigdy tak naprawdę nie chciał żadnej pomocy od obcych przy tym programie. Rozumiesz na pewno, że mówię ci to w największym zaufaniu, ale obawiam się, że w tym przypadku normalna równowaga pomiędzy ksenofilią i humanizmem, którą zachowują ludzie kosmosu, posunęła się trochę zbyt daleko. Ze względu na swoją przeszłość Kepler jest zdecydowanie przeciwny filozofii danikenistycznej i sądzę, że z tego częściowo wynika jego nieufność w stosunku do obcych. Poza tym wielu jego współpracowników wyleciało z pracy przez Bibliotekę. Dla kogoś, kto tak jak on kocha badania, musiało to być naprawdę ciężkie przeżycie. Nie mówię, że on należy do Skórzanych ani nic takiego! Całkiem dobrze mu się współpracuje z Faginem, a przy innych Itich udaje mu się ukryć emocje. Ale Kepler może powiedzieć, że jeśli na Merkurego zdołał się przedostać jeden niebezpieczny człowiek, to może się to udać i drugiemu. W ten sposób, wykorzystując argument o bezpieczeństwie naszych gości, nie dopuszcza ich do statków. - Ale przecież Kulla był prawie na każdym nurkowaniu! - Kulla się nie liczy. To podopieczny. - DeSilva wzruszyła ramionami. - Wiem jedno: kiedy ta sprawa się wyjaśni, będę musiała zmyć głowę Keplerowi. Każdy człowiek w tej Bazie będzie miał sprawdzaną tożsamość, a Bubbakub i Fagin polecą na następne nurkowanie, choćbym miała zabrać ich po pijaku! Nie mam zamiaru dopuścić do powstania choćby śladu plotek, że na ludzkiej załodze nie można polegać! - Kiwnęła głową, zaciskając zęby.

Jacob pomyślał, że ta determinacja jest przesadzona. Chociaż potrafił zrozumieć uczucia Helene, uważał, że nie powinno się odbierać kobiecości jej pięknym rysom. Zastanawiał się też, czy Helene

była szczera, gdy mówiła o swoich motywacjach. Mężczyzna czekający przy końcówce masera oddarł kawałek taśmy z wiadomością i zaniósł ją deSilvie. Zapadła pełna napięcia cisza, kiedy wszyscy patrzyli, jak komendant czyta informację. DeSilva skinęła na kilku krzepkich członków załogi, którzy stali nie opodal, i powiedziała twardo:

- Umieśćcie pana LaRoque'a w areszcie. Wróci na Ziemię następnym odlatującym statkiem.

- Pod jakim zarzutem?! - krzyknął dziennikarz. - Nie możesz tego zrobić, ty, ty Neandertalko! Dopilnuję, żebyś zapłaciła za tę obrazę!

DeSilva spojrzała na niego z góry, jakby był jakimś nieprzyjemnym owadem. - Jak na razie pod zarzutem bezprawnego usunięcia nadajnika nadzorującego. Być może później zostaną dodane jeszcze inne oskarżenia.

- Kłamstwo, kłamstwo! - wrzeszczał LaRoque, podskakując gwałtownie. Ktoś chwycił go za ramię i, dławiącego się z wściekłości, pociągnął w kierunku wind.

DeSilva przestała zwracać na niego uwagę i odezwała się do Jacoba:

- Panie Demwa, drugi statek będzie gotowy za trzy godziny. Powiadomię pozostałych.

Możemy spać w czasie lotu. Jeszcze raz dziękuję, że pan sobie tak poradził na dole. Zanim zdążył odpowiedzieć, odwróciła się i półgłosem zaczęła wydawać rozkazy członkom załogi, którzy zebrali się dookoła. Chłodny profesjonalizm skrywał irytację, którą spowodowała ta niesłychana wiadomość: Nadzorowany w kosmosie! Przez kilka minut Jacob przyglądał się, jak kopuła powoli pustoszeje. Śmierć, zwariowany pościg, a teraz przestępstwo. I co z tego - pomyślał - że na razie dowiedziono tylko takiego przestępstwa, jakie i ja bym pewnie popełnił, gdybym został SN. Oznacza to przecież duże prawdopodobieństwo, że śmierć Jeffa spowodował LaRoque. Chociaż nie lubił dziennikarza, nigdy by nie pomyślał, że tamten zdolny jest do morderstwa z zimną krwią, nawet pomimo tych podłych ciosów plastykową pałką. Gdzieś w głębi umysłu Jacob czuł, jak jego druga połowa z radością zaciera ręce, szatańsko zadowolona z tajemniczych i nieoczekiwanych zwrotów w sprawie Słonecznego Nurka, i jak rwie się na wolność.

Nie ma mowy.

Przy windach podeszła do niego doktor Martine. Wyglądała na wstrząśniętą. - Jacob... nie myśli pan chyba, że Pierre mógł zabić tego głupiego faceta, co? To znaczy, on przecież lubi szympansy!

- Przykro mi, ale dowody zdają się na to wskazywać. Nie lubię Prawa Nadzoru tak samo jak i pani, ale ludzie, których przypisano do tej kategorii, naprawdę zdolni są bez wahania użyć przemocy. A w przypadku pana LaRoque'a usunięcie przekaźnika było naruszeniem prawa. Może się pani nie martwić, rozgryzą to wszystko na Ziemi. LaRoque na pewno będzie traktowany uczciwie.

- Ale... już teraz oskarżono go nieuczciwie! - Język się jej rozwiązał. - On nie jest Nadzorowany i nie jest mordercą! Mogę to udowodnić!

- To świetnie! Ma pani dowody przy sobie? - Nagle zmarszczył brwi. - Ale przecież przekaz z Ziemi mówił, że LaRoque podlega Nadzorowi! Zagryzła wargę, nie patrząc mu w oczy.

- Przekaz był sfałszowany.

Jacob poczuł dla niej litość. Oto nadzwyczaj pewna siebie pani psycholog jąkała się w szoku i chwytała naciąganych pomysłów. Było to żenujące; Jacob zapragnął znaleźć się gdzie indziej.

- Czy ma pani dowód na to, że wiadomość była kłamstwem? Czy mógłbym ten dowód zobaczyć?

Martine spojrzała na niego. Nagle zawahała się, jakby rozważając, czy powiedzieć więcej.

- Ta... ta załoga. Czy rzeczywiście widział pan wiadomość? Ta kobieta... ona przecież tylko ją przeczytała. Ona i reszta nienawidzą Pierre'a...

Głos jej zamarł, jakby zdała sobie sprawę ze słabości argumentu. W końcu - pomyślał Jacob - czy komendant mogła oszukać, czytając z taśmy i wiedząc na pewno, że nikt nie będzie chciał jej obejrzeć? Albo, inaczej rzecz ujmując, czy z czystej niechęci dałaby LaRoque'owi sposobność do zaskarżenia jej i wyciągnięcia wszystkiego, co przez siedemdziesiąt lat zarobiła, do ostatniego grosza?

A może Martine chciała powiedzieć coś innego?

- Może pójdzie pani na dół, do swojej kwatery, i trochę odpocznie? - powiedział łagodnie. - I nie martwi się o pana LaRoque'a. Żeby w sądzie na Ziemi udowodnić mu morderstwo, potrzeba będzie więcej dowodów, niż do tej pory zgromadzono. Martine pozwoliła mu zaprowadzić się do windy. Jacob obejrzał się. DeSilva rozmawiała z załogą, Keplera odprowadzono już wcześniej, Kulla stał przygnębiony obok Fagina. Ci dwaj górowali nad wszystkimi innymi w pomieszczeniu oświetlanym wielką żółtą tarczą Słońca. Kiedy drzwi od windy zamykały się, Jacob pomyślał, że może to nie najlepszy sposób na rozpoczęcie podróży.

CZĘŚĆ PIĄTA

Życie jest przedłużeniem świata fizycznego.

Systemy biologiczne mają wyjątkowe właściwości, ale mimo wszystko muszą podporządkowywać się ograniczeniom nakładanym przez fizyczne i chemiczne własności otoczenia oraz samych organizmów... wpływ na ewolucyjne rozwiązania problemów biologicznych... ma środowisko fizyko-chemiczne.

Robert E. Ricklefs, Ekologia, Chiron Press

14. Najgłębszy ocean

Projekt ten nazwano „Ikar”. Był to czwarty program kosmiczny o tej nazwie i pierwszy, dla którego była ona odpowiednia. Na długo zanim urodzili się rodzice Jacoba, przed Przewrotem i Traktatem, przed Ligą Satelitów Energetycznych, nawet przed najpełniejszym rozkwitem dawnej Biurokracji, stareńka NASA postanowiła, że ciekawie byłoby poświęcić kilka sond i zrzucić je na Słońce, żeby zobaczyć, co się stanie.

Odkryto, że kiedy sondy są już dostatecznie blisko, dzieje się z nimi coś osobliwego:

spalają się.

W czasach „złotej jesieni” Ameryki wszystko wydawało się możliwe. Amerykanie budowali miasta w kosmosie, więc bardziej wytrzymałe sondy nie stanowiły dla nich żadnego problemu.

Wykonano powłoki, które mogły wytrzymać nieprawdopodobnie wielki nacisk, i których powierzchnia odbijała niemal wszystko. Pola magnetyczne odpychały od kadłubów sond rozrzedzoną, ale niezwykle gorącą plazmę korony słonecznej i chromosfery. Potężne lasery komunikacyjne przenikały atmosferę Słońca, niosąc dwukierunkowe strumienie rozkazów i danych.

Automatyczne próbniki nadal jednak płonęły. Bez względu na to, jak doskonałe były zwierciadła i materiały izolujące, jak równomiernie rozprowadzały żar nadprzewodniki, prawa termodynamiki nie przestawały obowiązywać. Wcześniej czy później ciepło musi przedostać się ze strefy wyższej temperatury tam, gdzie jest ona niższa. Heliofizycy poprzestaliby na pokornym spalaniu próbników w zamian za eksplozje nowych informacji, gdyby Tina Merchant nie zaproponowała innego sposobu. „Może by tak chłodzić? - zapytała. - Energii macie tak dużo, jak tylko zechcecie.

Możecie użyć chłodni, żeby przesyłały ciepło z jednego miejsca sondy do innego.” Koledzy po fachu odpowiedzieli jej, że przy zastosowaniu nadprzewodników wyrównanie ciepła we wszystkich częściach sondy nie jest problemem. „A kto mówił o wyrównywaniu? - odparła Piękność z Cambridge. - Powinniście zebrać cały nadmiar ciepła z tej części statku, gdzie znajdują się przyrządy, i przepompować je do innej części, gdzie ich nie ma.”

„Ale ta druga część się spali!” - powiedział jeden ze współpracowników. „Owszem, ale możemy zbudować łańcuch takich śmietników ciepła - powiedział inny, trochę bystrzejszy inżynier - a potem wyrzucać je jeden po drugim.” „Nie, zupełnie nie rozumiecie - potrójna noblistka podeszła do tablicy i narysowała koło, a wewnątrz niego następne. - Tutaj - wskazała na wewnętrzny krąg. - Pompujecie ciepło tutaj, aż przez krótką chwilę wnętrze będzie cieplejsze niż plazma otaczająca statek. Potem, zanim jeszcze zdąży wyrządzić jakieś szkody, wyrzucacie je na zewnątrz, do chromosfery.” „A jak - spytał pewien sławny fizyk - zamierza pani to zrobić?” Tina Merchant uśmiechnęła się, jakby w myślach widziała już, jak wręczają jej Nagrodę Astronautyczną.

„Naprawdę, zdumiewacie mnie - odparła. - Macie przecież na pokładzie laser komunikacyjny, którego światło ma miliony stopni! Wykorzystajcie go!” W ten sposób nadeszła epoka batysfery

słonecznej. Unosząc się po części z pomocą siły wyporu, po części zaś dzięki równowadze uzyskiwanej przez salwy laserów chłodzących, sondy tkwiły na Słońcu przez dni i tygodnie, śledząc ledwo uchwytne zmiany, które kształtowały pogodę na Ziemi.

Epoka ta skończyła się wraz z Kontaktem. Wkrótce jednak narodził się nowy typ heliostatku.

Jacob pomyślał o Tinie Merchant. Ciekawe, czy wielka dama byłaby dumna lub choćby oszołomiona, wchodząc na pokład jednego z heliostatków i łagodnie żeglując przez najsroższe burze gniewnej gwiazdy. Być może powiedziałaby „Oczywiście!” Skąd jednak miałaby wiedzieć, że aby ludzie mogli stawiać czoła tym nawałnicom, jej własną wiedzę trzeba było połączyć z nauką obcych?

Taka kombinacja nie budziła u Jacoba zaufania.

Wiedział, oczywiście, że w tym statku dokonano kilkudziesięciu pomyślnych lotów. Nie było powodu sądzić, że ta podróż może być niebezpieczna. Tyle tylko, że inny statek, pomniejszona kopia tego, zawiódł w tajemniczych okolicznościach zaledwie trzy dni wcześniej...

Statek Jeffa był teraz pewnie dryfującym obłokiem zjonizowanego gazu i rozkładających się resztek cermetu, rozproszonych na przestrzeni setek kilometrów kwadratowych w słonecznym wirze. Jacob spróbował wyobrazić sobie burze chromosfery tak, jak widział je Jeff w ostatnich chwilach swojego życia, kiedy przestały go chronić pola czasoprzestrzeni. Zamknął oczy i lekko je potarł. Zmęczyły się, gdy wpatrywał się w Słońce, mrugając zbyt rzadko.

Ze swojego miejsca na jednym z wpuszczonych w pokład foteli widokowych mógł obserwować prawie całą tarczę Słońca. Pierzasta, powoli przesuwająca się kula bieli, czerni i łagodnej czerwieni wypełniała prawie całe niebo. W świetle wodoru wszystko mieniło się odcieniami szkarłatu: smukły, delikatny łuk wzniesienia na obrzeżu gwiazdy, odznaczający się wyraźnie na tle kosmosu, ciemne, poskręcane pasma włókien i czarniawe jamy plam słonecznych z głębinami umbr i półcieniami przepływów. Topografia Słońca posiadała nieskończone niemal bogactwo i strukturę. Od błysków zbyt szybkich, by można je było dojrzeć, aż do powolnych i majestatycznych zawirowań, wszystko, co widział, było w ruchu.

Chociaż najważniejsze rysy niewiele zmieniały się z godziny na godzinę, Jacob mógł spostrzec niezliczoną ilość mniejszych poruszeń. Najszybsze były pulsacje lasów złożonych z wysokich i smukłych „kolców” na krawędziach wielkich, cętkowanych komórek. Rozbłyski następowały w odstępach kilkusekundowych. Jacob wiedział, że każdy kolec obejmuje tysiące kilometrów kwadratowych.

Dużo czasu spędził przy teleskopie na odwrotnej stronie heliostatku, oglądając migotanie ostrzy rozżarzonej plazmy, wytryskujących z fotosfery niczym szybko falujące fontanny. Wyzwalały one z grawitacji słonecznej wielkie toczące się fale materii, które ostatecznie miały stać się koroną i wiatrem słonecznym.

Pośród ogrodzeń z kolców wielkie, ziarniste komórki pulsowały skomplikowanym rytmem, w miarę jak ciepło wydobywało się na powierzchnię po milionletniej podróży i uciekało, błyskawicznie zmieniając się w światło.

Te mniejsze komórki zbierały się z kolei w gigantyczne skupiska, których poruszenia były podstawową aktywnością doskonałej, rozżarzonej kuli - biciem gwiezdnego dzwonu. Ponad tym wszystkim unosiła się chromosfera, niczym rozległe, głębokie morze. Choć porównanie było chyba nieco przesadzone, to rzeczywiście można było w niespokojnych obszarach ponad szpikulcami dostrzec rafy koralowe, a w rzędach wspaniałych, pierzastych włókien układających się wszędzie zgodnie z liniami pola magnetycznego dopatrzyć się ławic wodorostów, łagodnie kołyszących się z przypływem. Nie miało przy tym znaczenia, że każdy z różowych łuków był wielokrotnie większy do kuli ziemskiej!

Jacob kolejny raz oderwał wzrok od wrzącej kuli. Nie będzie ze mnie żadnego pożytku, jeśli będę się tak gapił - pomyślał. - Ciekawe, jak inni mogą się temu oprzeć? Z miejsca gdzie leżał, widać było cały pokład obserwacyjny z wyjątkiem małej części zasłoniętej przez wysoką na dwanaście metrów kopułę centralną. Z boku tej kopuły pojawiła się szczelina, przez którą na pokład wpadło światło. Ukazały się dwie sylwetki: mężczyzna, a za nim wysoka kobieta. Jacob nie musiał czekać, aż jego oczy przyzwyczają się do jasności, żeby rozpoznać postać komendant Helene deSilva. Helene podeszła do jego fotela, usiadła skrzyżowawszy nogi i uśmiechnęła się. - Dzień dobry, panie Demwa. Mam nadzieję, że w nocy spało się dobrze. Będzie dziś pracowity dzień.

Jacob zaśmiał się.

- Jednym tchem powiedziałaś trzy słowa sugerujące, że jest tu coś takiego jak noc. Nie musisz podtrzymywać tej fikcji i urządzać tu wschodu słońca - wskazał głową w stronę, gdzie gorąca kula zakrywała pół nieba.

- Dzięki rotacji statku szczury lądowe mają osiem godzin nocy i okazję do snu - odparła. - Nie trzeba się było trudzić - powiedział Jacob. - Przekimać się mogę zawsze. To mój najcenniejszy talent.

Uśmiech Helene pojaśniał.

- Żaden kłopot. Ale skoro już o tym wspomniałeś, to jest taka tradycja, żeby przed ostatecznym zejściem na dół obracać statek jeden raz i nazywać to nocą. - Już macie tu tradycję? Po zaledwie dwóch latach?

- Och, ta tradycja jest o wiele starsza! Sięga jeszcze czasów, kiedy nikt nie mógł wyobrazić sobie podróży na słońce inaczej niż... - urwała. - ...Niż lecieć tam nocą, kiedy nie jest takie gorące! - Jacob zakrztusił się ze śmiechu.

- Domyśliłeś się!

- To proste jak słońce, mój drogi Watsonie.

Teraz z kolei ona zachichotała.

- Chociaż rzeczywiście pomiędzy tymi, którzy byli na Heliosie tworzy się swego rodzaju poczucie tradycji. Założyliśmy Klub Połykaczy Ognia. Wprowadzimy cię do niego po powrocie. Niestety, nie mogę ci powiedzieć, na czym polega to wprowadzenie... ale mam nadzieję, że umiesz pływać!

- Widzę, że się z tego nie wykaraskam, pani komendant. Z dumą zostanę Połykaczem Ognia.

- Dobrze! I nie zapominaj, że ciągle jesteś mi dłużny historię o tym, jak uratowałeś Igłę Waniliową. Nie mówiłam ci nigdy, jak bardzo cieszyłam się, widząc tę starą ohydę, kiedy Calypso wróciła. Chcę więc posłuchać opowieści człowieka, który ją ocalił. Jacob spojrzał niewidzącym wzrokiem na komendant deSilvę. Przez chwilę wydawało mu się, że słyszy świst wiatru i czyjeś wołanie... Głos krzyczący niezrozumiałe słowa, upadające ciało... Wstrząsnął nim dreszcz.

- Na pewno ci ją opowiem, tylko że jest zbyt osobista na zwyczajne pogawędki. W uratowaniu Igły brał udział jeszcze ktoś, o kim pewnie chciałabyś usłyszeć. Przez twarz Helene deSilva przemknął wyraz współczucia, który sugerował, że wiedziała, co przydarzyło mu się w Ekwadorze, i że pozwoli mu opowiedzieć o tym wtedy, kiedy sam uzna to za stosowne.

- Oczekuję z niecierpliwością. Pomyślałam też o historii dla ciebie. To opowieść o „śpiewających ptakach" Omniwarium. Planeta jest tak cicha, że ziemscy osadnicy muszą bardzo uważać, bo inaczej ptaki zaczynają naśladować każdy dźwięk, jaki usłyszą. Ma to interesujący wpływ na obyczaje miłosne kolonistów, szczególnie kobiet, zależnie od tego, czy chcą rozgłosić „zdolności" swojego partnera w tradycyjny sposób, czy wolą raczej dyskrecję. Teraz jednak pora wracać do obowiązków. Zresztą i tak nie chcę zdradzać całej historii. Dam ci znać, kiedy dotrzemy do pierwszej turbulencji.

Jacob podniósł się i patrzył za nią, kiedy odchodziła w stronę centrum dowodzenia. Heliostatek zbliżający się do chromosfery to pewnie dziwne miejsce, żeby pozwolić się oczarować krokom kobiety, ale dopóki ją widział, zupełnie nie miał ochoty odwrócić wzroku. Podziwiał gibkość, którą członkowie korpusu międzygwiezdnego rozwijali aż do ostateczności.

Do diabła, ona pewnie robi to celowo. Kiedy tylko nie przeszkadzało jej to w pracy, Helene deSilva najwyraźniej uprawiała libido jako swoje hobby. W jej zachowaniu wobec niego było jednak coś dziwnego. Wydawało się, że ufa mu bardziej, niż usprawiedliwiałoby to ich kilka przyjacielskich rozmów i jego niewielka pomoc na Merkurym. Być może o coś jej chodziło. Jeśli tak, to nie potrafił się domyślić, o co. Z drugiej strony może ludzie stają się serdeczniejsi, kiedy na Calypso opuszczą na bardzo długo Ziemię. Ktoś, kto wychował się w kolonii O'Niela w okresie ekspiacji wywołanej kompromitacją polityczną, może być bardziej skłonny do zaufania swym instynktom niż dziecko skrajnie indywidualistycznej Konfederacji.

Ciekawe, co naopowiadał jej o nim Fagin.

Jacob podszedł do centralnej kopuły, której zewnętrzna ściana zawierała maleńką kabinę toaletową.

Kiedy z niej wyszedł, czuł się dużo przytomniejszy. Po drugiej stronie kopuły, przy automatach z jedzeniem i napojami, natrafił na doktor Martine, która stała tam w towarzystwie dwójki dwunogich obcych. Uśmiechnęła się do niego, a oczy Kulli rozjaśniła życzliwość. Nawet Bubbakub wymruczał powitanie przez swój brzmieniacz. Jacob wybrał sok pomarańczowy i omlet.

- Wiesz, Jacob, wczoraj wieczorem poszedłeś spać za wcześnie. Kiedy już cię nie było, Pil Bubbakub opowiedział nam jeszcze parę nieprawdopodobnych historii. Były naprawdę zdumiewające!

Jacob skłonił się lekko Bubbakubowi.

- Przepraszam, Pilu Bubbakubie. Byłem bardzo zmęczony. W przeciwnym razie nie przepuściłbym okazji, żeby usłyszeć więcej o wspaniałych Galaktach, a szczególnie o sławnych Pilanach.

Stojąca obok niego Martine zesztywniała, ale Bubbakub okazał zadowolenie gładząc się z dumą po brzuchu. Jacob wiedział, że niebezpiecznie byłoby obrazić małego obcego. Zorientował się już jednak, że Ambasador nie uzna nigdy żadnego oskarżenia o pychę za zniewagę. Nie mógł więc oprzeć się pokusie nieszkodliwego docinka. Martine nalegała, żeby usiadł z nimi tam, gdzie fotele podniesiono już do jedzenia. Dwaj członkowie załogi siedzieli nie opodal nad posiłkiem.

- Czy ktoś nie widział Fagina? - spytał Jacob.

Doktor Martine pokręciła głową.

- Nie, obawiam się, że był na odwrotnej stronie ponad dwanaście godzin. Nie mam pojęcia, czemu nie przyjdzie tutaj do nas.

Małomówność nie była w stylu Fagina. Kiedy jednak Jacob poszedł poprzedniego dnia do półkuli przyrządów, żeby skorzystać z teleskopu, i napotkał tam Kantena, ten ledwie się odezwał. Teraz zaś komendant ograniczyła dostęp do odwrotnej strony statku dla wszystkich z wyjątkiem Fagina, który zajmował ją sam.

Jeśli do obiadu nie będę miał od niego żadnych wiadomości, zażądam wyjaśnień - pomyślał Jacob.

Siedzący obok Martine i Bubbakub rozmawiali. Kulla wtrącał z rzadka jakieś słowo, zawsze z obrzydliwie obłudnym respektem. Wydawało się, że Pring nie odrywa tuby od swoich gigantycznych warg. Pociągał z niej powoli, miarowo konsumując zawartość, i w czasie, gdy Jacob jadł swój posiłek, opróżnił kilka takich tub. Bubbakub zagłębił się w opowieść o swoich Przodkach, członkach rasy Soro, którzy jakieś parę milionów lat temu brali udział w jednym z niewielu przyjaznych kontaktów pomiędzy społecznością ras tlenodysznych a równoległą do niej tajemniczą kulturą ras oddychających wodorem, także zamieszkujących Galaktykę. Przez całe eony jedni i drudzy rozumieli się słabo albo wcale. Za każdym razem, gdy wybuchał pomiędzy nimi konflikt, ginęła jakaś planeta. Czasami nawet więcej. Było prawdziwym szczęściem, że prawie nic ich nie łączyło, zatargi były więc rzadkie. Historia była długa i zawiła, ale Jacob musiał przyznać, że Bubbakub opowiadał po mistrzowsku. Pilanin potrafił być czarujący i błyskotliwy, dopóki tylko znajdował się w centrum uwagi.

Jacob puścił wodze wyobraźni, słuchając, jak Bubbakub opisuje żywo rzeczy, których pokosztowała zaledwie garstka ludzi: nieskończoną obcość i piękno gwiazd, rozmaitość istot żyjących na tysiącach planet. Zaczął zazdrościć Helene deSilva. Bubbakub głęboko odczuwał racje istnienia Biblioteki. To ona przekazywała wiedzę i tradycję łączące tych, którzy wdychali tlen. Zapewniała ciągłość, ale i coś więcej: bez Biblioteki nie byłoby żadnych więzi pomiędzy gatunkami. W wojnach nie znano by umiaru, prowadzono by je do całkowitego wytępienia wroga. Planety wyniszczono by zbyt intensywnym użytkowaniem.

Biblioteka i pozostałe luźno związane Instytuty pomagały swoim członkom ustrzec się przed masowym wymordowaniem.

Opowieść Bubbakuba osiągnęła punkt kulminacyjny i Pilanin darował swoim przejętym lękiem słuchaczom kilka chwil ciszy. Na koniec dobrotliwie zapytał Jacoba, czy ten nie zechciałby zaszczycić ich swoją własną historią.

Jacoba kompletnie to zaskoczyło. Życie, które wiódł, było może nawet ciekawe, jak na ziemskie standardy, ale z pewnością nie nadzwyczajne! O czym miałby opowiedzieć? Najwyraźniej zasady były takie, że musiało to być albo osobiste przeżycie, albo jakaś przygoda Przodków lub członków rodu.

Pocąc się i wiercąc na fotelu, zastanawiał się, czy nie przedstawić opowieści o jakiejś postaci historycznej, może o Marco Polo albo Marku Twainie. Martine nie byłaby chyba jednak tym zbytnio zainteresowana.

Pozostawała jeszcze rola, jaką jego dziadek Alvarez odegrał w Przewrocie. Niestety, ta historia miała zdecydowanie polityczny charakter i Bubbakub uznałby jej morał za jawnie wywrotowy. Najlepsza opowieść dotyczyła jego własnej przygody w Igle Waniliowej, ale była zbyt osobista, za dużo było w niej bolesnych wspomnień, którymi nie chciał dzielić się tu i teraz. Poza tym, obiecał ją już Helene deSilva.

Szkoda, że nie było z nimi LaRoque'a. Ten żwawy facet potrafiłby pewnie mówić tak długo, aż ogień, do którego lecieli, wypaliłby się do cna. Jacobowi przyszedł do głowy szelmowski pomysł. Istniała taka postać historyczna, będąca jego bezpośrednim Przodkiem, o której opowieść mogłaby być w miarę stosowna. Zabawne było to, że historia ta dawała się interpretować na dwóch poziomach. Ciekawe, jak daleko będzie mógł się posunąć w szczerości, żeby niektórzy słuchacze nie połapali się, o co chodzi.

- No cóż, rzeczywiście w ziemskiej historii pojawia się pewien mężczyzna, o którym chciałbym opowiedzieć - zaczął powoli. - Jest on postacią interesującą, gdyż uczestniczył w kontakcie pomiędzy kulturą i techniką „prymitywną” oraz inną, która przewyższała tamtą prawie pod każdym względem. To zagadnienie jest państwu naturalnie znane. Od czasów Kontaktu mówią o tym prawie wszyscy historycy. Los Indian amerykańskich stał się moralitetem naszej epoki.

- Stare dwudziestowieczne filmy gloryfikujące „szlachetnego Czerwonoskórego” - ciągnął - pokazywane są dziś wyłącznie jako komedie. Millie przypomniała nam jeszcze na Merkurym to, o czym na Ziemi wie każdy, mianowicie, że spośród wszystkich kultur, z którymi zetknęli się Europejczycy, Czerwonoskórzy w najmniejszym chyba stopniu zdołali dostosować się do nowej sytuacji. Chełpliwa duma powstrzymywała ich przed zgłębianiem potężnych metod postępowania białego człowieka, aż wreszcie było już za późno. Postawa taka była dokładnym przeciwieństwem zakończonego sukcesem „dołączenia” dokonanego przez Japonię w dziewiętnastym wieku, na który to przykład frakcja „Przystosuj się i Przetrwaj” stale powołuje się wobec swych dzisiejszych zwolenników. Tu ich miał! Patrzyli na niego w milczeniu. Oczy Kulli pojaśniały. Nawet Bubbakub, który zazwyczaj nie słuchał uważnie, teraz nie spuszczał z Jacoba swoich paciorkowatych oczek. Tylko Martine drgnęła, kiedy wspomniał o frakcji „P i P”. Ciekawe. Gdyby siedział tu LaRoque, nie

byłby zachwycony tym, co mówię - pomyślał. Rozpacz LaRoque'a byłaby jednak niczym w porównaniu z tym, co musieliby czuć jego krewni, Alvarezowie, gdyby kiedykolwiek usłyszeli go mówiącego takie rzeczy! - Oczywiście niepowodzenia Indian amerykańskich w adaptacji nie były wyłącznie ich winą - mówił dalej. - Wielu uczonych uważa, że kultury półkuli zachodniej przeżywały właśnie cykliczny kryzys, który zbiegł się akurat, na ich nieszczęście, z przybyciem Europejczyków. Biedni Majowie zakończyli właśnie wojnę domową, podczas której wszyscy wynieśli się na wieś, zostawiając za sobą wyludnione miasta, porzucając książąt i kapłanów. Kiedy przybył Kolumb, świątynie były w większości opustoszałe. Oczywiście, w czasie „Złotego Wieku Majów" liczba ludności podwoiła się, a zamożność i handel wzrosły czterokrotnie, ale to nie są dobre kryteria oceny kultury.

Ostrożnie, chłopie! Nie posuwaj się za daleko w tej ironii. Jacob zauważył, że jeden z członków załogi, facet o nazwisku Dubrowsky, którego wcześniej poznał, schował się za pozostałych. Tylko Jacob dostrzegł na jego twarzy sardoniczny uśmiech. Cała reszta zdawała się słuchać z zainteresowaniem, nie podejrzewając niczego, choć w przypadku Kulli i Bubbakuba trudno było to osądzić. - A zatem ten mój przodek był amerykańskim Indianinem. Nazywał się Se-quo-yi i był członkiem narodu Czirokezów. Mieszkali oni w tamtych czasach przede wszystkim w stanie Georgia. Ponieważ było to na Wschodnim Wybrzeżu Ameryki, mieli jeszcze mniej czasu niż inni Indianie, żeby przygotować się do spotkania z białym człowiekiem. A jednak próbowali, na swój własny sposób. Te usiłowania nie były nawet w przybliżeniu tak imponujące ani udane jak poczynania Japończyków, ale próbowali. Szybko przyswoili sobie technikę swoich nowych sąsiadów. Wigwamy zastąpiono chatami z bali, narzędzia żelazne i kowalstwo stały się częścią życia plemienia. Wcześnie poznali proch, a także europejskie metody uprawy roli. A choć wielu z nich ten pomysł się nie spodobał, to na pewien czas plemię zmieniło się nawet w przedsiębiorstwo posiadające niewolników.

- Było to po tym, jak w dwóch wojnach dostali srogie cięgi. Najpierw popełnili błąd wspierając Francuzów w 1765, a potem opowiedzieli się za Koroną podczas pierwszej Rewolucji Amerykańskiej. Mimo to mieli w pierwszej połowie dziewiętnastego wieku dość dużą republikę, po części dlatego, że sporo młodych Czirokezów poznało wiedzę białego człowieka na tyle, by zostać prawnikami. Razem ze swoimi mówiącymi po irokesku kuzynami na północy podpisywali traktaty i uczciwie ich przestrzegali. Trwało to przez jakiś czas, ale oto na scenę wkracza mój przodek. Se-quo-yi był człowiekiem, któremu nie podobała się żadna z możliwości zaoferowanych jego ludowi: pozostanie szlachetnymi dzikusami i wyniszczenie - albo całkowite przyjęcie zwyczajów osadników i roztopienie się w ich masie. Co ważne, mój przodek dostrzegał potęgę słowa pisanego, ale uważał, że Indianin zawsze będzie stał na straconej pozycji, jeśli będzie musiał uczyć się angielskiego, żeby w ogóle umieć czytać i pisać.

Ciekawe, czy ktoś zauważy związek i porówna sytuację, w jakiej znaleźli się Czirokezi i Se-quo-yi, z obecnym położeniem ludzkości wobec Biblioteki - pomyślał Jacob. Sądząc po minie Martine, przynajmniej jedna osoba była zaskoczona, słysząc tak długą opowieść historyczną z ust małomównego zazwyczaj Jacoba Demwy. W żaden sposób nie mogła wiedzieć o odbywających się po szkole długich lekcjach historii i retoryki, którymi męczono Jacoba i inne dzieci Alvarezów. Mimo że jako czarna owca rodziny odwrócił się od polityki, ciągle zachował nieco z tych umiejętności.

- Cóż, ku własnemu zadowoleniu Se-quo-yi rozwiązał ten problem, wymyślając pisaną postać języka czirokeskiego. Było to przedsięwzięcie tytaniczne, dokonane kosztem tortur i wygnania, jako że wielu jego współplemieńców było przeciwnych tym wysiłkom. Kiedy jednak ukończył swoje dzieło, nagle cały świat literatury i techniki stanął otworem nie tylko przed intelektualistami, którzy mogli całymi latami studiować angielski, ale także przed przeciętnie inteligentnym Czirokezem.

- Wkrótce nawet zwolennicy asymilacji uznali dzieło geniuszu Se-quo-yi. Jego zwycięstwo ukształtowało następne pokolenia Czirokezów. Ludzie ci, jedyni Indianie, których główny bohater był intelektualistą, a nie wojownikiem, zdecydowali, że mogą wybierać. I to był ich wielki błąd. Gdyby pozwolili, by okoliczni misjonarze przerobili ich na podobieństwo osadników, być może udałoby im się zmieszać z klasą średnich rolników i Europejczycy patrzyliby na nich jak na nieco niższy rodzaj białych ludzi. Tymczasem oni sądzili, że mogą stać się nowoczesnymi Indianami, zachowując zasadnicze elementy swojej starej kultury... Jednak określenie to okazało się najwyraźniej wewnętrznie sprzeczne. Mimo to niektórzy badacze uważają, że takie przedsięwzięcie mogło im się powieść. Wszystko szło dobrze, dopóki grupa białych nie odkryła na ziemi Czirokezów złota. Osadnicy mocno się tym podekscytowali. Udało im się przeforsować w legislaturze Georgii projekt ustawy, który stwierdzał, że ziemię tę można zagarniać. Wówczas Czirokezi zrobili rzecz bardzo dziwną, coś, czego nie powtórzono później przez mniej więcej sto lat. Naród indiański pozwał władzę ustawodawczą stanu Georgia do sądu pod zarzutem zagarnięcia ziemi! Przy pewnym poparciu ze strony niektórych sympatyzujących z nimi białych udało im się przedstawić tę sprawę przed Sądem Najwyższym Stanów Zjednoczonych. Sąd ogłosił, że zagarnięcie było bezprawne. Czirokezi mogli swoją ziemię zatrzymać.

- W tym właśnie miejscu wyszły na jaw niedostatki ich przystosowania. Ponieważ Czirokezi nie uczynili żadnych poważnych prób dopasowania się do podstawowych struktur społeczeństwa osadników, nie mieli też siły politycznej, która mogłaby wspierać słuszność ich racji. Pokładali zaufanie w szlachetnych i wzniosłych prawach nowego narodu i potrafili inteligentnie je wykorzystać, ale nie uświadamiali sobie, że opinia publiczna ma siłę wcale nie mniejszą niż prawo.

- Dla większości swoich białych sąsiadów byli po prostu jeszcze jednym indiańskim plemieniem. Kiedy Andy Jackson powiedział Sądowi, że może się wypchać, i wysłał wojsko, aby wypędziło Czirokezów, ci nie mieli do kogo się zwrócić. Lud Se-quo-yi musiał więc spakować swój dobytek i przejść tragiczny Szlak Łez do nowego „Terytorium Indian" na ziemiach zachodnich, których nikt z nich wcześniej nie widział. - Dzieje Szlaku Łez to historia odwagi i wytrwałości. Podczas tego marszu Czirokezi doświadczyli wielu głębokich i smutnych cierpień. Wędrówka ta stała się tematem wielu wzruszających książek i dała początek tradycji „dzielności w ubóstwie", która kształtowała ducha tego narodu od tamtych czasów aż do dnia dzisiejszego. - Niestety, wygnanie to nie było ostatnią tragedią, jaka dotknęła Czirokezów. Kiedy Stany Zjednoczone ogarnęła wojna domowa, Czirokezi też w niej uczestniczyli. Brat zabijał brata, gdy Indiańscy Ochotnicy Konfederacji ścierali się z Unionistyczną Brygadą Indiańską. Walczyli z równą pasją jak białe oddziały i z większą zazwyczaj karnością. Wojna zniszczyła ich nowe domy.

- Później trapiły ich bandy rabusiów, choroby i kolejne wywłaszczenia. Ich stoicyzm zyskał im u niektórych miano „amerykańskich Żydów". Podczas gdy inne plemiona tonęły w rozpaczy i apatii wobec popełnianych przeciwko nim zbrodniom, Czirokezi zachowali tradycję polegania na sobie.

Pamiętano o Se-quo-yi. Być może dla uczczenia dumy Czirokezów nadano jego imię pewnemu gatunkowi drzewa rosnącemu w mglistych lasach Kalifornii. Jest to najwyższe drzewo na Ziemi.

- Odbiegamy jednak od tematu - szaleństwa Czirokezów. Choć ich duma pomogła im przetrwać dziewiętnastowieczne deportacje i lekceważenie w dwudziestym wieku, to jednocześnie powstrzymała ich przed przyłączeniem się do ruchu Indiańskiego Pocieszenia w wieku dwudziestym pierwszym. Odrzucili „odszkodowania kulturalne", proponowane przez rządy amerykańskie tuż przed początkiem Biurokracji, kiedy to na niedobitki Narodów Indiańskich sypały się zewsząd bogactwa, mające uspokoić wrażliwe sumienie oświeconego i wykształconego społeczeństwa tamtej epoki, którą dziś określa się, o ironio, jako „indiańskie lato" Ameryki.

- Nie zgodzili się na założenie ośrodków kulturalnych zajmujących się kultywowaniem starożytnych tańców i rytuałów. Gdy amerykańscy zwolennicy odrodzenia wskrzeszali przedkolumbijskie umiejętności, aby „odzyskać łączność z własnym dziedzictwem", Czirokezi pytali, dlaczego mieliby odkopywać starocie, skoro mogą tworzyć swoją własną, niepowtarzalną i indywidualną odmianę amerykańskiej kultury dwudziestego pierwszego wieku. Wraz z Mohawkami i niewielkimi grupkami z innych plemion zamienili swoje „Pocieszenie" i pół majątku plemiennego na miejsce w Lidze Satelitów Energetycznych. Duma młodości, która pomogła ich pradziadom zbudować wspaniałe miasta Ameryki, wybuchła teraz na nowo, pomagając budować miasta w kosmosie. Czirokezi zrezygnowali z szansy na wzbogacenie się w zamian za posiadanie części nieba. - I jeszcze raz okrutnie zapłacili za swoją dumę. Kiedy Biurokracja zaczęła represje, Liga podniosła bunt. Młodzi mężczyźni i kobiety, skarb narodu, ginęli tysiącami obok swoich braci z kosmosu, potomków Andy Jacksona i potomków jego niewolników. Zbudowane przez Ligę miasta zostały zdziesiątkowane. Niedobitkom pozwolono pozostać w kosmosie tylko dlatego, że musiał być ktoś, kto pokazałby nowym, starannie dobranym przez Biurokrację mieszkańcom, jak tam żyć. Ci z Czirokezów, którzy pozostali na Ziemi, także cierpieli. Wielu z nich wzięło udział w Buncie Konstytucjonalistycznym. Byli jedynym narodem indiańskim, który przez zwycięzców został ukarany w całości, tak jak VietAmczycy i Minnesotczycy. - Drugi Szlak Łez był równie bolesny jak pierwszy. Tym razem jednak mieli towarzystwo. Pierwsze, bezwzględne pokolenie przywódców Biurokracji przeminęło i nastała epoka prawdziwych biurokratów. Władzy bardziej zależało na wydajności produkcji niż na zemście. Liga odbudowała się pod kontrolą rządu, a w Koloniach O'Niela rozwinęła się bogata, nowa kultura, do czego przyczyniły się niedobitki pierwszych budowniczych. - Na Ziemi Czirokezi istnieją nadal, choć wiele innych plemion wtopiło się w kulturę kosmopolityczną albo pozostało wyłącznie jako osobliwość. Ciągle niczego się nie nauczyli. Słyszałem ostatnio, że ich najnowszym dziwactwem jest wspólny z VietAmczykami i izraelskim APU projekt użyźnienia Wenus. Śmiechu warte, ma się rozumieć. - Znów jednak odbiegamy od tematu. Gdyby mój przodek Se-quo-yi i jego współplemieńcy przystosowali się zupełnie do obyczajów białych ludzi, mogliby uzyskać dla siebie niewielką przestrzeń w ich kulturze i dać się wchłonąć powoli, bez cierpienia. Gdyby się opierali z tępym uporem, tak jak wielu ich indiańskich pobratymców, musieliby wprawdzie cierpieć, ale w końcu dano by im nagrodę dzięki „dobroci" następnych pokoleń białych ludzi.

- Tymczasem Czirokezi próbowali stworzyć syntezę pomiędzy niewątpliwie dobrymi i potężnymi stronami cywilizacji zachodniej a swym własnym dziedzictwem. Eksperymentowali i wybrzydzali. Sześćset lat grymasili nad pełnym talerzem i cierpieli przez to bardziej niż jakiekolwiek inne plemię.

- Morał tej historii powinien być oczywisty. My, ludzie, stoimy przed wyborem podobnym do tego, jaki mieli Indianie. Możemy albo grymasić, albo z serca przyjąć całą miliardoletnią kulturę, którą daje nam Biblioteka. Niech każdy, kto proponuje kręcenie nosem, wspomni na historię Czirokezów. Szlak ich wędrówki był długi i jeszcze się nie skończył.

Kiedy Jacob skończył, zapadło długie milczenie. Bubbakub wpatrywał się w niego małymi, czarnymi oczkami. Kulla patrzył jak zaczarowany. Doktor Martine wbiła wzrok w podłogę, jej brwi ściągnęły się w zamyśleniu.

Ten z załogi, Dubrowsky, stał daleko z tyłu. Jedną rękę trzymał na piersi, drugą zakrywał usta. Wokół jego oczu pojawiły się zmarszczki - czy była to oznaka bezgłośnego śmiechu? Pewnie ktoś z Ligi. Kosmos roi się od nich. Mam nadzieję, że będzie trzymał język za zębami. I tak już dosyć ryzykowałem.

W końcu Bubbakub założył obie swoje małe ręce za kark i uniósł się. Chwilę przyglądał się Jacobowi.

- Dobra opowieść - warknął wreszcie. - Poproszę pana, żeby ją nagrać dla mnie, kiedy wrócimy. Ma w sobie naukę dla Ziemian. Chciałbym jednak zadać kilka pytań. Teraz albo potem. Niektórych rzeczy nie rozumiem.

- Jak sobie życzysz, Pilu Bubbakubie - Jacob ukłonił się, próbując skryć uśmiech. Teraz szybko zmienić temat, zanim Bubbakub przyczepi się do cholernych szczegółów. - Mnie także podobała się opowieść mojego przyjaciela Jacoba - zagwizdał gdzieś za nim śpiewny głos. - Zbliżyłem się tak cicho, jak tylko mogłem, kiedy ją usłyszałem. Cieszę się, że moja obecność nie zakłóciła opowiadania.

Jacob z ulgą poderwał się na równe nogi.

- Fagin!

Wszyscy wstali, kiedy Kanten ślizgał się w ich stronę. W rubinowym świetle wydawał się atramentowo-czarny. Poruszał się powoli.

- Najmocniej proszę o wybaczenie! Moja nieobecność była konieczna. Komendant przystała łaskawie na osłabienie ekranów, abym mógł się posilić. Mogła to jednak zrobić, co zrozumiałe, tylko na odwrotnej, pustej części statku.

- To prawda - zaśmiała się Martine. - Wolelibyśmy nie dostać poparzenia słonecznego! - Dokładnie tak. Czułem się tam jednak bardzo samotnie i cieszę się, że znów mam towarzystwo.

Wszyscy zajęli na powrót swoje miejsca, a Fagin usadowił się wprost na pokładzie.

Jacobowi nadarzyła się okazja, żeby wydostać się z kłopotliwej sytuacji.

- Fagin, opowiadaliśmy tu sobie różne historie, czekając, aż zacznie się nurkowanie.

Może mógłbyś nam opowiedzieć o Instytucie Postępu?

Kanten zaszeleścił listowiem. Nastąpiła chwila ciszy.

- Niestety, przyjacielu Jacobie. W przeciwieństwie do Biblioteki, Instytut Postępu nie jest towarzystwem znaczącym. Sama nazwa zresztą nie jest zbyt dobrze przetłumaczona na angielski. W twoim języku nie ma słów, żeby oddać ją właściwie. Nasz niewielki zakon został założony, aby wypełnić jeden z najmniej ważnych Nakazów, które Przodkowie pozostawili najstarszym rasom, gdy dawno temu opuszczali Galaktykę. Z grubsza rzecz biorąc, nałożyli na nas obowiązek szanowania „Nowości". Gatunkowi takiemu jak wy, sierotom, można by rzec, które aż do niedawna nie czuły słodkich i gorzkich zarazem więzów pokrewieństwa ani zobowiązań między opiekunem a podopiecznym, może być trudno zrozumieć konserwatyzm tkwiący w naszej galaktycznej kulturze. Nie jest on zły. Pośród tak wielkiej różnorodności wiara w Tradycję i wspólne dziedzictwo jest czynnikiem korzystnym. Młode rasy szanują słowa starszych, którzy przez lata uczyli się mądrości i cierpliwości. Można by powiedzieć, używając waszego określenia, że szanujemy swoje korzenie. Tylko Jacob zauważył, że w tym miejscu Fagin przeniósł nieco ciężar swego ciała, zwijając i rozwijając krótkie węzłowate witki służące mu za korzenie. Jacob źle przełknął łyk soku pomarańczowego i próbował teraz nie zakrztusić się. - Jednak istnieje także konieczność stawiania czoła przyszłości - ciągnął Fagin - więc Przodkowie w swojej mądrości przestrzegli Najstarszych, by nie gardzić tym, co jest nowe pod Słońcem.

Sylwetka Fagina odcinała się od gigantycznej czerwonej tarczy, do której zmierzali.

Jacob bezradnie potrząsnął głową.

- Kiedy więc rozejdzie się wieść, że ktoś znalazł stado dzikusów ssących wilczycę, przybiegacie wy, tak?

Liście zaszeleściły mocniej.

- Bardzo obrazowo, przyjacielu Jacobie. Ale twój domysł jest zasadniczo słuszny. Ważne zadanie Biblioteki polega na uczeniu ziemskich ras tego, co jest potrzebne do przetrwania. Mojemu Instytutowi przypada skromna misja docenienia waszej Nowości.

Doktor Martine włączyła się:

- Kantenie Faginie, czy zgodnie z twoją wiedzą coś takiego zdarzyło się wcześniej? To znaczy czy kiedykolwiek miał miejsce przypadek gatunku, który nie zachowałby w pamięci Wspomagania i znienacka pojawiłby się w Galaktyce, tak jak było z nami? - Tak, szanowna doktor Martine. Przydarzyło się to kilka razy. Kosmos jest wielki ponad wszelkie wyobrażenia. Okresowe migracje cywilizacji tlenowej i wodorowej odbywają się na ogromnych przestrzeniach i nawet obszary zasiedlone rzadko zostają w pełni zbadane. Często podczas tych wielkich przemieszczeń jakaś niewielka część rasy, ledwie wydobyta ze zwierzęcości, bywała porzucana przez opiekunów i sama musiała radzić sobie dalej. Zaniedbania takie zazwyczaj mszczone są przez ludy cywilizowane... - Kanten zawahał się na moment, a słuchając go dalej Jacob ze zdumieniem uświadomił sobie powód niepewności. - Ponieważ jednak tego rodzaju rzadkie przypadki zdarzają się zazwyczaj w czasie

migracji, pojawia się dodatkowy problem. Taka szczenięca rasa może wprawdzie, wykorzystując pozostałości technologii opiekunów, opracować prymitywny napęd kosmiczny, ale w chwili, gdy wkroczy wreszcie między gwiazdy, dana część Galaktyki bywa już najczęściej objęta Interdyktem. Nieświadomy niczego gatunek może wówczas stać się łupem wodorodysznych, którym przypadła kolej zająć tę właśnie gromadę lub ramię spirali. Tak czy inaczej, podobne rasy znajdowane są nieczęsto. Zazwyczaj sieroty zachowują żywą pamięć o swoich opiekunach. W niektórych przypadkach miejsce faktów zajmują mity i legendy. Dzięki Bibliotece można wówczas niemal zawsze wytropić prawdę, jako że tam właśnie gromadzi się nasze prawdy.

Fagin opuścił kilka gałęzi i skierował je w stronę Bubbakuba. Pil odwzajemnił się życzliwym ukłonem.

- Oto dlaczego - ciągnął Fagin - z wielką nadzieją oczekujemy na odkrycie przyczyn braku jakiejkolwiek wzmianki o Ziemi w naszym wspaniałym archiwum. Nie ma tam żadnej uwagi, żadnego zapisu o poprzednim zasiedleniu, mimo że od czasu odejścia Przodków przez ten rejon przeszło pięć pełnych migracji.

Bubbakub zamarł w pokłonie. Czarne oczka zmierzyły Kantena z nie skrywanym okrucieństwem, ale Fagin zdawał się tego nie zauważać i mówił dalej:

- O ile wiem, ludzkość jest pierwszym przypadkiem, przy którym pojawia się intrygująca możliwość zaistnienia samorodnej inteligencji. Jak wam z pewnością doskonale wiadomo, koncepcja ta narusza kilka powszechnie uznanych zasad naszych nauk biologicznych. Mimo to niektóre z argumentów waszych antropologów posiadają zaskakującą spójność. - To bardzo o-ry-ginalna koncepcja - prychnął Bubbakub z pogardą. - Przechwałki tych, których zwiecie „Skórzanymi”. Jak perpetuum mobile. Teorie na-tu-ral-ne-go dorastania do pełnej rozumności są świetnym źródłem dobrodusznych żartów, człowieku Jacobie Demwa. Ale wkrótce Biblioteka da twojej udręczonej rasie to, czego potrzebujecie: otuchę z wiedzy o własnym pochodzeniu!

Niski szum silników stał się głośniejszy i Jacob przez sekundę czuł lekką dezorientację. - Proszę wszystkich o uwagę - wzmocniony głos komendant deSilvy rozbrzmiewał na całym statku. - Właśnie minęliśmy pierwszą rafę. Od tej pory będą występować chwilowe wstrząsy, podobne do tego przed chwilą. Poinformuję wszystkich, kiedy zbliżymy się do strefy naszego celu. To wszystko.

Horyzont Słońca był teraz prawie zupełnie płaski. Ze wszystkich stron statek otaczały rzadkie czerwone i czarne falujące sploty, które rozciągały się, ginąc w nieskończoności. Coraz więcej najwyżej sięgających włókien zbliżało się do pojazdu. Rozbłyskiwały one na tle resztek kosmicznej czerni, a potem znikały w czerwonawej mgiełce gęstniejącej wokół statku. W niemym porozumieniu wszyscy zbliżyli się do krawędzi pokładu, skąd mogli patrzeć prosto na dolną chromosferę. Milczeli zapatrzeni, a pokład pod ich stopami dygotał od czasu do czasu.

- Doktor Martine - powiedział Jacob - czy pani i Bubbakub jesteście gotowi do waszych eksperymentów?

- Mamy tu wszystko, co jest potrzebne - uczona wskazała na dwa pokaźnych rozmiarów kufry stojące na pokładzie obok stanowisk jej i Pilanina. - Wzięłam trochę urządzeń psi, których używałam

podczas poprzednich nurkowań, przede wszystkim jednak zamierzam pomagać Piłowi Bubbakubowi, na ile tylko zdołam. Moje wzmacniacze fal mózgowych i przyrządy Q są jak sterta straszaków przy tym, co on ma w swojej walizie. Ale będę się starała służyć mu pomocą.

- Pani pomoc będzie przyjęta z radością - rzekł Bubbakub. Kiedy jednak Jacob chciał zobaczyć jego aparaturę do testów psi, Pilanin odmówił, podnosząc czteropalczastą rękę:

- Później, gdy będziemy gotowi.

W dłoni Jacoba odezwało się stare swędzenie. Co też Bubbakub chowa w tych kufrach? Filia Biblioteki nie miała prawie nic na temat psi. Trochę opisów zjawisk, ale bardzo mało o metodologii.

Co takiego wiedziała miliardoletnia kultura galaktyczna - zastanawiał się - o głębokich, podstawowych warstwach umysłu, które wspólne były wszystkim gatunkom rozumnym? Najwyraźniej nie wiedzieli wszystkiego, jako że Galaktowie ciągle jeszcze działali po tej stronie rzeczywistości. I wiem na pewno, że przynajmniej niektórzy z nich nie mają więcej zmysłu telepatycznego ode mnie.

Krążyły pogłoski, że starsze gatunki co jakiś czas znikały z Galaktyki, czasami z przyczyn naturalnych, jak wojna lub apatia, ale czasem też po prostu „wychodząc”... zagłębiając się w zajęciach i czynnościach, których ich sąsiedzi i podopieczni nie potrafili zrozumieć.

Czemu w naszej Filii nie ma nic o tych wydarzeniach ani nawet o praktycznych aspektach psi?

Jacob zmarszczył brwi i splótł dłonie. Nie - postanowił. - Zostawię kufer Bubbakuba w spokoju.

Z głośnika ponownie rozległ się głos Helene deSilvy:

- Za trzydzieści minut zbliżymy się do celu. Kto ma ochotę, może teraz podejść do konsoli sterowniczej. Jest stąd dobry widok na cel naszej podróży. Kiedy oczy przywykły już do zwiększonej jasności obszaru, w który się wpatrywali, reszta Słońca zdawała się zaledwie słabo żarzyć. Pochodnie słoneczne były jasnymi punkcikami, zapalającymi się niespodziewanie silnym blaskiem i gasnącymi daleko w dole. W nieokreślonej odległości ciągnęło się jakieś rozległe skupienie plam słonecznych. Najbliższa plama przypominała ogromne wyrobisko, zapadniętą niszę w ziarnistej „powierzchni” fotosfery. Ciemna umbra była zupełnie nieruchoma, ale regiony półcienia otaczające krawędź plamy marszczyły się nieustannie, podobne do drobnych fal rozchodzących się od kamyka wrzuconego do jeziora. Granica była niewyraźna, drżąca, jak szarpnięta struna fortepianu.

Nad nimi wisiał ogromny kształt plątaniny włókien. Była to pewnie jedna z największych rzeczy, jakie Jacob kiedykolwiek widział. Gigantyczne obłoki płynęły wirując zgodnie z liniami pól magnetycznych, które zlewały się, skręcały i splatały wokół siebie. Z nicości wyłaniały się pasma, unosiły się, zwijały dookoła, by wreszcie rozwiać się jak dym. Znaleźli się teraz w samym środku wiru mniejszych kształtów, prawie niewidocznych, ale pokrywających bezpieczną czerń kosmosu tumanem różowej mgły. Ciekawe, co wydobyłby z tej scenerii człowiek pióra - pomyślał Jacob. LaRoque, pomimo swych niesłychanych, może nawet morderczych występków miał sławę wspartą na wspaniałej łatwości pisania. Jacob czytał kilka jego artykułów i rozkoszował się giętkim stylem, choć śmieszyły go wnioski autora. Teraz jednak, przy tej scenie, poeta był konieczny, bez względu na

jego przekonania polityczne. Pomyślał, iż to szkoda, że LaRoque'a nie ma z nimi... nie tylko zresztą z tej jednej przyczyny.

- Przyrządy wyłowiły źródło anormalnie spolaryzowanego światła. Od tego miejsca zaczniemy poszukiwania.

Kulla podszedł do krawędzi pokładu i wpatrywał się z napięciem w miejsce, które wskazał mu jeden z członków załogi.

Jacob zapytał deSilve o zachowanie nieziemca.

- Kulla potrafi rozpoznawać kolory o wiele dokładniej niż my - odparła. - Widzi różnice w długości fali rzędu mniej więcej jednego angstrema. Może też w jakiś sposób zarejestrować fazę światła, które widzi. Przypuszczam, że to jakiś rodzaj interferencji. Dzięki temu jest bardzo pomocny przy wyszukiwaniu spójnych fal, które wytwarzają te laserowe potwory. Prawie zawsze dojrzy je pierwszy.

Trzonowce Kulli trzasnęły o siebie. Wyciągnął szczupłą rękę. - To jeszt tam - oznajmił. - Wiele punktów światła. To duże sztado i sządzę, że szą tam też paszterze.

DeSilva uśmiechnęła się, kiedy statek przyspieszył lot.

15. O życiu i śmierci...

Heliostatek poruszał się w środku włókna jak ryba schwytana przez wartki prąd. Tyle tylko, że prąd był elektryczny, a fala, która porwała ze sobą lustrzaną kulę, była niewiarygodnie skomplikowaną, namagnetyzowaną plazmą. Płynące strzępy zjonizowanego gazu gorzały ze wszystkich stron, wirując pod działaniem sił wzbudzonych ich własnym ruchem. Potoki rozżarzonej materii ukazywały się nagle i równie prędko znikały - to efekt Dopplera sprawiał, że linie emisyjne gazu wchodziły w spektrum używane do obserwacji i natychmiast je przekraczały. Statek pikował przez porywiste wiatry chromosfery i lawirował pomiędzy plazmowymi polami sił za pomocą niewielkich zmian swoich własnych pól magnetycznych, żeglując na żaglach utkanych z niemal cielesnej matematyki. Dzięki szybkiemu jak błyskawica zwijaniu i zagęszczaniu pól siłowych można było zwracać szarpnięcia ścierających się wirów w dowolnie wybranym kierunku, a przez to łagodzić poszturchiwania burzy. Te same osłony zatrzymywały większość potwornego żaru, resztę zaś przekształcały tak, by była możliwa do zniesienia. To, co się przedostało, wsysała komora napędzająca laser chłodzący - nerkę, z której odfiltrowana zawartość wyciekała jako strumień promieni rentgenowskich, rozszczepiających na swej drodze nawet plazmę. Wszystko to było jednak wynalazkiem Ziemian. Tymczasem dopiero dzięki nauce Galaktów heliostatek był bezpieczny i zwinny. Pola grawitacyjne odpierały miłosne, miażdżące przyciąganie Słońca, dzięki czemu statek mógł, zależnie od potrzeby, spadać albo unosić się. Niszczące siły wnętrza włókna były pochłaniane lub neutralizowane, nawet okres ich oddziaływania zmieniano dzięki kompresji czasu.

W odniesieniu do stałej pozycji Słońca (jeśli coś takiego w ogóle istniało) statek gnał wzdłuż łuku magnetycznego z prędkością tysięcy kilometrów na godzinę. Jednak względem otaczających go chmur wydawał się sunąć niespiesznie w pogoni za rozbłyskującym łupem. Jacob kątem oka przyglądał się pościgowi, ale poza tym nie spuszczał wzroku z Kulli. Szczupły obcy był na statku pierwszym obserwatorem. Stał obok sternika, z rozpalonymi oczyma i ręką wyciągniętą w mrok.

Wskazówki Kulli były trochę tylko lepsze niż informacje przyrządów, ale Jacob miał trudności z odczytaniem danych z instrumentów. Doceniał więc obecność kogoś, kto pokazuje pasażerom i załodze, w którą stronę patrzeć.

Przez godzinę ścigali punkciki żarzące się w dalekiej mgle. W niebieskich i zielonych liniach spektralnych, które deSilva kazała przepuszczać, plamki były niezwykle słabe, czasem jednak przebiegał między nimi rozbłysk zielonkawego światła, jak reflektor natrafiający nagle na statek i przesuwający się dalej.

Rozbłyski pojawiały się teraz częściej. Obiektów była przynajmniej setka, wszystkie mniej więcej tych samych rozmiarów. Jacob spojrzał na dalekościomierz. Siedemset kilometrów.

Przy dwustu dało się już rozróżnić ich kształt. Każdy z „magnetycznych przeżuwaczy” był torusem. Z tej odległości ich kolonia wyglądała jak wielka kolekcja malutkich niebieskich obrączek. Każda z nich ustawiona była w tym samym kierunku, zgodnie z układem włókna. - Ustawiają się wzdłuż pola magnetycznego w miejscach, gdzie jest ono najgęstsze - wyjaśniła deSilva - i wirują wokół osi, wytwarzając prąd elektryczny. Czort wie, jak przedostają się z jednego regionu aktywnego do innego, kiedy pola się przesuną. Ciągle próbujemy odkryć, co sprawia, że trzymają się razem.

Na brzegu gromady kilka torusów zachybotało się lekko w obrocie. Nagle, w mgnieniu oka, statek zalała ostra, zielona łuna. Potem powróciły odcienie ochry. Pilot podniósł wzrok na Jacoba.

- Przeszliśmy właśnie przez laserowy ogon torusa. Przypadkowy rozbłysk, jak ten, nie wyrządza żadnej szkody - powiedział. - Ale gdybyśmy podchodzili do głównego stada z tyłu i od dołu, moglibyśmy się wpakować w niezłą kabałę!

Kłąb ciemnej plazmy, może chłodniejszy lub mknący szybciej niż otaczający go gaz, przesunął się przed statkiem, zasłaniając widok.

- Do czego służą te lasery? - spytał Jacob.

DeSilva wzruszyła ramionami.

- Może dają stabilność dynamiczną? Albo to napęd? Być może używają ich do chłodzenia, tak jak my. Gdyby to była prawda, to według mnie one mogą być zbudowane nawet z materii stałej. Bez względu na przeznaczenie, z pewnością trzeba wielkiej energii, żeby przebić zielonym światłem ekrany ustawione na czerwień. Tylko dlatego je odkryliśmy. Chociaż są wielkie, to w tej skali przypominają pyłki na wietrze. Gdyby nie ten laserowy ślad, to moglibyśmy szukać przez milion lat i nie znaleźć ani jednego toroida. W zakresie alfa wodoru są niewidoczne, żeby więc lepiej się im przyjrzeć, otworzyliśmy parę pasm zieleni i błękitu. Naturalnie nie dopuścimy tej długości fali, na którą

ustawione są ich lasery. Linie, które wybraliśmy, są spokojne i optycznie gęste, więc jeśli zobaczysz coś zielonego albo niebieskiego, to na pewno będą te potwory. Zmiana powinna być przyjemna. - Wszystko będzie lepsze do tej przeklętej czerwieni.

Statek przedostał się przez ciemną materię i nagle znaleźli się niemal w środku gromady stworzeń.

Jacob poczuł ściskanie w gardle i natychmiast zamknął oczy. Kiedy je otworzył, stwierdził, że nie może przełykać. Po trzech dniach nieprawdopodobnych widoków to, co ujrzał, przepełniło go drżeniem, któremu nie mógł się oprzeć. Skoro gromada ryb nazywana jest ze względu na swoje uporządkowanie ławicą, a na chmarę pszczół mówi się rój, wobec tego, uznał Jacob, stado tych słonecznych stworzeń można by nazwać snopem. Ich blask zbierał się bowiem w potężny snop światła odcinający się od czarnego kosmosu.

Bliższe toroidy jaśniały barwami ziemskiej wiosny. Kolory blakły dopiero z odległością. Poniżej osi stworzeń, gdzie światło laserów rozpraszało się w plazmie, błyszczała jasna zieleń.

Wokół każdego z nich skrzyła się rozproszona aureola białego światła. - Promieniowanie synchrotronowe - poinformował ktoś z załogi. - Te ślicznotki muszą się naprawdę ostro obracać! Odbieram silne wahania na 100 KeV! Najbliższy toroid, o średnicy czterystu metrów, wirował jak szalony trochę dalej niż dwa kilometry od nich. Figury geometryczne przesuwały się wokół jego krawędzi jak paciorki naszyjnika; w przeciągu niewielu sekund ciemnobłękitne romby zmieniały się w purpurowe, faliste wstęgi opasujące błyszczący, szmaragdowy pierścień. Kapitan heliostatku stała przed konsolą sterowniczą, a jej wzrok przebiegał między zegarami wypatrując najmniejszych nawet zmian. Patrząc na nią miało się wrażenie, że ogląda się pomniejszoną wersję widowiska na zewnątrz statku, gdyż jej twarz i biały mundur skąpane były w opalizującym różnokolorowo blasku najbliższego toroida, światło docierało więc do oczu Jacoba rozproszone i przybladłe. Barwy skrzyły się za każdym razem, gdy komendant podnosiła wzrok i uśmiechała się Z początku odblask był słaby, potem coraz jaśniejszy, w miarę jak zieleń i błękit mieszały się, przyćmiewając jasną czerwień. Nagle błękit przybrał na sile, gdy wybuch jasności toroida zbiegł się z rozbłyskiem wzorów; wyglądało to, jakby wokół krawędzi stworu falowały macki. Przedstawienie było niezrównane. Arterie światła eksplodowały zielenią i splotły się z żyłami pulsującego, klarownego błękitu. Te z kolei zadrżały w kontrapunkcie, a potem nabrzmiały jak dojrzała winorośl i zaczęły pękać, rozrzucając obłoki maleńkich trójkącików, zawiesinę dwuwymiarowych pyłków, które rozpierzchły się jak rój iskier dookoła nieeuklidejskiej bryły torusa. Wzory nabrały regularności i krawędź precla zmieniła się w chaos boków i kątów.

Widowisko osiągnęło punkt kulminacyjny, a potem przygasło. Wzory na obrzeżu zblakły i torus wycofał się pomiędzy swych towarzyszy. Tam znów zaczął się obracać, przybierając na powrót kolor czerwony i gasząc zielenie oraz błękity na pokładzie statku oraz na twarzach patrzących.

- To było powitanie - Helene deSilva przerwała długie milczenie. - Na Ziemi są jeszcze sceptycy, którzy uważają, że te magnetożerne stwory są po prostu jakimś rodzajem zaburzenia pola magnetycznego. Teraz mogą tu przylecieć i sami się przekonać. To, co widzimy, to życie. Najwyraźniej Stwórca uznaje niewiele ograniczeń dla swych dzieł. Trąciła lekko pilota w ramię, a ten dotknął kilku przycisków i statek zaczął wchodzić w skręt.

Jacob zgodził się z Helene, choć jej logika nie była naukowa. Nie wątpił, że toroidy żyją. Przedstawienie, jakie pokazał ten stwór, bez względu na to, czy było pozdrowieniem, czy tylko reakcją na obecność statku na jego terytorium, było oznaką życia, a może nawet odczuwania.

Anachroniczne odniesienie do Najwyższego Bóstwa dziwnie pasowało do piękna tej chwili.

Kiedy stado magnetożerców zostało z tyłu, pokład obrócił się, a komendant jeszcze raz odezwała się do mikrofonu:

- Ruszamy w pogoń za duchami. Pamiętajcie, nie jesteśmy tu po to, żeby badać magnetożerców, ale polujących na nie drapieżców. Załoga ma stale wypatrywać wszelkich śladów tych nieuchwytnych stworzeń. Ponieważ najczęściej dostrzegano je przez przypadek, dobrze byłoby, gdyby pomogli wszyscy. Wszelkie niezwykłe obserwacje proszę zgłaszać do mnie.

DeSilva i Kulla naradzali się. Obcy powoli kiwał głową, od czasu do czasu zdradzając zdenerwowanie błyskiem bieli spomiędzy wielkich dziąseł. W końcu ruszył wzdłuż łuku w centralnej kopule.

Helene wyjaśniła, że wysłała Kullę na odwrotną stronę pokładu, na spód, gdzie normalnie stały same tylko przyrządy. Miał stamtąd prowadzić obserwacje na wypadek, gdyby laserowe stworzenia pojawiły się w nadirze, ponieważ wtedy nie mogłyby ich wykryć zamocowane na obwodzie detektory.

- Kilkakrotnie zdarzało się, że spostrzegaliśmy je w zenicie - powtórzyła deSilva - i to właśnie były najciekawsze przypadki, jak wtedy, gdy widzieliśmy kształty antropomorficzne. - Czy te sylwetki zawsze znikały, zanim statek zdążył się odwrócić? - spytał Jacob. - Czasem stworzenia obracały się razem z nami, żeby zostać u góry. Można się było wściec! Ale to było pierwsza wskazówka, że możemy mieć do czynienia z siłą psi. W końcu, bez względu na ich motywy, skąd mogły wiedzieć, że przyrządy rozmieściliśmy na krawędzi pokładu, i jak udawałoby im się tak dokładnie nadążać za naszymi ruchami, gdyby nie wiedziały, co zamierzamy zrobić?

Jacob zamyślił się.

- Ale dlaczego nie można tu, na górze, zainstalować paru kamer? Nie byłoby to chyba aż takie trudne?

- Nie, nie takie trudne - zgodziła się deSilva - ale obsługa i załogi nie chciały burzyć oryginalnej symetrii statku. Musielibyśmy ciągnąć dodatkowy przewód przez pokład, aż do głównego komputera rejestrującego, a Kulla zapewnił nas, że to by do reszty unicestwiło resztkę sterowności, jaką moglibyśmy zachować w razie awarii stazy... chociaż ta resztka i tak nie miałaby pewnie znaczenia. Wystarczy przypomnieć sobie, co stało się z biednym Jeffem. Jego statek, ten mniejszy, który zwiedzałeś na Merkurym, od początku był zaprojektowany tak, że przyrządy były skierowane i w zenit, i w nadir. Tylko jego statek posiadał taką modyfikację. Nam będą musiały wystarczyć, zamiast instrumentów na brzegu pokładu, nasze oczy i parę ręcznych kamer.

- I badania psi - Jacob wskazał na kufry.

DeSilva kiwnęła głową bez przekonania.

- Tak, oczywiście wszyscy mamy nadzieję, że uda się nawiązać przyjazny kontakt. - Przepraszam, pani kapitan - pilot podniósł wzrok znad instrumentów. Przy uchu trzymał miniaturową słuchawkę. - Kulla mówi, że w górnym krańcu stada, na północy, widzi jakąś zmianę barwy. To może być cielenie.

DeSilva skinęła głową.

- W porządku. Kieruj się w stronę zaburzeń pola wzdłuż północnej stycznej. Wznieś się razem ze stadem i okrąż je, ale nie podchodź za blisko, żeby im nie napędzić strachu. Statek przechylił się do skrętu. Z lewej strony pojawiło się Słońce i rosło, aż stało się ścianą sięgającą hen w górę, do nieskończoności. Blade promienie luminescencji biegły od statku w dół, do leżącej poniżej fotosfery. Ich połyskujący ślad układał się równolegle do linii stada torusów.

- To tor superjonizacji. Zostawił go nasz laser chłodzący, kiedy byliśmy odwróceni w tamtą stronę - wyjaśniła deSilva. - Ma pewnie kilkaset kilometrów długości. - Ten laser jest taki silny?

- No, musimy przecież pozbyć się mnóstwa ciepła. A cała rzecz w tym, żeby podgrzać mały kawałek Słońca. W przeciwnym razie chłodzenie by nie działało. Swoją drogą, także z tego powodu staramy się, żeby stado nie znalazło się przed albo za nami. Jacob poczuł chwilowy przypływ lęku.

- Kiedy zbliżymy się na tyle, żeby móc zobaczyć to... jak on to powiedział? Cielenie? - zapytał.

- Tak, cielenie. Mamy szczęście. Do tej pory udało się nam to zobaczyć dopiero dwa razy, i za każdym razem byli przy tym pasterze. Oni chyba asystują rodzącemu torusowi. Logiczne więc, że właśnie od tego miejsca zaczniemy poszukiwania. A to, kiedy tam dotrzemy, zależy od tego, jak spokojna jest droga i ile kompresji czasu potrzebujemy, żeby przebyć ją bezpiecznie. Może to potrwać dzień. Ale jeśli będziemy mieli szczęście... - spojrzała na konsolę sterowniczą - ...to znajdziemy się tam za dziesięć minut. Obok stał ktoś z załogi z wykresem w ręku i najwyraźniej czekał na deSilve. - Chyba dobrze będzie, jak pójdę uprzedzić Bubbakuba i doktor Martine, żeby się przygotowali - powiedział Jacob.

- Tak, to dobry pomysł. Kiedy już będę wiedziała, jak prędko tam dotrzemy, ogłoszę to. Kiedy odchodził, miał dziwne wrażenie, że komendant ciągle za nim patrzy. Trwało to, dopóki nie przeszedł na drugą stronę centralnej kopuły.

Bubbakub i Martine przyjęli wiadomość spokojnie. Jacob pomógł im przeciągnąć skrzynie z przyrządami na stanowisko obok konsoli sterowniczej. Instrumenty Bubbakuba były zdumiewające i niepojęte. Jeden z nich wystawał do połowy ze skrzyni. Był skomplikowany, błyszczący i miał wiele uchwytów. Powyginane zakończenia i lśniące okienka sugerowały tajemnice.

Bubbakub rozłożył dwa inne przyrządy. Jednym z nich był baniasty hełm, najwidoczniej zaprojektowany tak, żeby pasował na głowę Pilanina. Drugi wyglądał jak odłamek meteorytu żelazowo-niklowego ze szklistym zakończeniem.

- Być trzy poglądy na psi - powiedział Bubbakub przez swój brzmieniacz. Czteropalczastą dłonią

zaprosił Jacoba, żeby usiadł. - Jeden taki, że psi to po prostu bardzo subtelny zmysł odbierania fal mózgowych na dużą odległość i odczytywania ich. Będę to badał za pomocą tego - wskazał na hełm.

- A ta duża maszyna? - Jacob przysunął się, żeby przyjrzeć się z bliska. - Ona sprawdza, czy czas i przestrzeń splatają się tu mocą woli istoty rozumnej. To się czasem zdarza. Rzadko jest możliwe. Nazywa się „pingrli”. Nie macie na to słowa. Większość, w tym także ludzie, nie potrzebuje o tym wiedzieć, gdyż to się nie trafia często. Biblioteka dostarcza tych „kangrl” - trącił urządzenie - do każdej filii, na wypadek, gdyby wyjęci spod prawa próbowali używać pingrli.

- To może przeciwdziałać tej sile?

- Tak..

Jacob potrząsnął głową. Zaniepokoiło go, że istniał cały rodzaj sił, do których ludzie nie mieli dostępu. Niedostatki technologiczne to inna sprawa, można je z czasem nadrobić, ale kiedy uświadomił sobie taką jakościową ułomność, poczuł się bezbronny.

- Konfederacja wie o tym ka... ka...?

- Kangrl. Tak. Zabrałem je z Ziemi za ich zezwoleniem. Jeśli przepadnie, będzie zastąpione nowym.

Jacob poczuł ulgę. Maszyna też zaczęła wyglądać sympatyczniej.

- A ta ostatnia rzecz...? - przesunął się w stronę bryły żelaza.

- To jest Pis. - Bubbakub chwycił przyrząd i schował go z powrotem do skrzyni.

Odwrócił się tyłem do Jacoba i zaczął manipulować przy hełmie. - Jest dosyć wrażliwy na punkcie tej rzeczy - powiedziała Martine, kiedy Jacob podszedł do niej. - Udało mi się z niego wydobyć tylko tyle, że jest to zabytek pozostały po Letanich, piątych Przodkach jego rasy. Pochodzi z okresu tuż przed tym, jak Letani „odeszli” do innej płaszczyzny rzeczywistości. - Jej nieustanny uśmiech stał się jeszcze szerszy. - A może zechciałbyś waćpan ujrzeć starodawne narzędzia mistrzów alchemii? Jacob zaśmiał się.

- No cóż, nasz przyjaciel Pil posiada Kamień Filozoficzny. Ciekawe, jakiego cudownego instrumentarium używasz ty do mieszania strumieni cząstek i egzorcyzmów nad wysokoenergetycznymi duchami?

- Niewiele poza zwykłymi, standardowymi detektorami psi, takimi jak te. Przyrząd do fal mózgowych, czujnik ruchu inercyjnego, prawdopodobnie zresztą bezużyteczny w polu tłumienia czasu, trójwymiarowa kamera tachistoskopowa z projektorem... - Mógłbym ją zobaczyć?

- Oczywiście, jest tam, w rogu.

Jacob sięgnął do skrzyni i wydobył ciężki przyrząd. Położył go na pokładzie i przyglądał się uważnie głowicom rejestrującymi i projekcyjnym.

- Wiesz - powiedział cicho - jest taka możliwość...

- Jaka? - Martine nie zrozumiała.

Jacob podniósł na nią wzrok.

- W połączeniu z czytnikiem wzoru siatkówki, którego używaliśmy na Merkurym, mogłoby to stanowić znakomity analizator skłonności psychicznych. - Chodzi ci o takie urządzenie, jakiego używa się do określania statusu Nadzorowanych? - Tak. Gdybym wiedział, że coś takiego jest w Bazie, moglibyśmy od razu przetestować LaRoque'a, na miejscu. Nie musielibyśmy posyłać maserogramów na Ziemię i przedzierać się przez pokłady omylnej biurokracji po to tylko, żeby dostać odpowiedź, która i tak mogła być zniekształcona. Moglibyśmy natychmiast sami stwierdzić jego wskaźnik przemocy! Przez chwilę Martine siedziała w milczeniu. Potem spuściła wzrok.

- Nie sądzę, żeby miało to jakiekolwiek znaczenie.

- Ale byłaś pewna, że z wiadomością z Ziemi było coś nie w porządku! - odparł Jacob. - Jeżeli miałaś rację, to mogło to oszczędzić LaRoque'owi dwóch miesięcy pod kluczem. Do diabła, możliwe, że byłby teraz z nami. Mielibyśmy też większą pewność co do ewentualnych zagrożeń ze strony Duchów!

- A jego próba ucieczki na Merkurym? Mówiłeś, że używał przemocy! - Przemoc w panice nie czyni jeszcze Nadzorowanego. A poza tym o co ci właściwie chodzi? Myślałem, że jesteś pewna, że LaRoque'a ktoś wrobił! Martine westchnęła. Jej oczy uciekały przed jego wzrokiem. - Obawiam się, że wtedy w Bazie byłam trochę rozhisteryzowana. Wyobraź sobie, wymyśliłam cały spisek, którego celem było złapać w pułapkę biednego Pierre'a! Co prawda trudno uwierzyć, że jest Nadzorowanym, może więc rzeczywiście popełniono jakiś błąd. Teraz jednak nie sądzę, że zrobiono to celowo. W końcu kto chciałby obciążać go winą za śmierć tego biednego szympansa?

Jacob patrzył na nią przez chwilę, nie wiedząc, jak rozumieć tę zmianę poglądów. - Cóż, prawdziwy morderca, na przykład - powiedział wreszcie półgłosem. I natychmiast tego pożałował.

- O czym tym mówisz? - wyszeptała Martine. Rozejrzała się szybko na wszystkie strony, upewniając się, że nikogo nie ma w pobliżu. Oboje wiedzieli, że stojący kilka metrów dalej Bubbakub był głuchy na szepty.

- Mówię o tym, że Helene deSilva, chociaż najpewniej nie lubi LaRoque'a, uważa za nieprawdopodobne, żeby ogłuszacz mógł uszkodzić mechanizm stazy na statku Jeffa. Myśli, że to obsługa coś spartaczyła, ale...

- Dobrze, w takim razie Pierre'a zwolnią z powodu braku dostatecznych dowodów i będzie mógł napisać następną książkę! My dowiemy się prawdy o Solariowcach i wszyscy będą zadowoleni. Jestem pewna, że kiedy już nasze stosunki z nimi się ułożą, nie będzie się zbytnio liczyło, że z niechęci zabili biednego Jeffa. Przejdzie do historii nauki jako męczennik i całe to gadanie o morderstwie będzie można skończyć raz na zawsze. Zresztą i tak jest odrażające.

Jacob zaczynał czuć odrazę także do tej rozmowy z Martine. Po co tak kręciła? Nie można z nią było logicznie dyskutować.

- Może masz i rację - wzruszył ramionami.

- Na pewno mam - klepnęła go w ramię i nachyliła się nad aparatem do fal mózgowych. - Czy nie mógłbyś poszukać Fagina? Będę tu teraz troszkę zajęta, a możliwe, że on jeszcze nie wie o cieleniu.

Jacob kiwnął głową i podniósł się. Idąc po lekko wibrującym pokładzie zastanawiał się, co też za dziwności wymyślała jego podejrzliwa druga połowa. Zaniepokoiła go ta paplanina o „prawdziwym mordercy".

Fagina spotkał tam, gdzie niebo wypełniała fotosfera rozciągająca się na wszystkie strony jak wielka ściana. Kanten patrzył w dół, na włókno, w którym lecieli; skręcało się ono i ginęło w czerwonym tumanie. Po obu stronach statku, a także pod nim lasy kolców kładły się jak targane wiatrem łany zboża.

Przez jakiś czas obaj przyglądali się temu w milczeniu.

Kiedy wić zjonizowanego gazu chwiejąc się przepłynęła obok statku, Jacobowi po raz kolejny skojarzyło się to z kołyszącym się na falach wodorostem. Nagle przyszedł mu do głowy inny widok i aż się uśmiechnął. Wyobraził sobie Makakai ubraną w skafander pływacza z cermetu i stazy, nurkującą i wyskakującą pomiędzy tymi wyniosłymi fontannami wijących się płomieni, zanurzającą się w skorupie grawitacji, żeby igrać z dziećmi tego największego z oceanów.

Czy Słoneczne Duchy spędzają eony czasu tak samo jak nasze walenie? Czy śpiewają? Ani Duchy, ani walenie nie znają maszyn (a więc pewnie i chorobliwego pośpiechu, który niosą ze sobą maszyny i który rodzi przerosty ambicji), bo nie posiadają po temu środków. Wieloryby nie mają rąk i nie mogą używać ognia. Słoneczne Duchy nie posiadają stałej materii, za to ognia mają aż za dużo.

Czy było to ich przekleństwem, czy błogosławieństwem? (Najlepiej zapytać humbaka, który w podwodnej ciszy snuje swoje zawodzenia. Pewnie nie zada sobie trudu, żeby odpowiedzieć, ale może kiedyś doda to pytanie do swej pieśni.) - Jesteście w samą porę. Właśnie miałam to ogłosić - kapitan wskazała na różową poświatę przed statkiem.

Na wprost nich wirowało dziesięć albo więcej pstrych toroidów. Ta grupa była inna. Torusy nie unosiły się bezwładnie, ale poruszały się tam i z powrotem, tłocząc się i przepychając dookoła czegoś, co ukryte było w środku gromady. Najbliższy torus, oddalony zaledwie o kilometr, przesunął się i Jacob spostrzegł obiekt ich zainteresowania.

Magnetożerca w środku grupy był większy od pozostałych. Na jego obwodzie zamiast zmieniających się, wielobocznych kształtów przesuwały się na zmianę ciemne i jasne pasy. Torus kołysał się leniwie, a jego powierzchnia falowała. Jego towarzysze kotłowali się ze wszystkich stron, zachowując jednak przy tym pewną odległość, jakby odpychani przez jakąś siłę.

DeSilva wydała rozkazy. Pilot dotknął przyrządów na tablicy i statek obrócił się i wyrównał lot tak,

że fotosfera znowu znalazła się pod nimi. Jacob poczuł ulgę. Cokolwiek by mówiły instrumenty, kiedy miał Słońce z lewej strony, czuł, że statek jest ustawiony bokiem. Magnetożerca, którego Jacob nazwał w myślach „wielkoludem”, obracał się, najwyraźniej nie zwracając uwagi na otaczający go orszak. Poruszał się niemrawo, z wyraźnym chybotaniem. Biała aureola jarząca się mocnym blaskiem wokół innych torusów, u niego migotała blado na krawędziach, podobna do gasnącego płomyka. Ciemne i jasne pasy pulsowały nierównym rytmem.

Każda wibracja wywoływała reakcję w otaczającej gromadzie toroidów. Ich pulsowanie współgrało z coraz to mocniejszym rytmem wielkoluda, wzory na ich krawędziach nabrały wyrazistości, przechodząc w jasnobłękitne wielokąty i spirale. Nagle najbliższy z towarzyszących torusów ruszył w kierunku pasiastego wielkoluda, znacząc tor swoich obrotów jasnozielonymi błyskami światła. W tej samej chwili z „ciężarnego” torusa wyskoczył rój lśniących, niebieskich punkcików i pomknął na spotkanie intruza. Pyłki zatrzymały się w mgnieniu oka przed jego kadłubem, tańcząc jak krople wody skrzące się na gorącej blasze. Potem zaczęły spychać go do tyłu, jakby drażniąc i zaczepiając, aż znalazł się niemal pod statkiem. Kierowany ręką pilota heliostatek obrócił się bokiem do najbliższego z migoczących punktów, odległego zaledwie o kilometr. Wtedy Jacob po raz pierwszy mógł dokładnie przyjrzeć się stworzeniom, nazywanym Słonecznymi Duchami. Stworzenie unosiło się niczym widmo - łagodnie, jakby wichry chromosfery były powiewem, na którym można z łatwością żeglować. Był tak różny od solidnych, wirujących torusów, jak motyl od obracającego się dziecinnego bąka. Wyglądał jak meduza albo jak jasnoniebieski ręcznik kąpielowy przewieszony przez sznur od bielizny i trzepoczący na wietrze. Choć może był raczej ośmiornicą, której macki pojawiały się i znikały co chwila wzdłuż postrzępionych brzegów. Czasem przypominał Jacobowi plamę na powierzchni morza, zebraną jakimś sposobem i przeniesioną w to miejsce, cudem utrzymującą się w swoim płynnym, falującym ruchu. Duch zmarszczył się mocniej. Przez minutę sunął powoli w kierunku heliostatku, a potem zatrzymał się.

On też na nas patrzy - pomyślał Jacob.

Przez chwilę przyglądali się sobie nawzajem: grupa istot złożonych z wody, ukryta w swoim statku, i Duch. Następnie stworzenie odwróciło się bokiem do ludzi. Pokład zalał niespodziewany błysk światła mieniącego się mnóstwem barw. Ekrany zatrzymały większość blasku, ale blada czerwień chromosfery zniknęła.

Jacob przysłonił oczy dłonią i mrugał zdumiony. Tak to wygląda - pomyślał trochę od rzeczy - kiedy jest się w środku tęczy!

Eksplozja światła skończyła się równie nagle, jak wybuchła. Znów widać było czerwone Słońce, a wraz z nim włókno, plamę daleko pod nimi i wirujące torusy. Duchy jednak odpłynęły. Wróciły do gigantycznego magnetożercy i gdy zmalały do niemal niewidocznych plamek, znów zaczęły tańczyć wokół jego krawędzi. - On... on rąbnął w nas laserem! - powiedział pilot. - Nigdy wcześniej tego nie robiły! - Żaden też nie podszedł tak blisko w swoim normalnym kształcie - odparła deSilva. - Ale nie jestem pewna, co to ich działanie ma znaczyć.

- Myślisz, że to miało zrobić nam krzywdę? - odezwała się niepewnie doktor Martine. - Może tak samo zaczęli z Jeffreyem!

- Nie wiem. To mogło być ostrzeżenie...

- Albo może on po prostu chciał wrócić do roboty - włączył się Jacob. - Byliśmy niemal na wprost tego wielkiego magnetożercy. Łatwo można zauważyć, że wszyscy jego towarzysze wrócili w tej samej chwili.

- Nie wiem... - DeSilva potrząsnęła głową. - Uważam, że będzie najlepiej, jeżeli po prostu zostaniemy tutaj i będziemy patrzeć. Przekonamy się, co zrobią, kiedy skończą z cieleniem.

Na wprost nich duży torus chwiał się coraz bardziej i coraz wolniej wirował. Jasne i ciemne pasy na jego obrzeżu stały się wyraźniejsze, te ciemniejsze zwęziły się do kresek, jaśniejsze zaś rozrastały się na boki, pulsując.

Jacob jeszcze dwa razy zobaczył grupki świetlistych pasterzy gnających, żeby odpędzić magnetożercę, który zanadto się zbliżył, jak owczarki kąsające po nogach niesfornego tryka, kiedy reszta pilnuje owcy.

Kołysanie pogłębiło się, a ciemne pasy zwęziły się jeszcze bardziej. Zielone, laserowe światło rozproszone pod torusem zaczęło przygasać i wreszcie zniknęło zupełnie. Duchy ruszyły do środka. Kiedy wychylenia wielkoluda kładły go już prawie na płask, zebrały się przy krawędzi, jakimś sposobem ujęły jego korpus i nagłym szarpnięciem przewróciły go do końca.

Olbrzym obracał się leniwie wzdłuż osi prostopadłej do pola magnetycznego. Trwało to przez chwilę, aż nagle stwór zaczął się rozpadać.

W jednym miejscu ciemny pas zwęził się tak bardzo, że zniknął zupełnie, i torus rozszczepił się tam jak naszyjnik z zerwaną nitką. W miarę jak dawny kształt obracał się powoli, jasne pasy przesuwały się do miejsca pęknięcia i ulatywały jeden po drugim, a każdy stawał się małym, osobnym precelkiem. Następnie po kolei wystrzeliwały w górę, wzdłuż niewidzialnych linii strumienia magnetycznego; rozsypując się po niebie jak paciorki. Z wielkoluda-rodzica nie pozostało nic.

Około pięćdziesięciu małych precelków wirowało jak szalone w opiekuńczym roju jasnobłękitnych pasterzy. Malcy przesuwali się niepewnie, a ze środka każdego z nich błyskał na próbę mały zielony ogieniek.

Mimo uważnego pilnowania Duchy straciły kilku kapryśnych podopiecznych. Parę młodych, bardziej żwawych od reszty, wyrwało się z kolejki. Krótki rozbłysk zielonej jasności wyniósł jednego z małych magnetożerców poza chroniony obszar, w stronę czyhających nie opodal dorosłych. Jacob miał nadzieję, że malec poleci dalej w kierunku statku. Gdyby tylko ten duży torus zszedł mu z drogi!

Jakby słysząc jego myśli, dorosły zaczął usuwać się z toru lotu młodzika. Jego brzeg pulsował zielononiebieskimi wielokątami, kiedy noworodek przechodził nad nim. Nagle torus wyskoczył w górę na słupie zielonej plazmy. Młodzik próbował umknąć, ale było za późno. Uciekając odwrócił jeszcze swoją słabiutką pochodnię w stronę brzegu prześladowcy.

Dorosły nie dał się powstrzymać. W mgnieniu oka malec został wyprzedzony, wciągnięty do

środkowej luki starszego i unicestwiony w wybuchu pary. Jacob zdał sobie sprawę, że wstrzymuje oddech. Wypuścił powietrze, co zabrzmiało jak westchnięcie.

Pasterze ustawili teraz malców w szeregu, po czym wszyscy razem zaczęli powoli oddalać się od stada, tylko kilka Duchów zostało, żeby przypilnować dorosłych. Jacob wpatrywał się w małe, jaśniejące pierścienie światła, aż gęsta smuga włókna zbliżyła się, zasłaniając widok.

- Zabieramy się do pracy - wyszeptała Helene deSilva, a następnie zwróciła się do pilota:

- Trzymaj resztę pasterzy równo z linią pokładu. I poproś Kullę, żeby cały czas dawał oko.

Chcę wiedzieć, czy coś nie nadchodzi do nadiru.

Dawał oko! Jacob stłumił mimowolny dreszcz i twardo zaprotestował, kiedy wyobraźnia próbowała podsunąć mu odpowiedni obraz. W jakich czasach ta kobieta się urodziła?! - W porządku - powiedziała komendant. - Zbliżamy się powoli.

- Może zauważą, że zaczekaliśmy, aż skończą z cieleniem, jak myślisz? - zapytał Jacob. - Kto wie? - wzruszyła ramionami. - Może uważają nas za jakiś bojaźliwy rodzaj dorosłych torusów. Pewnie nawet nie pamiętają naszych wcześniejszych wizyt. - Ani Jeffa?

- Ani nawet Jeffa. Nie ma sensu zakładać zbyt wiele. Och, wierzę doktor Martine, kiedy mówi, że jej urządzenia rejestrują elementarną inteligencję. Ale co to znaczy? Z jakiego powodu ich rasa miałaby rozwijać czynnościowe zdolności semantyczne w środowisku takim jak to... prostszym nawet niż ziemski ocean? Albo pamięć? Te groźne gesty, które widzieliśmy na poprzednich nurkowaniach, nie muszą koniecznie oznaczać wielkiego rozumu. Mogą być tacy jak delfiny, zanim kilkaset lat temu zaczęliśmy eksperymenty genetyczne: mnóstwo inteligencji i w ogóle żadnych ambicji umysłowych. Do diabła, już dawno temu powinniśmy włączyć w to ludzi takich jak ty, z Centrum Wspomagania! - Mówisz tak, jakby samoistny rozwój inteligencji był jedyną możliwością - uśmiechnął się. - Odłóżmy na bok nawet opinię galaktyczną; czy nie powinnaś jednak wziąć pod uwagę innych wariantów?

- Chodzi ci o to, że Duchy mogły być kiedyś wspomagane? - deSilva wyglądała przez chwilę na zaskoczoną. Potem sens tej myśli dotarł do niej i spoglądając bystro, zajęła się jej konsekwencjami. - Gdyby tak było, to wtedy musiały być...

Przerwał jej głos pilota:

- Pani komendant, zaczynają się przesuwać.

Duchy trzepotały w gorącym, rzadkim gazie. Na ich powierzchni przesuwały się zielone błyski, kiedy żeglowały leniwie sto tysięcy kilometrów nad fotosferą. Powoli oddalały się od statku, aż wreszcie wokół każdego z nich można było dostrzec koronę białego światła. Jacob poczuł, jak z lewej strony podszedł do niego Fagin. - Byłoby smutne - zagwizdał Kanten cicho - gdyby okazało się, że to piękno winne jest zbrodni. Byłbym w wielkim kłopocie, gdybym musiał podziwiać urodę tego, co złe. Jacob wolno skinął głową.

- Anioły są jasne... - zaczął, ale Fagin oczywiście znał dalszy ciąg.

Anioły jasne są, choć najjaśniejsze z nich upadły.

I choćby podłość we wdzięk się przystroiła,

Nie zblaknie wdzięk.

- Kulla mówi, że się do czegoś szykują! - Pilot spoglądał przed siebie, trzymając dłoń przy uchu.

Smuga ciemniejszego gazu przesunęła się szybko w ich kierunku, przysłaniając na chwilę widok Duchów. Kiedy się rozjaśniło, wszystkie oprócz jednego były już daleko. Ten jeden czekał, aż statek powoli podejdzie bliżej. Wyglądał trochę inaczej: był półprzeźroczysty, większy i bardziej niebieski, a także... zwyczajniejszy. Wyglądał na sztywniejszego i nie falował jak reszta. Poruszał się przy tym z większą rozwagą. Ambasador - pomyślał Jacob.

Solariowiec rósł, w miarę jak się do niego zbliżali.

- Trzymaj go z przodu - powiedziała deSilva. - Nie pozwól mu uciec poza zasięg przyrządów!

Pilot spojrzał na nią z determinacją i zaciskając wargi powrócił do instrumentów. Statek zaczął się obracać.

Obcy stawał się coraz bliższy i większy. Jego wachlarzowate ciało wydawało się trzepotać o plazmę jak ptak próbujący wzbić się w powietrze. - Bawi się z nami - mruknęła deSilva.

- Skąd wiesz?

- Bo nie musi tak się wysilać, żeby pozostać u góry.

Poleciła pilotowi, żeby przyspieszył obroty. Słońce wschodziło z prawej strony i pięło się ku zenitowi. Duch nadal zachowywał swoją pozycję w górze, choć teraz musiał wirować do góry nogami wraz ze statkiem. Słońce przetoczyło się nad głowami i zaszło. Za niecałą minutę wzeszło znowu.

Obcy ciągle wisiał nad nimi.

Wirowanie stawało się coraz szybsze. Jacob zacisnął zęby i zwalczył w sobie chęć uchwycenia dla równowagi pnia Fagina, kiedy na statku dzień i noc zmieniały się co sekundę. Po raz pierwszy od początku podróży na Słońce poczuł gorąco. Duch uporczywie tkwił nad nimi, a fotosferą gasła i zapalała się jak migająca lampa. - W porządku, daj już temu spokój - rozkazała deSilva.

Obroty stały się wolniejsze. Kiedy statek całkiem się zatrzymał, Jacobem zakołysało. Poczuł jakby chłodny powiew opływający ciało. Najpierw żar, teraz dreszcze, czyżbym miał być chory? - przyszło mu do głowy.

- Wygrał - stwierdziła deSilva. - Zawsze wygrywa, ale i tak warto było próbować. Żeby tak raz

spróbować przy włączonym laserze chłodzącym! - Spojrzała na obcego nad głową. - Ciekawe, co by się stało, kiedy byśmy doszli do ułamka prędkości światła. - To znaczy, że przed chwilą mieliśmy wyłączone chłodzenie? - Jacob nie mógł się już powstrzymać i oparł się lekko o pień Fagina.

- No pewnie - odparła komendant. - Nie myślisz chyba, że chcemy usmażyć dziesiątki niewinnych torusów i pasterzy, co? Dlatego nie osiągnęliśmy limitu czasu. W przeciwnym razie moglibyśmy próbować nadążyć za nim instrumentami, ażby wszystko zamarzło w czorta! - rzuciła Duchowi nienawistne spojrzenie.

Znowu uderzające określenie. Jacob nie był pewien, czy urok tej kobiety polegał na jej prostolinijności, czy na umiejętności stosowania ciekawych wyrażeń. Tak czy owak, wyjaśniło się przegrzanie i następujący po nim chłód. Przez jakiś czas pozwolono, by słoneczny żar przenikał do środka.

Cieszę się, że na tym się skończyło - pomyślał.

16. ...I zjawach

- Wszystko, co mamy, to zamazane zdjęcia - oznajmił ktoś z załogi. - Ekrany stazowe musiały jakoś zniekształcić obraz Ducha, bo wygląda jak powyginany... jakby załamywał się na obiektywie. Tak czy siak - wzruszył ramionami i przekazał zdjęcia pozostałym - nic więcej nie możemy zrobić ręcznymi aparatami.

DeSilva patrzyła na trzymane w dłoni zdjęcie. Była na nim niebieska, pocięta prążkami karykatura człowieka: cienka postać na wrzecionowatych nogach, z długimi ramionami i wielkimi, wykręconymi dłońmi. Fotografię zrobiono tuż przed tym, jak dłonie zwinęły się w pięści, schematyczne, ale możliwe do rozpoznania.

Kiedy nadeszła jego kolej, Jacob skupił się na twarzy Ducha. Oczy były pustymi otworami, to samo z poszarpanymi ustami. Na zdjęciu wydawały się czarne, ale Jacob przypomniał sobie, że w rzeczywistości miały barwę szkarłatnej chromosfery. Oczy płonęły czerwienią, a równie czerwona grdyka poruszała się, jakby mieląc nienawistne przekleństwa. - Jest jeszcze jedna rzecz - odezwał się znowu członek załogi - ten gość jest przezroczysty. H-alfa przechodzi na wylot. Widać to tylko w oczach i ustach, bo tych miejsc nie przysłania błękit, którym on sam świeci. O ile jednak można stwierdzić, jego ciało przepuszcza wszystko.

- Cóż, jeśli w ogóle istnieje definicja Ducha, to właśnie ją pan wygłosił - powiedział Jacob i oddał zdjęcie, a potem spoglądając po raz setny w górę, zapytał:

- Czy jesteście pewni, że ten Solariowiec wróci?

- Zawsze tak było - odparła deSilva. - Do tej pory nigdy nie wystarczała im jedna porcja obelg.

Tuż obok siedzieli Martine i Bubbakub, gotowi włożyć swoje hełmy, gdyby obcy pojawił się ponownie. Kulla, zwolniony ze służby na odwrotnej stronie, leżał w fotelu, pociągając powoli z tuby zawierającej niebieski napój. Oczy mu lśniły i wyglądał na zmęczonego. - Myślę, że wszyscy powinniśmy się położyć - stwierdziła komendant. - Wyciąganie szyj nic nie da. Kiedy Duch się pojawi, to i tak będzie u góry. Jacob wybrał miejsce obok Kulli, mógł więc przyglądać się, jak pracują Martine i Bubbakub.

Podczas pierwszego pojawienia się Ducha obydwoje mieli tak mało czasu, że nie zdążyli zrobić zbyt wiele. Ledwo Solariowiec ustawił się w pobliżu zenitu, już przybrał groźną postać ludzką. Martine zdołała tylko nałożyć hełm, zanim stworzenie łypnęło na nich okiem, potrząsnęło zwiniętą, półprzeźroczystą pięścią i zniknęło. Bubbakub miał jednak czas uruchomić kangrl. Oznajmił więc, że Duch nie używał tego szczególnego, potężnego rodzaju psi, do którego wykrywania i zwalczania maszyna była przeznaczona. W każdym razie - wtedy jej nie używał. Na wszelki wypadek mały Pilanin nie wyłączył zresztą urządzenia.

Jacob wyciągnął się w fotelu i powoli naciskał dźwignię, która rozkładała fotel, aż w końcu ujrzał nad głową różowe niebo pokryte pierzastymi smugami. Poczuł ulgę, kiedy dowiedział się, że Duch nie posługiwał się pingrli. Ale skoro nie, to dlaczego zachowywał się tak dziwnie? Leżąc bezczynnie, zastanawiał się po raz kolejny, czy LaRoque mógł mieć rację, kiedy mówił, że Solariowcy znali ludzi jeszcze w dawnych czasach, wiedzieli więc, jak przemówić, by ludzie mogli choć trochę ich zrozumieć. Oczywiście w przeszłości ludzie nigdy nie odwiedzali Słońca, ale może plazmowe stworzenia były kiedyś na Ziemi, może nawet wychowały tam cywilizację? Brzmiało to niedorzecznie, ale to samo można było powiedzieć o Słonecznym Nurku. Kolejna myśl: jeśli LaRoque nie był odpowiedzialny za zniszczenie statku Jeffa, to Duchy mogły być zdolne do tego, żeby w każdej chwili zabić ich wszystkich. W takim razie Jacob mógł mieć tylko nadzieję, że dziennikarz-kosmonauta nie mylił się też co do reszty: może Solariowcy będą bardziej powściągliwie obchodzić się z ludźmi, Pilem i Kantenem, niż z szympansem.

Jacob rozważał, czy nie spróbować telepatii na własną rękę, kiedy stworzenie pojawi się jeszcze raz. Badano go kiedyś i nie stwierdzono żadnego talentu psi, pomimo niezwykłych zdolności hipnotycznych i pamięciowych, ale może mimo wszystko powinien zaryzykować. Jego uwagę przykuł ruch z lewej strony. To Kulla podniósł mikrofon do ust, wpatrując się w jakiś punkt, czterdzieści pięć stopni do zenitu.

- Pani kapitan - powiedział - sządzę, że on wracza. Szpróbujcie kątów od 120 do 130 sztopni - głos Pringa rozniósł się echem po statku.

Kulla odłożył mikrofon. Giętka linka wciągnęła go z powrotem do otworu znajdującego się tuż obok szczupłego ramienia obcego i pustej teraz tuby po napoju. Czerwona mgiełka pociemniała na chwilę, kiedy statek przeszedł przez pasmo gęstszego gazu. Duch wrócił właśnie wtedy; z dużej odległości ciągle jeszcze wydawał się mały, ale rósł w miarę zbliżania.

Tym razem był jaśniejszy i bardziej poszarpany na brzegach. Wkrótce jego błękit stał się niemal bolesny dla oczu.

Znowu przyszedł jako chuda postać ludzka; oczy i usta jarzyły mu się jak węgle, kiedy szybował zawieszony w pół drogi do zenitu.

Pozostawał tam przez długie minuty, nie robiąc nic. Był zdecydowanie wrogi, Jacob czuł to! Przekleństwo doktor Martine przywołało go do przytomności, zdał sobie sprawę, że wstrzymuje oddech.

- Cholera! - zdarła z głowy hełm. - Tyle tam hałasu! Już myślę, że coś mam, jakiś sygnał tu i tam, a za moment wszystko znika!

- Nie martw się - powiedział Bubbakub. Urywany głos dochodził z brzmieniacza, który teraz leżał na pokładzie obok małego Pilanina. Bubbakub miał na głowie swój hełm i intensywnie wpatrywał się w Ducha czarnym oczkami. - Ludzie nie mają tej psi, której oni używają. Twoje próby sprawiają im wręcz ból i złoszczą je. Jacob przełknął ślinę.

- Masz z nimi kontakt? - zapytał niemal równocześnie z Martine. - Tak - odparł mechaniczny głos. - Nie przeszkadzajcie mi. - Oczy Bubbakuba zamknęły się. - Powiedzcie mi, kiedy się poruszy. Tylko wtedy! Potem nie mogli już nic z niego wydobyć.

Co on mu mówi? - zastanawiał się Jacob, przyglądając się zjawie. I co można powiedzieć takiemu stworzeniu?

Nagle Solariowiec zaczął wymachiwać „rękami” i poruszać „ustami”. Tym razem szczegóły były lepiej widoczne. Zniknęły prążki, które widzieli poprzednim razem. Stwór musiał nauczyć się radzić sobie z ekranami stazy. Jeszcze jeden przykład zdolności przystosowawczych. Jacob nie chciał myśleć, co to oznaczało dla bezpieczeństwa statku. Jego uwagę przykuła kolorowa błyskawica z lewej strony. Na ślepo odszukał pulpit, wyciągnął z niego mikrofon i przełączył go na rozmowę osobistą. - Helene, spójrz na około jeden i osiem na sześćdziesiąt pięć. Wydaje mi się, że

towarzystwo się powiększa.

- Tak - cichy głos deSilvy wypełnił przestrzeń wokół jego głowy. - Wygląda na to, że ten drugi jest w typowej postaci. Przekonamy się, co zrobi. Drugi Duch zbliżał się niepewnie z lewej strony. Jego pomarszczona, amorficzna sylwetka wyglądała jak plama oleju na powierzchni oceanu. Kształtem zupełnie nie przypominał człowieka.

Kiedy Martine zobaczyła intruza, gwałtownie wciągnęła oddech i zaczęła nakładać hełm.

- Myślisz, że powinniśmy powiedzieć o tym Bubbakubowi? - zapytała prędko. Zastanowiła się przez chwilę, a potem popatrzyła w górę na pierwszego Solariowca. Nadal wymachiwał „ramionami”, ale nie zmienił pozycji. Bubbakub też nie. - Kazał, żeby go zawiadomić, kiedy Duch się przesunie. - Spojrzała z entuzjazmem na przybysza. - Może powinnam sama popracować nad tym nowym i nie przerywać mu z pierwszym. Jacob nie był tego pewien. Jak dotąd Bubbakub był jedyną istotą, która stwierdziła coś konkretnego, a motywy Martine były podejrzane. Czyżby nie chciała mówić Pilaninowi o drugim Solariowcu dlatego, że była zazdrosna o jego sukces? A tam! - Jacob wzruszył ramionami. - ET i tak nie lubi, jak mu się przeszkadza. Przybysz zbliżał się ostrożnie w krótkich zrywach i doskokach, zmierzając do miejsca, gdzie jego większy i jaśniejszy kuzyn odgrywał rozzłoszczonego człowieka. Jacob spojrzał na Kullę.

Może powinienem powiedzieć przynajmniej jemu? Wygląda na całkowicie pochłoniętego oglądaniem pierwszego Ducha. Dlaczego Helene nic nie ogłosiła? I gdzie jest Fagin? Mam nadzieję, że tego nie przegapi.

Gdzieś w górze mignął błysk. Kulla poruszył się.

Jacob podniósł wzrok. Przybysza nie było. Pierwszy Duch z wolna odpływał, aż wreszcie zniknął zupełnie.

- Co się stało? - spytał Jacob. - Odwróciłem się tylko na sekundę... - Nie wiem, przyjacielu Jacobie! Obszerwowałem tę isztotę, żeby zobaczyć, czy jej zachowanie nie zdradza jakichś czech jej natury, kiedy nagle nadleciał drugi. Pierwszy zaatakował drugiego promieniem światła i przegnał go. Potem on też zaczął odpływać! - Powinniście mi powiedzieć, że przybył nowy - odezwał się Bubbakub. Był znowu na nogach, a brzmieniacz wisiał mu na szyi. - Trudno. Wiem wszystko, co potrzebuję. Przekażę to teraz człowiekowi deSilvie.

Odwrócił się i odszedł. Jacob wygramolił się z fotela i podążył za nim.

Przy pulpicie sterowniczym razem z deSilva czekał na nich Fagin.

- Widziałeś to? - wyszeptał Jacob.

- Tak, miałem dobry widok. Czekam z niecierpliwością, żeby usłyszeć, czego dowiedział się nasz drogi szanowny przyjaciel.

Bubbakub teatralnym gestem poprosił wszystkich o uwagę.

- Powiedział, że jest stary. Wierzę w to. To bardzo stara rasa. No tak - pomyślał Jacob. - To oczywiście pierwsza rzecz, jaką mógłby odkryć Bubbakub.

- Solariowcy mówią, że to oni zabili szympa. LaRoque też go zabił. Zaczną zabijać również ludzi, jeżeli na zawsze stąd nie odejdziecie.

- Co? - zawołała deSilva. - O czym pan mówi? Jak to możliwe, żeby odpowiedzialni byli i LaRoque, i Duchy?!

- Nalegam na spokój - w zniekształconym przez brzmieniacz głosie Pilanina brzmiała nuta groźby. - Solariowiec powiedział mi, że to oni nakłonili człowieka LaRoque'a do zrobienia tego. Dali mu wściekłość. Dali mu potrzebę zabijania. Dali mu także prawdę. Jacob streścił uwagi Bubbakuba dla Martine.

- ...i skończył mówiąc, że jest tylko jeden sposób, dzięki któremu Duchy mogły oddziałać na LaRoque'a z takiej odległości. A użycie tej metody tłumaczy brak informacji w Bibliotece. Gdziekolwiek ktoś posługuje się taką mocą, staje się wykluczony. Bubbakub chce, żebyśmy pozostali w pobliżu tylko do czasu, aż to sprawdzimy; potem mamy stąd natychmiast zwiewać.

- Co to za moc? - spytała Martine. Siedziała z prymitywnym, ziemskim hełmem psi na kolanach. Kulla przysłuchiwał się z boku, trzymając w ustach następną wąską tubę płynu. - To nie pingrli. Tego używa się czasem legalnie. Poza tym pingrli nie ma takiego zasięgu. A zresztą i tak nie znalazł tego ani śladu. Nie, myślę, że Bubbakub zamierza użyć tego czegoś podobnego do kamienia.

- Pamiątki po Letanich?

- Tak.

Martine potrząsnęła głową. Spuściła wzrok, bawiąc się przełącznikiem hełmu. - Jakie to wszystko zagmatwane. W ogóle tego nie rozumiem. Odkąd wróciliśmy na Merkurego, nic nie szło dobrze. Nikt nie jest tym, na kogo wygląda. - Co chcesz przez to powiedzieć?

Parapsycholog milczała przez chwilę, a potem wzruszyła ramionami. - Nigdy nikogo nie można być pewnym. Nie miałam wątpliwości, że ta głupia uraza Pierre'a do Jeffa była szczera i nieszkodliwa. Tymczasem okazuje się, że była sztucznie wzbudzona i śmiertelna. Pierre miał też chyba rację co do Solariowców. Tylko że to nie była myśl jego, a ich.

- Myślisz, że oni naprawdę są naszymi dawno zaginionymi opiekunami? - Kto wie? - odpowiedziała. - Jeśli tak jest, to prawdziwa tragedia, że nigdy nie będziemy mogli tu wrócić i porozmawiać z nimi.

- Przyjmujesz więc opowieść Bubbakuba bez zastrzeżeń? - Oczywiście, że tak! Przecież tylko jemu udało się z nimi porozumieć. Poza tym znam go. Bubbakub nigdy by nas nie wprowadził w błąd. Całe swoje życie poświęcił prawdzie! Jacob jednak wiedział już, o kim myślała, mówiąc „nigdy nie można być pewnym, że się kogoś zna". Doktor Martine była przerażona.

- Jesteś pewna, że tylko Bubbakub nawiązał jakiś kontakt?

Oczy jej się rozszerzyły i odwróciła wzrok.

- Wydaje się, że tylko on ma taką możliwość.

- To dlaczego kiedy Bubbakub zawołał nas wszystkich, ty zostałaś na miejscu z założonym hełmem?

- Nie będziesz mnie tu przesłuchiwał! - uniosła się. - A jeśli koniecznie chcesz wiedzieć, to zostałam, żeby jeszcze raz spróbować. Byłam zazdrosna o jego sukces i chciałam zrobić jeszcze jedno podejście. Nie udało mi się, oczywiście.

Jacob nie był przekonany. Jej irytacja nie wyglądała na usprawiedliwioną, było też jasne, że wiedziała więcej, niż mówiła.

- Doktor Martine - powiedział - co pani wie o leku o nazwie „Warfarin”? - Ty też! - poczerwieniała. - Powiedziałam już lekarzowi Bazy, że nigdy o tym nie słyszałam i zupełnie nie wiem, jak coś takiego mogło się dostać do lekarstw Dwayne’a Keplera. To znaczy jeżeli rzeczywiście to tam było! - Odwróciła się. - Najlepiej chyba będzie, jeśli teraz trochę odpocznę. Pozwolisz? Chcę być na nogach, kiedy Solariowcy powrócą.

Jacob zignorował jej wrogość; odrobina szorstkości jego drugiego ja musiała wsączyć się wraz z podejrzeniami. Widać było jednak, że Martine nie powie nic więcej. Podniósł się. Parapsycholog złośliwie nie zwróciła na to uwagi, zajęta rozkładaniem swojego fotela.

Przy automatach z żywnością spotkał go Kulla.

- Jeszteś zdenerwowany, przyjacielu Jacobie?

- Nie, raczej nie. Dlaczego pytasz?

Wysoki ET spojrzał na niego z góry. Wyglądał na zmęczonego. Jego wąskie ramiona przygarbiły się, ogromne oczy jaśniały.

- Mam nadzieję, że nie przeżywasz tego za bardzo, tej wiadomości, którą właśnie ogłosił Bubbakub.

Jacob odwrócił się od maszyn i stanął przodem do Kulli. - Co mam przeżywać, Kulla? Jego stwierdzenia to fakty. To wszystko. Byłbym rozczarowany, gdyby okazało się, że Słoneczny Nurek musi się zakończyć. Ale zanim zgodzę się, że to konieczne, chciałbym, żeby był jakiś sposób na potwierdzenie jego słów... Przynajmniej jakaś informacja w Bibliotece. Poza tym jednak moim najsilniejszym uczuciem jest ciekawość - wzruszył ramionami, zirytowany pytaniem. Poczuł pieczenie oczu, pewnie od nadmiaru czerwonego światła.

Kulla powoli pokręcił wielką, okrągła głową.

- Myślę, że jeszt inaczej. Wybacz mi śmiałość, ale myślę, że jeszteś bardzo poruszony. Jacob poczuł przypływ dzikiej złości. Już miał ją z siebie wyrzucić, ale udało mu się pohamować.

- O czym ty znowu mówisz, Kulla? - zapytał wolno.

- Jacobie, to świetnie, że udało ci się zachować neutralność w poważnym konflikcie wewnątrz twojego gatunku. Ale przecież wszysztkie isztoty rozumne mają szwoje zdanie. Zabolało cię, że Bubbakub nawiązał kontakt, a ludziom się to nie udało. Chociaż nigdy nie wyraziłeś szwojej opinii na temat Kwestii Pochodzenia, wiem, że nie cieszy cię świadomość, że ludzkość miała opiekunów.

Jacob znów wzruszył ramionami.

- To prawda, nadal nie przekonuje mnie ta historia o Solariowcach wspomagających w zamierzchłej przeszłości ludzi, a potem porzucających nas przed końcem dzieła. Nic tu się nie zgadza - potarł prawą skroń. Czuł nadchodzący ból głowy. - Do tego ludzie pracujący przy tym projekcie zachowują się bardzo osobliwie. Kepler cierpi na jakąś nie wyjaśnioną histerię i zbytnio ulega Martine. LaRoque był znacznie bardziej arogancki, niż to leży w jego naturze, czasem aż do samozniszczenia. Nie zapominaj też o jego domniemanym sabotażu. Potem Martine przechodzi od emocjonalnej obrony LaRoque’a do niezwykle dziwnego lęku przed powiedzeniem czegoś, co mogłoby poderwać autorytet Bubbakuba. Zaczynam się w związku z tym zastanawiać... - urwał.

- Może za to wszysztko odpowiedzialni szą Szolariowczy. Jeśli z tak wielkiej odległości mogli szprawić, że pan LaRoque popełnił mordersztwo, mogli też szpowodować inne zaburzenia.

Dłonie Jacoba zacisnęły się w pięści. Spojrzał na Kullę, z trudem przełykając gniew.

Wzrok obcego przygniatał go. Jacob chciał znaleźć się poza jego zasięgiem.

- Nie przerywaj - powiedział przez zaciśnięte wargi, tak spokojnie, jak tylko mógł. Widział, że coś jest nie w porządku. Czuł się, jakby tkwił we mgle. Nic nie było jasne, ale ciążyła mu potrzeba, żeby powiedzieć coś ważnego. Cokolwiek. Rozejrzał się szybko po pokładzie.

Bubbakub i Martine znów byli na stanowiskach. Oboje mieli na głowach hełmy i spoglądali w jego stronę. Martine coś mówiła.

Suka! Na pewno opowiada temu prostackiemu, ordynarnemu głupkowi wszystko, co powiedziałem. Nędzna wazeliniara!

Helene deSilva, która obchodziła pokład, zatrzymała się przy tamtej parze, odwracając ich uwagę od Kulli i Jacoba. Przez chwilę czuł się lepiej. Zapragnął, żeby Kulla sobie poszedł. To przykre, że trzeba było gościa przywołać do porządku, ale podopieczny musi znać swoje miejsce!

DeSilva skończyła rozmawiać z Bubbakubem i Martine i ruszyła w kierunku automatów z żywnością. Czarne oczka Bubbakuba znów spoczęły na Jacobie, który mruknął coś i odwrócił się od paciorkowatego spojrzenia w stronę automatów.

Pieprzyć ich. Mam ochotę na coś do picia i napiję się. Oni dla mnie nie istnieją! Automat chwiał się przed nim. Jakiś wewnętrzny głos krzyczał o niebezpieczeństwie, ale Jacob uznał, że ten głos też nie istnieje.

Ależ to dziwny automat - pomyślał. - Mam nadzieję, że nie jest taki, jak ta oszukańcza maszyna na

Bradburym. Tamten był wyjątkowo niemiły. Nie, ten ma mnóstwo przezroczystych, trójwymiarowych przycisków, oddalonych jeden od drugiego. Są tu całe rzędy małych wystających przycisków. Sięgnął ręką, żeby nacisnąć któryś z nich na chybił trafił, ale wstrzymał się. Aha, tym razem przeczytamy napis!

No więc, na co mam ochotę? Może kawę?

Słaby głos wołał w środku o żyroadę. Tak, to rozsądne. Wspaniały napój, żyroada. Nie tylko że wyśmienity, ale jeszcze wzmacnia. Doskonały napój w świecie pełnym halucynacji. Musiał przyznać, że w tej sytuacji byłoby nieźle napić się tego trochę. Coś tu było jakby podejrzane. I dlaczego wszystko działo się tak wolno?

Jego ręka wędrowała w ślimaczym tempie w kierunku przycisku, który wybrał. Kilka razy przesunęła się w różne strony, ale wreszcie nacelował ją właściwie. Już miał nacisnąć, kiedy powrócił ten cichy głosik, tym razem błagając go, by przestał. Co za chamstwo! Najpierw dajesz mi dobrą radę, a potem w ostatniej chwili dostajesz pietra. Pies cię kopał, nie jesteś mi potrzebny!

Nacisnął. Czas przyspieszył odrobinę i usłyszał odgłos lejącego się płynu. W ogóle komu to wszystko potrzebne! Do diabła z Kullą, tym dorobkiewiczem! Nadęty Bubbakub i jego zimna jak ryba wspólniczka. Nawet ten zwariowany Fagin... ciągnący mnie z Ziemi w to bezsensowne miejsce.

Schylił się i wyciągnął tubę z otworu. Wyglądała smakowicie. Czas znowu przyspieszył i biegł już teraz prawie normalnie. Jacob poczuł się lepiej, jakby nagle odpłynęło wielkie napięcie. Halucynacje i antagonizmy zniknęły. Uśmiechnął się do nadchodzącej Helene deSilva. Potem odwrócił się i posłał uśmiech Kulli. Później - pomyślał - przeproszę go za to, że byłem niegrzeczny. - Podniósł tubę w toaście.

- ...wisi tam, na granicy wykrywalności - mówiła deSilva. - Jesteśmy gotowi w każdej chwili, więc może byś lepiej...

- Jacob, przestań! - krzyknął Kulla.

DeSilva krzyknęła i skoczyła naprzód, żeby chwycić jego rękę. Kulla pomógł jej swoją niewielką siłą i razem mocowali się, odciągając tubę od ust Jacoba. Sztywniaki - pomyślał z sympatią. - Pokażmy słabowitemu obcemu i dziewięćdziesięcioletniej staruszce, co potrafi mężczyzna. Odpychał ich jedno po drugim, ale ciągle atakowali. Komendant próbowała nawet paskudnych ciosów obezwładniających, ale sparował je i powoli, tryumfalnie podniósł napój do ust.

Pękła jakaś zasłona i węch, który, jak się teraz okazało, stracił, powrócił z siłą parowego walca. Jacob zakaszlał i spojrzał na ohydną miksturę, którą trzymał w ręku. Bulgotała i dymiła brązowymi, trującymi oparami. Cisnął ją na bok. Wszyscy wpatrywali się w niego. Kulla szczękał zębami, zbierając się z podłogi po upadku. DeSilva stała w wyczekującej pozycji. Wokół zbierali się inni ludzie.

Słyszał zbliżające się skądś zatroskane gwizdanie Fagina. Gdzie ten Fagin? - pomyślał i ruszył do przodu. Udało mu się zrobić trzy kroki, zanim zwalił się na pokład tuż przed Bubbakubem.

Powoli wracał do przytomności. Nie było to łatwe, gdyż coś strasznie uciskało go w czoło. Czuł, że skórę ma tam napiętą jak pokrycie bębna, chociaż nie tak suchą. Przeciwnie, robiła się coraz bardziej wilgotna, początkowo przez pot, a potem przez coś innego, co było chłodne.

Jęknął i podniósł rękę. Dotknął skóry czyjejś dłoni, ciepłej i miękkiej. Kobieta - poznał to po zapachu.

Jacob otworzył oczy. Doktor Martine siedziała obok niego z ręcznikiem w smagłej dłoni.

Uśmiechnęła się i przysunęła tubę z napojem tak, by mógł ją schwycić wargami. Najpierw się wzdrygnął, ale potem podniósł się, żeby pociągnąć łyk. Poczuł smak lemoniady, cudowny smak.

Opróżnił tubę, rozglądając się wokoło. Na rozrzuconych po pokładzie fotelach dostrzegł leżące sylwetki.

Spojrzał w górę. Niebo było niemal czarne!

- Wracamy już - wyjaśniła Martine.

- Jak... - czuł, że chrypi mu w gardle od długiego niemówienia - jak długo byłem nieprzytomny?

- Jakieś dwanaście godzin.

- Dostałem coś na uspokojenie?

Skinęła głową. Powrócił jej nieustanny zawodowy uśmiech, chociaż teraz nie wydawał się tak sztucznie przylepiony do twarzy. Jacob dotknął ręką czoła. Ciągle bolało. - Chyba więc to wszystko mi się nie przyśniło. Co to było, co chciałem wczoraj wypić? - Związek amoniaku, który wzięliśmy ze sobą dla Bubbakuba. Prawdopodobnie by cię nie zabił. Ale zaszkodziłby ci, i to porządnie. Możesz mi powiedzieć, dlaczego to zrobiłeś? Jacob pozwolił, by głowa opadła mu z powrotem na poduszkę. - No... wtedy wyglądało to na całkiem niezły pomysł - potrząsnął głową. - A poważnie, myślę, że po prostu coś było ze mną nie w porządku. Ale niech mnie diabli, jeśli wiem, co. - Powinnam się domyślić, że coś jest nie tak, kiedy zacząłeś dziwnie mówić o morderstwach i spiskach - przytaknęła. - To częściowo moja wina, bo nie rozpoznałam tych oznak. Nie ma się czego wstydzić. Myślę, że to zwykły przypadek wstrząsu orientacyjnego. Nurkowanie w heliostatku może być okropnie dezorientujące. Różnie się to objawia!

Przetarł oczy przeganiając z nich sen.

- Tak, co do ostatniej części, to na pewno masz rację. Ale właśnie przyszło mi do głowy, że niektórzy ludzie myślą pewnie, że byłem pod wpływem jakiegoś czynnika zewnętrznego. Martine drgnęła, jakby zaskoczyło ją, że tak szybko wrócił do pełnej przytomności. - Tak - odpowiedziała. - Rzeczywiście, komendant deSilva myślała, że to robota Duchów. Powiedziała, że pewnie demonstrują moc psi na potwierdzenie swoich argumentów. Zaczęła nawet mówić o odwecie. Ta teoria ma pewne zalety, ale ja wolę swoją własną.

- Że oszalałem?

- Nie, skądże! Straciłeś tylko orientację i pogubiłeś się! Kulla mówi, że zachowywałeś się... nienormalnie w ciągu kilku minut poprzedzających ten... wypadek. To oraz moje własne obserwacje...

- Tak - Jacob skinął głową - winien jestem Kulli szczere przeprosiny. Cholera jasna! Nic mu się nie stało, prawda? Ani Helene? - Zaczął się podnosić. Martine popchnęła go z powrotem na fotel.

- Nie, nie, wszyscy są w porządku. Nie martw się. To o ciebie się wszyscy niepokoili.

Jacob opadł na poduszki. Spojrzał na pustą tubę po napoju.

- Mogę prosić o jeszcze jedną?

- Oczywiście. Zaraz wracam.

Martine zostawiła go. Słyszał jej ciche kroki zmierzające w stronę automatów z żywnością... tam, gdzie wydarzył się wypadek. Skrzywił się, kiedy o tym pomyślał. Czuł wstyd zmieszany z obrzydzeniem. Przede wszystkim jednak nie dawało mu spokoju pytanie „dlaczego"?

Gdzieś za nim rozmawiało cicho dwoje ludzi. Doktor Martine musiała spotkać kogoś przy automatach.

Jacob wiedział, że prędzej czy później będzie musiał odbyć nurkowanie, które wyjaśni sprawy Słonecznego Nurka. Taki niesamowity trans będzie konieczny, jeśli prawda ma wyjść na jaw. Pozostawało tylko pytanie „kiedy"? Teraz, gdy mogło to rozedrzeć jego umysł na pół? A może już na Ziemi, w obecności terapeuty z Centrum, gdzie odpowiedzi nie mogły pomóc w niczym jemu, jego zadaniu, ani Słonecznemu Nurkowi? Wróciła Martine. Zajęła fotel obok niego i wręczyła mu tubę z napojem. Razem z nią przyszła Helene deSilva i też usiadła przy Jacobie.

Następne kilka minut spędził na zapewnianiu jej, że czuje się dobrze. Kapitan zbyła krótko jego przeprosiny:

- Nie miałam pojęcia, że jesteś taki dobry w WW, Jacob - powiedziała.

- WW?

- Walka wręcz. Ja sama nieźle sobie daję radę, chociaż trzeba przyznać, że trochę wyszłam z wprawy. Zresztą i tak byłeś lepszy. Stwierdziliśmy to w najpewniejszy sposób, w walce pomiędzy stronami, z których każda chciała obezwładnić drugiego bez bólu i krzywdy. Strasznie trudno to zrobić, ale z ciebie jest prawdziwy spec. Nigdy nie sądził, że może zaczerwienić się na tego rodzaju komplement, ale nagle poczuł, że się rumieni.

- Dzięki. Słabo to pamiętam, ale wydaje mi się, że ty też byłaś niezła.

Spojrzeli na siebie i uśmiechnęli się w absolutnym porozumieniu.

Martine powiodła wzrokiem od jednego do drugiego. Chrząknęła.

- Myślę, że pan Demwa nie powinien spędzać zbyt dużo czasu na rozmowie.

Rekonwalescencja po takim szoku wymaga bardzo długiego odpoczynku. - Chciałbym tylko dowiedzieć się o paru sprawach, pani doktor, a potem już będę posłuszny. Przede wszystkim gdzie jest Fagin? Nigdzie go nie widzę. - Kant Fagin jest na odwrotnej stronie - odparła deSilva. - Odżywia się.

- Bardzo się o ciebie martwił. Na pewno ucieszy się, że jesteś zdrowy - dodała Martine.

Jacob odprężył się. Z jakiegoś powodu niepokoił się o bezpieczeństwo Fagina.

- Teraz powiedzcie mi, co stało się po tym, jak zemdlałem.

Martine i deSilva wymieniły spojrzenia. DeSilva wzruszyła ramionami. - Mieliśmy jeszcze jedną wizytę - powiedziała. - Zajęła trochę czasu. Przez ładne parę godzin Solariowiec po prostu fruwał sobie na granicy widoczności. Torusy i wszystkich jego kompanów zostawiliśmy daleko z tyłu. Chociaż właściwie to dobrze, że czekał tak długo. Mieliśmy tu trochę zamieszania z powodu, no...

- Z powodu mojego przyciągającego uwagę przedstawienia - westchnął Jacob. - Czy ktoś próbował nawiązać kontakt, kiedy Solariowiec tak sobie latał? DeSilva spojrzała na Martine. Doktor leciutko pokręciła głową. - Nic wielkiego nie zrobiliśmy - pospiesznie odparła komendant. - Ciągle byliśmy zdenerwowani. A potem, około czternastej, zniknął. Jakiś czas później powrócił w swojej „groźnej" postaci.

Jacob nie zareagował na wymianę spojrzeń pomiędzy kobietami. Nagle jednak przyszła mu do głowy pewna myśl.

- Słuchajcie, czy jesteście zupełnie pewne, że to w ogóle były te same Duchy? Może postać „normalna" i „groźna" to w rzeczywistości dwa różne gatunki. Przez moment Martine wyglądała na zmieszaną.

- To mogłoby wyjaśnić... - zaczęła, ale zaraz urwała.

- Hm, nie nazywamy ich już Duchami - powiedziała deSilva. - Bubbakub mówi, że one tego nie lubią.

Jacob poczuł przypływ irytacji, ale szybko ją stłumił, żeby żadna z kobiet niczego nie zauważyła. Ta rozmowa nie prowadziła donikąd!

- No więc, co się stało, kiedy wrócił w groźnej postaci?

- Bubbakub rozmawiał z nim przez jakiś czas - deSilva zmarszczyła brwi w wyrazie niezadowolenia. - Potem się zdenerwował i przepędził go. - Co?

- Próbował go przekonywać. Cytował Księgę Praw Opiekunów i Podopiecznych. Nawet obiecał korzyści handlowe. A tamten ciągle groził. Powiedział, że pośle sygnały psi na Ziemię i spowoduje katastrofę, jakiej nie da się opisać. W końcu Bubbakub uznał, że dosyć tego. Kazał wszystkim się położyć i wyciągnął tę bryłę żelaza i kryształu, o której nic wcześniej nie chciał mówić. Musieliśmy

zakryć oczy, a on powiedział jakieś hokus-pokus i wystrzelił z tego cholerstwa.

- I co się stało?

Znowu wzruszyła ramionami.

- Tylko Przodkowie to wiedzą. Oślepiający błysk, uczucie ciśnienia w uszach, a kiedy znowu spojrzeliśmy, Solariowca już nie było! Ale to nie wszystko! Wróciliśmy tam, gdzie powinno być stado toroidów. Ich też nie było. Nigdzie w zasięgu wzroku nie było żadnej żywej istoty!

- W ogóle nic? - Pomyślał o przepięknych torusach i ich jasnych, wielobarwnych panach. - Nic - potwierdziła Martine. - Wszystkie się spłoszyły. Bubbakub zapewnił nas, że nie stała im się żadna krzywda.

Jacob poczuł odrętwienie.

- No tak, teraz mamy przynajmniej ochronę. Możemy układać się z Solariowcami z pozycji siły.

DeSilva smutno pokręciła głową.

- Bubbakub mówi, że nie ma mowy o żadnych negocjacjach. Oni są źli, Jacob. Zabiliby nas natychmiast, gdyby tylko mogli.

- Ale...

- Poza tym nie możemy już liczyć na Bubbakuba. Powiedział Solariowcom, że jeśli Ziemię spotka coś złego, to nastąpi zemsta, ale nie zrobi nic poza tym. Pamiątka po Letanich wraca na Pilę. - Wbiła wzrok w pokład, jej głos stracił barwę. - To koniec Słonecznego Nurka.

CZĘŚĆ SZÓSTA

Miarą zdrowia psychicznego jest łatwość przystosowania się (nie zaś odniesienie do jakiejś „normy”), zdolność uczenia się na doświadczeniach... brania pod uwagę rozsądnych argumentów... oraz uczuć... a zwłaszcza zdolność rezygnowania po osiągnięciu zaspokojenia.

Istota choroby polega na utrwaleniu się niezmiennych i zachłannych wzorców zachowania.

Lawrence Kubie

17. Cień

Warsztat był starannie uporządkowany. Narzędzia, zazwyczaj rozrzucone w nieładzie, teraz wisiały bezużytecznie, każde na odpowiednim kołku w ścianie. Wszystkie były czyste. Porysowany, pokryty nacięciami blat stołu lśnił pod świeżą warstwą wosku. Sterta częściowo rozmontowanych urządzeń, które Jacob odsunął na bok, oskarżycielsko piętrzyła się na podłodze. Równie oskarżycielski był wzrok głównego mechanika, który przyglądał się podejrzliwie, kiedy Jacob obejmował warsztat w posiadanie. Nie miało to większego znaczenia. Pomimo fiaska wyprawy heliostatku - a może właśnie ze względu na nie - nikt nie protestował, kiedy Jacob postanowił kontynuować swoje własne badania. Warsztat stanowił obszerne i wygodne miejsce, które nie było teraz akurat nikomu potrzebne, więc mógł z niego korzystać. Poza tym, spędzanie tu czasu zmniejszało prawdopodobieństwo, że znajdzie go Millie Martine.

Z niszy wielkiej groty heliostatków Jacob widział srebrny poblask gigantycznego statku, częściowo tylko zasłonięty skalną ścianą. Daleko w górze ściana sklepiała się wśród skroplonych oparów.

Usiadł na wysokim stołku przed warsztatem, narysował na dwóch kartkach papieru „schematy wyboru" i rozłożył je na stole. Na każdej z różowych kartek napisane było „tak" lub „nie", reprezentujące różne możliwe rzeczywistości morfologiczne. Po lewej stronie napisane było: B. MA RACJĘ CO DO DUCHÓW, TAK (I/NIE (II).

Druga kartka była jeszcze bardziej skomplikowana: ODBIŁO MI, TAK/NIE.

Jacob nie mógł pozwolić, żeby ktokolwiek wpłynął na jego opinię w tych sprawach. Dlatego właśnie od powrotu na Merkurego unikał Martine i innych. Stał się więc pustelnikiem, jeśli nie liczyć grzecznościowej wizyty złożonej zdrowiejącemu Keplerowi. Pytanie po lewej stronie dotyczyło zadania Jacoba, choć nie mógł wykluczyć, że wiąże się ono z pytaniem po prawej.

Pytanie po prawej stronie było z kolei bardzo trudne. Żeby na nie właściwie odpowiedzieć, trzeba było odłożyć na bok wszelkie emocje. Poniżej pytania po lewej umieścił kartkę z rzymską cyfrą I i wyliczył na niej dowody na to, że Bubbakub mówił prawdę.

POZYCJA I: WERSJA B. JEST PRAWDZIWA.

Lista była obszerna. Przede wszystkim wyjaśnienia Pilanina tłumaczyły zgrabnie i spójnie zachowanie Słonecznych Duchów. Cały czas wiadomo było, że stworzenia posługują się jakimś rodzajem psi. Przerażający, człekokształtny wygląd sugerował znajomość ludzi i nieprzyjazne skłonności. Zginął „tylko" szympans, a Bubbakub jako jedyny mógł pochwalić się nawiązaniem kontaktu z Solariowcami. Wszystko to pasowało do wersji LaRoque'a, którą stworzenia miały jakoby zaszczepić w jego umyśle.

Najbardziej imponującym osiągnięciem był wyczyn dokonany przez Bubbakuba za pomocą pamiątki po Letanich, który miał miejsce wtedy, gdy Jacob leżał nieprzytomny na pokładzie heliostatku. Zdarzenie to dowodziło, że Pilanin kontaktował się jakoś ze Słonecznymi Duchami.

Odpędzenie jednego Ducha za pomocą błysku światła wydawało się wiarygodne (chociaż Jacob nie

miał pojęcia, jak istota szybująca w świetlistej chromosferze mogła wykryć cokolwiek w ciemnym wnętrzu heliostatku), natomiast rozproszenie całego stada magnetożerców i pasterzy sugerowało, że Pilanin musiał skorzystać z jakiejś potężnej siły (psi?).

Podczas analizy morfologicznej każdy z tych elementów miał być raz jeszcze zbadany, jednak na pierwszy rzut oka Jacob musiał przyznać, że pozycja numer I wyglądała na prawdziwą.

Numer II wobec tego był nie lada kłopotem, gdyż zakładał przeciwieństwo tezy z pozycji I.

POZYCJA II: WERSJA B JEST NIEPRAWDZIWA - (IIA) MYLI SIĘ/(IIB) KŁAMIE.

IIA nie nasuwało Jacobowi zbyt wielu pomysłów. Bubbakub wydawał się zbyt pewny swego. Oczywiście mogły go zwieść same Duchy... Jacob nabazgrał odpowiednią notatkę pod numerem IIA. Była to w istocie bardzo ważna ewentualność, ale oprócz kolejnych nurkowań nie przychodził mu do głowy żaden sposób, żeby ją potwierdzić lub obalić. A sytuacja polityczna sprawiała, że następne nurkowania były niemożliwe. Bubbakub, popierany przez Martine, upierał się, że jakiekolwiek dalsze ekspedycje byłyby bezcelowe, a bez niego i pamiątki po Letanich prawdopodobnie także tragiczne. Co dziwne, doktor Kepler nie spierał się z nimi. W dodatku to na jego rozkaz heliostatek przeniesiono do suchego doku, zawieszono normalne prace konserwacyjne, a nawet zniesiono tajność informacji przy rozmowach z Ziemią.

Motywacje Keplera były dla Jacoba zagadką. Przez kilka minut wpatrywał się w kartkę, na której napisane było: SPRAWA POBOCZNA - KEPLER? W końcu cisnął ją na stertę urządzeń na podłodze. Ten człowiek wyraźnie go rozczarował. Przeszedł do kartki IIB. Pomysł, że Bubbakub kłamie, był dość pociągający. Jacob nie mógł już dłużej udawać jakiejkolwiek sympatii dla małego przedstawiciela Biblioteki. Widział wyraźnie swoje osobiste uprzedzenie. Chciał, żeby IIB było prawdą.

Bubbakub z pewnością miał motyw, żeby kłamać. Niepowodzenie Biblioteki w dostarczeniu informacji o solarnych formach życia było dla niego kłopotliwe. Poza tym Pilanin miał za złe „szczenięcej” rasie jej całkowicie niezależne badania. Obydwu tych kłopotów można się było pozbyć, gdyby Słoneczny Nurek załamał się w taki sposób, by starożytna nauka mogła zatryumfować.

Hipoteza o kłamstwie Bubbakuba pociągała jednak za sobą masę problemów. Po pierwsze, jaka część jego opowieści była kłamstwem? Sztuczka z pamiątką po Letanich była bez wątpienia autentyczna, ale gdzie jeszcze można było wyznaczyć granicę? W dodatku jeśli Bubbakub skłamał, to musiał być absolutnie pewien, że nikt go nie nakryje. Instytuty Galaktyczne, a zwłaszcza Biblioteka, opierały się na opinii całkowitej uczciwości. Bubbakuba upieczono by żywcem, gdyby coś takiego wyszło na jaw. Sedno sprawy kryło się w IIB. Wyglądało to beznadziejnie, ale Jacob musiał jakoś wykazać, że IIB jest prawdą. W przeciwnym razie Słoneczny Nurek był skończony. Zadanie było skomplikowane. Każda teoria, w której Bubbakub kłamał, musiała jednocześnie wyjaśnić śmierć Jeffreya, nienormalny stan LaRoque’a i jego dziwne zachowanie, groźby Słonecznych Duchów...

Jacob nabazgrał notatkę i dołożył ją do IIB.

NOTATKA UZUPEŁNIAJĄCA: DWA RODZAJE SŁONECZNYCH DUCHÓW?

Zapamiętał uwagę, że nikt nigdy nie widział, jak „normalny” Duch zmienia się w odmianę półprzeźroczystą, wykonującą pantomimę gróźb.

Przyszła mu do głowy jeszcze jedna myśl.

NOTATKA UZUPEŁNIAJĄCA: TEORIA KULLI, ŻE PSI SOLARIOWCÓW TŁUMACZY NIE TYLKO LR, ALE TAKŻE INNE DZIWNE ZACHOWANIA. Kiedy to pisał, myślał o Martine i Keplerze, ale zastanowiwszy się dobrze, przepisał tę uwagę jeszcze raz i dołączył ją do kartki zatytułowanej ODBIŁO MI - NIE (IV). Kwestia jego zdrowia psychicznego napełniła go większą odwagą. Pod pozycją III zaczął metodycznie wyliczać dowody na to, że coś było nie w porządku.

1 OŚLEPIAJĄCE ŚWIATŁO W BAJA. Przed spotkaniem w Centrum Informacyjnym przeszedł ostatni głęboki trans. Wyrwał go z niego jakiś obiekt psychiczny - „błękit”, który wdarł się w jego hipnozę jak blask reflektora. Bez względu na to, jakiego rodzaju ostrzeżenie zsyłała mu podświadomość, nadejście Kulli przerwało je.

2 NIEKONTROLOWANE DZIAŁANIA PANA HYDE’A. Jacob wiedział, że rozejście się jego umysłu na część normalną i nienormalną było najlepszym razie chwilowym rozwiązaniem długotrwałego problemu. Kilkaset lat temu jego stan określono by jako schizofrenię. Teraz działanie hipnozy miało pozwolić jego rozdzielonym połowom na spokojne połączenie pod kierownictwem osobowości dominującej. Jego zdziczała druga połowa wydostawała się na zewnątrz lub przejmowała kontrolę wtedy, gdy było to potrzebne... kiedy Jacob musiał odwołać się do zimnego, twardego, wścibskiego, absolutnie pewnego siebie gościa, jakim był kiedyś.

Dawniej wyczyny jego drugiego ja bardziej go zawstydzały, niż niepokoiły. Na przykład kradzież leków Keplera na Bradburym była w miarę logiczna, jeśli wziąć pod uwagę to, co już wiedział, choć może wolałby zastosować w tym celu inne środki. Jeśli zaś chodzi o to, co powiedział do doktor Martine na pokładzie heliostatku, to sporo jego słów sugerowało albo mnóstwo uzasadnionych podejrzeń kipiących w nieświadomości, albo jakieś poważne, głęboko tkwiące problemy.

3. **ZACHOWANIE NA HELIOSTATKU: USIŁOWANIE SAMOBÓJSTWA?** Wbrew oczekiwaniom nie zabolało to tak mocno. Ten epizod niepokoił Jacoba. Co jednak dziwne, czuł się raczej zły niż zawstydzony, jakby to ktoś inny sprawił, że zachował się jak idiota. Mogło to oczywiście dowodzić wszystkiego, także zwariowanego usprawiedliwiania się, ale na to akurat nie wyglądało. Jacob nie czuł żadnych oporów wewnętrznych, kiedy rozważał tę możliwość. Po prostu się z tym nie zgadzał.

Problem numer trzy mógł być częścią ogólnego załamania psychicznego albo stanowić oderwany przypadek dezorientacji, jak to stwierdzała diagnoza doktor Martine (która od lądowania ścigała Jacoba po całej bazie, żeby go zmusić do terapii). Mógł być też wywołany przez jakiś czynnik

zewnętrzny, jak to już wcześniej stwierdził. Jacob odsunął się od warsztatu. Na to trzeba było czasu. Jedyny sposób, żeby czegokolwiek dokonać, to robić często przerwy i pozwolić, by pomysły przenikały z podświadomości, tej głębokiej podświadomości, którą badał. No, nie był to jedyny sposób, ale dopóki nie rozstrzygnął kwestii swojego zdrowia psychicznego, nie miał zamiaru chwytać się innych środków. Wstał i zaczął powoli układać swoje ciało w ciąg pozycji odprężających Tai Chi Chuan. Czuł, jak od niewygodnego siedzenia na stołku trzeszczą mu kręgi. Rozciągnął się i pozwolił, by energia powróciła do tych części ciała, które były uśpione. Lekka kurtka, którą miał na sobie, krępowała ramiona. Przerwał ciąg i zdjął ją. Wieszak na ubrania stał przy kantorku głównego mechanika, naprzeciw warsztatu naprawczego, obok kranu z wodą pitną. Jacob przeszedł tam lekkim krokiem, stąpając na palcach, czując rozpierającą go po Tai Chi energię.

Główny mechanik kiwnął niechętnie głową, kiedy Jacob przechodził obok niego - facet był najwyraźniej zmartwiony. Siedział za biurkiem w swoim wyłożonym pianką kantorku, z wyrazem twarzy, który Jacob widział wielokrotnie od swojego powrotu, zwłaszcza wśród niższego kierownictwa. Jego dobry nastrój prysł pod wpływem tego widoku. Kiedy pochylał się nad kranem, usłyszał klekoczący odgłos. Podniósł głowę, bo dźwięk się powtórzył i najwyraźniej dobiegał z groty. Z miejsca, gdzie Jacob stał, widać było połowę heliostatku. Reszta wyłoniła się powoli, gdy podszedł do krawędzi ściany skalnej. Klinowate wrota heliostatku wolno opadły. Na dole stali Kulla i Bubbakub, trzymając pomiędzy sobą długie, cylindryczne urządzenie. Jacob skrył się za ścianą. Co też ci dwaj tam robią?

Słyszał wysuwający się z pokładu statku pomost, a potem odgłosy wciągania maszyny do środka.

Oparł się plecami o ścianę i pokręcił głową. Tego już za wiele. Jeżeli pojawi się jeszcze jedna tajemnica, to chyba mi naprawdę odbije... oczywiście jeżeli już do tego nie doszło. Ze środka statku dobiegał dźwięk, przypominający użycie sprężarki powietrza albo odkurzacza. Klekoty, odgłosy przesuwania, a czasem także piskliwe pilańskie przekleństwa sugerowały, że urządzenie ciągnięto przez całe wnętrze heliostatku. Jacob uległ pokusie. Bubbakub i Kulla znajdowali w środku, a nikogo innego w zasięgu wzroku nie było.

W najgorszym razie, gdyby przyłapano go na szpiegowaniu, nie miał właściwie nic do stracenia oprócz reszty reputacji.

Kilkoma pewnymi krokami pokonał sprężysty pomost. Na szczycie pochylni położył się na brzuchu i zajrzał do środka.

Urządzenie rzeczywiście było odkurzaczem. Bubbakub ciągnął je, odwrócony tyłem do Jacoba, a Kulla manipulował giętką rurą zakończoną nasadką ssącą. Pring powoli kręcił głową, jego zęby zaklekotały cicho. Rugając swojego podopiecznego, Bubbakub wyrzucił z siebie serię krótkich szczęknięć. Klekot wzmógł się, ale Kulla pracował teraz szybciej. Widok był dziwaczny i niepokojący. Pring najwyraźniej odkurzał przestrzeń pomiędzy pokładem a zakrzywiającą się ścianą statku, choć nie było tam przecież nic oprócz pól siłowych, które podtrzymywały pokład!

Posuwając się wokół krawędzi, Kulla i Bubbakub zniknęli za kopułą centralną. Lada moment mogli pokazać się po drugiej stronie, tym razem zwróceni twarzą do niego. Jacob zsunął się po pochylni o metr i resztę drogi przebył schodząc. Wrócił do skalnej niszy, gdzie na powrót zasiadł na stołku przed

rozłożonymi kartkami. Gdyby tylko było dosyć czasu! Gdyby centralna kopuła była większa albo gdyby Bubbakub pracował wolniej, mógłby może znaleźć jakiś sposób, żeby dostać się do szpary pola siłowego i wziąć próbkę tego, co tamci zbierali. Na myśl o tym Jacoba przeszedł dreszcz, ale rzecz warta byłaby spróbowania.

Albo nawet zdjęcie Bubbakuba i Kulli przy pracy! Ale gdzie zdobyć aparat w ciągu tych paru minut, które mu zostały?

Nie było jak dowieść, że Bubbakub miał zamiar zrobić coś złego, ale Jacob uznał, że teoria IIB nabrała żywszych kolorów. Na kawałku papieru nabazgrał: KURZ B... HALUCYNOGENY UWOLNIONE NA POKŁADZIE STATKU? Rzucił go na kupkę i pobiegł do kantorku głównego mechanika.

Facet gderał coś niezadowolony, kiedy Jacob poprosił go, żeby z nim poszedł. Twierdził, że musi siedzieć przy swoim telefonie i w ogóle nie ma pojęcia, gdzie tu można by znaleźć zwyczajny aparat fotograficzny. Jacob uznał, że gość kłamie, ale nie miał czasu na dyskusje. Musiał dostać się do telefonu.

Jeden aparat znajdował się na ścianie niedaleko rogu, zza którego obserwował Kullę i Bubbakuba wchodzących na pochylnię. Kiedy jednak podniósł słuchawkę, nie bardzo wiedział, do kogo miałby zadzwonić ani co powiedzieć.

„Halo, doktor Kepler? Tu Jacob Demwa, pamięta mnie pan? Ten, co się próbował zabić na pańskim heliostatku. Taa... hm, chciałbym, żeby zszedł pan tu na dół i zobaczył, jak Pil Bubbakub robi wiosenne porządki...”

Nie, to nie brzmiało najlepiej. Zanim ktokolwiek zdążyłby tu przyjść, Kulla i Bubbakub dawno by już zniknęli, a ten telefon stałby się kolejną pozycją na liście jego powszechnie znanych zaburzeń.

Ta myśl uderzyła Jacoba.

A może ja po prostu wyobraziłem sobie to wszystko? Teraz już nie było słychać odkurzacza. Kompletna cisza. Poza tym, cała ta sprawa była tak cholernie symboliczna... Zza rogu dobiegły piski, pilańskie przekleństwa i odgłos spadającej maszyny. Jacob na chwilę zamknął oczy. Dźwięki były piękne. Zaryzykował wychylenie się za krawędź skały. Bubbakub stał u stóp pochylni, trzymając jeden koniec odkurzacza; rzęsy wokół jego oczu nastroszyły się sztywno, sierść na szyi sterczała jak kołnierz. Pil wpatrywał się z furią w Kullę, który mocował się niezdarnie z zatrzaskiem pojemnika na kurz. Z nie domkniętego otworu wysypało się trochę czerwonego proszku.

Bubbakub parsknął pogardliwie, kiedy Kulla zbierał proszek garściami, a potem skierował na kupkę rurę odkurzacza. Jacob był pewien, że jedna garść zamiast do odkurzacza, trafiła do kieszeni srebrzystej tuniki Pringa.

Pilanin rozrzucił nogą resztki kurzu, żeby połączyły się z podłożem. Rozejrzał się potem podejrzliwie na wszystkie strony, aż Jacob musiał prędko cofnąć głowę za ścianę, szczeknął krótką komendę i poprowadził Kullę z powrotem do wind. Kiedy Jacob wrócił do warsztatu, znalazł tam głównego

mechanika przeglądającego rozrzucone kartki jego analizy morfologicznej. Kiedy do niego podszedł, mężczyzna podniósł wzrok.

- Co to było, tam? - wskazał brodą w stronę groty.

- Nie, nic - odparł Jacob. Przez chwilę się zastanawiał. - Tylko jacyś Iti myszkują po statku.

- Po statku? - Główny mechanik zerwał się. - To o tym żeś pan przedtem gadał? Czemuś pan do cholery od razu nie powiedział?!

- Zaraz, poczekaj pan - Jacob złapał za ramię mechanika, który już pędził do statku. - Za późno, już poszli. Poza tym żeby domyślić się, co oni zamierzają, nie wystarczy przyłapać ich na robieniu czegoś dziwnego. Wiadomo, że Iti są specjalistami od dziwności. Mechanik spojrzał na Jacoba, jakby widział go po raz pierwszy.

- Taa - wycedził powoli. - To racja. Ale może wreszcie powiesz mi pan, coś pan widział. Jacob wzruszył ramionami i opowiedział całą historię, od usłyszenia dźwięku otwieranego włazu do komedii z rozsypanym proszkiem. - Nie łapię tego - główny mechanik podrapał się po głowie. - Nie ma się co przejmować. Jak powiedziałem, nie wystarczy jeden ślad, żeby załatwić tego brzękacza.

Jacob ponownie usiadł na stołku i zaczął skrupulatnie notować na kilku kartkach. K. MA PRÓBKĘ PROSZKU... DLACZEGO? POPROSIĆ GO O TROCHĘ - NIEBEZPIECZNE?

CZY K. WSPÓŁPRACUJE Z WŁASNEJ WOLI? OD JAK DAWNA? ZDOBYĆ PRÓBKĘ!

- A tak w ogóle to co pan tu robi? - spytał główny mechanik.

- Szukam śladów.

Po chwili milczenia mężczyzna postukał w kartki papieru rozłożone na stole. - A niech to, ja bym nie był taki spokojny, gdybym myślał, że mi odpala! Jak to było? To znaczy kiedyś pan odleciał i chciałeś wypić truciznę?

Jacob podniósł wzrok znad kartek. Był taki obraz. Wrażenie. Nozdrza wypełniał zapach amoniaku, w skroniach pulsowało. Jakby całe godziny spędził pod lampą na przesłuchaniu. Pamiętał ten obraz wyraźnie. Ostatnią rzeczą, jaką widział przed zapaścią, była twarz Bubbakuba. Czarne oczka wpatrywały się w niego spod brzegu hełmu psi. Jako jedyny na pokładzie Pilanin przyglądał się beznamiętnie, gdy Jacob rzucił się naprzód i runął na pokład bez czucia, metr od jego stóp.

Ta myśl sprawiła, że Jacob poczuł chłód. Zaczął ją zapisywać, ale przestał. To było zbyt poważne. Pospiesznie napisał krótką notkę w łamanym delfinim troistym i dołączył ją do pliku numer IV.

- Przepraszam - spojrzał na głównego mechanika. - Mówił pan coś? - A tam, to i tak nie moja rzecz - tamten potrząsnął głową. - Nie powinienem wtykać nosa. Byłem tylko ciekawy, co pan tu robi. - Zamilkł na chwilę. - Pan próbuje uratować ten program, prawda? - zapytał w końcu.

- Tak, próbuję.

- W takim razie jest pan jedynym z tych mądrali, który się stara - powiedział mechanik cierpko. - Przepraszam, że wcześniej na pana warczałem. Już panu nie będę przeszkadzał, będzie pan mógł spokojnie pracować - zaczął zbierać się do wyjścia. Jacob zastanawiał się przez moment.

- Nie miałby pan ochoty pomóc?

Mechanik odwrócił się.

- A co trzeba zrobić?

- No, na początek potrzebowałbym miotły i szufelki - uśmiechnął się Jacob.

- Już się robi - mechanik wybiegł w pośpiechu.

Jacob przez chwilę stukał palcami po blacie. Potem zebrał rozrzucone kartki i wepchnął je z powrotem do kieszeni.

18. Ostrość

- Kierownik powiedział, że nikomu nie wolno tam wchodzić, rozumie pan.

Jacob podniósł wzrok znad swojej pracy.

- A niech to! - wyszczerzył z wściekłości zęby. - Nie wiedziałem o tym! Próbuję na tym zamku wytrychu ot tak, dla zabawy!

Drugi mężczyzna kręcił się nerwowo w miejscu i mamrotał coś o tym, że nigdy nie myślał być wplątanym we włamanie.

Jacob przechylił się na krześle. Pokój zakołysał się, aż musiał dotknąć plastykowej nogi stołu, żeby złapać równowagę. W przyćmionym świetle laboratorium fotograficznego trudno było dobrze widzieć, zwłaszcza po dwudziestu minutach żmudnej pracy drobnymi narzędziami.

- Mówiłem już panu, Donaldson - powiedział powoli.

Nie mamy wyboru. Co byśmy mogli pokazać? Odrobinę kurzu i podejrzaną teorię? Trzeba myśleć. Na razie jesteśmy w błędnym kole. Nie dopuszczą nas do dowodu, bo nie mamy dowodu, że naprawdę tego potrzebujemy! - Potarł mięśnie na karku. - Nie, musimy zrobić to sami... to znaczy, jeżeli woli pan czekać z założonymi rękami... Główny mechanik chrząknął.

- Wie pan dobrze, że zostanę - powiedział urażonym tonem. - W porządku, w porządku - Jacob kiwnął głową. Przepraszam. A teraz czy mógłby mi pan podać ten mały przyrząd, tam. Nie, ten z haczykiem na końcu. Tak, ten. A teraz może pan pójść do zewnętrznych drzwi i popilnować. Gdyby

ktoś szedł, to proszę dać mi trochę czasu na posprzątanie. I uwaga na zapadnię!

Donaldson odszedł kawałek, ale przystanął, żeby popatrzeć, jak Jacob wraca do pracy.

Oparł się o chłodną framugę drzwi i otarł pot z policzków i brwi. Demwa wyglądał na rozsądnego i zachowywał się racjonalnie, ale droga, po której w ciągu ostatnich kilku godzin biegła jego rozgorączkowana wyobraźnia, przyprawiała Donaldsona o zawrót głowy.

Najgorsze było, że wszystko tak dobrze pasowało. I to polowanie na ślady - naprawdę pasjonujące. A w dodatku to, co sam odkrył, zanim jeszcze spotkał Demwę, potwierdzało wersję tamtego. Z drugiej strony był także przerażony. Zawsze przecież zostawała możliwość, że facet naprawdę zwariował, pomimo logiczności jego argumentów. Donaldson westchnął. Odwrócił się od kąta, w którym drobne narzędzia skrobały metal, a kudłata głowa Jacoba kiwała się miarowo, i poszedł powoli w stronę zewnętrznych drzwi laboratorium.

To i tak nie miało znaczenia. Pod powierzchnią Merkurego coś się paprało. Jeżeli ktoś szybko czegoś nie zrobi, nie będzie już więcej heliostatków. Zwykły zamek bębnowy na klucz z nacięciami. Trudno o coś łatwiejszego. Jacob zresztą od razu zauważył, że Merkury miał niewiele nowoczesnych zamków. Na planecie, której nagą, nie chronioną powierzchnię omywała powłoka magnetyczna, elektronikę trzeba było chronić. Osłony nie były zbyt kosztowne, ale widać ktoś uznał taki wydatek za absurdalny w przypadku zamków. Poza tym kto chciałby włamywać się do wewnętrznego laboratorium fotograficznego? I kto wiedziałby, jak to zrobić?

Jacob wiedział, ale na razie nie dawało to zbytnich efektów. Coś było nie w porządku.

Narzędzia nie chciały przemówić. Nie czuł ciągłości pomiędzy swoimi dłońmi a metalem.

W tym tempie mogło to zabrać całą noc.

Może ja to zrobię?

Jacob zgrzytnął zębami i wolno wyciągnął wytrych z zamka. Odłożył go na bok. Skończ z tymi personifikacjami - pomyślał. - Jesteś tylko zespołem aspołecznych nawyków, które chwilowo zamknąłem na kłódkę hipnozy. Jeśli będziesz się ciągle zachowywał jak odrębna osobowość, doprowadzisz nas... mnie do stanu pełnej schizofrenii! A teraz kto personifikuje?

Jacob uśmiechnął się.

Nie powinno mnie tu być. Powinienem siedzieć w domu przez równe trzy lata, żeby w ciszy i spokoju dokończyć psychicznych porządków. Te typy zachowania, które chciałem... które trzeba było ukryć, teraz okazują się potrzebne. Wymaga ich moja praca. To dlaczego z nich nie skorzystać?

Kiedy ten podział psychiczny się ustalił, nie miał być taki sztywny. Tego rodzaju stłumienie może naprawdę skończyć się kłopotami! Amoralne, chłodne i dzikie cechy wydostawały się na powierzchnię cienkim strumieniem, zazwyczaj jednak pod całkowitą kontrolą. Od samego początku planowano, że w razie potrzeby będą do dyspozycji. Strumienie i personifikacja, za pomocą których

radził sobie ostatnio z tym strumieniem, mogły być przyczyną części kłopotów. Kiedy walczył ze wstrząsem po stracie Tani, jego zła połowa miała spać... a nie usamodzielniać się.

Więc pozwól mi to zrobić.

Jacob sięgnął po następny wytrych i obrócił go w palcach. Narzędzie przesuwało się gładko, poczuł jego chłód.

Zamknij się. Nie jesteś osobą, tylko talentem związanym przez nieszczęśliwy przypadek z neurozą... jak wyszkolony głos, którego można używać tylko wtedy, gdy stoi się na scenie nago.

W porządku. Skorzystaj z tego talentu. Te drzwi mogłyby już być otwarte. Jacob starannie odłożył narzędzia i pochylił się, aż jego czoło oparło się o drzwi. Może powinienem? A jeśli rzeczywiście odbiło mi na heliostatku? Moja teoria może być błędna. I jeszcze to błękitne światło wtedy, w Baja. Ryzykować otworzenie, jeśli w środku coś się obluzowało?

Osłabiony od niezdecydowania, poczuł, że zaczyna zapadać w trans. Powstrzymał się z wysiłkiem, ale potem wstrząsnął się w duchu i zaniechał oporu. Gdy doliczył do siedmiu, napotkał barierę lęku. Znał ją. Była jak krawędź przepaści. Z rozmysłem odsunął ją na bok i dalej zstępował w dół.

Przy dwunastu rozkazał: To ma być chwilowe. Wyczuł zgodę. Wsteczne odliczanie dokonało się w mgnieniu oka. Otworzył oczy. W dół ramion przewędrowało mrowienie i zatrzymało się w palcach, podejrzliwie, jak pies, który węsząc wraca do swojego dawnego domu.

Na razie dobrze - pomyślał Jacob. - Nie czuję się ani trochę mniej moralny. Ani trochę mniej „sobą". Nie czuję, że moimi rękoma rządzi jakaś obca siła... są tylko zręczniejsze. Narzędzia nie były już chłodne, kiedy je podniósł. Poczuł raczej ciepło, jakby dotykał przedłużenia własnych rąk. Wytrych wsunął się delikatnie w zamek i pieścił bębny, pociągając za zapadki. Cichutkie stuknięcia przesuwały się jedno za drugim wzdłuż metalu. Po chwili drzwi były otwarte.

- Udało się panu! - zdziwienie Donaldsona troszkę go ubodło. - Oczywiście - odparł tylko. Z przyjemną łatwością powstrzymał się od obraźliwej odpowiedzi, która przyszła mu na myśl. Na razie dobrze. Dżin wydawał się dobrotliwy. Jacob otworzył drzwi na oścież i wszedł do środka.

Lewą ścianę wąskiego pomieszczenia zajmowały regały. Przy drugiej ścianie stał niski stół, a na nim rząd urządzeń do fotoanalizy. Otwarte drzwi na drugim końcu prowadziły do nie oświetlonej i rzadko używanej ciemni chemicznej.

Jacob rozpoczął od końca regałów, schylając się, żeby odczytać napisy. Donaldson posuwał się wzdłuż ławy. Nie minęło wiele czasu, a mechanik oznajmił:

- Znalazłem je! - Wskazał na otwartą skrzynkę obok przeglądarki, w połowie długości stołu.

Szpule znajdowały się w osobnych wyściełanych wnękach - z boku miały wypisane informacje o dacie i czasie rejestracji oraz o numerze aparatu, którym jej wykonano. Przynajmniej dziesięć wnęk było pustych.

Jacob podniósł kilka kaset do światła, a potem odwrócił się do Donaldsona:

- Ktoś nas tu uprzedził i rąbnął wszystkie kasety, których potrzebujemy.

- Ukradła?... Ale jak?

Jacob wzruszył ramionami.

- Może tak samo, jak my, włamując się. A może miał klucz. Wiemy tylko tyle, że brakuje końcowej szpuli z każdego urządzenia rejestrującego.

Przez chwilę stali w ponurym milczeniu.

- Czyli nie mamy żadnego dowodu - odezwał się Donaldson.

- Chyba że uda nam się odnaleźć brakujące szpule.

- To znaczy że mamy włamać się do mieszkania Bubbakuba? Nie wiem... Moim zdaniem te dane są już dawno spalone. Po co miałby je trzymać?

- Nie, proponuję, żebyśmy się stąd wymknęli i niech doktor Kepler albo Martine sami odkryją, że ich nie ma. Niezbyt to wiele, ale być może uznają to za jakiś dowód na poparcie naszej wersji. - Jacob zawahał się, a potem kiwnął głową. - Proszę mi pokazać ręce - powiedział.

Donaldson wyciągnął dłonie. Pokrywająca je cienka warstwa plastyku była nietknięta.

Prawdopodobnie nie zostawiali więc śladów chemicznych ani odcisków palców. - W porządku - stwierdził. - Poukładajmy wszystko z powrotem na miejsce, tak dokładnie, jak to tylko możliwe. Niech pan nie rusza niczego, czego pan wcześniej nie dotykał. A potem wychodzimy.

Donaldson odwrócił się, żeby wykonać polecenia, ale nagle z zewnętrznego laboratorium dobiegł trzask - coś upadło. Drzwi stłumiły nieco ten dźwięk. Pułapka, którą Jacob zastawił przy drzwiach na korytarz, zadziałała. Ktoś był w zewnętrznej części laboratorium. Drogę ucieczki mieli odciętą! Obydwaj pospieszyli z powrotem w stronę mrocznego przejścia do ciemni. Pokonali je i wpadli za załom ściany dokładnie wtedy, gdy ciasne pomieszczenie wypełnił dźwięk metalowego klucza zgrzytającego w zamku.

Przez łoskot własnego gwałtownego oddechu Jacob usłyszał, jak drzwi wolno się otwierają. Pomacał kieszenie kombinezonu. Połowa narzędzi została na jednym z regałów w laboratorium.

Na szczęście lusterko dentystyczne ciągle spoczywało w kieszeni na piersi. Kroki intruza rozbrzmiewały cicho kilka metrów dalej. Jacob starannie rozważył niebezpieczeństwa i możliwe korzyści, a potem powoli wydobył lusterko. Ukląkł i wysunął okrągłe zakończenie przez próg, kilka centymetrów nad podłogą. Doktor Martine schylała się przed regałem, przeglądając metalowe klucze na kółku. Rzuciła ukradkowe spojrzenie w kierunku zewnętrznych drzwi. Wyglądała na poruszoną, choć trudno było to osądzić na podstawie widoku w małym lustereczku, trzęsącym się nad podłogą dwa metry od jej stóp.

Jacob poczuł, jak Donaldson pochyla się nad nim, próbując wyjrzeć zza drzwi.

Zdenerwowany, chciał dać mu znak, żeby się cofnął, ale mechanik stracił już równowagę.

Jego lewa ręka zatoczyła łuk w poszukiwaniu oparcia i wylądowała na plecach Jacoba. - Uff! - Powietrze wyleciało z płuc Jacoba, kiedy główny mechanik zwalił się na niego całym ciężarem. Aż zgrzytnął zębami przyjmując uderzenie zesztywniałym lewym ramieniem. Jakimś sposobem udało mu się uchronić ich obu przed runięciem za próg, ale lusterko wyleciało mu z ręki i z cichym brzękiem upadło na podłogę. Donaldson cofnął się w mrok, oddychając ciężko i czyniąc żałosne próby zachowania ciszy. Jacob uśmiechnął się krzywo. Tylko głuchy nie usłyszałby tego łomotu. - Kto... kto tam jest?

Jacob wstał i otrzepał się bez pośpiechu. Rzucił krótkie, pogardliwe spojrzenie na Donaldsona, który siedział posępnie, unikając wzroku towarzysza. Na zewnątrz kroki oddalały się. Jacob wyszedł za próg.

- Poczekaj chwilę, Millie.

Doktor Martine zamarła przy drzwiach w pół kroku. Odwracała się wolno, zgarbiona, z twarzą ściągniętą przerażeniem, dopóki nie rozpoznała Jacoba. Wtedy jej ciemne rysy pokrył głęboki rumieniec.

- Co też ty tu u licha robisz!

- Obserwuję cię, Millie. Zazwyczaj to przyjemna rozrywka, ale tym razem szczególnie interesująca.

- Szpiegowałeś mnie! - wydyszała.

Jacob postąpił naprzód, mając nadzieję, że Donaldson będzie miał dosyć rozsądku, żeby się nie pokazywać.

- Nie tylko ciebie, kotku. Wszystkich. Na Merkurym dzieje się coś podejrzanego. Każdy mówi po chińsku i udaje przy tym Greka. Czuję, że wiesz więcej, niż chcesz powiedzieć. - Nie mam pojęcia, o co ci chodzi - odparła chłodno Martine. - Ale nie dziwi mnie to.

Zachowujesz się nieracjonalnie i potrzebujesz pomocy... - Zaczęła się wycofywać. - Może i tak - Jacob z powagą skinął głową. - Ale tobie też będzie chyba potrzebna pomoc, żeby wyjaśnić twoją dzisiejszą obecność tutaj.

Martine zesztywniała.

- Klucz mam od Dwayne’a Keplera. A ty?

- Ale czy on wie, że masz ten klucz od niego?

Martine zaczerwieniła się i nie odpowiedziała.

- Brakuje kilku szpul z danymi zebranymi podczas ostatniego nurkowania... Wszystkie dotyczą okresu, kiedy Bubbakub dokonał tej sztuczki z zabytkiem po Letanich. Nie wiesz może przypadkiem, gdzie one są?

Martine wytrzeszczyła oczy ze zdumienia.

- Żartujesz chyba! Ale kto... ? Nie... - Zmieszana, powoli pokręciła głową.

- Czy to ty je zabrałaś?

- Nie!

- W takim razie kto?

- Nie wiem! Skąd miałabym wiedzieć? I o co ci w ogóle chodzi, że wypytujesz... - Mógłbym natychmiast wezwać Helene deSilva - Jacob huknął groźnie. - Mogłem przecież przyjść przed chwilą i odkryć, że drzwi są otwarte, ty jesteś w środku, a klucz z twoimi odciskami palców leży w twojej kieszeni. Komendant przeszukałaby wszystko, znalazła brakujące szpule i co by się okazało? Że kryjesz kogoś, a ja mam pewne niezależne dowody, o kogo chodzi. Jeżeli zaraz nie opowiesz wszystkiego, co wiesz, to przysięgam, że skręcisz sobie kark, sama albo z twoim przyjacielem. Wiesz równie dobrze jak ja, że załoga Bazy tylko czeka, żeby kogoś zjeść żywcem!

Martine zachwiała się i dotknęła dłonią czoła.

- Nie... Nie wiem...

Jacob podprowadził ją do krzesła, a potem zamknął drzwi i przekręcił zamek. Hej, wyluzuj się - mówiła jedna z jego części. Przymknął na chwilę oczy i policzył do dziesięciu. Z ręki powoli odpłynęło swędzenie.

Martine ukryła twarz w dłoniach. Jacob kątem oka dostrzegł Donaldsona, który wyglądał zza drzwi ciemni. Machnął ręką i głowa głównego mechanika schowała się. Sięgnął do regału, który kobieta przeglądała.

Aha, tutaj.

Wziął stenokamerę i zaniósł ją do ławy, a potem wetknął wtyk odczytu do jednego z czytników i włączył obydwa urządzenia.

Większość materiału była zupełnie nieinteresująca. Uwagi LaRoque'a dotyczące lądowania na Merkurym oraz poranek, kiedy zabrał kamerę do groty heliostatków, tuż przed fatalną wycieczką po statku Jeffreya. Jacob nie zwracał uwagi na ścieżkę dźwiękową. Notując dla siebie LaRoque miał jeszcze większą skłonność do gadulstwa niż w tekstach publikowanych. Nagle jednak, zaraz po panoramującym ujęciu wnętrza heliostatku, charakter obrazów zmienił się.

Przez moment stał, patrząc w zdumieniu na przesuwający się film. Potem wybuchnął głośnym śmiechem.

Millie Martine tak to zaskoczyło, że podniosła zaczerwienione, nieszczęśliwe oczy. Jacob kiwnął do niej wesoło głową.

- Wiedziałaś, po co tu schodzisz?

- Tak. - Jej głos był zachrypnięty. Wolno pochyliła głowę. - Chciałam przynieść Pierre'owi jego kamerę, żeby mógł dokończyć swój opis. Myślałam, że po tym, jak Solariowcy byli dla niego tak okrutni... tak go wykorzystali... - Ciągle jest w areszcie, prawda?

- Tak. Oni sobie wyobrażają, że tak jest najbezpieczniej. Solariowcy już raz się nim posłużyli, rozumiesz. Mogliby zrobić to ponownie.

- A czyj to był pomysł, żeby oddać mu kamerę?

- Jego, oczywiście. Potrzebne mu były te nagrania, a ja nie sądziłam, żeby to mogło zaszkodzić...

- Dać mu do rąk broń?

- Nie! Ogłuszacz miał być rozbrojony. Bubb... - Jej oczy rozszerzyły się, a głos zamarł.

- No, dalej, powiedz to. I tak już wiem.

Martine spuściła wzrok.

- Bubbakub powiedział, że spotka się ze mną u Pierre'a i rozbroi ogłuszacz. To miała być przysługa i dowód, że nie żywi urazy.

Jacob westchnął.

- To wyjaśnia sprawę - wymruczał.

- Co...?

- Pokaż mi ręce. - Wyciągnął stanowczo dłoń, widząc, że się zawahała. Jej długie, smukłe palce drżały, gdy im się przyglądał.

- Co to ma znaczyć?

Jacob zignorował jej pytanie. Zaczął chodzić powoli tam i z powrotem po wąskim pomieszczeniu.

Uderzyła go symetria tego podstępu. Gdyby się powiódł, na całym Merkurym nie byłoby ani jednego człowieka bez plamy na opinii. Sam nie zrobiłby tego lepiej. Pozostawało tylko pytanie, kiedy ten potrzask miał się zamknąć.

Odwrócił się i spojrzał na wejście do ciemni. Głowa Donaldsona znów wychylała się zza drzwi.

- W porządku, może pan wyjść. Musi pan pomóc doktor Martine wytrzeć tu jej odciski palców.

Martine zatkało, kiedy pękaty główny mechanik wysunął się ze swojego ukrycia, uśmiechając się z zakłopotaniem.

- Co chcecie zrobić? - spytała.

Zamiast odpowiedzi Jacob sięgnął po telefon przy wewnętrznych drzwiach i wybrał numer.

- Halo, Fagin? Tak, jestem już gotowy do „sceny w salonie". Ach tak... ? Hm, nie bądź tego taki pewien. To zależy od tego, ile szczęścia będę miał przez następne kilka minut. Czy mógłbyś zaprosić towarzystwo do aresztu LaRoque'a na spotkanie za pięć minut? Tak, zaraz, i proszę, stanowczo tego zażądaj. Nie martw się o doktor Martine, jest tu, ze mną. Martine podniosła wzrok znad regału, który właśnie wycierała, zdumiona tonem głosu Demwy.

- W porządku - ciągnął Jacob. - A najpierw zaproś Bubbakuba i Keplera. Namów ich tak, jak ty to potrafisz. Kończę, bo muszę się spieszyć. Tak, dzięki. - I co teraz? - zapytał Donaldson, kiedy szli do drzwi.

- Teraz wy dwoje zdacie egzamin na wzorowych włamywaczy. I musicie to zrobić prędko. Doktor Kepler zaraz wyjdzie od siebie, więc lepiej, żebyście nie przyszli na spotkanie zbyt długo po nim.

Martine zatrzymała się.

- Żartujesz chyba. Nie myślisz przecież, że pomogę przeszukiwać mieszkanie Dwayne'a! - A dlaczego nie? - mruknął Donaldson. - Dawała mu pani truciznę na szczury! Ukradła pani jego klucze, żeby włamać się do laboratorium.

Nozdrza Martine rozszerzyły się.

- Nie dawałam mu żadnej trucizny na szczury! Kto panu tak powiedział?

Jacob westchnął.

- Warfarin. Dawniej był używany jako trucizna na szczury. Zanim jeszcze nie uodporniły się na niego, jak zresztą prawie na wszystko.

- Mówiłam ci już, nigdy nie słyszałam o warfarinie! Najpierw lekarz, a potem ty na statku. Dlaczego wszyscy myślą, że jestem trucicielką!

- Ja tak nie myślę. Ale uważam, że powinnaś raczej z nami współpracować, jeżeli chcesz, żebyśmy dotarli do sedna sprawy. Masz więc klucze do mieszkania Keplera, prawda? Martine zagryzła wargi i skinęła głową.

Jacob wyjaśnił Donaldsonowi, czego szukać i co zrobić, kiedy już to znajdą, a potem pobiegł w stronę pomieszczeń ET.

19. W salonie

- Chce pan powiedzieć, że Jacob zwołał to spotkanie, a teraz go tu nie ma? - spytała deSilva od drzwi.

- Nie niepokoiłbym się, kapitanie deSilva. Przybędzie bez wątpienia. Nigdy nie zdarzyło się, żeby pan Demwa zwołał spotkanie, na które szkoda byłoby czasu. - Rzeczywiście! - LaRoque wybuchnął śmiechem. Siedział na końcu wielkiej sofy z nogami opartymi na pufie. Przemawiał z sarkazmem, trzymając w zębach cybuch fajki, otoczony chmurą dymu. - A dlaczego by nie? Co mamy tu innego do roboty? „Badania" się skończyły, studia przeprowadzono. Wieża z Kości Słoniowej zawaliła się przez pychę i nadszedł miesiąc drugich noży. Dajmy Demwie czas. Cokolwiek by miał do powiedzenia, na pewno będzie to zabawniejsze niż oglądanie tych poważnych twarzy! Na drugim końcu sofy Dwayne Kepler skrzywił się. Usiadł tak daleko od LaRoque'a, jak tylko mógł. Nerwowo zsuwał otulający go koc, który sanitariusz skończył właśnie przed chwilą układać. Spojrzał teraz na lekarza, ale ten wzruszył tylko ramionami. - Niech się pan zamknie, LaRoque - powiedział Kepler.

Dziennikarz wyszczerzył tylko zęby i wyjął przyrząd do czyszczenia fajki. - Nadal uważam, że powinienem mieć jakieś urządzenie rejestrujące. Znając Demwę, przypuszczam, to spotkanie może przejść do historii.

Bubbakub parsknął i odwrócił się, przerywając spacer między ścianami pokoju. Tym razem wyjątkowo nie podszedł do żadnej z poduszek rozrzuconych na dywanie. Zatrzymał się przed stojącym pod ścianą Kullą i wystukał kwadratowymi palcami skomplikowany rytm. Pring skinął głową.

- Poleczono mi powiedzieć, że z powodu urządzeń rejesztrującczych pana LaRoque'a wydarzyło się już doszyć nieszczęść. Pil Bubbakub nadmienił także, że nie zosztanie tu dłużej niż nasztępne pięć minut.

Kepler nie zwrócił na to stwierdzenie uwagi. Macał się metodycznie po szyi jakby szukał swędzącego miejsca. Przez ostatnie tygodnie stracił sporo ciała. LaRoque jeszcze raz wzruszył ramionami. Fagin milczał. Nie poruszały się nawet srebrzyste dzwoneczki na końcach jego niebieskozielonych gałęzi. - Wejdź i usiądź, Helene - powiedział lekarz. - Pewien jestem, że reszta wkrótce tu będzie. - W jego oczach tliło się współczucie. Wejście do pokoju było jak zanurzenie się w stawie z bardzo zimną i niezbyt czystą wodą.

Komendant znalazła miejsce jak najdalej od pozostałych. Zmartwiona, próbowała domyślić się, co szykował Demwa.

Mam nadzieję, że to nie będzie znowu to samo - pomyślała. - Jedyne, co ta grupa tutaj ma wspólnego, to fakt, że nie chcą nawet wspominać nazwy „Słoneczny Nurek". Jeszcze trochę i rzucą się sobie nawzajem do gardeł, chociaż łączy ich jakby zmowa milczenia. - Potrząsnęła głową. - Cieszę się, że ta służba niedługo się skończy. Może za pięćdziesiąt lat sprawy ułożą się lepiej.

Nie miała zbyt wielkiej nadziei, że tak się stanie. Już teraz melodię Beatlesów można było usłyszeć tylko w wykonaniu orkiestry symfonicznej. A dobry jazz w ogóle nie istniał poza bibliotekami.

I po co było lecieć w kosmos?

Weszli Mildred Martine i główny mechanik Donaldson. Ich wysiłki, by wyglądać swobodnie, wydały się Helene żałosne, ale nikt inny chyba tego nie zauważył. Ciekawe, co łączy tych dwoje?

Nowo przybyli rozejrzeli się po pokoju i przeszli do kąta za sofą, której całą powierzchnię zajmowali Kepler, LaRoque i napięcie pomiędzy nimi. Dziennikarz podniósł wzrok na Martine i uśmiechnął się. Porozumiewawcze mrugnięcie? Martine uciekła przed jego wzrokiem i LaRoque wyglądał na rozczarowanego. Na powrót zajął się zapalaniem fajki. - Mam już dosyć - oznajmił wreszcie Bubbakub i skierował się w stronę drzwi. Zanim jednak do nich dotarł, otwarły się, jakby samoczynnie. Następnie w przejściu pojawił się Jacob Demwa z białym płóciennym workiem przewieszonym przez ramię. Wkroczył do pokoju pogwizdując cicho. Helene zamrugała z niedowierzaniem. Melodia bardzo przypominała piosenkę „Święty Mikołaj przybywa do miasta”. Ale na pewno... Jacob podrzucił torbę w powietrze. Spadła na stolik z hukiem, aż doktor Martine podskoczyła na krześle. Kepler jeszcze bardziej zmarszczył brwi i chwycił się wałka sofy. Tego było za wiele dla Helene. Staroświecka, niemodna, swojska melodia, hałas i postawa Jacoba rozbiły mur napięcia, jak tort rzucony w twarz osoby, którą niezbyt się lubi. Wybuchnęła śmiechem.

Jacob mrugnął do niej.

- Czy jest pan tu po to, żeby się zabawiać?! - fuknął Bubbakub. - Kradnie mi pan czas!

Pan to wynagrodzić!

- Ależ oczywiście, Pilu Bubbakubie - Jacob uśmiechnął się. - Mam nadzieję, że demonstracja, którą przeprowadzę, będzie dla pana kształcąca. Ale wpierw może by pan usiadł?

Szczęki Bubbakuba kłapnęły. Przez chwilę wydawało się, że jego czarne oczy płoną, potem prychnął i opadł na najbliższą poduchę.

Jacob przyglądał się twarzom osób zebranych w pokoju. Wyrażały przeważnie zakłopotanie lub wrogość, z wyjątkiem niepewnie uśmiechającej się Helene i LaRoque’a, który zachował napuszoną rezerwę. A także, oczywiście, Fagina. Po raz tysięczny pożałował, że Kanten nie ma oczu.

- Kiedy doktor Kepler zaprosił mnie na Merkurego - zaczął - miałem pewne wątpliwości co do Programu Słoneczny Nurek, ale popierałem ogólną ideę. Po pierwszym spotkaniu spodziewałem się, że wezmę udział w najbardziej emocjonujących wydarzeniach od czasów Kontaktu... że zmierzę się ze skomplikowanym problemem stosunków międzygatunkowych z naszymi najbliższymi i najdziwniejszymi sąsiadami, Duchami Słonecznymi. Tymczasem kwestia Solariowców zeszła na drugi plan wobec zawiłej sieci międzygwiezdnych intryg oraz morderstwa.

Kepler podniósł smutny wzrok

- Jacob, proszę. Wszyscy wiemy, że jesteś przemęczony. Millie uważa, że powinniśmy być dla ciebie serdeczni. Są jednak granice.

- Skoro tak, to proszę, żebyście jeszcze trochę wytrzymali - Jacob rozłożył ręce. - Dość już mam ignorowania mnie. Jeżeli wy mnie nie wysłuchacie, to władze na Ziemi z pewnością to zrobią.

Uśmiech Keplera zamarł, a on sam opadł z powrotem na sofę.

- Więc proszę, słucham.

Jacob stanął na szerokim dywanie na środku pokoju.

- Po pierwsze, Pierre LaRoque konsekwentnie zaprzecza, że zabił szympa Jeffreya albo że używał ogłuszacza w celu uszkodzenia mniejszego heliostatku. Zaprzecza, jakoby kiedykolwiek był Nadzorowanym i utrzymuje, że ziemskie rejestry zostały jakimś sposobem naciągnięte. Mimo to od naszego powrotu ze Słońca uparcie odmawia poddania się testowi N, co mogłoby wydatnie dopomóc mu w udowodnieniu niewinności. Najprawdopodobniej przypuszcza, że wyniki takiego testu również byłyby sfałszowane. - To prawda - skinął głową LaRoque. - To byłoby jeszcze jedno kłamstwo.

- Nawet jeśli doktor Laird, doktor Martine i ja wspólnie nadzorowalibyśmy taki test?

LaRoque chrząknął.

- To mogłoby zaszkodzić na procesie, zwłaszcza jeśli zdecyduję się na podanie sprawy do sądu.

- A po co iść do sądu? Nie miał pan motywu, żeby zabijać Jeffreya, kiedy otworzył pan klapę do tunera G...

- Zaprzeczam, jakobym to zrobił!

- ...a tylko Nadzorowany mógłby zabić kogoś z powodu urazy. Po co więc zostawać w areszcie?

- Może mu tu dobrze - rzucił sanitariusz.

Helene spojrzała krzywo. Ostatnimi czasy diabli wzięli dyscyplinę, a wraz z nią i morale.

- Nie zgadza się na test, bo wie, że go nie przejdzie! - krzyknął Kepler. - Dlatego Słoneczni Ludzie wybrali go, żeby dla nich zabił - dodał Bubbakub. - Tak mi powiedzieli.

- Czy ja jestem Nadzorowany? A niektórzy ludzie sądzą przecież, że to Duchy nakłoniły mnie do próby samobójstwa.

- Działał pan w stresie. Tak twierdzi doktor Martine, prawda? - Bubbakub zwrócił się do Martine. Jej zaciśnięte dłonie zbielały, ale nic nie powiedziała. - Przejdziemy do tej sprawy za kilka minut - powiedział Jacob - ale zanim zaczniemy, chciałbym zamienić słowo na osobności z doktorem Keplerem i panem LaRoque. Doktor Laird i jego asystent usunęli się uprzejmie, Bubbakub zatrząsł się z wściekłości, że każą mu się wynosić, ale spełnił prośbę.

Jacob przeszedł za sofę. Kiedy nachylił się pomiędzy dwoma mężczyznami, wyciągnął rękę za siebie. Donaldson przysunął się i podał mu niewielki przedmiot; Jacob ujął go mocno. Spojrzał po kolei na Keplera i LaRoque'a.

- Myślę, że powinniście panowie to skończyć. Zwłaszcza pan, doktorze Kepler.

- Na miłość boską, o czym pan mówi? - syknął zagadnięty. - Myślę, że jest pan w posiadaniu czegoś, co należy do pana LaRoque'a. Nieważne, że zdobył to nielegalnie. Jest mu to bardzo potrzebne. Tak bardzo, że na jakiś czas wziął na siebie winę, którą zresztą łatwo zmyje. Tak bardzo, że może nawet zmieni ton artykułów, w których z pewnością zamierza wszystko opisać. Sądzę, że ten układ dobiega końca. Tak się składa, że teraz ja mam tę rzecz.

- Moja kamera! - chrapliwie wyszeptał LaRoque i oczy mu zaświeciły. - Owszem, pewna mała kamera. A także znakomity mały spektrograf akustyczny. Tak, mam to. Mam też kopię nagrań, które pan zrobił, a które były schowane w mieszkaniu doktora Keplera.

- Zdra-zdrajca... - Kepler zająknął się. - Myślałem, że jest pan przyjacielem. - Zamknij się, ty skórzasty draniu! - LaRoque prawie krzyknął. - To ty jesteś zdrajcą! - Dziennikarz aż kipiał pogardą.

Jacob oparł dłonie na ramionach obu mężczyzn.

- Jeśli nie będziecie ciszej, obaj traficie na orbitę bez powrotu! Pana, LaRoque, można oskarżyć o szpiegostwo, a Keplera o szantaż i współudział w szpiegostwie! Co więcej, jako że dowód szpiegostwa LaRoque'a jest również pośrednim dowodem na to, że nie miał on czasu na sabotaż, podejrzenie padłoby natychmiast na osobę, która po raz ostatni sprawdzała generatory statku. Nie, nie uważam, że pan to zrobił, doktorze Kepler, ale na pana miejscu byłbym ostrożniejszy!

LaRoque siedział w milczeniu. Kepler żuł koniec wąsa.

- Czego pan chce? - zapytał w końcu.

Jacob próbował się opierać, ale jego druga, stłumiona połowa była teraz zbyt silna. Nie mógł powstrzymać się przed małym docinkiem.

- No cóż, dokładnie jeszcze nie wiem. Może coś wymyślę. Po prostu niech pan nie daje się ponosić fantazji. Moi przyjaciele na Ziemi wiedzą już o wszystkim. To nie była prawda, ale pan Hyde wysoko sobie cenił ostrożność. Helene deSilva wytężała słuch, żeby podsłuchać, o czym rozmawiają ci trzej. Gdyby wierzyła w opętanie, nie miałaby wątpliwości, że ich znajome twarze zmieniają się na rozkaz demonów. Łagodny doktor Kepler, który od ich powrotu ze Słońca stał się małomówny i skryty, mruczał jak gniewny mędrzec, gdy mu się sprzeciwiają. LaRoque - rozważny i ostrożny - zachowywał się, jakby cały jego świat zależał od dokładnej oceny biegu spraw. A Jacob Demwa... wcześniej pod jego cichą, czasem nudnawą zadumą dostrzec można było przebłyski charyzmy. Przyciągała ją ona, choć zarazem ta zabawa w chowanego była irytująca. Teraz jednak - teraz jego charyzma jaśniała, zniewalała jak blask płomieni.

Jacob wyprostował się i oznajmił:

- Doktor Kepler uprzejmie zgodził się wycofać wszystkie zarzuty wobec Pierre'a LaRoque'a.

Bubbakub podniósł się z poduszki.

- Pan jest szalony. Jeśli ludzie wybaczają za-mor-do-wa-nie swoich podopiecznych, to ich własny problem. Ale Słoneczni Ludzie mogą nakłonić go do innych występków. - Słoneczni Ludzie nigdy go do niczego nie nakłonili - powiedział Jacob powoli.

Bubbakub kłapnął zębami.

- Powiedziałem już, jest pan szalony. Rozmawiałem ze Słonecznymi Ludźmi. Oni nie kłamią.

- Proszę, skoro tak pan uważa - Jacob ukłonił się. - Mimo to chciałbym kontynuować moją relację.

Bubbakub parsknął głośno i rzucił się na poduszkę.

- Szaleniec! - warknął.

- Najpierw - ciągnął Jacob - chciałbym podziękować doktorowi Keplerowi za to, że wyraził zgodę, abym wraz z głównym mechanikiem Donaldsonem i doktor Martine odwiedził laboratoria fotograficzne i przestudiował filmy z ostatniego nurkowania. Kiedy padło nazwisko Martine, wyraz twarzy Bubbakuba zmienił się. A więc tak wygląda smutek u Pilan - pomyślał Jacob. Doskonale rozumiał małego obcego. Taka piękna pułapka i tak całkowicie unieszkodliwiona.

Jacob opowiedział okrojoną wersję ich odkrycia w laboratorium fotograficznym:

stwierdził tylko, że brakowało szpul z ostatniej części lotu. Gdy to mówił, w pokoju oprócz dzwonienia gałęzi Fagina panowała absolutna cisza.

- Przez jakiś czas zastanawiałem się, gdzie mogą być te szpule. Domyślałem się, kto je zabrał, ale nie byłem pewien, czy ta osoba zniszczyła je, czy też zaryzykowała ich ukrycie. W końcu uznałem, że taki „szczur informatyczny" nigdy niczego nie wyrzuca. Przeszukałem pomieszczenia pewnej istoty rozumnej i odnalazłem brakujące szpule. - Ty zuchwalcze! - wysyczał Bubbakub. - Gdybyś miał prawdziwych panów, kazałbym cię chłostać do ostatniego tchu. Ty zuchwalcze!

Helene opanowała zaskoczenie.

- Mam rozumieć, Pilu Bubbakubie, że przyznaje pan, iż ukrył taśmy Słonecznego Nurka?

Dlaczego?!

- To się zaraz wyjaśni - uśmiechnął się Jacob. - Tak naprawdę to, sądząc po przebiegu faktów, byłem pewien, że ta sprawa będzie dużo bardziej skomplikowana. W istocie jest jednak bardzo prosta. Chodzi o to, że z taśm tych jasno wynika, iż Pil Bubbakub skłamał. Z gardła Bubbakuba wydobyło się niskie burczenie. Mały obcy stał zupełnie nieruchomo, jakby nie ufał własnym ruchom.

- Gdzie więc są taśmy? - nalegała deSilva.

Jacob podniósł worek ze stołu.

- Trzeba jednak oddać sprawiedliwość: tylko szczęśliwy traf pozwolił mi odgadnąć, że taśmy zmieszczą się akurat do pustego kanistra po benzynie - wyciągnął jakiś przedmiot i uniósł go do góry.

- Pamiątka po Letanich! - deSilvie ze zdumienia zaparło dech. Fagin wydał z siebie krótki tryl zaskoczenia. Mildred Martine powstała, trzymając się za gardło. - Owszem, pamiątka po Letanich. Jestem pewien, że Bubbakub liczył na taką właśnie reakcję, gdyby nawet jego mieszkanie miało być przeszukane. Naturalnie nikt nie ośmieliłby się tknąć przedmiotu na pół religijnej czci starej i potężnej rasy, zwłaszcza że wygląda jak bryła meteorycznej skały i szkliwa.

Obrócił przedmiot w dłoniach.

- A teraz patrzcie!

Zabytek przełamał się na dwie połowy. W jednej z części osadzona była jakaś puszka. Jacob odłożył drugą połowę i szarpnął za koniec pojemnika. W środku coś cicho zagrzechotało. Puszka otworzyła się i z jej wnętrza wypadł tuzin małych, czarnych przedmiotów, które potoczyły się po podłodze. Trzonowce Kulli zaklekotały. - Szpule! - LaRoque z zadowoleniem kiwnął głową, ciągle dłubiąc w fajce. - Tak - potwierdził Jacob. - A na powierzchni tej „pamiątki” widać przycisk, który uwalniał zawartość pustego obecnie kanistra. Wygląda na to, że wewnątrz zostały jakieś ślady. Idę o zakład, że odpowiadają one substancji, którą Donaldson i ja daliśmy wczoraj doktorowi Keplerowi, kiedy nie udało się nam przekonać... - urwał nagle, a potem wzruszył ramionami. - ...Ślady nietrwałych cząsteczek, które pod zręczną kontrolą pewnej istoty rozeszły się w „eksplozji światła i dźwięku” i pokryły wewnętrzną powierzchnię górnej półkuli pokrywy heliostatku...

DeSilva poderwała się na równe nogi. Jacob musiał mówić głośniej, żeby przekrzyczeć coraz głośniejsze szczękanie zębów Kulli.

- ...skutecznie blokując tym samym całe światło zielone i błękitne, a więc jedyne długości fali, na których możemy odróżnić Słoneczne Duchy od ich otoczenia! - Taśmy! - krzyknęła deSilva. - Powinny pokazać...

- I rzeczywiście pokazują toroidy. Duchy... całe setki Duchów! Co ciekawe, nie przybierają człekopodobnych kształtów, ale może wynika to z tego, że nasze fale psi wskazywały, że ich nie widzimy. Za to jakie było zamieszanie w stadzie, kiedy wpadliśmy między nie bez jednego „przepraszam”! Toroidy i „normalne” Duchy zmykające nam sprzed nosa... a wszystko przez to, że nie widzieliśmy, że jesteśmy w samym środku stada! - Ty zwariowany Iti! - wrzasnął LaRoque. Potrząsnął pięścią w stronę Bubbakuba. Pilanin zasyczał w odpowiedzi, ale nie ruszył się z miejsca. Palce obu jego dłoni zakrzywiały się, kiedy patrzył na Jacoba.

- Substancja była tak dobrana, że rozłożyła się zaraz, gdy opuściliśmy chromosferę. Po prostu opadła, dając cienką warstwę kurzu na polu siłowym przy krawędzi pokładu, gdzie nikt jej nie zauważył. Bubbakub zaś powrócił potem z Kullą i sprzątnęli ją. Tak było, prawda, Kulla?

Przygnębiony obcy skinął głową.

Jacob poczuł słabą satysfakcję z tego, że sympatia przyszła mu teraz równie łatwo, jak wcześniej gniew. Jakaś jego część zaczynała się niepokoić. Uśmiechnął się uspokajająco. - W porządku, Kulla. Nie mam dowodów, że brałeś udział w czymkolwiek ponadto. Obserwowałem waszą dwójkę, kiedy to robiliście, i było oczywiste, że działałeś pod przymusem.

Pring podniósł wzrok. Jego oczy były bardzo jasne. Kiwnął głową jeszcze raz, a szczękanie dobiegające zza jego grubych warg powoli ucichło. Fagin przysunął się bliżej do szczupłego ET.

Donaldson pozbierał szpule z nagraniami i podniósł się.

- Myślę, że powinniśmy przygotować areszt.

- Właśnie to załatwiam - powiedziała cicho Helene, stojąc już przy telefonie.

Martine przysunęła się do Jacoba i wyszeptała:

- Jacob, teraz to jest sprawa Urzędu Międzygwiezdnego. Powinniśmy pozwolić im się tym zająć.

- Nie, jeszcze nie teraz - Jacob pokręcił głową. - Jest jeszcze coś, co trzeba wyjaśnić.

DeSilva odłożyła telefon.

- Wkrótce tu będą, a tymczasem możesz kontynuować, Jacob. Czy jest coś jeszcze?

- Tak, dwie rzeczy. Oto jedna z nich.

Z torby na stole wyciągnął hełm psi Bubbakuba.

- Proponuję, żeby to zabezpieczyć. Nie wiem, czy ktoś jeszcze to pamięta, ale Bubbakub miał to na sobie i wpatrywał się we mnie, kiedy na heliostatku straciłem przytomność. Nienawidzę, gdy ktoś mnie zmusza do robienia różnych rzeczy, Bubbakub. Nie trzeba było tego robić.

Obcy odpowiedział gestem, którego Jacob nie próbował nawet interpretować. - Jest wreszcie kwestia śmierci szympansa Jeffreya. Tak się składa, że ta część jest najprostsza. Bubbakub wiedział niemal wszystko na temat technologii Galaktów wykorzystywanych w Słonecznym Nurku, znał napędy, system komputerowy, układy łączności - wszystkie te aspekty, o których ziemscy uczeni nie mieli w ogóle pojęcia. Pilanin wzgardził wykładem doktora Keplera i pracował w stacji łączności laserowej, kiedy rozpadł się statek Jeffa, w znacznym stopniu sterowany zdalnie. Okoliczności te stanowią wyłącznie dowód pośredni, nie zaważyłby on w sądzie, ale nie ma to znaczenia, gdyż Pilanie posiadają przywilej eksterytorialności, i możemy go co najwyżej deportować. Kolejna sprawa, której trudno byłoby dowieść, to hipoteza, że Bubbakub zainstalował fałszywe wyprowadzenie w Kosmicznym Systemie Identyfikacyjnym, który ma bezpośrednie połączenie z Biblioteką w La Paz, co dało w efekcie błędny komunikat o tym, że LaRoque jest Nadzorowanym. Wydaje się jednak dość oczywiste, że tak właśnie uczynił. To był znakomity manewr. Skoro wszyscy byli pewni, że zrobił to LaRoque, nikt nie zadał sobie trudu, żeby dla pewności raz jeszcze sprawdzić dokładnie zapis telemetrii z nurkowania Jeffa. Teraz przypominani sobie chyba, że Jeff zaczął mieć kłopoty niemal dokładnie wtedy, gdy przełączył kamery na zbliżenie. Byłby to znakomity opóźniony

zapłon, jeśli Bubbakub zastosował tę metodę. Zresztą i tak pewnie nigdy się tego nie dowiemy. Do tej pory telemetria pewnie zaginęła albo została zniszczona. - Jacob, Kulla prosi, żebyś przestał. Nie upokarzaj już więcej Pila Bubbakuba. To niczemu nie służy - melodyjnie odezwał się Fagin.

W drzwiach pojawiło się trzech uzbrojonych członków załogi. Spojrzeli wyczekująco na komendant deSilve. Helene dała im znak, żeby poczekali. - Jeszcze chwilę - powiedział Jacob. - Nie zajęliśmy się najważniejszą częścią, motywami Bubbakuba. Dlaczego ważny sofont, przedstawiciel poważanej instytucji galaktycznej, miałby posuwać się do kradzieży, oszustwa, napaści parapsychicznej i morderstwa? Trzeba zacząć od tego, że Bubbakub żywił osobistą niechęć zarówno do Jeffreya, jak i do LaRoque'a. Jeffrey budził w nim wstręt, należał przecież do gatunku, którego wspomaganie zaczęło się ledwie sto lat temu, a mimo to ośmielał się odszczekiwać. Złość Bubbakuba wzmagała jeszcze zarozumiałość Jeffa i jego przyjaźń z Kullą. Moim zdaniem jednak nienawidził tego, co szympansy reprezentowały przede wszystkim. Wraz z delfinami oznaczały one natychmiastowy awans dla nieokrzesanej, wulgarnej rasy ludzkiej. Pilanie musieli walczyć pół miliona lat, żeby znaleźć się tam, gdzie są teraz. Myślę, że Bubbakub miał ludziom za złe, że jest nam „łatwiej". Co do LaRoque'a, cóż, powiedziałbym, że Bubbakub po prostu go nie lubił. Zbyt krzykliwy i agresywny, jak sądzę... LaRoque prychnął głośno z pogardą.

- Może też obraził się, kiedy LaRoque zasugerował, że naszymi opiekunami mogli kiedyś być Soranie... Śmietanka społeczności galaktycznej krzywo patrzy na gatunki, które porzucają swoich podopiecznych.

- Wszystko to są powody osobiste - zaprotestowała Helene. - Nie masz nic lepszego?

- Jacob - zaczął Fagin - proszę...

- Oczywiście, Bubbakub miał i inne powody - ciągnął Jacob. - Chciał zakończyć operację Słonecznego Nurka w sposób, który ośmieszyłby niezależne badania i podniósł pozycję Biblioteki. Miało to wyglądać tak, że on, Pilanin, zdołał nawiązać kontakt tam, gdzie nie udało się to ludziom. Uknuł więc scenariusz, w którym Słoneczny Nurek okazywał się operacją spartaczoną. Potem sfałszował raport z Biblioteki, żeby poprzeć swoje twierdzenia dotyczące Solariowców, i upewnił się, że nie będzie już więcej nurkowań. Najbardziej drażniło go chyba to, że Biblioteka nie potrafiła dostarczyć żadnych informacji. A największe kłopoty po powrocie do domu będzie miał za sfałszowanie raportu. Za to ukarzą go surowiej, niż gdyby sądzili go za zabicie Jeffa.

Bubbakub podniósł się powoli. Starannie przyczesał sierść, a potem złączył czteropalczaste dłonie.

- Bardzo jesteś sprytny - powiedział do Jacoba. - Ale szwankuje semantyka... za wysoko sięgasz. Za dużo budujesz na drobnostkach. Ludzie zawsze zostaną mali. Nie będę mówił już więcej w waszym zasranym ziemskim języku - mówiąc to zdjął zawieszony na szyi brzmieniacz i rzucił go obojętnie na stół.

- Przykro mi, Pilu Bubbakubie - powiedziała deSilva - ale wygląda na to, że będziemy musieli ograniczyć twoją swobodę do czasu, gdy dostaniemy z Ziemi dalsze instrukcje. Jacob oczekiwał, że Pilanin kiwnie głową albo wzruszy ramionami, ale obcy wykonał inny ruch, który wyrażał jednak tę samą obojętność. Bubbakub odwrócił się i sztywno wymaszerował za drzwi - mała, przysadzista,

dumna postać prowadząca wielkich strażników. Helene deSilva ujęła spód „pamiątki po Letanich". Ostrożnie, z namysłem zważyła ją w dłoniach. Potem jej usta zacisnęły się i z całej siły rzuciła nią w drzwi. - Morderca! - zaklęła.

- Dostałam niezłą lekcję - powiedziała powoli Martine.

Nigdy nie ufaj nikomu powyżej trzydziestu milionów...

Jacob stał oszołomiony. Euforia odpływała zbyt szybko. Podobnie jak narkotyk, pozostawiała za sobą pustkę - powrót do rzeczywistości, ale zarazem utratę poczucia jedności. Wkrótce zacznie się zastanawiać, czy postąpił słusznie rozgłaszając wszystko na raz, w jednym orgiastycznym popisie logiki dedukcyjnej. Uwaga Martine sprawiła, że podniósł wzrok.

- Nikomu? - spytał.

Fagin skierował Kullę do krzesła. Jacob podszedł do Kantena. - Przepraszam, Fagin - powiedział. - Powinienem był uprzedzić cię, przedyskutować to z tobą wcześniej. Ta sprawa może mieć... komplikacje, reperkusje, o których nie pomyślałem - podniósł rękę do czoła.

- Uwolniłeś to, co trzymałeś w ryzach, Jacob - zagwizdał cicho Fagin. - Nie rozumiem, czemu ostatnio byłeś tak powściągliwy w korzystaniu z własnych zdolności, w tym jednak przypadku sprawiedliwość domagała się użycia wszystkich sił. To prawdziwe szczęście, że ustąpiłeś. Nie przejmuj się zanadto tym, co się wydarzyło. Prawda była ważniejsza od szkód wyrządzonych przez zbytnią gorliwość albo przez posłużenie się metodami, które zbyt długo pozostawały w uśpieniu.

Jacob pragnął powiedzieć Faginowi, jak bardzo się mylił. Uwolnił coś więcej niż tylko zdolności. Uwolnił ukryte w nim mordercze siły, a teraz bał się, że przyniosły one więcej zła niż pożytku.

- Jak myślisz, co się stanie? - zapytał zmęczonym głosem. - Cóż, moim zdaniem ludzkość odkryje, że posiada potężnego wroga. Twój rząd będzie protestował. Jest bardzo ważne, w jaki sposób to zrobi, ale podstawowych faktów nic już nie zmieni. Pilanie oficjalnie wyprą się pożałowania godnych poczynań Bubbakuba. Są jednak drażliwi i pyszni, jeżeli wybaczysz mi bolesną, ale z konieczności niemiłą charakterystykę bratniej rasy rozumnej. Taki więc będzie jeden z rezultatów w tym ciągu wydarzeń. Nie martw się jednak nadmiernie. To nie ty to zrobiłeś. Ty tylko uzmysłowiłeś ludzkości niebezpieczeństwo. Ze szczenięcymi rasami zawsze tak było. - Ale dlaczego?

- Ustalenie tego jest właśnie jednym z celów mojego tu pobytu, wielce szanowny przyjacielu. Choć może to niewielka pociecha, zważ proszę, że jest wielu, którzy chcieliby, żeby ludzkość przetrwała. Niektórym z nas... bardzo na tym zależy.

20. Nowoczesna medycyna

Jacob docisnął gumowe zakończenie okularu czytnika wzoru siatkówki i po raz kolejny zobaczył

niebieską plamkę, która tańczyła i migotała na czarnym tle. Czekając na trzeci obraz z tachistoskopu, próbował nie skupiać na niej wzroku i zignorować złudną obietnicę porozumienia.

Trójwymiarowy widok pojawił się nagle, wypełniając całkowicie pole widzenia matową sepią. W pierwszej chwili, kiedy jeszcze widział niewyraźnie, Jacob miał wrażenie, że ogląda scenę pastoralną. Na pierwszym planie biegła hoża kobieta o pełnych kształtach, jej staromodna suknia powiewała na wietrze.

Ciemne, groźne chmury wisiały na horyzoncie, ponad zagrodą na wzgórzu. Po lewej stronie byli jacyś ludzie. Tańczyli? Nie, to byli walczący żołnierze. Ich twarze błyszczały z podniecenia. Może także z lęku? To kobieta się bała. Uciekała, trzymając ręce nad głową, a ścigali ją dwaj mężczyźni w siedemnastowiecznym rynsztunku, z uniesionymi rusznicami, na których osadzone były bagnety. Ich...

Scena roztopiła się w czerni i powróciła niebieska plamka. Jacob zamknął oczy i cofnął się od okularu.

- O to chodzi - powiedziała doktor Martine. Pochylała się nad konsolą komputerową, obok niej stał doktor Laird. - Za minutę będziemy mieli twoje testy N, Jacobie. - Jesteś pewna, że nie potrzebujecie więcej? Były tylko trzy - w głębi duszy poczuł jednak ulgę.

- Nie, od Pierre'a wzięliśmy pięć, żeby sprawdzić dwa razy. Ciebie potrzebujemy tylko dla sprawdzenia. Teraz możesz usiąść i odpocząć, a my tu skończymy. Jacob podszedł do jednego ze stojących niedaleko foteli, przecierając czoło lewym rękawem, żeby usunąć mgiełkę potu. Trzydziestosekundowy test był ciężką próbą. Najpierw pokazano mu portret mężczyzny: jego twarz była chropowata i poorana przez troski, przedstawiała historię życia, którą Jacob badał przez dwie, może trzy sekundy, zanim nie zniknęła z oczu i z pamięci.

Drugi obraz był zagmatwaną plątaniną abstrakcyjnych kształtów, zachodzących na siebie i zderzających się w statycznym nieładzie... trochę jak labirynt wzorów na obrzeżu słonecznych torusów, ale bez jasności tamtych i bez ich ogólnej spójności. Trzeci był sceną w sepii, najwyraźniej skopiowaną ze starego drzeworytu z okresu wojny trzydziestoletniej. Jacob pamiętał, że obraz był pełen jawnej przemocy, dokładnie tak, jak można by się tego spodziewać na teście N.

Po nazbyt dramatycznej „scenie w salonie” na dole Jacob nie miał ochoty wchodzić nawet w płytki trans, żeby uspokoić nerwy. Okazało się jednak, że bez tego nie potrafi się odprężyć. Wstał więc i podszedł do konsoli. Po drugiej stronie kopuły, obok pokrywy ze stazy, czekał LaRoque, przechadzając się bez pośpiechu i przyglądając się długim cieniom i dziobatym skałom merkuriańskiego Bieguna Północnego. - Czy mogę zobaczyć nie opracowane dane? - zwrócił się Jacob do Martine.

- Oczywiście, które byś chciał?

- Ostatnie.

Martine wystukała coś na klawiaturze. Ze szczeliny pod ekranem wysunęła się kartka papieru. Mildred oddarła ją i wręczyła Jacobowi.

To była „scena pastoralna". Teraz oczywiście poznał jej prawdziwą treść, ale cały sens wcześniejszego oglądania polegał na śledzeniu reakcji na obraz podczas kilku pierwszych chwil, jeszcze zanim mógł włączyć się świadomy namysł. Postrzępiona linia rozcinała obraz na krzyż: z góry na dół i w poprzek. Przy każdym wierzchołku znajdował się mały numerek. Linia pokazywała, jak wędrowała jego uwaga podczas pierwszych szybkich spojrzeń, tak jak rejestrował to czytnik wzoru siatkówki, który śledził ruchy jego oka.

Numer jeden i początek śladu znajdował się w pobliżu środka. Aż do numeru szóstego linia wędrowała swobodnie, potem zatrzymywała się dokładnie na rowku między obfitymi piersiami biegnącej kobiety. To miejsce oznaczone było siódemką. Dalej numery zbijały się w gromadę, nie tylko od siedmiu do szesnastu, ale także trzydzieści do trzydziestu pięciu i osiemdziesiąt dwa do osiemdziesięciu sześciu. Przy dwudziestce liczby nagle przeskakiwały od stóp kobiety do chmur ponad zagrodą. Potem szybko przesuwały się pomiędzy przedstawionymi ludźmi i rzeczami, czasem przekreślone lub wzięte w kółko, co wskazywało stopień rozszerzenia źrenicy, głębię ostrości i zmiany ciśnienia krwi mierzone w drobniutkich naczyniach siatkówki. Zmodyfikowany skaner oczny Stanforda-Purkinjego, który Jacob złożył do tego testu posługując się tachistoskopem Martine i różnymi drobiazgami, najwyraźniej funkcjonował poprawnie. Nie miało sensu przejmować się czy zawstydzać odruchową reakcją na wizerunek piersi kobiety. Gdyby Jacob był kobietą, jego reakcja byłaby pewnie inna. Poświęciłby wtedy kobiecie na obrazku więcej czasu, ale skoncentrował się bardziej na włosach, stroju i twarzy. Bardziej zajmowała go jego reakcja na całość przedstawionej sceny. Po lewej stronie, w pobliżu walczących mężczyzn, znajdował się oznaczony gwiazdką numer. Reprezentował on punkt, w którym Jacob zdał sobie sprawę, że obraz nie był sielanką, że jego treścią była przemoc. Z zadowoleniem pokiwał głową. Numer był raczej niski, a ślad skręcał natychmiast w inną stronę i wracał w to samo miejsce dopiero po pięciu innych przystankach. Oznaczało to zdrową dozę niechęci i następującą po niej otwartą, a nie skrytą, ciekawość. Z grubsza wyglądało na to, że prawdopodobnie przeszedł test. Choć przecież właściwie nigdy nie miał co do tego wątpliwości.

- Ciekawe, czy ktoś kiedyś się dowie, jak oszukać ten test - powiedział, wręczając kartkę Martine.

- Może i tak - odparła, zajęta zbieraniem materiałów - ale uwarunkowanie niezbędne do zmienienia natychmiastowych ludzkich reakcji na bodziec... na obraz pokazywany tak krótko, że zareagować zdąży tylko podświadomość... Hmm, to pozostawiłoby zbyt wiele efektów ubocznych, nowych schematów, które i tak musiałyby ujawnić się podczas badania. Analiza końcowa jest bardzo prosta: jeśli umysł zachowuje się według schematu zerowego lub dodatniego, badany kwalifikuje się do Obywatelstwa, jeśli suma jest ujemna - człowiek jest uzależniony od chorych przyjemności. To właśnie jest sedno testu, bardziej niż jakikolwiek wskaźnik przemocy. Prawda, doktorze? - zwróciła się do Lairda. - To pani jest specjalistą - wzruszył ramionami lekarz. Powoli pozwalał jej powracać do łask, choć ciągle nie mógł wybaczyć przepisania Keplerowi leków bez konsultacji. Po ujawnieniu przestępstwa stało się jasne, że Martine w ogóle nie przepisała Keplerowi warfarinu. Jacob przypomniał sobie, że na pokładzie Bradbury'ego Bubbakub miał zwyczaj zasypiania na częściach garderoby pozostawionych na krzesłach czy poduszkach. Pilanin musiał użyć tego podstępu, żeby mieć sposobność dołączenia do leków Keplera specyfiku, który upośledziłby jego zachowanie.

Miało to sens. W ten sposób Kepler został wyłączony z ostatniego nurkowania. Było to ważne, gdyż jego przenikliwość pozwoliłaby mu poznać się na sztuczce Bubbakuba z „pamiątką po Letanich". W

ten sposób zaś jego nienormalne działania na dłuższą metę mogły przyczynić się do zdyskredytowania Słonecznego Nurka. Chociaż wszystko się zgadzało, dla Jacoba wywody te miały smak płatków proteinowych.

Wystarczały, by przekonać, ale brakowało im aromatu. Cały talerz domysłów. Niektóre z przestępstw Bubbakuba zostały udowodnione. Reszta musiała pozostać w sferze przypuszczeń, ponieważ przedstawiciel Biblioteki objęty był immunitetem dyplomatycznym.

Podszedł do nich Pierre LaRoque. Francuz zachowywał się raczej powściągliwie.

- Jaki jest werdykt, doktorze Laird? - zapytał.

- Oczywiste jest, że pan LaRoque nie ma osobowości aspołecznej i gwałtownej, a więc nie kwalifikuje się jako Nadzorowany - powiedział wolno Laird. - Co więcej, zdradza dość wysoki wskaźnik świadomości grupowej. Jego problem może tkwić częściowo właśnie w tym. Najwyraźniej coś sublimuje i należałoby mu poradzić, by poszukał pomocy specjalisty w najbliższej klinice, kiedy tylko wróci do domu - Laird spojrzał surowo na dziennikarza. LaRoque potulnie kiwnął głową.

- A badania kontrolne? - spytał Jacob. Przechodził test jako ostatni. Doktor Kepler, Helene deSilva i trzy osoby przypadkowo dobrane z załogi także stanęły przed czytnikiem. Helene w ogóle nie zaprzątała sobie głowy wynikami testu i wraz z członkami załogi wyszła natychmiast, żeby nadzorować próbne odliczanie przed startem heliostatku. Kepler nachmurzył się, kiedy Laird odczytał mu jego wyniki na osobności, i obrażony odszedł dumnym krokiem.

Laird podrapał się w grzbiet nosa, tuż pod brwiami.

- Och, nie ma między nami Nadzorowanego. Można się zresztą było tego spodziewać po twoim małym przedstawieniu na dole. Są jednak problemy i sprawy, które nie całkiem rozumiem, a które kipią w umysłach niektórych osób. Wiesz, takim wiejskim konowałom jak ja nie jest łatwo zaglądać w dusze ludzkie, skoro za jedyne doświadczenie służyć musi praktyka w szpitalu. Przegapiłbym połowę niuansów, gdyby nie pomoc doktor Martine. W tej sytuacji jest mi bardzo trudno interpretować ukryte cienie, zwłaszcza u ludzi, których znam i podziwiam.

- Mam nadzieję, że to nic poważnego.

- Gdyby tak było, nie leciałbyś na to nurkowanie, zarządzone przez Helene w ekspresowym tempie! Dwayne’a Keplera uziemiłem nie dlatego, że jest przeziębiony! - Laird pokręcił głową i zaczął przepraszać. - Proszę mi wybaczyć. Po prostu nie jestem przyzwyczajony do takich spraw. Nie ma się czym przejmować, Jacob. W twoim teście jest trochę dziwacznych znaków zapytania, ale zasadnicza diagnoza jest tak normalna, jak to tylko możliwe. Suma zdecydowanie dodatnia, wysokie poczucie rzeczywistości. Jest jednak kilka rzeczy, które mnie zastanawiają. Nie będę wchodził w szczegóły, bo to mogłoby niepotrzebnie zepsuć ci humor podczas nurkowania, ale byłbym wdzięczny, gdybyście mogli przyjść do mnie po powrocie, ty i Helene.

Jacob podziękował i wszyscy razem, z Martine i LaRoque’em, poszli do windy. Wysoko nad ich głowami wieża telekomunikacyjna przebijała kopułę stazy. Wszędzie dookoła dziobate skały

Merkurego skrzyły się albo świeciły matowo. Nad niskim łańcuchem gór wisiała rozżarzona, żółta kula Słońca.

Kiedy nadjechała winda, Martine i Laird weszli do środka, ale wyciągnięta ręka LaRoque’a zatrzymała Jacoba tak długo, aż drzwi się zamknęły, zostawiając dwóch mężczyzn samych.

- Chcę moją kamerę - wyszeptał dziennikarz.

- Oczywiście, LaRoque. Komendant deSilva rozbroiła ogłuszacz i możesz ją dostać w każdej chwili, skoro twoja sprawa się wyjaśniła.

- A nagrania?

- Ja je mam. I zamierzam zatrzymać.

- To nie twoja sprawa...

- Daj już z tym spokój, LaRoque - rzucił Jacob. - Może byś tak chociaż raz przestał się zgrywać i uważać innych za głupków! Chcę wiedzieć, po co robiłeś nagrania soniczne oscylatora stazowego w statku Jeffreya! Chcę też wiedzieć, jakim cudem wpadłeś na pomysł, że zainteresowałby się nimi mój wuj!

- Bardzo wiele ci zawdzięczam, Demwa - zaczął wolno LaRoque. Jego sztuczny akcent zniknął niemal zupełnie. - Ale zanim ci odpowiem, muszę wiedzieć, czy twoje przekonania polityczne choć trochę przypominają poglądy twojego wuja. - Mam wielu wujów, LaRoque. W Zgromadzeniu Konfederacji jest wuj Jeremy, ale wiem, że z nim byś nie współpracował. Wuj Juan jest miłośnikiem teorii i zagorzałym wrogiem nielegalności... Zgaduję, że chodzi ci o wuja Jamesa, rodzinnego oryginała. Zgadzam się z nim w wielu sprawach, nawet takich, co do których nie zgadza się reszta klanu. Ale jeżeli wuj James jest zamieszany w jakąś aferę szpiegowską, to na pewno nie pomogę zaplątać go bardziej... zwłaszcza że ten twój spisek wygląda na okropnie niewydarzony. Nie jesteś może mordercą ani Nadzorowanym, LaRoque, ale jesteś szpiegiem! Jedyny kłopot w tym, żeby odgadnąć, dla kogo szpiegujesz. Odłożę sobie rozwiązanie tej zagadki do czasu, aż wrócimy na Ziemię. Wtedy możesz mnie odwiedzić. Razem z Jamesem możecie przyjść i spróbować nakłonić mnie, żebym nie wydał cię policji. Jasne? - Mogę poczekać, Demwa - zgodził się oschle LaRoque. - Tylko nie zgub nagrań, dobra? Przeszedłem istne piekło, żeby je zdobyć. Chcę mieć szansę przekonać cię, żebyś mi je oddał.

Jacob patrzył na Słońce.

- Oszczędź mi swoich lamentów, LaRoque. Nie przeszedłeś piekła... jeszcze. Odwrócił się i skierował w stronę wind. Czasu było akurat dosyć na spędzenie kilku godzin w aparacie do spania. Do startu heliostatku nie chciał nikogo widzieć.

CZĘŚĆ SIÓDMA

W żadnej ewolucji nie ma takiej transformacji, takiego „kwantowego skoku", który dałoby się porównać z tym. Nigdy przedtem styl życia gatunku i jego sposób adaptacji nie zmienił się tak całkowicie i błyskawicznie.

Przez mniej więcej piętnaście milionów lat rodzina człowiecza żyła jak zwierzęta między zwierzętami.

Od tamtych czasów wydarzenia nabrały zawrotnego tempa... pierwsze wioski rolnicze... miasta... supermetropolie... wszystko to zmieściło się w jednej chwili na skali czasu ewolucji, w ciągu zaledwie 10 000 lat.

John E. Pfeiffer

21. Deja pense

- Zastanawiałeś się kiedyś, dlaczego większość naszych statków międzygwiezdnych skacze w kosmos z załogą złożoną w siedemdziesięciu procentach z kobiet? Helene podała mu tubę z gorącą kawą i odwróciła się do automatu, żeby wyciągnąć następną dla siebie.

Jacob oddarł zewnętrzne zamknięcie na półprzepuszczalnej błonie i odczekał aż para uleci, pozostawiając ciemny płyn wewnątrz pojemnika. Pomimo izolacji tuba była tak gorąca, że z trudem można ją było trzymać.

Spokojna głowa! Helene już wymyśli jakiś prowokujący temat. Kiedy tylko zostawali sami, o ile na otwartym pokładzie heliostatku w ogóle można być samym, nigdy nie przegapiła okazji, żeby wciągnąć go w umysłową gimnastykę. Dziwna sprawa, ale ani trochę mu to nie przeszkadzało. Takie debaty znakomicie podniosły jego nastrój od czasu, gdy dziesięć godzin temu opuścili Merkurego.

- Kiedy byłem nastolatkiem, ani mnie, ani moich przyjaciół powody zupełnie nie obchodziły. Myśleliśmy po prostu, że to taka premia za bycie mężczyzną na statku. „Z takich myśli rodzą się młodzieńcze fantazje..." Kto to napisał, John Two-Clouds? Czytałaś coś jego? Zdaje się, że urodził się w Górnym Londynie, mogłaś więc znać jego rodziców. Helene posłała mu oskarżycielskie spojrzenie. Jacob po raz n-ty musiał zwalczyć pokusę powiedzenia jej, że taka mina jest zalotna. Była to prawda, ale która dorosła kobieta na stanowisku chciałaby, by jej przypominano, że w policzkach ma dołeczki? Zresztą nie było to warte złamanego ramienia.

- Dobra - zaśmiał się. - Trzymam się tematu. Myślę, że proporcja mężczyzn do kobiet ma coś wspólnego z tym, że kobiety lepiej reagują na duże przyspieszenie, zmiany temperatury, mają lepszą koordynację ruchową i większą siłę pasywną. Przez to wszystko są lepszymi kosmonautami, jak sądzę.

Helene pociągnęła mały łyk z rurki swojej tuby.

- Tak, wszystko to się liczy. Poza tym większość kobiet jest chyba bardziej odporna na chorobę skoku w kosmos. Ale wiesz przecież, że te różnice nie są aż takie wielkie. Nie na tyle, żeby zrównoważyć fakt, że do lotów zgłasza się więcej mężczyzn niż kobiet. W dodatku mężczyźni stanowią ponad połowę załogi na statkach kursujących wewnątrz systemu, a w pojazdach wojskowych jest ich siedmiu na dziesięć osób. - No, nie mam pojęcia, jak to jest na statkach handlowych czy badawczych, ale myślę, że wojsko wybiera załogi kierując się skłonnością do walki. Wiem, że ciągle tego nie dowiedziono, ale...

Helene wybuchnęła śmiechem.

- Jacob, nie musisz być taki dyplomatyczny. Oczywiście, z mężczyzn są lepsi żołnierze niż z kobiet... to znaczy statystycznie. Amazonki, takie jak ja, stanowią wyjątek. To właśnie jest jeden z czynników przy selekcji. Na pokładzie statków międzygwiezdnych nie potrzeba nam zbyt wielu wojowniczych typów.

- Ależ to jest bez sensu! Załogi tych statków wyruszają w głąb niezmierzonej Galaktyki, której nawet Biblioteka nie zbadała do końca. Spotykacie mnóstwo obcych ras, z których większość ma cholerny temperament, a przecież Instytuty nie zabraniają rasom walczyć między sobą. Zresztą, sądząc z tego, co mówi Fagin, nie mogłyby tego zrobić, nawet gdyby chciały. Próbują tylko załatwiać konflikty elegancko.

- Czyli że statek wiozący ludzi powinien być przygotowany na rozróby? - Helene uśmiechnęła się, opierając ramię o ścianę kopuły. W nakrapianym, czerwonym świetle linii alfa górnej chromosfery jej blond włosy wyglądały jak ciasno dopasowany czepek. - Oczywiście masz rację. Musimy naprawdę być gotowi do walki, ale pomyśl chwilę o sytuacji, którą tam zastajemy. Mamy do czynienia dosłownie z setkami gatunków, które łączy tylko to, czego nam brakuje, a mianowicie ciąg tradycji i wspomagania sięgający dwóch miliardów lat wstecz. Wszystkie te rasy przez całe eony korzystały z Biblioteki, a i same przez cały ten czas powoli dodawały do niej swoją wiedzę. Większość z nich jest zbzikowana, przewrażliwiona na punkcie swoich przywilejów i niezbyt życzliwa tej głupiej, „szczenięcej" rasie z planety gwiazdy Sol. I co możemy zrobić, kiedy prowokuje nas jakiś podrzędny gatunek, który jego dawno wymarli opiekunowie ukształtowali jako mówiące, posłuszne wierzchowce, a który teraz posiada dwie małe, użyźnione planety, przycupnięte akurat na naszej jedynej trasie do kolonii na Omnivarium? Co możemy zrobić, kiedy te pozbawione wszelkiej ambicji i poczucia humoru stworzenia zatrzymują nasz statek i żądają za prawo przejazdu zwariowanej sumy czterdziestu pieśni waleni? - Helene potrząsnęła głową i zmarszczyła brwi. - Czy walka nie byłaby najlepszym wyjściem? Taka piękność jak Calypso, wypełniona po brzegi rzeczami, których mała walcząca o przeżycie społeczność rozpaczliwie potrzebuje, i jeszcze cenniejszym ładunkiem... unieruchomiona w kosmosie przez dwa małe, starożytne graty, które te inteligentne wielbłądy najpewniej kupiły, zamiast zbudować samemu! - Jej głos zmienił barwę, kiedy zaczęła to sobie przypominać. - Wyobraź to sobie. Nowa i piękna, choć prymitywna, wykorzystująca tylko maleńką część wiedzy Galaktów, którą zdołaliśmy przyswoić sobie, kiedy ją remontowano... zatrzymana przez graty starsze od Cezara, ale wykonane przez kogoś, kto przez całe życie posługiwał się Biblioteką... - Na chwilę przerwała i odwróciła się.

Jacob był wzruszony, ale jeszcze bardziej zaszczycony. Znał teraz Helene na tyle dobrze, żeby wiedzieć, jak wielkim aktem zaufania z jej strony było takie zwierzenie. Ona wzięła na siebie większy ciężar - uświadomił sobie. To ona zadawała większość pytań - o moją przeszłość, rodzinę, uczucia - a ja z jakiejś przyczyny nie kwapiłem się, żeby ją wypytywać - ją, osobiście. Ciekawe, co mnie powstrzymuje? Przecież ona miałaby tyle do powiedzenia!

- Przypuszczam więc, że rzecz polega na tym, by nie walczyć, bo pewnie byśmy przegrali - powiedział cicho.

Spojrzała na niego i skinęła głową. Kaszlnęła dwa razy zasłaniając usta pięścią. - No, mamy parę sztuczek, które mogłyby może czasami kogoś zaskoczyć, po prostu dlatego, że nie mieliśmy Biblioteki, a dla nich ona jest wszystkim. Ale te chwyty trzeba zostawić na czarną godzinę. Zamiast tego więc schlebiamy, płaszczymy się, przekupujemy, śpiewamy, tańczymy, recytujemy... A kiedy to wszystko zawiedzie, uciekamy. Jacob wyobraził sobie spotkanie ze statkiem pełnym Pilan.

- Czasami pewnie jest bardzo ciężko uciec.

- Owszem, ale mamy tajny sposób na zachowywanie zimnej krwi - Helene trochę poweselała. Gdy się uśmiechnęła, przez chwilę w jej policzkach znów pojawiły się urocze dołeczki.

- To właśnie jest jedna z głównych przyczyn kompletowania załóg z przewagą kobiet.

- Daj spokój, kobiety równie łatwo jak mężczyźni biorą się za łby z kimś, kto je obraził.

Nie widzę w tym jakiegoś nadzwyczajnego zabezpieczenia.

- Owszem, zazwyczaj nie - przyglądała mu się tym swoim „oceniającym” spojrzeniem.

Przez moment wydawało się, że chce mówić dalej. Potem jednak wzruszyła ramionami.

- Usiądźmy - zaproponowała. - Coś ci pokażę.

Poprowadziła go dookoła kopuły do tej części statku, gdzie nie było nikogo z załogi ani pasażerów. Okrągła płyta pokładu unosiła się tam dwa metry od zewnętrznej osłony. Ognista poświata chromosfery załamywała się niesamowicie i tajemniczo na ekranach stazy sklepiających się pod ich stopami. Wąskie pole zawieszenia przepuszczało światło, ale lekko je przy tym uginało. Z miejsca, gdzie stali, widać było część Wielkiej Plamy, której kształt zmienił się znacznie od ostatniego nurkowania. Tam, gdzie na jej obraz nakładało się pole, plama migotała i marszczyła się w dodatkowych drganiach. Helene powoli podeszła do krawędzi pokładu i usiadła przy niej. Siedziała tak przez chwilę z kolanami pod brodą, trzymając stopy kilkanaście centymetrów od blasku. Następnie oparła ręce o pokład za sobą i spuściła nogi w pole.

Jacob przełknął ślinę.

- Nie wiedziałem, że możesz to zrobić - powiedział.

Patrzył, jak Helene ociężale macha nogami. Poruszały się wolno, jakby były zanurzone w gęstym

syropie, a obcisłe nogawki jej skafandra marszczyły się jak żywe. Z widoczną łatwością podniosła wyprostowane nogi ponad poziom pokładu.

- Hmm, wygląda, że nic im się nie stało, chociaż nie mogę wepchnąć ich zbyt głęboko. Myślę, że masa moich nóg wypycha w polu zawieszenia dołek. W każdym razie kiedy to robię, nie czuję, żeby były odwrócone. - Znowu je spuściła. Jacob poczuł miękkość w kolanach.

- Chcesz powiedzieć, że nigdy wcześniej tego nie robiłaś?

Podniosła na niego wzrok i uśmiechnęła się.

- Popisuję się, co? Tak, chyba chciałam zrobić na tobie wrażenie. Ale nie zwariowałam. Kiedy powiedziałeś o Bubbakubie i odkurzaczu, przeszłam dookoła równika statku i dokładnie wszystko obejrzałam. Przyłączysz się? To jest zupełnie bezpieczne. Jacob skinął sztywno głową. W końcu po tylu innych cudach i sprawach bez wyjaśnienia, które zdarzyły się od czasu, gdy opuścił Ziemię, to nie było nic takiego. Uznał, że tajemnica polega na tym, żeby w ogóle nie myśleć.

Rzeczywiście, miało się uczucie brodzenia w gęstym syropie, który stawał się coraz bardziej lepki, w miarę jak zanurzał nogi głębiej. Był elastyczny i wypychał. Nogawki skafandra sprawiały niepokojące wrażenie, jakby były żywe. Przez jakiś czas Helene nic nie mówiła. Jacob uszanował jej milczenie. Najwyraźniej czymś się martwiła.

- Czy ta historia z Igłą Waniliową była rzeczywiście prawdziwa? - zapytała wreszcie, nie podnosząc wzroku.

- Tak.

- To musiała być wspaniała kobieta.

- Owszem.

- To znaczy oprócz tego, że była odważna. Musiała być odważna, żeby przeskoczyć z jednego balonu do drugiego, dwadzieścia pięć kilometrów nad ziemią, ale... - Próbowała odciągnąć ich uwagę, gdy ja rozbrajałem palnik. Nie powinienem był jej pozwalać - Jacob słyszał swój własny głos, daleki i ginący - ale myślałem, że mogę ją jednocześnie chronić... Widzisz, miałem takie urządzenie... - ...ale ona musiała być wspaniałą osobą także pod innymi względami. Szkoda, że nie mogę jej poznać.

Jacob zdał sobie sprawę, że nie powiedział ani słowa na głos. - Hmm, tak, Tania by cię polubiła, Helene - Jacob zadrżał. To nie prowadziło donikąd. - Ale mówiłaś chyba o czymś innym, o proporcji kobiet do mężczyzn na statkach kosmicznych, prawda?

Helene przyglądała się swoim stopom.

- To właśnie jest ten temat, Jacob - powiedziała cicho.

- Ten sam?

- No pewnie. Pamiętasz, powiedziałam, że jest sposób, żeby załoga złożona w większości z kobiet stała się bardziej ostrożna w kontaktach z obcymi... gwarancja, że raczej uciekną, niż będą walczyć?

- Tak, ale...

- I wiesz także, że ludzkości udało się do tej pory założyć trzy kolonie, ale koszty transportu są zbyt duże, żeby wieźć wielu pasażerów, więc wzbogacanie puli genów w oddalonych koloniach jest poważnym problemem? - powiedziała to gwałtownie, jakby zakłopotana. - Kiedy wróciliśmy za pierwszym razem i okazało się, że Konstytucja znów obowiązuje, Konfederacja zarządziła, że kobiety mogą zgłaszać się na następną wyprawę jako ochotniczki, nie ma już obowiązku. Mimo to większość z nas zgłosiła się dobrowolnie. - Ja... nie rozumiem.

Podniosła na niego wzrok, uśmiechając się.

- Cóż, może to nie najlepsza pora, ale dobrze by było, żebyś zdawał sobie sprawę, że za kilka miesięcy okrętuję się na Calypso i że przedtem muszę poczynić pewne przygotowania. I mam zupełnie wolny wybór.

Spojrzała mu prosto w oczy.

Jacob czuł, jak opada mu szczęka.

- No dobrze - Helene zatarła dłonie i zabrała się do wstawania - chyba powinniśmy wracać. Jesteśmy już blisko rejonu aktywnego i powinnam być na stanowisku, żeby wszystkiego dopilnować.

Jacob poderwał się na równe nogi i podał jej rękę. Żadne z nich nie dostrzegło niczego zabawnego w tym archaicznym geście.

Wracając do stanowiska dowodzenia, Jacob i Helene zatrzymali się, żeby skontrolować laser parametryczny. Schylony przy urządzeniu główny mechanik Donaldson podniósł na nich wzrok, kiedy się zbliżyli.

- Witam! Według mnie jest już pięknie wyregulowany i gotowy do pracy. Mam wszystko objaśnić?

- Pewnie - Jacob przykucnął obok lasera. Jego podstawa była przymocowana do podłogi sworzniami. Długi, wąski, wieloczłonowy korpus obracał się na przegubach. Kiedy Helene przysunęła się bliżej, Jacob poczuł, jak miękki materiał okrywający jej nogę ociera się lekko o jego ramię. Nie pomagało mu się to skupić. - Ten oto laser parametryczny - zaczął Donaldson - jest moim wkładem w próbę porozumienia się z Duchami Słonecznymi. Uznałem, że psi jest nieprzydatne, można więc spróbować porozumieć się z nimi tak, jak one porozumiewają się z nami, czyli wizualnie. Jak pewnie dobrze wiecie, większość laserów pracuje obecnie na jednym albo dwóch bardzo wąskich pasmach spektralnych, przeważnie odpowiadających pewnym przejściom atomowym lub molekularnym. Tymczasem ten bobasek może emitować taką długość fali, jaką się tylko chce, wystarczy wybrać ją na tym przełączniku - wskazał na środkowy z trzech regulatorów umieszczonych z przodu podstawy.

- Tak - odezwał się Jacob. - Słyszałem o laserach parametrycznych, ale nigdy takiego nie widziałem. Wyobrażam sobie, że musi być naprawdę potężny, żeby promień przeniknął przez nasze ekrany i nie stracił jasności.

- W moim poprzednim życiu - wycedziła ironicznie deSilva (do swojej przeszłości, tej sprzed wyprawy na Calypso, często odnosiła się z asekuracyjną ironią) - potrafiliśmy robić wielobarwne, dostrajalne lasery z włókien optycznych. Pracowały ze sporą mocą, były wydajne i niewiarygodnie proste - uśmiechnęła się. - To znaczy dopóki włókna się nie rozleciały. Wtedy dopiero był bałagan! Naukę Galaktów chwalę najbardziej za to, że nigdy już nie będę musiała sprzątać z podłogi kałuży rodaminy 6-G! - Naprawdę mogliście pojedynczą molekułą dostrajać się na całym spektrum optycznym?

- Donaldson nie dowierzał. - Poza tym, jakie zasilanie miał taki... „laser z włókien”? - No, czasami stosowaliśmy lampy błyskowe. Najczęściej wykorzystywaliśmy wewnętrzną reakcję chemiczną z organicznymi cząsteczkami bogatymi w energię, jak cukry. Trzeba było używać wielu włókien, żeby objąć całe spektrum widzialne. Do błękitu i zieleni najczęściej stosowało się polimetylokumarynę, do zakresu czerwieni - rodaminę i parę innych. Tak czy siak to zamierzchłe dzieje. Chciałabym się dowiedzieć, jaki diabelski plan wysmażyliście tym razem, pan i Jacob! - kucnęła na pokładzie obok lasera. Zamiast jednak patrzeć na Donaldsona, utkwiła w Jacobie to swoje deprymujące, oceniające spojrzenie. - No cóż - Jacob przełknął ślinę - to dosyć proste. Wziąłem ze sobą na Bradbury’ego bibliotekę pieśni waleni i śpiewek delfinów, na wypadek gdyby Duchy okazały się poetami. Kiedy Donaldson wspomniał o swoim pomyśle porozumienia się z nimi za pomocą wiązki laserowej, zaoferowałem taśmy.

- Będziemy do nich dołączać zmodyfikowaną wersję starego matematycznego kodu kontaktowego. To też nastawił Jacob - Donaldson uśmiechnął się. - Ja tam bym nie rozpoznał tego ciągu Fibonacciego, gdyby we mnie trafił, ale Jacob mówi, że to jeden ze starych standardów.

- To prawda - przytaknęła deSilva. - Chociaż po Vesariusie nigdy już nie używaliśmy żadnej procedury matematycznej. Dzięki Bibliotece wszyscy się rozumieją w kosmosie, nie było więc sensu stosować starych standardów sprzed Kontaktu - popchnęła lekko wąski człon maszyny, który zaczął obracać się gładko na zawiasie. - To nie może się chyba tak swobodnie kręcić, kiedy laser jest włączony, prawda?

- Nie, oczywiście przymocujemy to na stałe sworzniami, tak żeby wiązka lasera wybiegała ze środka pokładu wzdłuż promienia statku. To powinno zapobiec powstawaniu wewnętrznych odbić, o które pani się pewnie martwi. Zresztą kiedy uruchomi się laser, wszyscy i tak będziemy chyba nosić gogle - z torby obok lasera Donaldson wyciągnął parę grubych, masywnych, ciemnych okularów. - Nawet jeśli nasze siatkówki będą zupełnie bezpieczne, doktor Martine na to nalega. Strasznie się przejmuje wpływem blasku na postrzeganie i osobowość. Przewróciła do góry nogami całą bazę i znalazła jasne światła, o których nikt nie wiedział, że w ogóle tam są. Kiedy przyleciała, twierdziła, że to one powodują „zbiorową halucynację”. Człowieku! Jak na własne oczy zobaczyła te bestie, od razu zaczęła śpiewać inaczej!

- No, na mnie czas. Muszę wracać do pracy - oznajmiła Helene. - Nie powinnam była zostawać tu tak długo. Musimy być już bardzo blisko. Zostańcie na posterunku, chłopaki. Obydwaj wstali, a

komendant uśmiechnęła się i odwróciła. Donaldson przyglądał się, jak odchodzi.

- Wiesz, Demwa, wpierw myślałem, żeś zwariował, potem się przekonałem, że jednak wszystko masz poukładane jak trzeba. Teraz znowu zaczynam zmieniać zdanie. - Jak to? - spytał Jacob.

- Każdy facet, jakiego znam, łaziłby po ścianach z radości za jedno spojrzenie tej babki.

Aż się nie chce wierzyć, że tak się potrafisz opanować. To oczywiście nie moja sprawa. - Prawda, nie twoja - Jacob rozzłościł się na oczywistość tej sytuacji. Zaczynał już pragnąć, żeby wyprawa wreszcie się skończyła, bo wtedy mógłby poświęcić całą swoją uwagę temu problemowi. Wzruszył ramionami. Nabrał tego nawyku od opuszczenia Ziemi. - Zmieniając temat: zastanawiałem się nad tym odbiciem wewnętrznym. Nie wydaje ci się, że ktoś tu może nieźle kantować?

- Kantować?

- Ze Słonecznymi Duchami. Trzeba by tylko przemycić na pokład coś w rodzaju projektora holograficznego...

- Nie ma mowy - Donaldson pokręcił głową. - To była pierwsza rzecz, jaką sprawdziliśmy. Poza tym kto by potrafił sfałszować coś tak skomplikowanego i pięknego jak stado torusów? W każdym razie taka projekcja wypełniałaby całe pole widzenia, więc zdradziłyby ją kamery na obrzeżu odwrotnej strony statku. - No, może nie całe stado, ale chociaż Duchy „człekopodobne”? Są małe i dosyć proste, a to, że unikają naszych kamer, obracając się szybciej, niż my możemy, i wisząc stale nad nami, jest raczej podejrzane.

- Nic tu się nie da wymyślić, Jake. Każde wnoszone na pokład urządzenie jest dokładnie badane, tak samo jak przedmioty osobiste, właśnie pod tym kątem. Nie znaleziono nigdy żadnego projektora, a zresztą gdzie by go kto mógł ukryć na takim otwartym statku? Przyznaję, że sam się nad tym wiele razy zastanawiałem, ale nie widzę sposobu, żeby ktoś mógł oszukiwać.

Jacob powoli skinął głową. Argumenty Donaldsona miały sens. W dodatku jak można by pogodzić projekcję ze sztuczką Bubbakuba? Pomysł był kuszący, ale oszustwo nie wydawało się zbyt prawdopodobne.

Dalekie lasy kolców pulsowały jak falujące fontanny. Pojedyncze wytryski płomieni ścierały się z sobą na obrzeżu dyszącej żarem ziarnistej komórki, która zasłaniała połowę nieba. W jej środku leżała Wielka Plama, ogromne oko czerni otoczone obszarami gorącego blasku.

Około dziewięćdziesięciu stopni wokół pokładu od miejsca, gdzie znajdował się Jacob, widać było grupę ciemnych sylwetek klęczących i stojących przy konsoli sterowniczej. Na tle ostrej, karmazynowej jasności fotosfery rozpoznać można było tylko ich zarysy. Wśród zgromadzonych przy stanowisku dowódczym wyróżniały się dwie ciemne bryły. Wysoka, szczupła postać Kulli stała trochę z boku, wskazując w górę, na smukły, wiotki łuk włókna, który przewieszał się nad Plamą. Łuk ten rósł powoli i wyraźnie się przybliżył, w czasie gdy Jacob mu się przyglądał.

Druga odróżniająca się bryła cienia odłączyła się od gromadki i zaczęła pełznąć zrywami w ich

kierunku. U wierzchołka była zaokrąglona, górna część jej ciała była większa od dolnej. - O, masz, tutaj mógłbyś ukryć projektor! - Donaldson wskazał ruchem głowy na grubą, masywną postać, która kołysząc się pełzła w ich stronę.

- Co? Fagin? - wyszeptał Jacob, choć przy takim słuchu, jaki miał Kanten, nie miało to żadnego znaczenia. - Nie mówisz chyba poważnie! Przecież on był tylko na dwóch nurkowaniach!

- Taa - Donaldson zadumał się. - Mimo to te wszystkie gałęzie i tak dalej... Wolałbym chyba przeszukać bieliznę Bubbakuba, niż szperać w tej gęstwinie, szukając kontrabandy. Przez ułamek sekundy Jacob myślał, że w głosie mechanika zabrzmiał jakiś niezwykły, chrypiący ton. Wlepił wzrok w towarzysza, ale twarz mężczyzny ani drgnęła. Już samo to było cudem jak na Donaldsona. Trudno było wymagać, żeby naprawdę był dowcipny. Obaj powstali, żeby przywitać się z Faginem. Kanten zagwizdał radosną odpowiedź, nie dając po sobie poznać, czy podsłuchał ich wcześniejszą rozmowę. - Komendant Helene deSilva wyraziła opinię, iż warunki pogodowe na Słońcu są niespodziewanie przychylne. Stwierdziła, że będzie to bardzo korzystne przy rozwiązywaniu pewnych problemów solarnych nie związanych ze Słonecznymi Duchami. Niezbędne pomiary nie potrwają długo. Znacznie krócej niż czas, który zaoszczędzimy dzięki tym znakomitym warunkom. Innymi słowy, moi przyjaciele, macie dwadzieścia minut, żeby się przygotować.

Donaldson gwizdnął. Zawołał do siebie Jacoba i obaj zabrali się do pracy przy laserze, mocując go na miejscu i sprawdzając taśmy projekcyjne. Kilka metrów dalej doktor Martine przetrząsała swój kufer w poszukiwaniu jakichś drobnych urządzeń. Hełm psi miała już na głowie i Jacobowi wydało się, że słyszy, jak cicho zaklęła: - Do jasnej cholery, tym razem będziesz ze mną gadał!

22. Delegacja

- Co jest celem tych stworzeń ze światła? - pyta reporter. Powinien jednak zapytać raczej: „Jaki cel ma człowiek”? Czy jest naszym zadaniem czołgać się na kolanach z metafor i na przekór bólowi, z głową zadartą w dziecinnej dumie, mówić całemu wszechświatowi:

„Spójrz na mnie! Jestem człowiekiem! Czołgam się tam, gdzie inni chodzą! Ale czy to nie wspaniałe, że w ogóle mogę się czołgać?”

„Specjalizacją” człowieka jest zdolność przystosowania, jak to głosi etyka neolityczna. Człowiek nie potrafi biegać tak rączo jak gepard, ale umie w ogóle biegać. Nie pływa tak dobrze jak wydra, ale potrafi pływać. Jego wzrok nie jest tak bystry jak wzrok sokoła, nie może też przechowywać pożywienia w policzkach. Musi zatem ćwiczyć wzrok i wytwarzać narzędzia, kalecząc przy tym ziemię, nie tylko po to, aby mógł widzieć, ale także by wyprzedzić kota i wydrę. Człowiek potrafi wędrować przez arktyczne pustkowia, pływać w tropikalnej rzece, wspiąć się na drzewo, a na końcu swojej wędrówki może zbudować przyjemny hotelik. Tam odświeży się i będzie się chwalił swoimi osiągnięciami przy kolacji z przyjaciółmi.

Jednak przez wszystkie czasy, o jakich wiemy, nasz bohater pozostawał niezadowolony. Tęsknił za znalezieniem własnego miejsca w świecie. Krzyczał na cały głos. Pragnął wiedzieć, dlaczego tu jest! Wszechświat pełen gwiazd uśmiechał się tylko z góry na jego pytania, odpowiadając głębokim, wieloznacznym milczeniem. Człowiek tęsknił do celu. Gdy mu go odmówiono, swoje rozterki przeniósł na inne stworzenia. Specjaliści wokół niego znali swoje role i gorąco ich za to nienawidził. Stali się jego niewolnikami, fabrykami białka. Stali się ofiarami zabójczej pasji. „Zdolność przystosowania" wkrótce zaczęła oznaczać, że nie potrzebujemy nikogo. Gatunki, których potomkowie mogli pewnego dnia osiągnąć wielkość, obróciły się w proch na ołtarzu ludzkiego egoizmu.

Tylko dzięki łutowi szczęścia na krótko przed Kontaktem staliśmy się miłośnikami środowiska, co uchroniło nasze głowy przed sprawiedliwym gniewem Starszych. Ale czy było to tylko szczęście? Czy to przypadek, że John Muir i jego zwolennicy pojawili się wkrótce po pierwszych potwierdzonych spotkaniach?

Leżąc tutaj, w tej bańce, kołysany zwodniczymi, różowymi oparami, reporter zastanawia się, czy celem człowieka ma być to, by służył jako przykład. Bez względu na to, jaki pierworodny grzech oddzielił nas dawno temu od naszych opiekunów, płacimy teraz za niego komedią.

Można mieć nadzieję, że nasi sąsiedzi są rozbawieni, a także umocnieni, gdy patrzą, jak się czołgamy, gapiąc się bezradnie, ze zdumieniem, a czasem też z niechęcią na tych, którzy są wcielonym spełnieniem.

Pierre LaRoque zdjął palec z przycisku nagrywania i zmarszczył brwi. Nie, ostatnia część była do wyrzucenia. Brzmiała prawie gorzko. Raczej płaczliwie niż wzruszająco. Trzeba będzie chyba przerobić całość. To było za mało spontaniczne, zdania toczyły się przyciężko. Pociągnął łyk z tuby, którą trzymał w lewej ręce, a potem w zamyśleniu zaczął gładzić wąsy. Stado jaśniejących torusów wyłaniało się przed nim powoli, w miarę jak statek wyrównywał kurs. Manewr potrwał krócej, niż się spodziewał, i nie było już teraz czasu na dygresje o trudnym położeniu ludzkości. W końcu mógł to przecież zrobić kiedy indziej. Ale to, to było naprawdę coś nadzwyczajnego.

Jeszcze raz nacisnął przycisk i podniósł mikrofon.

- Uwaga do opracowania - zaczął. - Więcej ironii i więcej o korzyściach pewnych rodzajów specjalizacji. Wspomnieć też Tymbrymczyków - jak potrafią się adaptować lepiej, niż my kiedykolwiek zdołamy. Wszystko ująć krótko i podkreślić, że rezultat zależy od współpracy całej ludzkości.

Początkowo ze zbliżającego się stada widać było tylko pojedyncze małe pierścienie oddalone o pięćdziesiąt lub więcej kilometrów. Za chwilę wraz ze srebrną poświatą fotosfery w pole widzenia weszła główna grupa. Najbliższy torus był jasnym, wirującym, niebieskozielonym potworem. Na jego obrzeżu błękitne linie mieszały się i zmieniały swój bieg jak mieniące się wzory na jedwabiu. Otaczała go skrząca się biało aureola. LaRoque westchnął. To byłoby największe wyzwanie. Gdyby opublikowano zdjęcia tych aureol, wszyscy, włączając w to także jego kamerdynera-szympansa, przyglądaliby się im, sprawdzając, czy jego opis dorasta do rzeczywistości. Mimo to czuł coś przeciwnego niż to, do czego miał ich przekonać. Im głębiej statek wchodził w Słońce, tym większa

była niezależność dziennikarza. Czuł się tak, jakby nic nie działo się naprawdę. Stworzenia wydawały się zupełnie nierzeczywiste.

Musiał też przyznać, że był przerażony.

„Są perłami znalezionymi przypadkiem, nawleczonymi na naszyjniki błyszczących szmaragdów. Jeżeli niegdyś zatonął tutaj jakiś galaktyczny galeon, rozrzucając swoje skarby na tych pierzastych rafach płomieni, to diademy, które wiózł, są teraz bezpieczne. Nie tknął ich czas, ciągle promienieją. Żaden myśliwy nie uniesie ich w swojej sakwie." „Przeczą logice, jako że nie powinno ich tutaj być. Przeczą historii, gdyż nikt o nich nie pamięta. Przeczą potędze naszych instrumentów, a nawet tych, które należą do Galaktów, naszych Starszych."

„Spokojne jak Bombadil, nie zwracają uwagi na wodór i tlen, toczące obok nich swoją wieczną sprzeczkę, czerpią bowiem swój pokarm z najbardziej pradawnego ze wszystkich źródeł."

„Czy pamiętają? Czy mogły być jednymi z Przodków, wtedy gdy Galaktyka była młoda?

Ciągle mamy nadzieję, że uda nam się zapytać je o to, choć na razie milczą." Kiedy stado ponownie znalazło się w polu widzenia, Jacob podniósł wzrok znad swojej pracy. Tym razem widok zrobił na nim mniejsze wrażenie niż poprzednio. Żeby doświadczyć takich emocji jak przy pierwszym nurkowaniu, musiałby zobaczyć po raz pierwszy coś innego. A żeby było to naprawdę wielkie wrażenie, musiałby dokonać Skoku w kosmos. Była to jedna z wad posiadania małpich przodków.

Mimo to mógłby spędzić całe godziny patrząc na przepiękne wzory wyczarowywane przez toroidy. W dodatku co chwila, kiedy tylko przypomniał sobie znaczenie tego, co widzi, groza przejmowała go na nowo.

Trzymany na kolanach pulpit komputera pokazywał zmienny wzór poskręcanych, złączonych linii. Były to izofoty Ducha, którego widzieli godzinę temu. Nie był to właściwie żaden kontakt. Pojedynczego Solariowca zaskoczyli, kiedy statek wysunął się spoza gęstego pasma włókien i natrafił na skraj stada. Oddalił się od nich błyskawicznie, a potem zawisł nieufnie w odległości kilku kilometrów. Komendant deSilva nakazała obrócić statek, tak by laser parametryczny Donaldsona mógł dosięgnąć trzepoczącego się stworzenia. Na początku Duch wycofał się. Donaldson mruczał i przeklinał, nastawiając laser do przenoszenia różnych modulacji taśmy, którą Jacob przygotował do kontaktu. Wtedy stworzenie zareagowało. Jego macki? skrzydła? wystrzeliły ze środka jak na sprężynie. Duch zaczął falować i mienić się kolorami, a potem zniknął w błysku promiennej zieleni.

Jacob przejrzał komputerowy zapis reakcji Ducha. Kamery na odwrotnej stronie statku uchwyciły obraz Solariowca. Najwcześniejsze nagrania pokazywały, że część jego falowania zgadzała się w fazie z basowym rytmem melodii wielorybów. Teraz Jacob próbował stwierdzić, czy skomplikowane widowisko zaprezentowane tuż przed ucieczką miało wzór, który można by interpretować jako odpowiedź.

Skończył kreślenie programu analizującego, który miał przeprowadzić komputer. Polegał on na wyszukiwaniu wariacji tematu i rytmu pieśni waleni w trzech obszarach: barwy, czasu i jasności na całej powierzchni Ducha. Gdyby komputer znalazł coś konkretnego, można by podczas następnego

spotkania ustanowić połączenie w czasie rzeczywistym. Oczywiście jeśli będzie następne spotkanie. Pieśń waleni była zaledwie wprowadzeniem do serii gam i ciągów matematycznych, które zamierzał wysłać. Duch jednak nie czekał na wysłuchanie reszty.

Jacob odłożył pulpit komputera i opuścił oparcie fotela tak, że mógł patrzeć na najbliższe toroidy nie poruszając głową. Dwa z nich obracały się wolno na wysokości czterdziestu pięciu stopni powyżej płaszczyzny pokładu.

„Wirowanie” stworzeń było najwyraźniej bardziej skomplikowane, niż początkowo sądzono. Zawiłe, prędko zmieniające się wzory, które przesuwały się po powierzchni każdego z nich, były w jakiś sposób związane z ich budową wewnętrzną. Kiedy dwa toroidy zetknęły się, szukając lepszego ustawienia w polu magnetycznym, wirujące figury pozostały bez zmian. Ich spotkanie przebiegło tak, jakby w ogóle się nie obracały.

Statek zbliżał się coraz bardziej do stada, przepychanie i roztrącanie się torusów było teraz wyraźniejsze. Helene deSilva zasugerowała, że przyczyną było zamieranie rejonu aktywnego, nad którym się znajdowali. Pole magnetyczne rozpraszało się tam coraz bardziej. Kulla zajął fotel obok Jacoba, zwierając z trzaskiem swoje kafary. Jacob zaczynał już rozpoznawać niektóre rytmy produkowane przez uzębienie obcego w rozmaitych sytuacjach. Wiele czasu zajęło mu uświadomienie sobie, że stanowią one część sposobu bycia Pringa, podobnie jak wyraz twarzy u ludzi.

- Mogę tu usiąść, Jacob? - spytał Kulla. - Pierwszy raz mam okazję, żeby podziękować za twoją współpracę na Merkurym.

- Nie musisz mi dziękować, Kulla. Dwuletnia przysięga zachowania tajemnicy jest całkiem na miejscu przy tego rodzaju incydencie. Zresztą kiedy komendant deSilva dostała rozkazy z Ziemi, stało się jasne, że nikt nie wróci do domu, dopóki nie podpisze takiego zobowiązania.

- Mimo wszysztko miałeś święte prawo powiedzieć o tym światu, Galaktycze. Insztytut Biblioteki zoształ zhańbiony poczynaniami Bubbakuba. To naprawdę wszpaniałe z twojej sztrony, że jako odkrywcza jego... błędu okazałeś powściągliwość i przyształeś na odszkodowanie.

- A co zrobi Instytut... oprócz ukarania Bubbakuba?

Kulla pociągnął łyk z tuby, z którą nigdy się nie rozstawał.

- Prawdopodobnie umorzą dług Ziemi i ofiarują przez jakiś czasz bezpłatne uszługi Filii. Czasz będzie dłuższy, jeżeli Konfederaczja zgodzi się na okresz milczenia. Trudno doprawdy przeczenić ich niechęć do wywołania szkandalu. Poza tym prawdopodobnie uzyszkasz nagrodę.

- Ja?! - Jacob poczuł, że drętwieje. Dla prymitywnego Ziemianina jakakolwiek nagroda, którą Galaktowie postanowiliby go obdarzyć, była jak królestwo z bajki. Z trudem wierzył w to, co usłyszał.

- Tak, chociaż pewnie nie obędzie się bez pretenszji, że szwoich odkryć nie trzymałeś w większej

tajemniczy. Ich hojność będzie zapewne odwrotnie proporcjonalna do rozgłoszu, jaki zyszka szprawa Bubbakuba.

- Ach, rozumiem! - Złudzenia prysły. Czym innym było otrzymać dowód wdzięczności od możnych tego świata, a zupełnie czym innym - łapówkę. Rzecz nie w tym, że wartość nagrody byłaby mniejsza. W rzeczywistości byłaby pewnie jeszcze większa. Ale czy na pewno? Żaden obcy nie myślał dokładnie tak, jak człowiek. Członkowie Zarządu Instytutu Biblioteki stanowili dla Jacoba zagadkę. Pewien mógł być tylko tego, że nie zechcą okryć się niesławą. Zastanawiał się, czy Kulla mówił teraz oficjalnie, czy po prostu przewidywał to, co według niego miało się stać.

Nagle Pring odwrócił się i spojrzał w górę na przesuwające się stado. Jego oczy rozjarzyły się i spoza grubych, chwytnych warg dobiegł krótki warkot. Z otworu obok fotela Kulla wyciągnął mikrofon.

- Przepraszam, Jacob, ale wydaje mi się, że czoś widzę. Muszę to zgłosić pani komendant.

Powiedział coś do mikrofonu, nie odrywając wzroku od miejsca położonego około trzydziestu stopni na prawo od nich i dwadzieścia pięć stopni w górę. Jacob też tam spojrzał, ale niczego nie dostrzegł. Dobiegał go cichy szmer głosu Helene, który wypełniał okolicę podgłówka fotela Kulli. Statek zaczął się obracać.

Jacob sprawdził pulpit komputera. Wyniki były już opracowane. Poprzednie spotkanie nie zaowocowało niczym, co można by odczytać jako odpowiedź. Musieli więc dalej robić to co przedtem.

- Sofonci! - przez głośniki zabrzmiał głos Helene. - Pring Kulla coś zauważył. Proszę powrócić na swoje stanowiska.

Kafary Kulli trzasnęły. Jacob spojrzał w górę.

Na wysokości około czterdziestu pięciu stopni, tuż za cielskiem najbliższego toroida, zaczął rosnąć maleńki migoczący jasny punkt. Niebieska plamka powiększała się, gdy się do niej zbliżali, aż wreszcie mogli odróżnić pięć nierównych części symetrycznych po obu stronach. Punkt wynurzył się szybko, po czym stanął w miejscu. Z góry łypała na nich okiem postać Słonecznego Ducha, typ drugi, prymitywna kpina z postaci ludzkiej. Przez puste otwory oczu i ust przeświecała na czerwono chromosfera. Nie starano się ustawić statku tak, by kamery na odwrotnej stronie miały w swoim zasięgu zjawę. Prawdopodobnie próby takie byłyby bezskuteczne, a zresztą tym razem laser P miał pierwszeństwo.

Jacob kazał Donaldsonowi nadal odgrywać wstępną taśmę kontaktu od tego miejsca, w którym urwało się ostatnie spotkanie.

Mechanik podniósł mikrofon.

- Wszyscy proszeni są o nałożenie gogli. Zaraz włączamy laser. Włożył swoje okulary i rozejrzał się, żeby sprawdzić, czy wszyscy, których mógł dojrzeć, zastosowali się do polecenia (Kulla był

zwolniony: uwierzono mu na słowo, gdy stwierdził, że nic mu nie grozi). Wreszcie nacisnął włącznik.

Nawet przez gogle Jacob ujrzał przyćmioną łunę na tle wewnętrznej powierzchni osłony, przez którą przebiła się wiązka, podążając w kierunku Ducha. Ciekawe, czy forma człekopodobna będzie chętniej sza do współdziałania niż poprzednia zjawa, o „naturalnym" kształcie? Z tego co wiedział, wynikało, że jest to jedno i to samo stworzenie. Może przedtem odleciało tylko po to, żeby „ucharakteryzować się" do obecnej roli? Duch powiewał leniwie, kiedy wiązka laseru komunikacyjnego prześwietliła go na wylot.

Jacob słyszał, jak siedząca niedaleko Martine cicho zaklęła. - Źle, źle, źle - syknęła. Spod hełmu psi i gogli widać było tylko jej nos i brodę. - Coś mam, ale nie w tym miejscu. Cholera! Co jest z tym sprzętem! Nagle zjawa rozciągnęła się jak motyl rozpłaszczony na zewnętrznej pokrywie statku. Rysy jej „twarzy" rozmazały się w długich i wąskich pasmach ciemnej ochry. Ramiona i tułów rozszerzały się, aż wreszcie stworzenie było tylko poszarpaną, prostokątną wstęgą błękitu. Na jej powierzchni tu i ówdzie zaczęły tworzyć się zielone pyłki, które odskakiwały na wszystkie strony, mieszały się i zlewały ze sobą, by wreszcie przybrać spoistą formę. - Boże wszechmogący - mruknął Donaldson.

Gdzieś niedaleko Fagin wydał z siebie świstliwą, opadającą septymę. Kulla zaczął szczękać.

Na całej swojej długości Solariowiec pokryty był świecącymi, zielonymi literami alfabetu łacińskiego. Było tam napisane:

ODEJDŹCIE. NIE WRACAJCIE

Jacob ścisnął z obu stron fotel. Pomimo efektów dźwiękowych Fagina i Kulli oraz ciężkich oddechów ludzi cisza była trudna do wytrzymania. - Millie! - z całej siły starał się nie krzyczeć. - Odbierasz coś?

Martine jęknęła.

- Tak... NIE! Coś odbieram, ale to nie ma sensu! To się nie zgadza!

- No to spróbuj wysłać pytanie! Zapytaj, czy odbiera twoje psi!

Martine kiwnęła głową i ukryła twarz w dłoniach, próbując się skupić.

Litery nad nimi natychmiast przeformowały się.

SKUP SIĘ. MÓW NA GŁOS, BĘDZIE WYRAŹNIEJ

Jacob patrzył oszołomiony. Gdzieś w głębi czuł, jak jego ukryta druga połowa trzęsie się ze strachu. Nie rozwiązane zagadki napełniały pana Hyde’a przerażeniem. - Zapytaj, dlaczego mówi do nas dopiero teraz, dlaczego nie wcześniej.

Martine powtórzyła pytanie głośno i powoli.

POETA. ON BĘDZIE MÓWIŁ ZA NAS. ON JEST TUTAJ

- Nie, nie potrafię - krzyknął LaRoque. Jacob odwrócił się szybko i zobaczył małego dziennikarza przerażonego i skulonego obok automatów z żywnością.

ON BĘDZIE MÓWIŁ ZA NAS

Zielone litery paliły się jasnym światłem.

- Doktor Martine - zawołała Helene - niech pani zapyta Solariowca, dlaczego mamy wracać.

Po chwili litery znów się zmieniły.

CHCEMY SAMOTNOŚCI. ODEJDŹCIE, PROSZĘ

- A jeżeli mimo wszystko wrócimy? Co wtedy? - spytał Donaldson. Martine powtórzyła pytanie.

NIC. NIE ZOBACZYCIE NAS. MOŻE TYLKO NASZE MŁODE, NASZĄ TRZODĘ

NIE NAS

To tłumaczy istnienie dwóch typów Solariowców - pomyślał Jacob. - Odmiana normalna to pewnie młode, którym powierzą się proste zadania, jak pasienie toroidów. Ale gdzie w takim razie mieszkają dorośli? Jaką mają kulturę? W jaki sposób stworzenia złożone ze zjonizowanego gazu mogą porozumiewać się z istotami ludzkimi pochodzącymi z wody? Jacob zaniepokoił się groźbą Ducha. Gdyby dorośli zechcieli, mogą unikać heliostatku i każdej ewentualnej floty złożonej z heliostatków równie łatwo, jak orzeł umyka przed balonem. Jeśli teraz przerwą kontakt, ludzie nigdy już nie będą mogli zmusić ich, żeby nawiązali go ponownie.

- Proszę - odezwał się Kulla - zapytaj, czy Bubbakub je obraził. Oczy Pringa płonęły gorącym blaskiem, stłumione szczękanie rozlegało się pomiędzy wypowiadanymi słowami.

BUBBAKUB NIC NIE ZNACZY. JEST NIEWAŻNY. ODEJDŹCIE JUŻ

Solariowiec zaczął blaknąć. Poszarpany prostokąt był coraz mniejszy, w miarę jak Duch się oddalał.

- Zaczekaj! - Jacob poderwał się z miejsca. Wyciągnął w górę rękę, ale nie zdołał niczego uchwycić. - Nie odchodźcie! Żyjemy tak blisko siebie! Chcemy się z wami porozumieć! Powiedzcie nam przynajmniej, kim jesteście! Obraz był zamazany przez odległość. Wstęga ciemniejszego gazu przesunęła się, zakrywając Solariowca, ale zdążyli odczytać ostatnią wiadomość. Otoczony gromadą „młodych” dorosły powtórzył jedno z poprzednich zdań:

POETA MÓWI ZA NAS

CZĘŚĆ ÓSMA

W zamierzchłych czasach dwaj lotnicy sporządzili sobie skrzydła.

Dedal przeleciał bezpiecznie ponad ziemią i po wylądowaniu zyskał zasłużoną sławę.

Ikar wzbił się w górę do słońca, aż stopił się wosk, który spajał skrzydła, i lot skończył się fiaskiem ...Starożytne autorytety powiadają nam oczywiście, że Ikar był tylko „powietrznym akrobatą”, ja jednak wolę myśleć o nim jako o człowieku, który ujawnił poważną usterkę konstrukcyjną ówczesnych maszyn latających.

Sir Arthur Eddington, Stars and Atoms (Oxford University Press, 1927, s. 41)

23. Stan wzbudzenia

Pierre LaRoque siedział odwrócony tyłem do kopuły z przyrządami. Obejmował swoje kolana i gapił

się nieprzytomnie na pokład. Zastanawiał się rozpaczliwie, czy Millie nie dałaby mu czegoś, żeby wytrzymał, aż heliostatek opuści chromosferę. Na nieszczęście, niezbyt pasowałoby to do jego nowej roli proroka. Wzdrygnął się. W ciągu całej swojej kariery nie zdawał sobie nigdy sprawy, ile znaczy móc ograniczać się do komentowania i nie musieć samemu kształtować biegu wydarzeń. Solariowiec zesłał na niego klątwę, a nie błogosławieństwo.

Ponuro rozmyślał, czy stworzenie wybrało go przez złośliwy kaprys, zwykły żart. Może Duch zdołał jakimś sposobem zaszczepić w nim głęboko słowa, które miały ujawnić się po powrocie na Ziemię, zdumiewając go i krępując?

A może mam wygadywać własne opinie, jak zawsze? LaRoque kołysał się wolno i żałośnie. Czym innym było narzucanie własnych przekonań za pomocą siły osobowości, a zupełnie czym innym - przemawianie w stroju proroka.

Pozostali zebrali się przy stanowisku dowodzenia, żeby przedyskutować następne kroki. Słyszał, jak rozmawiają, i pragnął, żeby sobie zwyczajnie poszli. Nie podnosząc wzroku czuł, kiedy odwrócili się w jego stronę i zaczęli mu się przyglądać. W tej chwili LaRoque wolałby umrzeć.

- Słuchajcie, powinniśmy go sprzątnąć - zaproponował Donaldson. W jego głosie słychać było teraz wyraźne chrypienie. Słuchając tego akcentu, Jacob po raz kolejny znienawidził modę na języki etniczne. - Kiedy na Ziemi uwolni się tego gościa, kłopoty będą się wlec w nieskończoność - dokończył mechanik.

- Nie, to by nie było zbyt mądre - Martine przygryzła na moment wargę. - Lepiej zapytać Ziemię o instrukcje, kiedy wrócimy na Merkurego. Gliny mogą uznać, że zastosują w jego wypadku procedurę nadzwyczajnego odosobnienia, ale nie przypuszczam, żeby wyeliminowanie Pierre’a mogło naprawdę ujść na sucho. - Dziwi mnie, że tak reagujesz na propozycję Donaldsona - włączył się Jacob. - Należałoby się raczej spodziewać, że taki pomysł cię przerazi. - W tej chwili jest już dla was wszystkich jasne, że reprezentuję pewną frakcję w Zgromadzeniu Konfederacji - Martine wzruszyła ramionami. - Pierre jest moim przyjacielem, ale gdybym czuła, że usunięcie go z drogi jest moim obowiązkiem wobec Ziemi, sama bym to zrobiła. - Jej twarz miała zawzięty wyraz. Nie zaskoczyło to Jacoba aż tak bardzo. Skoro główny mechanik potrzebował nonszalanckiego tonu, żeby uporać się z wydarzeniami ostatniej godziny, większość pozostałych nie powinna mieć o to pretensji. Martine skłonna była myśleć o tym, co było nie do pomyślenia. Siedzący obok LaRoque nie udawał niczego - przerażony kołysał się powoli, najwyraźniej nie zwracając na nich żadnej uwagi.

Donaldson uniósł palec wskazujący.

- Zauważyliście, że Solariowiec w ogóle nic nie powiedział o wiązce z naszego lasera? Przeszła po prostu przez niego, a on jakby na nią nie zwracał uwagi. Ale wcześniej, ten drugi Duch...

- Młody.

- ...ten młody wyraźnie zareagował.

Jacob podrapał się w ucho.

- Wiecznie tajemnice, jedna za drugą. Dlaczego dorosły stwór zawsze unikał wejścia w zasięg naszych instrumentów? Może ma coś do ukrycia? Po co te wszystkie groźby na każdym z poprzednich nurkowań, skoro mógł się z nami porozumieć od momentu, kiedy kilka miesięcy temu doktor Martine zabrała na pokład swój hełm psi? - Może pański laser P dał mu to, czego potrzebował - rzucił jeden z członków załogi, Azjata o nazwisku Chen, którego Jacob poznał dopiero po rozpoczęciu nurkowania. - Według innej hipotezy można powiedzieć, że czekał na kogoś o odpowiednim statusie, żeby się do niego odezwać.

Martine prychnęła z pogardą.

- Tę teorię przerabialiśmy już podczas poprzedniego nurkowania i nie sprawdziła się. Bubbakub sfałszował kontakt, a Faginowi, mimo jego talentu, nie udało się... ach! Ma pan na myśli Pierre'a...

Cisza aż dzwoniła w uszach.

- Jacob, naprawdę wolałbym, żebyśmy znaleźli projektor - Donaldson uśmiechnął się krzywo. - To by nam rozwiązało wszystkie problemy.

Jacob odwzajemnił ponury uśmiech.

- Deus ex machina, szefie? Za mądry jesteś, żeby spodziewać się od wszechświata specjalnych względów.

- Właściwie moglibyśmy się poddać - powiedziała Martine. - Może już nigdy nie zobaczymy drugiego dorosłego Ducha. Tam, na Ziemi, ludzie nie bardzo wierzyli w opowieści o człekopodobnych kształtach. Na potwierdzenie są przecież tylko słowa dwudziestu sofontów, którzy to widzieli, oraz parę niewyraźnych fotografii. Z czasem mogą złożyć wszystko na karb histerii, i to pomimo moich testów - spuściła ponuro wzrok. Jacob wiedział, że Helene stoi obok niego. Odkąd kilka minut temu zwołała ich wszystkich, była dziwnie milcząca.

- No cóż, przynajmniej tym razem sam Słoneczny Nurek nie jest zagrożony - powiedział. - Badania solonomiczne mogą być nadal prowadzone, tak samo jak obserwacje stad toroidów. Solariowiec powiedział, że oni nie będą się wtrącać. - Taa - przyznał Donaldson. - Ale czy on też nie? - wskazał na LaRoque'a. - Musimy postanowić, co robić dalej. Dryfujemy teraz pod stadem. Wznosimy się i szperamy dalej? Może Solariowce różnią się między sobą tak jak ludzie. Może ten, którego spotkaliśmy, był ponurakiem - rzucił Jacob.

- O tym nie pomyślałam - odezwała się Martine.

- Przełączmy laser parametryczny na sterowanie automatyczne i dodajmy do taśmy komunikacyjnej zakodowany fragment po angielsku. Będzie celował w stado, gdy my zaczniemy wznosić się wolno po spirali. Jest słaba nadzieja, że jakiś przyjaźniejszy dorosły Solariowiec to zauważy.

- Jeżeli tak, to mam nadzieję, że nie wyskoczę ze strachu z portek, jak poprzednim razem - mruknął Donaldson.

Helene deSilva założyła ręce, jakby zmagając się z dreszczami. - Czy ktoś jeszcze ma coś do powiedzenia „en camera”? Nie? W takim razie zamykam tę część dyskusji i zakazuję wszelkich pochopnych działań wobec pana LaRoque’a. Proszę natomiast, żeby na wszelki wypadek nie spuszczać z niego oka. Nasze spotkanie zostaje odroczone. Niech ktoś poprosi Fagina i Kullę, żeby przyłączyli się do nas za dwadzieścia minut przy automatach z napojami. To wszystko.

Jacob poczuł dłoń na swoim ramieniu. Obok niego stała Helene.

- Dobrze się czujesz? - zapytał ją.

- W porządku - uśmiechnęła się niezbyt przekonująco. - Chciałam tylko... Jacob, czy mógłbyś pójść ze mną do mojej dyżurki?

- Pewnie, proszę - puścił ją przodem.

Helene potrząsnęła głową. Ruszyła szybkim krokiem i wbijając palce w jego ramię, ciągnęła go w stronę umieszczonej w wewnętrznej kopule dziupli o rozmiarach szafy, która służyła za kapitańską dyżurkę. Kiedy byli już w środku, uprzątnęła maleńkie biurko i gestem kazała Jacobowi usiąść. Potem zamknęła drzwi i oparła się o nie bezwładnie. - O Boże - jęknęła.

- Helene... - Jacob postąpił krok i zatrzymał się. Jej niebieskie oczy błyszczały. - Jacob - z wielkim wysiłkiem starała się zachować spokój. - Czy możesz mi obiecać, że teraz przez kilka minut będziesz robił to, o co cię poproszę, a potem nic o tym nie powiesz? Nie mogę ci powiedzieć, o co chodzi, dopóki się nie zgodzisz. - Jej wzrok prosił o to.

Jacob nie zastanawiał się.

- Oczywiście, Helene. Możesz prosić, o co chcesz. Ale powiedz mi, co to za... - W takim razie obejmij mnie - jej głos przeszedł w płacz. Przysunęła się do niego, trzymając przed sobą skrzyżowane ręce. W niemym zdumieniu Jacob otoczył ją ramionami i mocno przycisnął.

Kołysał ją powoli, podczas gdy ciałem jej wstrząsały silne dreszcze. - Szsz... już dobrze... - Pocieszając ją, mówił słowa bez sensu. Jej włosy dotknęły jego policzka, mały pokoik był pełen jej zapachu. Odurzającego zapachu. Stali tak przez chwilę w ciszy. Helene wolno oparła głowę na jego ramieniu. Dreszcze ustały. Jej ciało stopniowo odprężało się. Jedną ręką Jacob gładził napięte mięśnie pleców Helene, które rozluźniały się jeden po drugim. Pomyślał, że to wcale nie takie jasne, kto komu wyświadcza przysługę. Tak spokojny i bezpieczny nie czuł się już Ifni wie jak długo. Jej zaufanie poruszyło go. Więcej nawet, był szczęśliwy! Zgryźliwy głosik gdzieś z dołu zgrzytał zębami, ale nie słuchał tego. To, co teraz robił, było bardziej naturalne niż oddychanie. Po chwili Helene podniosła głową. Kiedy się odezwała, jej głos był stłumiony.

- Nigdy w życiu tak się nie bałam - powiedziała. - Zrozum, ja nie musiałam tego robić.

Mogłam do końca tego lotu pozostać Żelazną Damą... ale byłeś tutaj, blisko... musiałam.

Przepraszam.

Jacob spostrzegł, że Helene nie próbuje się od niego odsunąć. Ciągle ją obejmował. - W porządku - odpowiedział cicho. - Kiedyś, później, powiem ci, jakie to było przyjemne. Nie przejmuj się tym, że się bałaś. Kiedy zobaczyłem te litery, sam prawie zwariowałem ze strachu. Ja bronię się przez ciekawość i odrętwienie. Widziałaś, jak reagowali inni. Ty ponosisz po prostu większą odpowiedzialność, to wszystko. Helene nic nie odpowiedziała. Podniosła ręce i oparła je na jego ramionach, przysuwając się blisko.

- Zresztą - ciągnął Jacob, poprawiając kosmyk jej włosów - na pewno podczas Skoków w kosmosie mnóstwo razy bałaś się bardziej.

Helene zesztywniała i odsunęła się od jego piersi.

- Panie Demwa, jest pan nieznośny! I to ciągłe wspominanie o moich Skokach! Myślisz, że kiedykolwiek tak się bałam jak teraz?! Myślisz, że ile ja mam lat? Jacob uśmiechnął się. Nie odsunęła się na tyle mocno, żeby odtrącić jego ramiona.

Najwyraźniej nie była jeszcze gotowa do tego, żeby pozwolić mu odejść.

- No, relatywnie rzecz biorąc... - zaczął.

- Pieprzyć relatywność! Mam dwadzieścia pięć lat! Może i widziałam trochę więcej nieba niż ty, ale prawdziwego świata zaznałam o wiele mniej... I wskaźnik mojej fachowość nie ma nic wspólnego z tym, co naprawdę czuję! To straszne, musieć być doskonałą i silną, i odpowiedzialną za ludzkie życie - przynajmniej dla mnie, bo ty masz oczywiście inaczej, ty nieczuły, niewzruszony, eks-bohaterku, co sobie stoisz zupełnie jak kapitan Beloc na Calypso, kiedy wpadliśmy na tę zwariowaną, lipną blokadę na JSlek i... A teraz zrobię coś całkiem bezprawnego i rozkażę ci, żebyś mnie pocałował, bo najwyraźniej nie masz zamiaru zrobić tego sam z siebie!

Spojrzała na niego wyzywająco. Kiedy Jacob roześmiał się i przyciągnął ją do siebie, opierała się przez mgnienie oka. Potem objęła jego szyję ramionami i przycisnęła swoje usta do jego ust.

Jacob poczuł, jak gdzieś w głębi ponownie zadrżała. Tym razem było to coś innego. Różnicę trudno było określić, zwłaszcza że w tej chwili był akurat zajęty. I to przepięknie zajęty. Nagle boleśnie uświadomił sobie, ile czasu minęło, odkąd... Dwa bardzo długie lata. Odepchnął od siebie tę myśl. Tania nie żyła, a Helene była przecudnie, przewspaniale pełna życia. Objął ją mocniej i odpowiedział na jej uniesienie w jedyny możliwy sposób. - Znakomita terapia, doktorze - droczyła się, podczas gdy on próbował rozczesać sobie włosy. - Czuję się jak w siódmym niebie, choć trzeba przyznać, że ty wyglądasz, jakbyś przeszedł przez wyżymaczkę.

- Co to jest... eee... ta „wyżymaczka”? Nieważne. Nie potrzebuję żadnych wyjaśnień twoich anachronizmów. Popatrz na siebie! Dumna jesteś, że przez ciebie czuję się jak stopiony i powyginany kawał stali!

- No.

Jacobowi nie udało się ukryć uśmiechu.

- Zamknij się i szanuj starszych. Poza tym, ile mamy czasu?

Helene spojrzała na swój pierścionek.

- Jakieś dwie minuty. Cholernie dziwna pora na zebranie. Dopiero co zacząłeś okazywać zainteresowanie. Kto u diabła ogłosił, że to spotkanie ma być w tak niesprzyjającym momencie?

- Ty.

- A, tak. No dobrze, ja. Następnym razem dam ci przynajmniej pół godziny i zbadamy to wszystko bardziej szczegółowo.

Jacob skinął niepewnie głową. Czasem trudno było zgadnąć, gdzie kończyły się żarty tej kobiety.

Zanim Helene otworzyła drzwi, pochyliła się jeszcze z poważną miną i pocałowała go.

- Dziękuję, Jacob.

Pogłaskał jej policzek, a ona przycisnęła twarz do jego dłoni. Kiedy cofnął rękę, nie trzeba było już nic mówić.

Helene otworzyła drzwi i wyjrzała. Na zewnątrz nie było widać nikogo oprócz pilota. Wszyscy pozostali czekali już prawdopodobnie przy automatach z napojami na drugie zebranie.

- Idziemy - powiedziała. - Zjadłabym konia z kopytami! Jacob wzruszył ramionami. Jeśli miał poznać Helene lepiej, powinien się chyba przygotować na solidną gimnastykę wyobraźni. Konia z kopytami! Niezłe! Został jednak pół kroku z tyłu, więc kiedy szli, mógł przyglądać się jej ruchom. Rozpraszało go to tak bardzo, że nie zauważył nawet, jak wirujący torus przesunął się obok statku. Jego boki ozdobione były migającymi gwiazdami i cały otoczony był aureolą tak białą i jasną, jak puch na piersi gołębia.

24. Emisja spontaniczna

Kiedy wrócili, Kulla wydobywał właśnie tubę napoju spomiędzy listowia Fagina. Jedno ramię Pringa zaplątane było w gałęzie Kantena, w drugim trzymał następną tubę. - Witamy - zaświstał Fagin. - Pring Kulla pomagał mi właśnie przy odżywianiu.

Obawiam się, że zaniedbał przez to swój własny posiłek.

- To drobnosztka, proszę pana - odparł Kulla. Powoli wyciągnął tubę. Jacob stanął za Pringiem, żeby lepiej się przyjrzeć. Chciał wykorzystać tę sposobność i dowiedzieć się więcej o ustroju Fagina. Kanten powiedział mu kiedyś, że zwyczaje jego gatunku nie nakazują skromności, więc na pewno nie miałby nic przeciwko temu, żeby Jacob zajrzał za ramię Kulli i przyjrzał się otworowi, jaki miał

roślinny obcy. Schylał się właśnie w tym celu, kiedy nagle Kulla odskoczył do tyłu, wyciągając tubę.

Jego łokieć zderzył się boleśnie z łukiem brwiowym Jacoba, który zwalił się na pokład. Kulla zaszczekał głośno. Z obwisłych nagle ramion wypadły mu tuby. Helene, krztusząc się, z trudem opanowała wybuch śmiechu. Jacob poderwał się na równe nogi. Spojrzał na Helene, z wyrazem twarzy, który mówił, „ja mu jeszcze pokażę", co sprawiło tylko, że komendant zaczęła kaszleć głośniej.

- Nie ma sprawy, Kulla - powiedział. - Nic się nie stało. To moja wina. Mam zresztą jeszcze jedno oko - zwalczył odruch pomasowania bolącego miejsca. Kulla spojrzał na niego błyszczącymi oczyma. Szczękanie umilkło. - To bardzo łaszkawie z twojej sztrony, przyjacielu Jacobie - powiedział w końcu. - Jako podopieczny byłem winien nieuwagi wobecz sztarszego. Dziękuję za wybaczenie. - Już dobrze, przyjacielu - uciął Jacob. Zaczynał czuć, jak rośnie mu okropny guz. Warto jednak było zmienić temat, żeby oszczędzić Kulli wstydu. - Skoro mowa o dodatkowych oczach, czytałem, że twój gatunek, tak jak i większość stworzeń na Pringu, miał tylko jedno oko, zanim przybyli Pilanie i rozpoczęli swój program genetyczny.

- Tak. Pilanie dali nam dwoje oczu z przyczyn esztetycznych. W Galaktycze większość dwunożnych ma dwoje oczu. Nie chcieli, żeby inne młode raszy nam... dokuczały. Jacob zmarszczył brwi. Było w tym coś takiego... czuł, że pan Hyde już o tym wie, ale ukrywa to, ciągle zagniewany.

Do cholery, to w końcu moja podświadomość!

Nie ma mowy i już.

- Czytałem także, że twój gatunek był nadrzewny, a nawet stosował brachiację, jeśli dobrze pamiętam....

- Co to znaczy? - Donaldson spytał szeptem deSilve.

- To znaczy, że poruszali się, zwisając z konarów drzew - odpowiedziała. - A teraz cisza!

- ...Ale jeśli twoi przodkowie mieli tylko jedno oko, to skąd brali wystarczającą percepcję głębi, tak żeby trafiać na następną gałąź, kiedy chcieli się jej uchwycić? Jeszcze zanim Jacob skończył to zdanie, poczuł radość. To właśnie było to pytanie, które pan Hyde ukrywał! A więc ten diabeł nie miał wyłącznego dostępu do nieświadomej intuicji! Znajomość z Helene dobrze mu widać służyła. Ledwie zwrócił uwagę na odpowiedź Kulli. - Myślałem, że wiesz, przyjacielu Jacobie. Uszłyszałem, jak podczasz naszego pierwszego nurkowania pani komendant wyjaśniała, że posiadam inne reczeptory niż ty. Moje oczy potrafią wykrywać zarówno intenszywność światła, jak i fazę. - No dobrze - Jacob zaczynał doskonale się bawić. Musiał tylko stale uważać na Fagina. Kanten ostrzegłby go, gdyby zbliżył się do jakiejś drażliwej dla Kulli sfery. - Ale przecież światło słoneczne, szczególnie w lesie, musi być całkowicie niespójne... chaotyczne w fazie. Podobnego systemu używa delfin w swoim sonarze: trzyma się fazy i tak dalej. Ale delfin dostarcza własnego źródła spójnych fal, wysyła w otoczenie odmierzone piski - Jacob cofnął się o krok, celebrując dramatyczną pauzę. Jego stopa trafiła na jedną z tub, które upuścił Kulla. Podniósł ją bezmyślnie. - Jeśli więc oczy twoich przodków potrafiłyby tylko wychwytywać fazę, to i tak cały układ nie działałby, jeśli w

środowisku brakowałoby źródła spójnego światła - podniecenie Jacoba rosło. - Naturalne lasery? Czy wasze lasy mają jakieś naturalne źródło światła laserowego?

- Do diaska, to byłoby ciekawe! - rzucił Donaldson.

- Tak, Jacob - Kulla przytaknął. - Nazywamy je roślinami... - Jego kafary zafurkotały w skomplikowanym rytmie. - To niewiarygodne, że ich isztnienie wydedukowałeś z tak niewielu przeszłanek. Trzeba ci pogratulować. Kiedy wrócimy, pokażę ci zdjęcia jednej z nich.

Kątem oka Jacob dostrzegł, że Helene uśmiecha się do niego władczo. (Głęboko pod czaszką poczuł odległy łoskot. Zignorował go.)

- Owszem, chętnie je zobaczę.

Tuba lepiła mu się do palców. W powietrzu unosił się zapach świeżo skoszonego siana. - Proszę, Kulla - wyciągnął tubę przed siebie. - Chyba to upuściłeś - nagle ramię mu zamarło. Przez chwilę wpatrywał się w tubę, a potem wybuchnął śmiechem. - Chodź tutaj, Millie! - zawołał. - Popatrz na to! - wręczył tubę doktor Martine i wskazał na etykietkę.

- Zasadowa mieszanina 3-(alfaacetonylobenzyl)-4-hydro-ksykumaryny? - Przez moment patrzyła niepewnie, potem otworzyła usta ze zdumienia. - Nie! To przecież warfarin! Należy do uzupełnienia dietetycznego Kulli! Jakim cudem, do jasnej cholery, znalazł się wśród leków Dwayne’a?

- Obawiam się, że to przeze mnie doszło do tego nieporozumienia - Jacob uśmiechnął się smutno. - Jeszcze na Bradburym wziąłem przez roztargnienie jedną z tabletek Kulli. Byłem taki zaspany, że później o tym zapomniałem. Musiała trafić do tej samej kieszeni, do której wrzuciłem potem leki doktora Keplera, i wszystko razem powędrowało do laboratorium doktora Lairda. To niesamowity zbieg okoliczności, że jeden z dodatków żywieniowych Kulli jest taki sam, jak stara ziemska trucizna, ale ile ja się przez to nagłówkowałem! Myślałem, że Bubbakub podsunął ją Keplerowi, żeby go osłabić, ale nie byłem zadowolony z tej teorii - wzruszył ramionami.

- No cóż, mnie przynajmniej ulżyło, że ta sprawa jest wyjaśniona! - zaśmiała się Martine.

- Nie byłam zbyt zadowolona z tego, co ludzie o mnie myśleli! Odkrycie nie było wielkie, ale wyjaśnienie tej małej, nie dającej spokoju zagadki zmieniło w jakiś sposób nastrój wszystkich obecnych. Rozmawiali teraz z ożywieniem. Jedynym zgrzytem było nadejście Pierre’a LaRoque’a, który przeszedł obok śmiejąc się cicho. Doktor Martine poprosiła, żeby przyłączył się do nich, ale mały człowieczek potrząsnął tylko głową i podjął swój powolny marsz wokół krawędzi statku. Stojąc obok Jacoba, Helene dotknęła jego ręki, w której ciągle trzymał tubę Kulli. - Skoro mowa o zbiegu okoliczności, to czy przyjrzałeś się dokładnie wzorowi uzupełnienia żywnościowego Kulli? - przerwała i podniosła wzrok. Pring podszedł do nich i ukłonił się.

- Jeśli już szkończyłeś, Jacob, zajmę się tą lepką tubą.

- Słucham? A, oczywiście. Proszę. Co mówiłaś, Helene?

Nawet kiedy jej twarz była poważna, trudno było pozostać obojętnym wobec jej urody. Tak to właśnie zakochanie sprawia, że przez jakiś przynajmniej czas trudno jest słuchać tego, kogo się kocha.

- Mówiłam tylko, że zauważyłam ciekawą zbieżność, kiedy doktor Martine czytała głośno nazwę chemiczną. Pamiętasz, jak rozmawialiśmy przedtem o laserach opartych na barwnikch organicznych? No więc... - głos Helene rozpłynął się. Jacob widział jej poruszające się usta, ale odgadnąć mógł tylko jedno słowo: ...kumaryna... Gdzieś w głębi wybuchał bunt. Neuroza, do tej pory ujęta w karby, wyrywała się spod kontroli. Pan Hyde próbował przeszkodzić mu w słuchaniu Helene. Co więcej, Jacob nagle zdał sobie sprawę, że jego druga połowa uwięziła do reszty intuicję. Trwało to od chwili, gdy podczas rozmowy na krawędzi pokładu Helene dała do zrozumienia, że chciałaby, aby geny, które powiezie ze sobą na Calypso do gwiazd, pochodziły od niego. Hyde nienawidzi Helene! - uzmysłowił sobie z przerażeniem. - Pierwsza dziewczyna, która mogłaby zacząć zastępować to, co straciłem (podobne do migreny drżenie rozwierciło jego czaszkę), a Hyde jej nienawidzi! (Ból głowy nie ustawał, przeciwnie - narastał). Co więcej, część jego podświadomości nadal się opierała. Widziała wszystkie fragmenty łamigłówki i nie pozwalała im ułożyć się w całość. To było wbrew porozumieniu! Sytuacja była nie do zniesienia, a w dodatku nie wiedział, dlaczego! - Dobrze się czujesz, Jacob? - głos Helene powrócił. Spoglądała na niego kpiarsko.

Ponad jej ramieniem widział Kullę, który stał obok automatów z żywnością i patrzył na nich. - Helene - powiedział - posłuchaj. Przy pulpicie sterowniczym zostawiłem małe pudełeczko z pigułkami. To na te moje bóle głowy. Czy mogłabyś ich poszukać? - Przyłożył dłoń do czoła i skrzywił się z bólu.

- Ale... jasne - Helene dotknęła jego ramienia. - Może pójdziesz ze mną? Mógłbyś się położyć, porozmawialibyśmy...

- Nie - ujął ją za ramiona i delikatnie obrócił we właściwą stronę. - Proszę, idź ty. Ja tu poczekam - wściekle walczył z paniką. Ta rozmowa trwała zbyt długo! - Dobra, zaraz wracam - powiedziała Helene. Jacob odetchnął z ulgą, kiedy się oddalała. Większość osób miała zgodnie z rozkazem gogle przy sobie. Komendant deSilva, kompetentna i wyszkolona, zostawiła swoje okulary na fotelu. Po przejściu jakichś dziesięciu metrów Helene zaczęła się zastanawiać. Jacob nie zostawił żadnego pudełka z tabletkami przy pulpicie sterowniczym. Wiedziałabym, gdyby coś takiego zrobił. Chciał się mnie pozbyć! Ale dlaczego?

Obejrzała się. Jacob odwracał się właśnie od automatu, trzymając w dłoni proteinową bułkę. Uśmiechnął się do Martine i kiwnął głową Chenowi, a potem zaczął iść obok Fagina, żeby dostać się na otwarty pokład. Kulla, który stał z tyłu, obok wejścia do pętli grawitacyjnej, obserwował całą grupę błyszczącymi oczyma. Jacob zupełnie nie wyglądał, jakby bolała go głowa! Helene poczuła się urażona i zmieszana.

Jeżeli nie chce, żebym przy nim była, to świetnie. Będę udawać, że szukam tych jego cholernych pigułek!

Już zaczęła się odwracać, kiedy nagle Jacob potknął się o jedną z korzenio-nóg Fagina i rozciągnął się jak długi na pokładzie. Bułka proteinowa wyleciała mu z rąk i zatrzymała się aż przy obudowie

lasera parametrycznego. Zanim Helene zdołała cokolwiek uczynić, Jacob stał już na nogach, uśmiechając się z zakłopotaniem. Podszedł, żeby podnieść bułkę, a kiedy się po nią schylał, jego ramię zawadziło o kadłub lasera.

W mgnieniu oka pomieszczenie zalało błękitne światło. Zawyły syreny alarmowe. Helene odruchowo zakryła oczy ramieniem i sięgnęła do pasa po gogle. Nie było ich tam!

Do fotela zostały trzy metry. Wiedziała dokładnie, gdzie stoi i gdzie bezmyślnie zostawiła swoje gogle. Odwróciła się, skoczyła po nie i wstała płynnym ruchem, już z ochraniaczami na oczach.

Wszędzie widać było jasne plamki. Odchylony od promienia statku laser P posyłał wiązkę światła, która odbijała się od wewnętrznej, wklęsłej powierzchni pokrywy. Modulowany „kod kontaktowy" rozbłyskiwał na pokładzie i na sklepieniu pomieszczenia. Na podłodze obok automatów z żywnością wiły się jakieś ciała. W pobliżu lasera nie było nikogo, kto mógłby go wyłączyć. Gdzie są Jacob i Donaldson? Oślepli w pierwszym ułamku sekundy?

Przy włazie do pętli grawitacyjnej kilka postaci walczyło ze sobą. W rozbłyskującym, grobowym świetle Helene rozpoznała wśród nich Jacoba Demwę, głównego mechanika i... Kullę. Tamci... Jacob próbował naciągnąć obcemu na głowę worek! Nie było czasu do namysłu. Wybór pomiędzy mieszaniem się w tajemniczą walkę a zapobieżeniem możliwemu zagrożeniu statku był prosty. Helene pobiegła do lasera, uchylając się przed krzyżującymi się w powietrzu bladymi śladami promieni, i wyrwała wtyczkę. Błyskające światłem punkty zgasły natychmiast, oprócz jednego, który jarzył się tam, gdzie w pobliżu włazu rozległ się właśnie ryk bólu, a po nim trzask. Syreny umilkły i słychać było tylko jęki ludzi.

- Pani kapitan, co to jest? Co się dzieje? - w głośnikach zadźwięczał głos pilota. Helene podniosła mikrofon z najbliższego fotela.

- Hughes - powiedziała prędko - jaki jest stan statku?

- W normie. Ale dobrze, że miałem na oczach gogle! Co się do cholery stało? - Obluzował się laser parametryczny. Trzymaj tak dalej. Niech idzie równo kilometr za stadem. Zaraz do ciebie przyjdę - puściła mikrofon i podniosła głowę. - Chen! Dubrowsky! Zgłoście się! - krzyknęła i rozejrzała się w mroku.

- Tutaj, pani kapitan! - dobiegł głos Chena.

Helene zaklęła i zerwała gogle. Chen był przy włazie, klęczał nad leżącą na pokładzie postacią.

- To Dubrowsky - powiedział. - Nie żyje. Cały spalony przez oczy. Doktor Martine kuliła się za grubym pniem Fagina. Kiedy podbiegła do nich Helene, Kanten cicho zagwizdał.

- Wszystko z wami w porządku?

Fagin wydobył z siebie długi ton, który brzmiał trochę jak przeciągłe „tak". Martine nerwowo kiwnęła głową, ale nie przestała ściskać pnia obcego. Gogle przekrzywiły się na jej twarzy. Helene

zdjęła je.

- Dalej, pani doktor. Ma pani pacjentów - pociągnęła ją za ramię. - Chen! Idź do mojej dyżurki i przynieś apteczkę. Tylko biegiem!

Martine zaczęła się podnosić, ale zaraz znów się osunęła, potrząsając głową.

Helene zacisnęła zęby i szarpnęła tamtą gwałtownie za rękę. Martine wstała, chwiejąc się.

Komendant wymierzyła jej policzek.

- Budzić się, pani doktor! Pomożesz mi przy tych ludziach albo, słowo daję, wybiję ci zęby!

Wzięła ją pod rękę i przeprowadziła kilka metrów dalej, gdzie leżeli Donaldson i Demwa. Jacob jęknął i poruszył się. Helene czuła, jak serce bije jej szybciej, kiedy odsuwała dłoń z jego twarzy. Poparzenia były powierzchowne i nie uszkodziły oczu. Jacob zdążył nałożyć gogle.

Poprowadziła potem Martine do Donaldsona i posadziła ją przy nim. Główny mechanik miał spaloną lewą stronę twarzy. Lewe szkło jego gogli było stłuczone. Przybiegł Chen, niosąc apteczkę.

Martine dygocząc odwróciła się od Donaldsona. Kiedy podniosła głowę i zobaczyła Chena z apteczką, wyciągnęła po nią ręce.

- Czy będzie pani potrzebowała pomocy? - spytała Helene.

Martine rozłożyła instrumenty na pokładzie. Nie podnosząc wzroku, potrząsnęła głową.

- Nie. I proszę o ciszę.

Helene przywołała do siebie Chena.

- Idź poszukać LaRoque'a i Kulli. Zgłoś się, kiedy ich znajdziesz.

Mężczyzna oddalił się.

Jacob znowu zajęczał i spróbował unieść się na łokciach. Helene wzięła ręcznik z pobliskiego kranu i zmoczyła go. Uklęknęła przy Jacobie i podniosła go za ramiona, żeby ułożyć sobie jego głowę na kolanach.

Skrzywił się, kiedy delikatnie zwilżała jego rany.

- Och - wyjęczał i podniósł rękę do czoła. - Powinienem być mądrzejszy. Jego przodkowie huśtali się na drzewach, jasne więc, że ma siłę szympansa. A wygląda tak rachitycznie!

- Możesz mi powiedzieć, co się stało? - spytała cicho.

Jacob stęknął, lewą ręką macając na oślep pod sobą. Szarpnął coś kilka razy i wreszcie wyciągnął

duży worek po okularach ochronnych. Przyjrzał mu się, a potem odrzucił go. - Głowę mam taką, jakbym dostał młotem pneumatycznym - powiedział. Podciągnął się do pozycji siedzącej, gmerał chwilę dłońmi przy głowie, potem opuścił je. - Kulla przypadkiem nie leży gdzieś tutaj, co? Miałem nadzieję, że może po tym, jak mnie poraził, wstąpiła we mnie jakaś szalona siła, ale chyba po prostu zrobiło mi się ciemno przed oczyma.

- Nie wiem, gdzie jest Kulla - zaczęła Helene. - Co teraz...?

Z głośnika huknął głos Chena:

- Pani kapitan? Znalazłem LaRoque'a. Jest na dwa i cztery stopnia. Czuje się dobrze. On nawet nie wiedział, że mamy kłopoty!

Jacob przekręcił się w stronę doktor Martine i zaczął coś jej tłumaczyć z ożywieniem.

Helene wstała i podeszła do mikrofonu obok automatów z napojami.

- Widziałeś Kullę?

- Nie, ani śladu po nim. Pewnie jest na odwrotnej stronie - Chen ściszył głos. - Mam wrażenie, że odbyła się tu walka. Czy pani wie, co się stało? - Odezwę się, kiedy będę coś wiedziała. A ty w tym czasie mógłbyś zluzować Hughesa.

Jacob zbliżył się do niej.

- Donaldson wyjdzie z tego, ale będzie mu potrzebne nowe oko. Posłuchaj, Helene, idę ścigać Kullę. Daj mi jednego z twoich ludzi, dobrze? A potem wydostań nas stąd tak szybko, jak tylko możesz.

Helene zamurowało.

- Przed chwilą jednego z moich ludzi zabiłeś! Dubrowsky nie żyje! Donaldson oślepł, a ty chcesz teraz, żebym wysłała jeszcze kogoś, kto miałby ci pomóc dalej prześladować tego biedaka Kullę. Czyś ty zwariował?

- Helene, nikogo nie zabiłem.

- Widziałam to, ty pokręcony idioto! Laser zgłupiał, bo wpadłeś na niego! Ty to zrobiłeś!

I dlaczego rzuciłeś się na Kullę?

- Helene... - Jacob skrzywił się. Podniósł rękę do twarzy. - Nie ma czasu na wyjaśnienia. Musisz nas stąd wydostać. Nie wiadomo, co on tam może zrobić na dole, skoro już o wszystkim wiemy.

- Wyjaśnij to najpierw!

- Ja... popchnąłem ten laser specjalnie... Ja...

Kombinezon Helene był tak obcisły, że Jacob nigdy by nie zgadł, gdzie ukryty był mały pistolet ogłuszający, który pojawił się teraz w jej dłoni.

- Dalej, Jacob - nakazała beznamiętnym tonem.

- On mnie obserwował. Wiedziałem, że jak tylko dam po sobie poznać, że zrozumiałem, oślepi nas wszystkich w jednej chwili. Kazałem ci odejść, żebyś była bezpieczniejsza, i poszedłem poszukać worka po goglach. Laser obluzowałem, żeby odwrócić jego uwagę... no... światło lasera w całym pomieszczeniu...

- A moich ludzi zabiłeś i poraniłeś!

Jacob przysunął się do niej bliżej.

- Posłuchaj, ty głupia babo! - Podniósł się tak, że patrzył na nią z góry. - Wytłumiłem tę wiązkę! Mogła kogoś oślepić, ale nie spalić! A teraz, jeżeli mi nie wierzysz, to załatw mnie! Dołóż mi! Tylko prędko nas stąd wyciągnij, i to zanim Kulla wszystkich zabije!

- Kulla...

- Jego oczy, do jasnej cholery! Kumaryna! Jego „uzupełnienie żywnościowe” to barwnik stosowany w laserach! Kulla zabił Dubrowskiego, kiedy ten próbował pomóc mnie i Donaldsonowi! Kłamał o tych laserowych roślinach na swojej planecie! Pringowie mają swoje własne źródło spójnego światła! Przez cały czas wyświetlał „dorosłe” Słoneczne Duchy! I... a niech to! - Jacob zamachnął się pięścią. - Jeżeli ten jego projektor jest na tyle precyzyjny, że może wyświetlać fałszywe „Duchy” na wewnętrznej stronie powłoki heliostatku, to potrafi też działać na wejściowe dane optyczne komputerów zaprojektowanych według wskazówek Biblioteki! On przeprogramował komputery, żeby rozpoznały LaRoque’a jako Nadzorowanego. I jeszcze... byłem tuż obok niego, kiedy programował statek Jeffa na samozniszczenie! Ja podziwiałem ładne światełka, a on przez cały czas wprowadzał polecenia!

Helene cofnęła się o krok, potrząsając głową. Jacob przysunął się do niej, potężny, z zaciśniętymi pięściami, choć widać było, że wyrzuca sobie winę. - Dlaczego to właśnie Kulla zawsze jako pierwszy zauważał człekokształtne Duchy? Dlaczego żadnego z nich nie widziano, kiedy Kulla był z Keplerem na Ziemi? Że też nie pomyślałem wcześniej o tym, dlaczego uczestniczył w odczycie „wzoru siatkówki” podczas sprawdzania tożsamości!

Słowa padały zbyt szybko. Helene zmarszczyła brwi z napięcia, próbując to przemyśleć.

- Helene, musisz mi uwierzyć! - Oczy Jacoba wyrażały błaganie.

Zawahała się, ale wreszcie krzyknęła:

- Niech to cholera! - i rzuciła się do mikrofonu.

- Chen! Wyciągaj nas stąd! Nie zwracaj uwagi na ostrzeżenia o nie zapiętych pasach, tylko daj ciąg do dechy i uruchom kompresję czasu! Chcę zobaczyć czarne niebo zanim zdążę mrugnąć okiem!

- Tak jest!

Statkiem szarpnęło w górę i pola kompensacyjne częściowo się poddały. Jacob i Helene zatoczyli się. Komendant nie wypuściła mikrofonu.

- Cała załoga! Włożyć gogle i od tej pory nie zdejmować ich ani na chwilę. Niech każdy przypnie się pasami najszybciej jak może. Hughes, natychmiast zamelduj się przy wejściu do pętli!

Na zewnątrz statku torusy zaczęły oddalać się coraz prędzej. Kiedy stworzenia po kolei znikały pod krawędzią pokładu, ich obrzeża rozbłyskiwały jasno, jakby na pożegnanie. - Ja też powinnam się była w tym połapać - stwierdziła ponuro Helene. - A tymczasem wyłączyłam laser i pewnie pozwoliłam mu uciec.

Jacob pocałował ją pospiesznie, ale na tyle mocno, że poczuła mrowienie warg.

- Po prostu nie wiedziałaś. Na twoim miejscu zrobiłbym to samo.

Helene dotknęła ust Jacoba i spojrzała przez jego ramię na ciało Dubrowskiego.

- Odesłałeś mnie, bo...

- Pani kapitan - przerwał jej głos Chena. - Mam kłopoty z przejściem na ręczne sterowanie kompresją czasu. Czy Hughes nie mógłby mi pomóc? Poza tym straciliśmy właśnie łączność maserową z Merkurym.

Jacob wzruszył ramionami.

- Najpierw łączność maserowa, żeby wiadomości się nie rozeszły, potem kompresja czasu, potem napęd grawitacyjny, na koniec staza. Zgaduję, że ostatnim krokiem będzie spalenie osłon. Chyba że wystarczą wcześniejsze posunięcia. Powinny zresztą wystarczyć. - Brak zgody, Chen - rzuciła Helene do mikrofonu. - Hughes jest mi tu potrzebny! Rób sam, co tylko możesz - przekręciła wyłącznik.

- Idę z tobą - zwróciła się do Jacoba.

- Nigdzie nie idziesz - odparł. Znów nałożył gogle i podniósł z podłogi worek. - Jeśli Kulla przejdzie do trzeciego posunięcia, zrobi się nam tu gorąco, i to dosłownie. Ale jeśli uda mi się go powstrzymać w pół kroku, to tylko ty masz szansę wyciągnąć nas stąd. A teraz pożycz mi pistolet, proszę. Może się przydać.

Helene wręczyła mu go. W tej chwili kłótnie byłyby absurdalne. To Jacob rządził. Ona sama nie miała żadnych pomysłów.

Cichy pobrzęk statku zmienił rytm i przeszedł w niski, nierówny warkot. - To kompresja czasu - odpowiedziała Helene na pytające spojrzenie Jacoba. - Zaczął już nas hamować. Zabrzmi to dwuznacznie, ale nie mamy zbyt wiele czasu.

25. W potrzasku

Jacob kulił się w przejściu, gotów zanurkować za występ ściany, gdy tylko ujrzy wysokiego, szczudłowatego obcego. Do tej pory szło dobrze. W pętli grawitacyjnej nie było Kulli.

Biegnąca do góry nogami droga na odwrotną stronę, zresztą jedyna, byłaby dobrym miejscem na zasadzkę, ale Jacob nie był wcale zdziwiony, że nie napotkał tam Kulli, i to z dwóch przyczyn.

Pierwsza była taktyczna. Broń Kulli działała na linii wzroku. Pętla zwinięta była bardzo ciasno, tak że ludzie mogli zbliżyć się do siebie na odległość kilku metrów i nie widzieć się nawzajem. Przedmiot rzucony wzdłuż pętli przelatywał większą jej część nie zmieniając prędkości, tego Jacob był pewien. Kiedy wraz z Hughesem wchodzili do przejścia, cisnęli kilka zabranych z mesy noży. Znaleźli je w pobliżu wylotu na odwrotną stronę, w kałuży amoniaku z tub, które wycisnęli przed sobą, idąc do góry nogami. Kulla mógł czekać tuż za drzwiami, ale miał jeszcze jeden powód, żeby pozostawić tyły nie osłonięte. Miał niewiele czasu, zanim heliostatek osiągnie wysoką orbitę. Gdyby wydostali się na wolną przestrzeń, ludziom przestałyby zagrażać wiry burz chromosfery, a wytrzymała lustrzana skorupa fizyczna statku ochroniłaby ich przed żarem Słońca do czasu, aż nadeszłaby pomoc.

Kulla musiał więc wykończyć ich i siebie jak najprędzej. Jacob był pewien, że Pring jest teraz przy wejściu komputera, dziewięćdziesiąt stopni w prawo wokół kopuły, i za pomocą swojego laserowego spojrzenia powoli przedziera się przez programy zabezpieczające maszynę.

Pytanie dlaczego to robił, musiało jeszcze poczekać na odpowiedź. Hughes podniósł noże. Razem z torbą, tubami i małym ogłuszaczem Helene stanowiły ich uzbrojenie.

Sytuacja była klasyczna. Ponieważ alternatywą była śmierć wszystkich, jeden z mężczyzn powinien poświęcić się, by drugi mógł załatwić Kullę.

Jacob i Hughes mogli starannie skoordynować swoje zbliżanie się z różnych kierunków, żeby zaskoczyć Kullę dokładnie w tej samej chwili. Jeden z nich mógł też nadejść z przodu, a drugi wymierzyć ogłuszacz, kryjąc się za jego ramieniem. Niestety, żaden z tych planów nie byłby skuteczny. Ich przeciwnik mógł zabić człowieka spoglądając na niego przez moment. W przeciwieństwie do „dorosłych" Duchów Słonecznych, wywołanych projekcją ciągłą, mordercze błyskawice Kulli były jednorazowymi wyładowaniami. Jacob żałował, że nie pamięta, ile ich zostało wystrzelonych podczas walki na górze ani z jaką częstotliwością się powtarzały. Prawdopodobnie nie miało to zresztą wielkiego znaczenia. Kulla miał dwoje oczu i dwóch wrogów. Na każdego wystarczyłoby pewnie po jednej błyskawicy.

Co gorsza nie mieli pewności, czy obdarzony umiejętnością projekcji holograficznej Kulla nie potrafi zlokalizować ich na podstawie odbić od wewnętrznej powłoki statku, gdy tylko wyjdą z przejścia. Odbicia prawdopodobnie nie mogły ich zranić, ale była to słaba pociecha.

Gdyby podczas wewnętrznych odbić wiązki nie było takiego paskudnego osłabienia, mogliby

próbować unieszkodliwić obcego za pomocą lasera P. Wystarczyło pozwolić mu omiatać cały statek, podczas gdy ludzie i Fagin siedzieliby ukryci w pętli grawitacyjnej. Jacob zaklął. Dlaczego oni tam tak zwlekają z tym laserem? Obok niego Hughes mruczał cicho do mikrofonu w ścianie.

- Są gotowi - zwrócił się do Jacoba.

Gogle uchroniły ich prawie całkowicie przed bólem, kiedy sklepienie eksplodowało światłem. Kilka chwil minęło jednak, nim przestali łzawić i przyzwyczaili się do jasności. Komendant deSilva, najprawdopodobniej z pomocą doktor Martine, przeciągnęła laser parametryczny na nowe stanowisko w pobliżu krawędzi górnego pokładu. Jeśli jej rachuby były słuszne, promień powinien trafić w sklepienie nad odwrotną stroną dokładnie tam, gdzie znajdowało się wejście komputera. Niestety, skomplikowany tor wiązki biegnącej od jednego punktu do drugiego przez wąską szczelinę za krawędzią pokładu sprawiał, że szansę zaszkodzenia Kulli były minimalne.

Laser przestraszył go jednak. W chwili, gdy promień uderzył, usłyszeli gdzieś z prawej strony nagłe szczękanie i odgłosy ruchu.

Kiedy Jacob otworzył oczy, ujrzał wiszącą w powietrzu cienką pajęczynę jasnych linii. Promień lasera parametrycznego zostawiał ślad w niewielkiej ilości kurzu wiszącego w powietrzu. Była to okoliczność sprzyjająca, dzięki temu mogli unikać niebezpiecznej wiązki. - Mikrofony na cały regulator? - spytał Jacob szybko.

Hughes pokazał pięść z wyciągniętym kciukiem.

- W porządku, ruszamy!

Laser parametryczny emitował chaotycznie kolory z zakresu błękitów i zieleni. Mieli nadzieję, że wprowadzi to zamęt w odbicia od wewnętrznej powłoki. Jacob zebrał się w sobie i zaczął odliczać.

- Raz, dwa, już!

Wyskoczył na otwartą przestrzeń i zanurkował za jedno ze zwalistych urządzeń rejestrujących, które stały na krawędzi pokładu. Usłyszał, jak Hughes ciężko ląduje dwie maszyny za nim.

Kiedy się odwrócił, tamten machnął mu ręką.

- U mnie nic! - wyszeptał chrapliwie.

Jacob wyjrzał za róg swojej maszyny, używając do tego celu umazanego tłuszczem lusterka z apteczki. Hughes miał drugie lusterko, z torby Martine. Kulli nie było nigdzie widać.

Jacob i Hughes mogli obserwować jakieś trzy piąte pokładu pomiędzy sobą. Wejście komputera znajdowało się po drugiej stronie kopuły, tuż poza zasięgiem wzroku Hughesa. Jacob musiał skorzystać z dłuższej drogi dookoła, przeskakując od jednej maszyny do drugiej. Tam, gdzie wiązka lasera odbijała się od wewnętrznej strony pokrywy statku, płonęły jasne plamki. Ich barwy zmieniały się nieustannie na tle czerwono-różowych wyziewów chromosfery, które otaczały statek. Kilka minut wcześniej opuścili wielkie włókno, a wraz z nim stado toroidów, które teraz wisiało już sto

kilometrów niżej. To „niżej” znajdowało się dokładnie nad głową Jacoba. Fotosfera z Wielką Plamą na samym środku tworzyła ogromną, płaską, nieskończoną ognistą powałę, z której zwieszały się kolce podobne do stalaktytów.

Jacob napiął mięśnie i schylony wypadł ze swojej kryjówki, nie patrząc w stronę, gdzie mogła kryć się jakaś zasadzka.

Przeskoczył nad promieniem lasera P, którego tor znaczył się na unoszących się drobinach kurzu, i zanurkował za następną maszynę. Szybko wydobył lusterko, żeby zbadać nowy obszar.

Kulli nie było widać.

Nie było też widać Hughesa. Jacob zagwizdał dwie krótkie nuty kodu, który wcześniej uzgodnili. W porządku. Usłyszał pojedynczy gwizd, odpowiedź towarzysza. Tym razem musiał dać nura pod promieniem lasera. Kiedy biegł, skóra cierpła mu przez cały czas w oczekiwaniu na palący błysk światła z boku. Przypadł do następnej maszyny i chwycił się jej, żeby się uspokoić. Oddychał ciężko. To nie było normalne! Nie powinien być już tak zmęczony. Coś było nie w porządku. Przełknął ślinę i zaczął wysuwać lusterko po drugiej stronie maszyny. Nagły ból przeszył mu końce palców, krzyknął i upuścił lusterko. Prawie wepchnął już sobie dłoń do ust, ale w ostatniej chwili zatrzymał ją kilka centymetrów od twarzy, krzywiąc się z bólu. Automatycznie zaczął wchodzić w lekki trans uśmierzający. Czerwone ciernie przygasły, a palce zdawały się oddalać. Wreszcie strumień znieczulenia urwał się. Było to jak przeciąganie liny. Jakiś przeciwny napór odpowiadał na jego hipnozę z taką samą siłą. Bez względu na to, jak mocno się koncentrował, nie zdołał posunąć się dalej. Jeszcze jedna sztuczka pana Hyde’a. Cholera, nie ma czasu, żeby się z nim targować... czegokolwiek by chciał. Jacob spojrzał na dłoń, ból był ledwie do zniesienia. Palce wskazujący i serdeczny były okropnie spalone, inne ucierpiały mniej. Udało mu się zagwizdać krótki kod do Hughesa. Nadszedł czas, żeby wprowadzić w życie plan, jedyny, który miał realne szansę się powieść. Uratować ich mogło tylko wydostanie się z chromosfery w kosmos. Kompresja czasu była zablokowana na prowadzeniu automatycznym - Kulla zatroszczył się o to zaraz po tym, jak uporał się z łącznością maserową - czas subiektywny zgadzał się więc dość dokładnie z rzeczywistym czasem potrzebnym na opuszczenie chromosfery. Ponieważ atakowanie Kulli było prawie na pewno skazane na niepowodzenie, najlepszym sposobem, żeby odwlec morderstwo i samobójstwo, które obcy chciał popełnić, było wciągnięcie go w rozmowę.

Jacob zaczerpnął parę oddechów, opierając się o holokamerę i uważnie nasłuchując. Kulla zawsze chodził głośno. To była największa nadzieja w spotkaniu z przytłaczającymi siłami atakującego Pringa. Gdyby Kulla narobił za dużo hałasu na otwartej przestrzeni, Jacob mógłby spróbować użyć ogłuszacza, który ściskał kurczowo w zdrowej ręce. Wiązka pistoletu była szeroka i nie trzeba było zbyt dokładnie celować.

- Kulla! - zawołał. - Nie uważasz, że już dosyć tego? Może wyjdziesz i porozmawiamy? Nasłuchiwał. Rozległ się przytłumiony furkot, jakby kafary Kulli szczękały cicho pod grubymi, chwytnymi wargami. Podczas walki na górze największym problemem dla niego i Donaldsona było unikanie tych błyskających biało trzonowców. - Kulla! - powtórzył. - Wiem, że to głupie osądzać obcego według wartości własnego gatunku, ale naprawdę uważałem cię za przyjaciela. Winien nam jesteś jakieś wyjaśnienie! Porozmawiaj z nami! Jeżeli działasz na polecenie Bubbakuba, możesz się

poddać, a ja przysięgam, że wszyscy potwierdzimy, że rozpętałeś tu bitwę na całego! Furkot stał się głośniejszy. Na krótko dołączyło się do niego szuranie stóp. Raz, dwa, trzy... ale to było wszystko. Za mało, żeby ustalić, skąd dobiega. - Przykro mi, Jacob - głos Kulli niósł się cicho po pokładzie. - Zanim umrzemy, będę musiał ci wszysztko powiedzieć, ale najpierw proszę, żebyś kazał wyłączyć ten laszer. To boli!

- Moja ręka też, Kulla.

- Naprawdę mi przykro, Jacob - w głosie Pringa brzmiał smutek. - Zrozum, proszę, że naprawdę jeszteś moim przyjacielem. Robię to po części także dla twojego gatunku. Te zbrodnie są konieczne, Jacob. Cieszę się ogromnie, że śmierć jeszt bliszko, nie będą mnie więcz gnębić wszpomnienia.

Sofistyka obcego zdumiała Jacoba. Nigdy by się nie spodziewał z jego strony takich prostackich skamleń, bez względu na powody, dla których to wszystko zrobił. Już miał wymyślić jakąś odpowiedź, kiedy z głośników zabrzmiał głos Helene:

- Jacob? Słyszysz mnie? Napęd grawitacyjny słabnie coraz szybciej. Tracimy prędkość. Nie powiedziała tylko, czym to grozi. Jeżeli prędko czegoś nie zrobią, zacznie się długi upadek w fotosferę, z którego nie będzie już powrotu. Kiedy statek raz dostanie się w uścisk komórek konwekcyjnych, zostanie pociągnięty do jądra gwiazdy. Jeśli do tego czasu będzie jeszcze istniał.

- Widzisz, Jacob - odezwał się Kulla. - Granie na zwłokę nicz nie pomoże. To już się ształo. Zosztanę tutaj i dopilnuję, żebyście nie mogli niczego naprawić. Proszę tylko, rozmawiajmy do szamego końca. Nie chczę, żebyśmy umarli jako wrogowie. Jacob spojrzał na zewnątrz, na rzadką, czerwoną od wodoru atmosferę Słońca. Macki ognistych wyziewów nadal uciekały w dół (dla niego - w górę) obok statku, ale mogło to być wywołane ruchem gazu w tym miejscu. Bez wątpienia poruszali się teraz znacznie wolniej. Być może statek już spadał.

- Z ogromną bysztrością odkryłeś mój talent i moją misztyfikaczję, Jacob. Żeby znaleźć odpowiedź, musiałeś połączyć wiele niewyraźnych śladów. Nawiązanie do przeszłości mojej raszy było genialnym poszunięciem! Moje fantomy unikały detektorów, ale powiedz, czy nie zwiodło cię, że zjawy pojawiały się czaszem na górze, gdy ja byłem na odwrotnej sztronie? Jacob usiłował myśleć. Chłodny bok pistoletu przycisnął do policzka. Uczucie było przyjemne, ale pomysłów od tego nie przybywało. A jeszcze część uwagi musiał poświęcić rozmowie z Kullą.

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Myślę, że po prostu wychylałeś się i emitowałeś obraz przez przezroczyste pole podtrzymujące pokład. To by tłumaczyło, dlaczego wyglądał jak załamany. W rzeczywistości był odbity pod pewnym kątem od wnętrza powłoki. Rzeczywiście, to był ważny trop. Ciekawe, dlaczego go przegapił. I jeszcze to jasnoniebieskie światło podczas głębokiego transu w Baja! To przecież było tuż przed tym, jak się obudził i zobaczył stojącego przed nim Kullę! Iti musiał zrobić jego hologram! Znakomity sposób, żeby poznać kogoś i nigdy nie zapomnieć jego twarzy! - Kulla - powiedział powoli - nie chodzi o to, że chowam urazę, nic takiego. Ale czy to ty odpowiadasz za moje zwariowane zachowanie pod koniec ostatniego nurkowania? Chwilę trwało milczenie, a potem Kulla odpowiedział. Seplenił coraz bardziej. - Tak, Jacob. Przepraszam, ale robiłesz szę czoraz bardziej wszcibski. Miałem nadzieję, że to cię szkompromituje. Nie udało mi szę.

- Ale jak...

- Szłuchałem tego, czo doktor Martine mówiła o wpływie błaszku na ludzi!

Pring prawie krzyczał. Jacob nie pamiętał, żeby Kulla przerwał komukolwiek przedtem. - Czałe mieszącze ekszperymentowałem na Keplerze! Potem na LaRoque'u i Jeffie... potem na tobie. Używałem wąszkiej wiązki dyfrakczyjnej. Wprowadzała zamęt w twoje myszli, a nikt nie mógł jej zobaczyć! Nie wiedziałem, czo zrobisz, ale wiedziałem, że to będzie nieprzyjemne. Naprawdę, przykro mi. To było konieczne! Teraz już na pewno przestali się wznosić. Olbrzymie włókno, które opuścili kilka minut wcześniej, wisiało nad głową Jacoba. Macki zorzy zwijały się i falowały, wyciągając się w stronę statku jak chwytne palce.

Jacob próbował znaleźć jakiś sposób, ale jego wyobraźnię blokowała jakaś potężna siła.

W porządku! Poddaję się!

Wezwał swoją chorobę do przedstawienia warunków. Co też ta pieprzona cholera od niego chce?

Potrząsnął głową. Trzeba będzie przywołać procedurę specjalną. Hyde ujawni się i stanie się jego częścią, jak w dawnych, złych czasach. Jak wtedy, kiedy na Merkurym ścigał LaRoque'a i kiedy włamywał się do laboratorium fotograficznego. Przygotował się do wejścia w trans.

- Jeszcze jedno, Kulla! Powiedz mi, dlaczego to wszystko zrobiłeś? Nie miało to znaczenia. Może Hughes słuchał, Helene mogła nagrywać. Jacob był zbyt zajęty, żeby się tym przejmować.

Sprzeciw! W nielinearnych, nieprostokątnych współrzędnych myśli przesiewał przez sito uczucia i wrażenia. Dawny porządek działał jeszcze resztką sił, posłużył się więc nim. Dekoracje i maski opadały powoli i na końcu stanął twarzą w twarz ze swoją drugą połową.

Blanki murów, niezdobyte w każdym poprzednim oblężeniu, teraz były jeszcze potężniejsze. Gliniane wały zastąpiono kamiennymi. Z zasieków sterczały zaostrzone i wąskie igły, a każda z nich miała trzydzieści kilometrów długości. Na szczycie najwyższej wieżycy powiewała flaga. Napis na niej głosił „Wierność". Proporzec unosił się nad dwoma palami, na każdy z nich wbita była głowa.

Jedną z nich rozpoznał natychmiast. To był on sam. Krew ściekająca z odrąbanej szyi jeszcze lśniła. Na twarzy zastygł wyraz skruchy.

Druga głowa sprawiła, że zadrżał. Należała do Helene. Jej twarz poznaczona była bruzdami i bliznami, a kiedy przyjrzał się oczom, dostrzegł, że powieki drżą słabo. Głowa jeszcze żyła.

Ale dlaczego! Skąd ta nienawiść do Helene? I skąd pragnienia samobójcze... skąd niechęć do połączenia się z nim i stworzenia nadczłowieka, którym był kiedyś? Gdyby Kulla postanowił zaatakować w tej chwili, Jacob byłby bezradny. Jego uszy wypełniał świst zawodzącego wiatru. Słychać było ryk odrzutowców, a potem odgłos spadającego ciała... Jej krzyk, kiedy spadała tuż obok niego. Po raz pierwszy udało mu się zrozumieć słowa.

„Jake, uważaj na pierwszy stopień...!"

To wszystko? W takim razie po co to całe zamieszanie? Po co miesiące prób wydobycia na światło tego, co okazało się ostatnim żartem Tani?

No jasne. Teraz, kiedy nadciągała śmierć, jego choroba pozwalała mu zrozumieć, że te ukryte słowa były jeszcze jednym fałszywym tropem. Hyde miał w zanadrzu coś jeszcze, i była to...

Wina.

Jacob wiedział, że sporo wycierpiał po zdarzeniach na Waniliowej Igle, ale nigdy nie uzmysławiał sobie, ile. Teraz dopiero dostrzegł, jak chory był układ między Jekyllem i Hydem, z którym do tej pory żył. Zamiast powoli zdrowieć po wstrząsie i stracie, uwięził w sobie sztuczną osobowość, która rosła i karmiła się nim i jego wstydem za to, że pozwolił Tani zginąć, wstydem za najwyższą arogancję człowieka, który tamtego szalonego dnia, trzydzieści kilometrów nad ziemią, myślał, że zdoła zrobić dwie rzeczy na raz. To był po prostu jeszcze jeden rodzaj arogancji - wiara w to, że potrafi ominąć zwyczajny, ludzki sposób radzenia sobie ze smutkiem, czas znoszenia bólu i przezwyciężania go, a więc to wszystko, co przeżywały miliardy jego bliźnich, którzy kogoś stracili. Dlatego unikał bliskości innych ludzi.

Za to teraz był w pułapce. Znaczenie proporca na murach było jasne. Zamroczony chorobą myślał, że zmaże część swojej winy, manifestując wierność osobie, którą zawiódł. Wierność nie otwartą, ale skrytą głęboko - wierność chorą, opartą na stronieniu od wszystkich, a jednocześnie na przekonaniu, że wszystko z nim jest w porządku, skoro ma kochanki!

Nic dziwnego, że Hyde nienawidzi Helene! Nic dziwnego, że pragnie także śmierci Jacoba Demwy!

Tania by nigdy tego nie pochwaliła - powiedział sobie. Ale TO nie słuchało. Miało własną logikę i nie potrzebowało innej.

Cholera! Ona by pokochała Helene!

Nie pomogło to ani trochę. Bariera była niewzruszona. Otworzył oczy. Szkarłat chromosfery nabrał intensywności. Znów byli we włóknie. Jaskrawy błysk, widoczny nawet przez gogle, kazał mu spojrzeć w lewo. To był toroid. Wrócili pomiędzy stado.

W miarę jak patrzył, kilka następnych przesunęło się obok statku. Ich krawędzie ozdabiały jasne desenie. Obracały się jak oszalałe precelki, nie zważając na zagrożenie, jakim był dla nich statek.

- Jacob, nie odpowiedziałesz - monotonny, sepleniący głos Kulli roztapiał się w ciszy.

Dopiero na dźwięk swojego imienia Jacob zaczął go słuchać. - Na pewno masz własne zdanie o moich motywach. Ale czy nie widzisz, że będzie z tego więcej dobrego... nie tylko dla mojego gatunku, ale i dla twojego, a także dla waszych podopiecznych?

Jacob energicznie potrząsnął głową, żeby dojść do siebie. Musiał walczyć z sennością, którą wywoływał Hyde! Miało to tylko taką dobrą stronę, że ręka przestała go boleć. - Kulla, potrzebuję chwili czasu, żeby to przemyśleć. Może byśmy trochę odsapnęli i naradzili się? Przyniósłbym ci coś

do jedzenia i może udałoby się nam coś wspólnie wymyślić.

Zapanowało milczenie, po czym odezwał się Kulla:

- Bardzo jeszteś szprytny, Jacob. Propozyczja jest kuszącza, ale teraz widzę, że lepiej będzie, jeżeli ty i twój przyjaciel zosztaniecie tam, gdzie jeszteście. Wolę być pewien. Jeśli któryś z was się ruszy, „popatrzę" na niego.

Jacob ospale zastanawiał się, co też takiego „sprytnego" było w pomyśle zaproponowania obcemu czegoś do zjedzenia, i dlaczego przyszło mu to do głowy? Spadali teraz szybciej. Stado torusów nad nimi sięgało aż do złowieszczej granicy fotosfery. Najbliższe ze stworzeń rozbłysło błękitem i zielenią, kiedy obok niego przemknęli. Kolory zbladły z odległością. Najdalsze torusy wyglądały jak maleńkie, niewyraźne obrączki, zawieszone na drobniutkich iskrach zielonego światła.

Wśród pobliskich magnetożerców zaczął się jakiś ruch. Jeden po drugim odsuwały się na bok i „w dół" z odwrotnej perspektywy Jacoba. Wybuch zieleni wypełnił raz heliostatek, kiedy omiótł ich jeden z laserów. Nie zginęli, a to znaczyło, że ekrany automatyczne ciągle działały.

Trzepoczący kształt przemknął na zewnątrz nad głową Jacoba i zniknął za pokładem pod jego stopami. Zaraz pojawiła się następna falująca zjawa i na chwilę zawisła nad osłoną statku. Jej ciało mieniło się barwami. Za moment widmo wystrzeliło w górę i zniknęło. Słoneczne Duchy zaczęły się gromadzić. Być może szaleńczy upadek heliostatku rozbudził wreszcie ich ciekawość.

Do tej pory zostawili już za sobą większą część stada. Wprost nad głową Jacoba, na linii ich upadku, wisiała jeszcze spora gromada magnetożerców. Tańczyli wokół niej maleńcy, jaśniejący pasterze. Jacob miał nadzieję, że usuną się z drogi. Nie było sensu pociągać za sobą kogokolwiek. Rozżarzona wiązka lasera chłodzącego statku uderzyła niebezpiecznie blisko grupy.

Jacob zebrał się w sobie. Nie można było zrobić nic innego. Wraz z Hughesem musieli zaryzykować frontalny atak na Kullę. Zagwizdał kod - dwa długie i dwa krótkie. Po chwili rozległa się odpowiedź. Jego partner był gotowy.

Czekał na pierwszy odgłos. Uzgodnili wcześniej, że kiedy będą już dostatecznie blisko, atak musi rozpocząć się dokładnie wtedy, gdy rozlegnie się jakikolwiek dźwięk; inaczej Kulla byłby ostrzeżony i plan spaliłby na panewce. Dosłownie. Ponieważ Hughes miał do przebycia dłuższą drogę, to on musiał ruszyć pierwszy.

Jacob spiął się do skoku i całą wolę skoncentrował na ataku. W spoconej lewej dłoni trzymał ogłuszacz. Nie zwracał uwagi na dreszcze, które wstrząsały pojedynczymi częściami jego umysłu i rozpraszały go.

Dźwięk dobiegł gdzieś z prawej, jakby ktoś tam upadł. Jacob wysunął się spoza maszyny, przyciskając jednocześnie spust ogłuszacza.

Nie napotkał błyskawicy. Kulli tu nie było. Zmarnował się tylko jeden z cennych ładunków broni.

Pobiegł naprzód najprędzej jak mógł. Gdyby udało mu się zaskoczyć obcego, gdy ten odwrócony plecami załatwia się z Hughesem...

Oświetlenie zmieniało się. Przebiegł zaledwie kilka kroków, kiedy padająca z góry niebieskozielona jasność zastąpiła czerwony blask fotosfery. Pędząc przed siebie Jacob zdobył się na krótki rzut oka w górę. Światło pochodziło z torusów. Ogromne zwierzęta słoneczne szybko wysuwały się spod heliostatku i ustawiały na kursie zderzenia. Rozdzwoniły się alarmy, Helene deSilva zaczęła ostrzegać wszystkich donośnym głosem. Kiedy błękit stał się jeszcze jaśniejszy, Jacob przeskoczył ponad śladem pozostawionym przez promień lasera w zakurzonym powietrzu i wylądował dwa metry od Kulli. Tuż za obcym klęczał Hughes, podnosząc w górę zakrwawione ręce. Jego noże rozrzucone były dookoła. Tępo wpatrywał się w Kullę, oczekując na ostateczny cios. Kiedy ostrzeżony hałasem Kulla okręcił się, Jacob podniósł ogłuszacz. Naciskając na spust, myślał przez mgnienie oka, że mu się udało.

Nagle cała jego lewa ręka eksplodowała bólem. Podrzucony przez spazm ogłuszacz wyleciał z dłoni. Przez chwilę pokład jakby się zakołysał, potem wzrok Jacoba się wyostrzył i ujrzał stojącego nad nim Kullę. Oczy Pringa były matowe, za to jego kafary lśniły w całej okazałości, poruszając się na końcach chwytnych „warg". - Przykro mi, Jacob - obcy seplenił tak strasznie, że Jacob z trudem rozumiał słowa. - To muszi tak bycz.

ET chciał wykończyć go tymi toporami! Jacob odsunął się, czując przerażenie i odrazę.

Kulla postąpił za nim. Kafary trzaskały powoli, potężnie, do rytmu jego kroków. Jacoba ogarnęła nieskończona rezygnacja, poczucie porażki i nadciągającej śmierci. Cofał się wolniej. Rwanie w ręce było niczym wobec bliskości umierania. - Nie! - krzyknął chrapliwie. Rzucił się naprzód z opuszczoną głową, w kierunku Kulli. W tej samej chwili jeszcze raz zabrzmiał głos Helene i wszystko utonęło w błękicie z góry. Rozległ się daleki pomruk, a potem potężna siła uniosła ich znad podłogi w powietrze. Pokład w dole kołysał się gwałtownie.

CZĘŚĆ DZIEWIĄTA

Był niegdyś młodzieniec tak prawy, że bogowie postanowili spełnić jego życzenie.

Wtedy on zapragnął być przez jeden dzień woźnicą rydwanu Słońca.

Apollo przewidywał straszliwe konsekwencje, ale został przegłosowany.

Dalsze wydarzenia pokazały jednak, że miał rację.

Powiada się, że Sahara jest śladem spustoszeń, jakie pozostawił za sobą niedoświadczony woźnica, gdy jego pojazd zanadto zbliżył się do Ziemi.

Od tamtej pory bogowie starają się tworzyć zamknięty klub.

26. Tunelowanie

Jacob wylądował po przeciwnej stronie konsoli komputera. Upadł twardo na plecy, żeby ochronić pokryte pęcherzami, krwawiące ręce. Na szczęście sprężysty metal pokładu zamortyzował nieco impet uderzenia.

Kiedy obrócił się na łokciach, poczuł smak krwi i zadzwoniło mu w uszach. Pokład podskakiwał, bo u góry magnetożercy nadal trącali podbrzusze heliostatku, wypełniając odwrotną stronę promiennym, błękitnym światłem. Trzy z toroidów zetknęły się ze statkiem około czterdziestu pięciu stopni „nad" pokładem, pozostawiając lukę dokładnie w środku. Laser chłodzący mógł przez tę szczelinę tryskać w dół, w kierunku fotosfery swoim śmiercionośnym promieniem nagromadzonego żaru słonecznego. Jacob nie miał czasu zastanawiać się, co robią stworzenia - atakują, czy tylko się bawią. (Cóż za myśl!) Musiał jak najprędzej skorzystać z tego niespodziewanego odroczenia wyroku.

Hughes wylądował niedaleko. Stał już na nogach, zataczając się w szoku. Jacob podbiegł do niego i ujął go za ramię... unikając zetknięcia poranionych dłoni. - Dalej, Hughes. Jeżeli Kulla jest ogłuszony, to może uda nam się go zaskoczyć! Hughes skinął głową. Był zdezorientowany, ale miał dobrą wolę. Jego ruchy były jednak przesadnie zwolnione. Jacob musiał pospiesznie pokierować go we właściwą stronę. Przeszli wokół łuku centralnej kopuły i napotkali tam Kullę, który właśnie się podnosił. Obcy chwiał się, ale kiedy odwrócił się w ich stronę, Jacob zrozumiał, że są bez szans. Jedno z oczu Kulli błyszczało jasno; Jacob po raz pierwszy widział je w działaniu. Znaczyło to, że... Zaśmierdziała palona guma i lewy pasek jego gogli urwał się. Kiedy się zsunęły, Jacoba oślepiła błękitna jasność pomieszczenia.

Popchnął Hughesa z powrotem dookoła łuku kopuły i sam rzucił się za nim. W każdej chwili spodziewał się nagłego uderzenia bólu w karku, ale udało im się bezpiecznie dokuśtykać do włazu pętli grawitacyjnej i wpaść do środka. Fagin odsunął się, żeby ich przepuścić, świszcząc i machając gałęziami.

- Jacob! Żyjesz! I twój towarzysz również! Obawiałem się, że może być znacznie gorzej!

- Jak... - Jacob dyszał próbując złapać oddech - jak dawno zaczęliśmy spadać? - Minęło pięć, może sześć minut. Kiedy odzyskałem przytomność, pospieszyłem za wami na dół. Może nie nadaję się do walki, ale mogę zastawić drogę swoim ciałem. Kulla nigdy nie miałby dość sił, żeby przedostać się przeze mnie na górę! - Kanten zapiszczał przenikliwym śmiechem.

Jacob zmarszczył brwi; to było interesujące spostrzeżenie. Ile sił miał Kulla? Czytał kiedyś, że ludzkie ciało potrzebuje średnio stu pięćdziesięciu watów. Kulla zużywał znacznie więcej, ale w krótkich, półsekundowych eksplozjach.

Mając dość czasu, Jacob mógł to obliczyć. Kiedy Kulla wyświetlał swoich fałszywych Solariowców, zjawy utrzymywały się około dwudziestu minut. Potem człekokształtne Duchy „traciły zainteresowanie", a Kulla dostawał nagle wilczego apetytu. Wszyscy przypisywali ten jego głód wyczerpaniu nerwowemu, tymczasem Pring musiał uzupełnić zapas kumaryny, a pewnie także wysokoenergetycznych substancji, które zasilały reakcję lasera. - Jesteś ranny! - zaświstał Fagin. Gałęzie zadrżały z niepokoju. - Najlepiej zabierz swojego towarzysza na górę, żeby was tam opatrzyli.

- Też tak myślę - Jacob skinął głową, choć nie miał ochoty zostawiać tu Fagina samego.

- Muszę zadać Martine kilka ważnych pytań, kiedy będzie się nami zajmować.

Kanten wydał z siebie długie, świszczące westchnięcie.

- Jacob, pod żadnym pozorem nie wolno ci niepokoić doktor Martine! Ona porozumiewa się z Solariowcami. To nasza jedyna szansa!

- Co?!

- Przyciągnęły ich błyski lasera parametrycznego. Kiedy się zbliżyli, Martine przywdziała swój hełm psi i zaczęła się z nimi porozumiewać! Solariowcy ustawili pod nami kilka swoich magnetożerców, co znacznie powstrzymało nasz upadek! Jacobowi podskoczyło serce. Brzmiało to jak zawieszenie wyroku. Zaraz jednak zmarszczył czoło.

- Upadek? To znaczy, że się nie wznosimy?

- Z przykrością stwierdzam, że nie. Powoli spadamy. I nie wiadomo, jak długo toroidy będą mogły nas utrzymać.

Jacob poczuł mgliste zdumienie na myśl o dokonaniu Martine. Porozumiała się z Solariowcami! Było to jedno z największych osiągnięć wszechczasów, a mimo to byli skazani na śmierć.

- Fagin - powiedział po chwili - wrócę natychmiast, jak tylko będę mógł. Czy mógłbyś w tym czasie udawać mój głos na tyle dobrze, żeby oszukać Kullę? - Sądzę, że tak. Mogę spróbować.

- A więc rozmawiaj z nim. Gadaj jak najwięcej. Użyj wszelkich sztuczek, żeby trzymać go w niepewności, żeby go zająć. Nie wolno dać mu więcej czasu przy komputerze! Fagin gwizdnął potwierdzająco. Jacob odwrócił się, trzymając pod ramię Hughesa, i ruszył po pętli grawitacyjnej.

Uczucie było dziwne, jakby pole grawitacyjne zaczęło lekko pulsować. Kiedy pomagał Hughesowi pokonać krótki łuk i musiał skupić się, żeby dotrzymać mu kroku, błędnik dokuczał mu jak nigdy przedtem.

Górna połowa statku była nadal czerwona szkarłatem chromosfery. Niebieskozielone duchy trzepotały się zaraz nad osłoną, bliżej niż kiedykolwiek wcześniej. Ich „motyle skrzydła" były prawie tak szerokie jak sam statek.

Również tutaj, na górze, lśniły w kurzu ślady wiązki lasera P. W pobliżu krawędzi pokładu stał sam laser, a z jego potężnego wnętrza dobiegało buczenie. Prześlizgnęli się pomiędzy kilkoma cienkimi promieniami. Gdybyśmy tylko mieli narzędzia, żeby uwolnić tę maszynę z uchwytów - pomyślał Jacob. - Cóż, takie marzenia nie miały sensu. Podprowadził swojego towarzysza do fotela i posadził go tam. Następnie przypiął go pasami i poszedł szukać apteczki. Znalazł ją przy konsoli pilota. Ponieważ nie dostrzegł Martine, było oczywiste, że na obcowanie z Solariowcami wybrała inną część pokładu, z dala od pozostałych. Niedaleko konsoli leżeli mocno przypięci pasami LaRoque, Donaldson oraz martwe ciało Dubrovskiego. Połowa twarzy Donaldsona pokryta była leczniczą pianką. Helene deSilva i jej jedyny pozostały podkomendny pochylali się nad przyrządami. Kiedy Jacob zbliżył się, komendant podniosła wzrok.

- Jacob! Co się stało?

Trzymał ręce z tyłu, żeby jej nie zawracać głowy. Utrzymanie się na nogach przychodziło mu jednak z coraz większym trudem. Musiał coś zaraz zrobić. - Nie udało się. Ale zaczął z nami rozmawiać.

- Tak, wszystko tu słyszeliśmy, a potem jakiś rumor. Próbowałam cię ostrzec, zanim sczepiliśmy się z toroidami. Miałam nadzieję, że może jakoś wykorzystasz tę wiadomość. - No, uderzenie pomogło, to prawda. Potrząsnęło nami, ale i ocaliło życie.

- A Kulla?

- Jest ciągle na dole - Jacob wzruszył ramionami. - Myślę, że kończy mu się paliwo. Podczas naszej walki tutaj, na górze, jednym ładunkiem spalił Donaldsonowi pół twarzy. Na dole był już ostrożniejszy, strzelał słabo, oszczędnie, w strategiczne miejsca. Opowiedział jej o ataku Kulli i jego kafarach.

- Nie sądzę, że wyczerpie się dostatecznie prędko. Gdybyśmy mieli mnóstwo ludzi, moglibyśmy wypuszczać ich na niego, aż by się całkiem rozładował. Tylko że nie mamy. Hughes jest chętny, ale nie może już walczyć. A wy dwoje nie możecie przecież opuścić posterunku.

Helene odwróciła się, żeby odpowiedzieć na brzęczyk alarmu dobiegający z konsoli.

Popchnęła jakiś przełącznik i dźwięk się urwał. Spojrzała na Jacoba przepraszająco.

- Przepraszam, Jacob, ale jest tu tyle wszystkiego, że ledwie sobie z tym radzimy. Próbujemy przedrzeć się do komputera pobudzając czujniki statku w zakodowanych sekwencjach. To żmudna robota i ciągle musimy się od niej odrywać, żeby zająć się awariami. Niestety, chyba się ześlizgujemy. Wskazania zegarów są coraz gorsze - odwróciła się, żeby odpowiedzieć na kolejny sygnał.

Jacob wycofał się. Przeszkadzanie jej było ostatnią rzeczą, jakiej chciał. - Mogę jakoś pomóc? - Pierre LaRoque patrzył na niego z fotela dwa metry dalej. Mały człowieczek był skrępowany, pasy zapięte były tak, że nie mógł do nich sięgnąć. Jacob prawie o nim zapomniał.

Zawahał się. Zachowanie LaRoque’a tuż przed walką na górze nie budziło zaufania.

Helene i Martine przypięły więc dziennikarza, żeby trzymać go z dala od innych. Mimo to Jacob potrzebował czyichś rąk, żeby skorzystać z apteczki. Przypomniał sobie niemal udaną ucieczkę LaRoque'a na Merkurym. Nie można było na nim polegać, ale kiedy się już zdecydował, ujawniał się jego talent.

W tej chwili LaRoque wyglądał przytomnie i szczerze. Jacob poprosił Helene o zgodę na uwolnienie go. Rzuciła przelotne spojrzenie i wzruszyła ramionami. - W porządku, ale jeśli zbliży się do instrumentów, zabiję go. Powiedz mu to. Nie było trzeba mówić. LaRoque kiwnął głową, że zrozumiał. Jacob nachylił się i zdrowymi palcami prawej ręki zaczął gmerać przy zapięciach pasów.
- Jacob, twoje ręce! - syknęła za nim Helene.

Troska na jej twarzy ożywiła Jacoba, ale kiedy zaczęła się podnosić, nie zostało po tym śladu. Jej praca była teraz ważniejsza niż jego i komendant wiedziała o tym. Już sam fakt, że była poruszona, Jacob uznał za niezwykłą manifestację uczuć. Posłała mu krótki, zachęcający uśmiech i pochyliła się znowu, żeby odpowiedzieć na pół tuzina alarmów, które rozbrzęczały się jednocześnie.

LaRoque podniósł się, rozcierając ramiona, a potem wziął apteczkę i skinął na Jacoba.

Jego uśmiech był ironiczny.

- Kim powinniśmy zająć się najpierw: tobą, tym drugim czy Kullą?

27. Pobudzenie

Helene potrzebowała czasu do namysłu. Coś na pewno można zrobić! Systemy oparte na nauce Galaktów zawodziły jeden po drugim. Do tej pory spotkało to kompresję czasu i napęd grawitacyjny, a także kilka mniej ważnych mechanizmów. Gdyby wysiadło sterowanie grawitacją wewnętrzną, byliby bezradni wobec szarpania burz chromosfery. Sama tylko czasza nie ochroniłaby ich.

Nie miało to zresztą większego znaczenia. Toroidy, które podtrzymywały ich na przekór przyciąganiu Słońca, były najwyraźniej zmęczone. Wysokościomierz opadał. Reszta stada została wysoko nad nimi, ginąc niemal zupełnie w różowej mgiełce górnej chromosfery. Nie mieli wiele czasu.

Zapaliło się światełko alarmu.

Sprzężenie zwrotne w wewnętrznym polu grawitacyjnym było dodatnie. Kapitan obliczyła coś szybko w myślach i wprowadziła zestaw parametrów, żeby je wytłumić. Biedny Jacob! Zrobił, co mógł. Zmęczenie ma wypisane na twarzy. Poczuła wstyd, że nie brała udziału w walce na odwrotnej stronie, choć oczywiście nie było szansy, że uda im się odsunąć Kullę od komputera.

Teraz wszystko zależało od niej. Ale jak, skoro każdy cholerny element rozpada się na kawałki!

Nie każdy. Z wyjątkiem połączenia maserowego z Merkurym, wyposażenie oparte na ziemskiej

technice nadal działało doskonale. Kulla nie zawracał sobie tym głowy. Ciągle pracowało chłodzenie. Funkcjonowało też pole magnetyczne wokół skorupy statku, chociaż stracili możliwość wybiórczego wpuszczania większej ilość światła na odwrotną stronę. To było oczywiste.

Statek zadygotał. Podskoczył, gdy coś walnęło w niego raz i drugi. Na krawędzi pokładu ukazała się jasność. Za nią wysunął się brzeg toroida ocierający się o bok statku. Ponad nim unosiło się kilku Solariowców.

Do uderzeń dołączyło się głośne, paskudne chrobotanie. Toroid był siny, jego brzeg znaczyły plamy jasnej purpury. Pulsował i drżał pod szturchnięciami swych strażników. Nagle zniknął w krótkim rozbłysku światła. Heliostatek przechylił się, gdy jego nie podparty przód nagle opadł. DeSilva i pilot walczyli, żeby go wyprostować. Kiedy spojrzała w górę, zobaczyła swoich słonecznych sprzymierzeńców odlatujących wraz z dwójką pozostałych toroidów.

Nic więcej nie mogli zrobić. Toroid, który zostawił ich pierwszy, był już tylko jasną plamką w górze, oddalającą się błyskawicznie na kolumnie zielonych płomieni. Wysokościomierz zaczął obracać się szybciej. Helene mogła na swoich monitorach obserwować pulsujące, ziarniste komórki fotosfery i Wielką Plamę, rozleglejszą niż kiedykolwiek przedtem.

Już teraz byli bliżej niż ktokolwiek przed nimi. Wkrótce znajdą się tam - pierwsi ludzie na Słońcu.

Na krótko.

Spojrzała w górę na Solariowców, którzy oddalili się już znacznie, i zastanowiła się, czy nie powinna zwołać wszystkich, żeby... pomachać na pożegnanie albo coś takiego. Chciała, żeby był tu Jacob.

On jednak znowu zszedł na dół. Uderzą, zanim zdąży wrócić. Zapatrzyła się na maleńkie zielone światełka, zdumiewając się, że toroidy mogą poruszać się tak szybko.

Poderwała się z przekleństwem. Chen podniósł na nią spojrzenie.

- Co się dzieje, pani kapitan? Osłony padają?

Helene wydała okrzyk radości i zaczęła szarpać przełączniki. Pragnęła, żeby na Merkurym można było skontrolować zapis ich telemetrii, bo jeśli umarliby teraz na Słońcu, to na pewno w sposób zupełnie wyjątkowy! Ramię Jacoba ciągle pulsowało bólem. Co gorsza, czuł tam swędzenie. Oczywiście nie mógł się podrapać. Lewą rękę miał całą w piance, tak samo jak dwa palce prawej. Przykucnął tuż przy wyjściu z pętli grawitacyjnej, wyglądając na pokład odwrotnej strony. Fagin usunął się na bok, mógł więc wysunąć za występ ściany nowe lusterko przyklejone pianką do końca ołówka.

Kulli nie było widać. Zwaliste kamery odcinały się od pulsującego błękitem sklepienia tworzonego przez magnetożerców, którzy dźwigali statek. Tor wiązki lasera krzyżował się w wielu miejscach, widać go było wyraźnie dzięki kurzowi unoszącemu się w powietrzu.

Skinął na LaRoque'a, żeby ten złożył swój ładunek zaraz przy wejściu, obok Fagina. Po kolei posmarowali sobie nawzajem szyje i twarze pianką. Gogle mieli dodatkowo uszczelnione kawałkami giętkiego, miękkiego tworzywa. - Wiesz oczywiście, że to niebezpieczne - stwierdził LaRoque. - Ta pianka może i ochroni nas przed zranieniem od krótkiego strzału, ale jest bardzo łatwopalna. Skoro już o tym mowa to jest to jedyna łatwopalna substancja na statkach kosmicznych, dozwolona ze względu na swoje wyjątkowe własności lecznicze.

Jacob kiwnął głową. Jeżeli wyglądem choć trochę przypominał LaRoque'a, to mieli wcale niezłą szansę przerazić obcego na śmierć!

Uniósł brązowy kanister i rozpylił trochę jego zawartości po pokładzie. Nie miało to zbyt wielkiego zasięgu, ale i tak mogło się przydać jako broń. W środku zostało jeszcze sporo. Pokładem szarpnęło, a potem zatrzęsło jeszcze dwa razy. Jacob wyjrzał i zobaczył, że się przechylają. Magnetożerca, który podtrzymywał tę stronę statku, koziołkował coraz niżej w kierunku krawędzi pokładu i oddalał się od fotosfery pokrywającej niebo. Jedno ze stworzeń po drugiej stronie musiało więc stracić punkt oparcia, a to oznaczało bliski koniec.

Statek zadygotał, a potem zaczął się wyprostowywać. Jacob odetchnął. Być może ciągle jeszcze był czas na ratunek, gdyby udało mu się zaraz obezwładnić Kullę. To jednak było oczywiście niemożliwe. Zapragnął wrócić na górę i być z Helene. - Fagin - zwrócił się do Kantena - nie jestem już tym człowiekiem, którego znałeś. Tamten dostałby już Kullę. Bylibyśmy bezpieczni daleko stąd. Obaj wiemy, do czego on był zdolny. Zrozum, proszę. Próbowałem, ale nie jestem już taki sam jak kiedyś. - Wiem, Jacob - Fagin zaszeleścił liśćmi. - Zaprosiłem cię do Słonecznego Nurka przede wszystkim po to, żeby osiągnąć tę przemianę.

Jacob wpatrywał się w obcego.

- Przebiegły z ciebie frant - zagwizdał cicho Kanten. - Nie miałem pojęcia, że sprawy tutaj mają się tak krytycznie, jak to się okazało. Zaprosiłem cię wyłącznie po ty, by rozbić kokon, w którym tkwiłeś od Ekwadoru, i żeby poznać cię z Helene deSilva. Mój plan się powiódł. Jestem zadowolony.

Jacoba zamurowało.

- Ale Fagin, przecież... mój umysł... - Głos mu się rwał.

- Twój umysł jest w porządku Masz tylko zbyt pochopną wyobraźnię, to wszystko. Naprawdę, Jacob, wymyślasz takie fantazje! A jakie skomplikowane! Nigdy nie spotkałem takiego hipochondryka jak ty!

Umysł Jacoba pracował na przyspieszonych obrotach. Albo Kanten był uprzejmy, albo się mylił, albo... miał rację. Fagin nigdy jeszcze go nie okłamał, zwłaszcza w sprawach osobistych.

Czy to możliwe, że pan Hyde nie powstał z neurozy, tylko z gry? Jako dziecko tworzył dla zabawy wszechświaty z takimi szczegółami, że ledwie można było je odróżnić od rzeczywistości. Te światy istniały. Psychoterapeuta ze szkoły neo-Reichowskiej uśmiechnął się tylko i przypisał mu płodną, niepatologiczną wyobraźnię, ponieważ testy zawsze wykazywały, że wiedział o swojej grze - ale tylko wtedy, kiedy było ważne, żeby o niej wiedział!

Czy pan Hyde był postacią z zabawy?

To prawda, że aż do tej pory nie wyrządził tak naprawdę żadnej szkody. Dokuczał bezustannie, ale zawsze w końcu okazywało się, że jest jakaś uzasadniona przyczyna tego, do czego go „zmuszał”. Aż do tej pory.

- Kiedy cię poznałem, przez jakiś czas nie byłeś poczytalny. Ale Igła cię wyleczyła. Uzdrowienie przerażało, więc zacząłeś grę. Nie znam jej szczegółów, byłeś bardzo skryty, ale teraz wiem, że się ocknąłeś. Przebudziłeś się mniej więcej dwadzieścia minut temu. Jacob wziął się w garść. Bez względu na to, czy Fagin miał rację, nie było czasu, żeby stać tu i ględzić. Na uratowanie statku miał tylko dziesięć minut. Jeśli w ogóle było to możliwe.

Na zewnątrz migotała chromosfera. Fotosfera wisiała ciężko nad ich głowami. Ślady pozostawione w kurzu przez wiązkę lasera pokrywały pajęczyną całe wnętrze. Jacob spróbował pstryknąć palcami i skrzywił się z bólu.

- LaRoque! Biegnij na górę i przynieś swoją zapalniczkę. Szybko! - Mam ją ze sobą - odparł dziennikarz cofając się o krok. - Ale do czego się może przydać ...

Jacob biegł do mikrofonu. Jeśli Helene miała jakąś rezerwę mocy chowaną na czarną godzinę, to teraz nadszedł czas, żeby jej użyć. Potrzebował tylko trochę czasu! Zanim jednak zdążył nacisnąć włącznik, statek wypełnił dźwięk alarmu. - Sofonci! - rozległ się głos Helene. - Proszę przygotować się do przyspieszenia. Wkrótce opuścimy Słońce - w jej głosie brzmiało rozbawienie, prawie wesołość. - Ze względu na tryb zbliżającej się zmiany kursu zalecałabym wszykim pasażerom ubrać się bardzo ciepło. Słońce może być chłodne o tej porze roku!

28. Emisja stymulowana

Z kanałów wentylacyjnych biegnących wokół obudowy lasera chłodzącego wiał strumień zimnego powietrza. Jacob i LaRoque przysuwali się do płomienia, próbując osłonić go przed lodowatym powiewem.

- Dalej, złotko, pal się!

Na podłodze tlił się stos kawałków pianki. W miarę jak dorzucali coraz więcej skrawków, płomienie powoli rosły.

- Ha, ha! - zaśmiał się Jacob. - Jaskiniowiec zawsze zostanie jaskiniowcem, co, LaRoque? Ludzie lecą do Słońca, a kiedy już się tam dostaną, rozpalają ognisko, żeby się ogrzać!

LaRoque uśmiechnął się blado, nie przestając dorzucać coraz większych kawałków. Gadatliwy dziennikarz odzywał się bardzo mało, od kiedy Jacob uwolnił go z fotela. Od czasu do czasu mruczał tylko coś gniewnie pod nosem.

Jacob przyłożył do ognia pochodnię. Zrobili ją z bryły pianki zatkniętej na koniec tuby po napoju. Pochodnia zaczęła się tlić, wydzielając przy tym tumany gęstego, czarnego dymu. Wyglądało to przepięknie.

Wkrótce mieli gotowych kilka takich pochodni. Dym kłębił się w powietrzu, niosąc ze sobą wstrętny swąd. Żeby móc oddychać, musieli cofnąć się do wylotu kanału wentylacyjnego. Fagin przesunął się w głąb pętli grawitacyjnej. - W porządku - stwierdził Jacob. - Ruszamy!

Skoczył na lewo od włazu i cisnął z całej siły jedną z żagwi na skraj pokładu. LaRoque zrobił to samo, tylko w drugą stronę.

Kanten podążył za nimi, szumiąc głośno listowiem. Wyszedł z włazu wprost przed siebie i ruszył w przeciwny koniec pokładu, żeby móc obserwować sytuację i w miarę możliwości odciągać strzały Kulli. Odmówił przy tym pokrycia się pianką. - Jest bezpiecznie - zagwizdał cicho Kanten. - Kulli nie widać ani śladu. Wiadomość była dobra i zła zarazem. Określała miejsce, w którym znajdował się Kulla, a jednocześnie oznaczała, że obcy pracował prawdopodobnie nad rozwaleniem lasera chłodzącego.

A tymczasem robiło się coraz ZIMNIEJ!

Kiedy Helene zaczęła wykonywać swój plan, Jacob natychmiast go zrozumiał. Ponieważ ciągle miała kontrolę nad ekranami otaczającymi statek (czego dowodem była żywa załoga), mogła przepuszczać ciepło Słońca w dowolnej ilości. Ciepło to było następnie przesyłane do lasera chłodzącego i razem z ciepłem pochodzącym z generatora elektrycznego statku wypompowywane z powrotem do chromosfery. Tyle że tym razem przepływ zmienił się w wodospad, którego ujście Helene skierowała w dół. Odrzut powstrzymał ich upadek i statek zaczął się powoli wznosić.

Taka ingerencja w automatyczny system kontroli cieplnej statku z konieczności była niedokładna. Helene musiała zdecydować się na zaprogramowanie mechanizmu tak, by odchylenia następowały w kierunku przechłodzenia. Tego rodzaju błędy można było łatwiej naprawić.

Pomysł był znakomity. Jacob miał nadzieję, że uda mu się to jej powiedzieć. Teraz jednak musiał zatroszczyć się o to, żeby plan miał szansę się powieść. Przesuwał się przyciśnięty do kopuły, aż dotarł do punktu, gdzie kończyło się pole obserwacji Fagina. Nie wyglądając dalej, rzucił dwie następne pochodnie w różne miejsca pokładu przed sobą. Każda z nich dymiła intensywnie.

Pomieszczenie wypełniało się oparami. Ślady wiązki lasera migotały w powietrzu.

Niektóre z nich, słabsze, znikały osłabione dodatkowym przedzieraniem się przez dym.

Jacob wycofał się w pole widzenia Fagina. Pozostały mu jeszcze trzy tlące się pochodnie. Oparł się o pokład i cisnął je w różne strony ponad centralną kopułą. LaRoque przysunął się do niego i też rzucił swoje.

Jedna z pochodni trafiła dokładnie nad środek kopuły. Napotkała tam wiązkę promieni rentgenowskich lasera chłodzącego i zniknęła, pozostawiając po sobie kłąb pary. Jacob miał

nadzieję, że nie odchyliło to zbytnio wiązki. Spójne promienie rentgenowski miały w założeniu przechodzić przez powłokę niemal w ogóle nie szkodząc statkowi, ale wiązka nie była przeznaczona do stykania się z przedmiotami. - Dobra! - wyszeptał.

Wraz z LaRoque'em podbiegli do ściany kopuły, gdzie przechowywano części zamienne przyrządów rejestrujących. LaRoque otworzył magazynek i wdrapał się najwyżej jak mógł, po czym wyciągnął rękę. Jacob wgramolił się obok niego. Teraz wszyscy byli narażeni na ciosy. Kulla musi zareagować na oczywiste zagrożenie, jakie niosły pochodnie! Widoczność była już znacznie gorsza niż normalnie. W pomieszczeniu unosił się obrzydliwy swąd; Jacob czuł, jak oddychanie staje się coraz bardziej nieprzyjemne.

LaRoque rozparł się ramionami o framugę i podstawił złączone dłonie. Jacob oparł się na nich i wspiął się na barki dziennikarza.

Kopuła nachylała się w tym miejscu, ale jej powierzchnia była gładka, a Jacob miał tylko trzy palce, nie dziesięć. Trochę pomagała warstwa pianki, bo ciągle jeszcze była lepka. Po dwóch nieudanych próbach skupił się i skoczył z ramion LaRoque'a, prawie go przewracając. Powierzchnia kopuły przypominała rtęć. Musiał rozpłaszczyć się i gramolić powoli, centymetr po centymetrze.

W pobliżu wierzchołka zaniepokoił go laser chłodzący. Odpoczywając nie opodal szczytu, widział jego wylot. Laser buczał cicho dwa metry dalej; zadymione powietrze błyszczało tam i Jacob pomyślał o odległości, jaka dzieliła go od śmiercionośnej gardzieli. Odwrócił się tak, żeby nie musieć się nad tym zastanawiać. Nie mógł zagwizdać, by ich zawiadomić, że mu się udało. Śledząc jego ruchy i synchronizując własne działania musieli polegać na znakomitym słuchu Fagina. Zostało mu przynajmniej kilka sekund. Jacob postanowił zaryzykować - przetoczył się na plecy i spojrzał w górę na Wielką Plamę.

Słońce było wszędzie.

Z miejsca, w którym się znajdował, statek nie istniał. Nie było potyczki ani planet, ani gwiazd, ani galaktyk. Brzeg gogli zasłaniał nawet widok jego własnego ciała. Fotosfera była wszystkim.

Pulsowała. Lasy kolców, podobne do dygoczących palisad, ciskały w niego swoim głosem, którego fale rozbijały się tuż nad jego głową. Dźwięk dzielił się i sunął po krzywiznach przestrzeni.

To był ryk.

Wielka Plama wpatrywała się w niego. Przez krótką chwilę ten przeogromny obszar był twarzą - brodatą, siwą twarzą patriarchy. Pulsowanie było jej oddechem. Hałas był łoskotem głosu giganta śpiewającego miliardletnią pieśń, którą usłyszeć i pojąć mogły tylko inne gwiazdy.

Słońce żyło. Słońce widziało go. Całą swą uwagę poświęcało jemu. Nazwij mnie dawcą życia, bo to dzięki mnie żyjesz. Płonę, a przez mój płomień ty istniejesz. Trwam, i trwając tak, dają oparcie tobie. Przestrzeń, moja opończa, owija mnie i zapada się w tajemnicę w mych głębiach. W mojej kuźni czas wykuwa swoją kosę. Żyjąca istoto, czy Entropia, moja złośliwa ciotka, spostrzegła naszą zmowę? Myślę, że jeszcze nie, jeszcze jesteś zbyt mały. Twoje beznadziejne zmagania z jej uściskiem są jak

trzepot maleńkich skrzydeł w wichurze. Zresztą ona uważa, że ciągle jestem jej sprzymierzeńcem.

Nazwij mnie dawcą życia, ty, żyjąca istoto, i zapłacz. Płonę bez końca, a płonąc tak trawię to, czego nie można zastąpić. Gdy ty czerpiesz skąpo z mojego strumienia, źrddlo powoli zamiera. Kiedy wyschnie, inne gwiazdy zajmą moje miejsce, ale nie na zawsze, nie na zawsze!

Nazwij mnie dawcą życia i śmiej się!

Powiada się, że ty, żyjąca istoto, słyszysz czasem głos prawdziwego Dawcy Życia. On mo’wi do ciebie, lecz nie do nas, Jego pierworodnych!

Współczuj gwiazdom, żyjąca istoto! Z udawaną radością wyśpiewujemy eony, trudząc się dla Jego okrutnej siostry, oczekując dnia, kiedy dorośniesz, maleńki embrionie, bo wtedy On uwolni cię, żebyś raz jeszcze zmienił bieg rzeczy.

Jacob zaśmiał się bezgłośnie. Co za wyobraźnia! Fagin miał mimo wszystko rację. Zamknął oczy, ciągle nasłuchując, czy nie rozlega się sygnał. Od kiedy dotarł na szczyt kopuły, upłynęło dokładnie siedem sekund.

- Jake... - głos należał do kobiety. Podniósł głowę, nie otwierając oczu.

- Tania.

Stała przy pionoskopie w swoim laboratorium, dokładnie tak, jak widział ją mnóstwo razy, kiedy po nią przyjeżdżał. Kasztanowe włosy zaplecione w warkocz, odrobinę nierówne białe zęby odsłonięte w szerokim uśmiechu i wielkie, otoczone drobniutkimi zmarszczkami oczy. Zbliżyła się ze swobodną lekkością i stanęła przed nim twarzą w twarz. - Już chyba czas! - powiedziała.

- Tania, ja... nie rozumiem.

- Już chyba czas, żebyś przypomniał sobie mnie, jak robię coś innego niż spadanie! Myślisz że to taka przyjemność ciągle spadać? Dlaczego nie przypominasz sobie mnie, jak robię coś z dobrych czasów?

Nagle uświadomił sobie, że to prawda! Przez dwa lata myślał tylko o tym ostatnim momencie, ani razu nie przypomniał sobie niczego innego! - No, przyznaję, że wyszło ci to trochę na dobre - kiwnęła głową. - Wygląda na to, że w końcu pozbyłeś się tej cholernej arogancji. Tylko pomyśl o mnie od czasu do czasu, na miłość boską. Nienawidzę, jak się mnie ignoruje!

- Dobrze, Tania. Będę o tobie myślał. Obiecuję.

- I zwracaj uwagę na gwiazdę. Przestań myśleć, że sobie to wszystko wyobrażasz! - Mówiła teraz ciszej. Jej obraz zaczął znikać. - Masz rację, Jake, kochanie, naprawdę ją lubię. Dobrego...

Otworzył oczy. Nad głową pulsowała fotosfera. Plama wpatrywała się w niego. Ziarniste komórki tętniły powoli, w rytmie odpoczywającego serca. - To ty to zrobiłeś? - zapytał bezgłośnie.

Odpowiedź przeniknęła go całego, przewierciła się na wylot przez jego ciało. Neutrina leczące

neurozę. Bardzo oryginalna metoda.

Z dołu dobiegł krótki gwizd. Jeszcze zanim zdał sobie z tego sprawę, już ślizgał się na prawo od gwizdnięcia. Przesuwał się cicho i bez zbędnych ruchów. Zerknął na dół i zobaczył głowę Kulli a-Pring ab-Pil-ab-Kisa-ab-Soro-ab-Hul-ab-Puber. Obcy patrzył w lewo od Jacoba, opierając ciągle rękę na otwartej pokrywie do wejścia komputera. Miejsce, gdzie trafił promień lasera parametrycznego, ciągle się jarzyło, choć przez gęsty dym ledwie to było widać.

Z lewej dobiegł szelest liści. Gdzieś po prawej stronie natomiast słychać było odgłos biegnących stóp - to LaRoque pędził dookoła kopuły.

Zza jej zakrzywienia wyjrzało kilka srebrzyście zakończonych gałązek. Kulla przykucnął i jeden z błyszczących receptorów świetlnych Fagina uleciał z dymem. Kanten wydał z siebie wysoki jęk i cofnął się. Kulla okręcił się błyskawicznie.

Jacob wyciągnął z kieszeni rozpylacz pianki. Wycelował i nacisnął wylot. Cienki strumień cieczy wystrzelił łukiem w oczy Kulli. Już miał go trafić, gdy Pierre LaRoque wybiegł prosto na obcego, kuląc głowę i z trudem przedzierając się przez dym. Kulla odskoczył, strumień nie dosięgnął jego oczu. W tej samej chwili w cieczy zapaliła się jasna plamka.

Cały strumień zasyczał i wybuchnął ogniem. Kulla cofnął się, zasłaniając twarz rękoma.

LaRoque przedostał się przez spadające płomienie i zderzył się z tułowiem Pringa. Kulla utonął prawie w gęstym dymie. Charcząc chwycił LaRoque'a za szyję, najpierw dla odzyskania równowagi, potem zacisnął chwyt z całej siły, żeby zgnieść tamtemu tchawicę. LaRoque walczył dziko, ale stracił już cały impet. Równie dobrze mógłby próbować wyślizgnąć się z uścisku pary boa dusicieli. Twarz mu poczerwieniała i zaczął dyszeć. Jacob przygotował się do skoku. Dym był tak gęsty, że prawie nie można było oddychać. Desperacko zwalczył odruch kaszlnięcia. Gdyby Kulla zobaczył go przed skokiem, nie utrudniałby sobie sprawy z zabiciem LaRoque'a. Wykończyłby ich obydwu spojrzeniem. Mięśnie napięły mu się jak mocne sprężyny i odbił się od kopuły. Jego własna, subiektywna odmiana kompresji czasu sprawiła, że lot był powolny i leniwy. Sztuczka pochodziła jeszcze z dawnych, złych czasów, teraz automatycznie użył jej znowu.

Kiedy przebył jedną trzecią odległości, zobaczył, jak głowa Kulli zaczyna się odwracać. Trudno było stwierdzić, co dokładnie robił obcy z LaRoque'em w tej chwili. Gęsta pokrywa dymu zasłaniała wszystko oprócz płonących czerwono oczu Kulli i dwóch błysków bieli pod nimi.

Oczy podniosły się. Zaczął się wyścig, który z nich dotrze pierwszy do określonego punktu, na prawo od głowy obcego i nieco ponad nią. Jacob nie wiedział, pod jakim kątem Kulla zdoła wystrzelić promień.

Umierał z niepewności. Rzecz zaczynała zakrawać na parodię. Postanowił przyspieszyć bieg rzeczy i sprawdzić, co się stanie.

Najpierw był błysk, potem zgrzytnięcie zębów i paraliżujące grzmotnięcie, kiedy jego ramię rąbnęło w bok głowy Kulli. Przywarł do tuniki obcego i uchwycił się jej mocno, bo siła bezwładności

przewróciła ich obu z łomotem na pokład. Człowiek i obcy walczyli pośród ataków kaszlu o łyk powietrza. Zbili się w plątaninę siekących i chwytających rąk i nóg. Jacobowi udało się jakoś obrócić za przeciwnika i chwycić go mocno za szczupłą szyję. Kulla miotał się, próbując odwrócić głowę i chapnąć Jacoba trzonowcami albo spalić go laserowym wzrokiem. Jego potężne, mackowate ręce wyciągały się w tył, szukając punktu zaczepienia. Jacob skulił głowę i naparł, żeby obrócić Kullę; mógłby wtedy unieruchomić jego nogi chwytem nożycowym. Toczyli się długo po pokładzie, a gdy w końcu mu się to udało, nagrodą był przeszywający ból w prawym udzie.

- Jeszcze - zakaszlał. - Strzelaj, Kulla. Wykończ się!

W jego odsłonięte nogi ugodziły dwa następne ciosy, śląc do mózgu dwa małe tsunami bólu. Odsunął od siebie cierpienie i nie zwalniał uścisku, modląc się, żeby Kulla więcej tego nie robił.

Obcy jednak przestał marnować strzały i zaczął toczyć się szybciej, padając całym ciężarem na Jacoba za każdym razem, gdy uderzali o pokład. Obaj kaszlali, a gdy Kulla wciągał gęsty, kłębiący się dym, wydawał z siebie odgłos, jakby w butelce potrząsano mnóstwo metalowych kulek.

Nie było sposobu, żeby zadławić tego szatana! W przerwach pomiędzy kolejnymi ciosami Jacob próbował przesunąć dłonie na szyi Kulli i zamknąć ją w duszącym uścisku. Wyglądało jednak na to, że nie ma tam żadnych wrażliwych miejsc! Nie było to sprawiedliwe. Jacob chciał zakląć na swojego pecha, ale szkoda mu było oddechu. W płucach miał go ledwie tyle, by wystarczyło na słabe kaszlnięcie za każdym razem, gdy Pring znajdował się na górze. Piekły go oczy, a łzy leciały ciurkiem, zamazując wzrok. Nagle zdał sobie sprawę, że nie ma na sobie gogli! Albo Kulla spalił je wtedy, gdy Jacob skakał z kopuły, albo spadły podczas walki.

Gdzie, do cholery, jest LaRoque!

Ramiona dygotały mu z wysiłku, z brzucha i pachwin dochodził ból od ciągłych wierzgnięć i podskoków po pokładzie. Kulla kaszlał coraz rozpaczliwiej i z większym wysiłkiem, a kaszel Jacoba przeszedł w złowieszcze rzężenie. Czuł już pierwsze fazy przegrzania, a kiedy walcząc przycisnął się plecami do jednej z tlących się pochodni, przeszył go przeraźliwy strach, że ta męka nie skończy się nigdy. Pochodnia zgasła i jednocześnie eksplodował piekący żar. Wrzasnął. Ból przyszedł z zupełnie nieoczekiwanego kierunku i był zbyt nagły, by mógł go odepchnąć. Ciasny chwyt na szyi Kulli rozluźnił się w nagłym paroksyzmie, a obcy szarpnął mu się w rękach. Uścisk pękł i Pring odturlał się, chociaż Jacob próbował jeszcze go złapać. Chybił jednak; Kulla pozbierał się w pewnej odległości i szybko obrócił się w jego stronę.

Jacob zamknął oczy i zasłonił twarz lewą ręką, oczekując na laserowy cios.

Próbował wstać, ale coś było nie w porządku z jego płucami. Nie działały tak, jak należy.

Oddech miał płytki, a kiedy powoli podniósł się na kolana, poczuł, że traci równowagę.

Zamiast pleców miał przypalonego hamburgera.

Nie dalej jak dwa metry od niego, rozległ się głośny trzask! Potem następny. I jeszcze jeden, bliżej.

Jacob opuścił ramię. Nie miał już sił trzymać go w górze. Zresztą i tak nie miało znaczenia, czy ma zamknięte oczy. Otworzył je więc i ujrzał Kullę, klęczącego metr dalej. Przez gęste tumany dymu widać było tylko jego czerwone oczy i jaśniejące bielą zęby.

- K... Kulla - wydyszał. Słowa zgrzytały, jakby psuł się jakiś poruszający je mechanizm.

- Poddaj się, masz teraz ostatnią szansę. Ostrzegam cię... Tani by się to spodobało - pomyślał. Dociął mu prawie tak dobrze, jak ona wtedy. Miał nadzieję, że Helene to usłyszała.

Dociął? Cholera, a może rzeczywiście mu przyłożyć? Nawet jak poderżnie mi gardło albo wywierci dziurę w mózgu przez powieki, to i tak mam czas, żeby dać mu coś ode mnie! Wyciągnął zza pasa rozpylacz z pianką i zaczął go podnosić. Chlapnie tym w Kullę! Nawet jeżeli miało to oznaczać błyskawiczną śmierć od lasera zamiast powolnej, przez ścięcie głowy.

Lewe oko rozdarł kłujący ból, jakby wbiła się w nie stalowa igła. Poczuł, jak piorun wdziera mu się do głowy i przewierca ją na wylot. W tej samej chwili skierował pojemnik w kierunku głowy Kulli i nacisnął spust.

29. Absorpcja

Kiedy statek wzbił się ponad stado toroidów, Helene podniosła na chwilę wzrok. Zielenie i błękity przybladły, stłumione przez odległość. Mimo to stworzenia błyszczały nadal jak maleńkie rozżarzone obrączki, plamki życia ustawione w miniaturowym szyku, pomniejszone przez ogrom chromosfery.

Pasterze byli już za daleko, żeby można było ich dojrzeć.

Stado weszło za ciemne pasmo gazu i również zniknęło. Helene uśmiechnęła się. Gdybyśmy tylko mieli łączność maserową - pomyślała. - Zobaczyliby, jak bardzo się staramy. Wiedzieliby, że to nie Solariowcy nas zabili, choć tak pewnie będą myśleć niektórzy. Próbowali nam pomóc. Rozmawialiśmy z nimi! Pochyliła się, żeby odpowiedzieć na dwa alarmy jednocześnie. Doktor Martine spacerowała bez celu pomiędzy Helene i drugim pilotem. Zachowywała się racjonalnie, choć niezbyt konsekwentnie. Dopiero co wróciła z przeciwnego krańca pokładu. Jej krok był nierówny, mruczała coś cicho pod nosem. Martine miała na tyle rozsądku, żeby trzymać się od nich z daleka, Ifni niech będą dzięki! Odmówiła jednak przypięcia się do fotela, Helene zaś nie mogła się zdobyć na poproszenie jej, żeby zeszła na odwrotną stronę. W jej obecnym stanie i tak nie byłoby z niej wielkiego pożytku.

W powietrzu unosił się swąd. Monitory Helene pokazywały tylko gęsty, falujący tuman dymu na odwrotnej stronie statku. Krzyki i odgłosy okropnej bijatyki umilkły zaledwie przed kilkoma minutami. Mikrofony dwukrotnie wychwyciły czyjś wrzask. Przed chwilą z głośników dobiegł pisk, który mógłby zbudzić umarłego. Potem zapadła cisza. Jedyną emocją, jaką pokazywała po sobie komendant, było bezstronne poczucie dumy. Fakt, że walka trwała tak długo, dobrze o nich świadczył,

zwłaszcza o Jacobie. Broń Kulli powinna była rozprawić się z nim szybko.

Oczywiście ich powodzenie było wykluczone. Usłyszałaby już coś do tej pory. Zamknęła uczucia na klucz i powiedziała sobie, że trzęsie się z zimna. Temperatura spadła do pięciu stopni. Im mniej sprawne stawały się wskutek rosnącego zmęczenia jej reakcje, tym bardziej przesuwała coraz chaotyczniejszy rytm lasera chłodzącego w kierunku zimna. Gorąco oznaczało katastrofę. Zareagowała na zmianę w polu elektromagnetycznym, która groziła nieszczelnością w zakresie dalekiego nadfioletu. Delikatna regulacja sprawiła, że pole uspokoiło się łagodnie i było nadal szczelne.

Laser chłodzący jęczał wsysając ciepło z chromosfery, a potem wyrzucając je w postaci promieni rentgenowskich. Wspinali się pod górę z tragiczną powolnością. Wtedy zadźwięczał alarm. Nie było to ostrzeżenie o zboczeniu z trasy, to krzyczał ginący statek.

Smród stał się nie do wytrzymania! Co gorsza, było lodowato zimno. Ktoś obok dygotał i kaszlał jednocześnie. Jacob mętnie zdał sobie sprawę, że to on sam. Uniósł się w napadzie kaszlu, który zatrząsł całym jego ciałem. Udało mu się wreszcie opanować konwulsje i przez długą chwilę po prostu siedział, zastanawiając się na pół przytomnie, jakim cudem żyje.

Przy samym pokładzie dym zaczął się lekko przerzedzać. Kłęby i pasma płynęły obok Jacoba w kierunku wyjących sprężarek powietrza.

Zdumiewający był już sam fakt, że widział. Podniósł rękę i dotknął lewego oka.

Oko było otwarte i ślepe, ale całe! Przymknął powiekę i obmacał ją trzema palcami. Gałka oczna była tam bez wątpienia, podobnie jak skryty za nią mózg. Ocaliły je gęsty dym oraz wyczerpanie zasobów energetycznych Kulli.

Kulla! Jacob obrócił głowę szukając obcego. Poczuł nadciągającą falę nudności, ale przezwyciężył ją, rozglądając się dookoła.

Przerwa w chmurach dymu odsłoniła leżącą dwa metry dalej białą, wąską rękę. Dym przerzedził się jeszcze bardziej i ukazała się reszta ciała Kulli. Twarz ET była okropnie spalona. Czarne strupy osmalonej pianki zwisały w strzępach z tego, co pozostało z wielkich oczu. Z dużych pęknięć po bokach sączyła się skwiercząca, niebieska ciecz.

Kulla nie żył.

Jacob podczołgał się naprzód. Najpierw musiał sprawdzić, co z LaRoque’em, potem - poszukać Fagina. Tak, właśnie tak trzeba to będzie zrobić. A potem szybko sprowadzić tu kogoś, kto potrafi obsługiwać konsolę komputera... jeżeli jest jeszcze szansa, że da się naprawić szkody spowodowane przez Kullę. LaRoque’a znalazł posuwając się za jękiem. Dziennikarz siedział kilka metrów dalej niż Kulla i trzymał się za głowę. Podniósł załzawiony wzrok. - Ooo... Demwa, to ty? Nie odpowiadaj. Twój głos mógłby mi rozwalić moją biedną, pokiereszowaną głowę.

- Żyjesz, LaRoque?

Dziennikarz kiwnął głową.

- Obaj żyjemy, więc Kulla musi być martwy, co? Przerwał pracę nad nami w połowie, więc możemy tylko żałować, że nie zginęliśmy. Mon Dieu! Wyglądasz jak spaghetti. Ja też? Jednym z niewątpliwych skutków walki było to, że przywróciła dziennikarzowi pociąg do słów.

- Dalej, LaRoque. Pomóż mi wstać. Mamy jeszcze sporo do zrobienia. LaRoque zaczął się podnosić, ale zachwiał się. Ścisnął Jacoba za rękę, żeby nie stracić równowagi. Jacob przełknął łzy bólu. Podtrzymując się wzajemnie i pociągając, wstali w końcu.

Pochodnie musiały się już wypalić, bo pomieszczenie oczyszczało się błyskawicznie. Pasma dymu unosiły się jednak w powietrzu i zasłaniały im widok, kiedy brnęli wokół kopuły.

Raz jeden natknęli się na wiązkę lasera P, cienki, prosty ślad na ich drodze. Nie mogąc ominąć jej górą ani dołem, ruszyli wprost przez nią. Jacob skrzywił się z bólu, kiedy promień odcisnął krwawą pręgę na zewnętrznej stronie jego prawego uda i na wewnętrznej lewego. Szli dalej.

Fagin był nieprzytomny, kiedy go znaleźli. Z jego otworu oddechowego dochodził słaby odgłos, srebrne dzwoneczki brzęczały, ale nie odpowiadał na ich pytania. Gdy spróbowali go poruszyć, okazało się to niemożliwe. Z korzenio-nóg Fagina wysunęły się ostre kleszcze, które wryły się w sprężysty materiał pokładu. Były ich dziesiątki i nie dawały się uwolnić. Jacob miał inne sprawy do załatwienia. Niepewnie poprowadził LaRoque'a dookoła Kantena. Chwiejnym krokiem zaczęli brnąć w stronę włazu w ścianie kopuły. Obok mikrofonu Jacob zatrzymał się, żeby złapać oddech.

- Hel... Helene...

Czekał, ale nikt nie odpowiedział. Słyszał niewyraźnie, jak jego własne słowa odbijają się echem od sklepienia górnej części statku. Więc to nie wina urządzenia. Co się dzieje? - Helene, słuchaj mnie! Kulla nie żyje! Ale... my też jesteśmy pokiereszowani. Zejdź na dół, ty albo Chen, i naprawcie...

Zimne powietrze pędzące z lasera chłodzącego przyprawiło go o napad dreszczy. Nie mógł nic więcej powiedzieć. Z pomocą LaRoque'a przekuśtykał obok wylotu kanału wentylacyjnego i runął na wznoszącą się podłogę pętli grawitacyjnej. Dostał ataku kaszlu, leżąc na boku, żeby ulżyć poparzonym plecom. Kaszel ustał wreszcie, pozostały po nim tylko ból i świszczenie w klatce piersiowej. Odpędził od siebie senność. Odpocząć. Odpocząć tu chwilę, a potem dookoła, na górną połowę. Sprawdzić, co tam się dzieje.

Ramiona i nogi wysyłały do mózgu fale rwącego bólu. Było ich za dużo, a jego umysł był zbyt rozproszony, żeby poradzić sobie ze wszystkimi sygnałami. Czuł, że jedno żebro ma chyba złamane, pewnie od walki z Kullą.

Wszystko to bladło w porównaniu z pulsującym ciężarem lewej strony głowy. Jakby miał tam rozżarzony węgiel.

Podłoga pętli grawitacyjnej była jakaś dziwna. Ciasne, szczelnie zwinięte pole grawitacyjne powinno przyciągać równo całe jego ciało. Zamiast tego kołysało się jak powierzchnia oceanu,

marszcząc się pod jego plecami maleńkimi falami ciężaru i lekkości. Coś było najwyraźniej nie w porządku, choć uczucie było nawet przyjemne, jak kołysanka. Miło byłoby się przespać.

- Jacob! Bogu dzięki! - Głos Helene rozlegał się wokół niego, ale brzmiał tak, jakby dobiegał z wielkiej odległości, był wyraźny, przyjazny, ciepły, ale także obojętny. - Nie ma czasu na rozmowy! Wracaj na górę, kochanie! Pola grawitacyjne siadają! Wysyłam Martine, ale... - słychać było brzęk i głos umilkł.

Miło byłoby zobaczyć Helene znowu - pomyślał półprzytomnie. Tym razem sen zaatakował ze zdwojoną siłą. Przez chwilę nie myślał o niczym. Śnił mu się Syzyf, człowiek skazany klątwą bogów na toczenie głazu pod nieskończoną górę. Jacob myślał, że ma sposób na wykpienie się od tego. Wiedział, jak sprawić, żeby góra myślała, że jest płaska, chociaż ciągle wyglądała jak góra. Robił to już przedtem. Tym jednak razem góra rozgniewała się. Pokryta była mrówkami, które wspinały się na niego i gryzły go boleśnie po całym ciele. W jego uchu osa złożyła jaja. W dodatku góra oszukiwała. Miejscami była grząska i nie chciała pozwolić mu iść. Gdzie indziej znowu była śliska, i wówczas jego ciało było zbyt lekkie i ześlizgiwało się. Poza tym góra podnosiła się i opadała z przyprawiającą o mdłości niejednostajnością. Nie pamiętał też, żeby reguły mówiły coś o czołganiu się. Wyglądało jednak na to, że jest ono częścią tego wszystkiego. Przynajmniej pomagało się poruszać. Głaz też był pomocny. Musiał go tylko trochę popychać. Przeważnie czołgał się sam. Było to przyjemne! Jacob wolałby tylko, żeby tak nie jęczał. Głazy nie powinny jęczeć, zwłaszcza nie po francusku. To niesprawiedliwe, że musi tego wysłuchiwać. Kiedy się ocknął, ujrzał załzawionymi oczyma właz. Nie był pewien, który to, ale nie był zbyt zadymiony.

Na zewnątrz, nad pokładem, widział rozpoczynającą się czerń, przezroczystość przechodzącą w czerwoną mgiełkę chromosfery.

Czy to tam, to horyzont? Równo ze Słońcem? Płaska fotosfera rozciągała się z przodu jak pierzasty dywan z karmazynowych i czarnych płomieni. W jej głębinach odbywał się nieustanny ruch. Pulsowała, a włókna na jej powierzchni układały się w podłużne wzory ponad falującymi, jasnymi gejzerami.

Falowanie. Do przodu i w tył, tam i z powrotem - Słońce kołysało się na jego oczach. W przejściu stała Millie Martine z pięścią podniesioną do ust i przerażeniem wymalowanym na twarzy.

Chciał ją pocieszyć. Wszystko było w porządku. I tak już miało być od tej pory. Pan Hyde nie żyje, prawda? Jacob pamiętał, że widział go gdzieś w gruzach jego zamku. Twarz miał spaloną, stracił oczy i śmierdział okropnie.

Wtedy coś sięgnęło i chwyciło go. „W dół” oznaczało teraz w stronę włazu. W połowie drogi wznosił się stromy pagórek. Jacob rzucił się naprzód. Nie pamiętał później, jak runął z hukiem zaraz za wyjściem.

CZĘŚĆ DZIESIĄTA

Cudownie jest ujrzeć przez szpary w oknie z papieru Galaktykę.

Kobayashi Issa (1763-1828)

30. Nieprzezroczystość

Abatsoglou, członek Komisji: - Jest zatem prawdą stwierdzenie, że wszystkie systemy zaprojektowane na podstawie Biblioteki ostatecznie zawiodły? Doktor Kepler: - Tak, proszę pana. Każdy z nich popsuł się i pod koniec nie było z nich żadnego pożytku. Do ostatka pracowały już tylko te mechanizmy, które zostały zaprojektowane na Ziemi przez ziemskich pracowników. Chciałbym dodać, że kiedy urządzenia te konstruowano, Pil Bubbakub i wielu innych określali je jako zbyteczne i nieprzydatne.

A.: - Nie sugeruje pan chyba, że Bubbakub z góry wiedział...

K.: - Nie, oczywiście że nie. Na swój własny sposób był równie naiwny jak my wszyscy. Jego sprzeciw oparty był wyłącznie na estetyce. Nie chciał, żeby galaktyczne systemy kompresji czasu i kontroli grawitacji wpakowano do ceramicznej skorupy i połączono z archaicznym układem chłodzącym.

Pola lustrzane i laser chłodzący oparto na prawach fizyki znanych ludziom jeszcze w dwudziestym wieku. Naturalnie Bubbakub sprzeciwiał się naszym „zabobonnym" naleganiom, żeby to na nich oparła się konstrukcja statku, nie tylko dlatego, że przy systemach Galaktów były właściwie zbędne, ale także dlatego, że uważał ziemską naukę sprzed Kontaktu za żałosną zbieraninę półprawd i guseł. A.: - Jednak te „gusła" działały, kiedy zawiodły nowinki. K.: - Szczerze powiedziawszy, panie Abatsoglou, muszę przyznać, że był to szczęśliwy traf. Sabotażysta sądził, że to i tak nie ma żadnego znaczenia, więc nie próbował ich w ogóle niszczyć. Nie dano mu sposobności do naprawienia tego błędu. Montes, członek Komisji: - Jednej rzeczy nie rozumiem, doktorze Kepler. I pewien jestem, że niektórzy z moich kolegów podzielają moją wątpliwość. Rozumiem, że kapitan heliostatku posłużyła się laserem chłodzącym, żeby wydostać się z chromosfery. Ale żeby to zrobić, musiała mknąć z przyspieszeniem większym niż grawitacja na powierzchni Słońca! Mogli sobie z tym radzić, dopóki trzymały wewnętrzne pola grawitacyjne, ale co się stało, kiedy te pola zawiodły? Czy nie powinni natychmiast dostać się pod działanie siły, która zmiażdżyłaby ich na plasterek?

K.: - Nie natychmiast. Pola wewnętrzne rozpadały się etapami: najpierw te najlepiej dostrojone, podtrzymujące tunel pętli grawitacyjnej wiodący do półkuli z aparaturą, czyli na „odwrotną stronę", potem automatyczna regulacja turbulencyjna, a w końcu nastąpił stopniowy zanik pola głównego, które równoważyło wewnątrz statku przyciąganie Słońca. Nim zawiodło to ostatnie pole, osiągnęli

już niższą warstwę korony, więc kiedy do tego wreszcie doszło, kapitan deSilva była przygotowana.

Wiedziała, że po tym, jak zawiodła kompensacja wewnętrzna, pionowe wychodzenie byłoby samobójstwem, a mimo to i tak brała pod uwagę tę możliwość - chciała dostarczyć nam swój raport. Alternatywa była taka, żeby pozwolić statkowi opadać, hamując tylko tyle, by załoga dostała około trzech g.

Na szczęście istnieje sposób na wydostanie się z leja grawitacyjnego, do którego się spada. Helene spróbowała mianowicie hiperbolicznej orbity ucieczki. Statek więc opadał, a prawie cały odrzut lasera szedł na nadanie mu prędkości stycznej. W rezultacie powtórzyła plan rozważany na całe dziesięciolecia przed Kontaktem - płytka orbita, wykorzystanie laserów do napędu i chłodzenia oraz pola elektromagnetyczne jako osłona. Tyle tylko, że nurkowanie było nie zamierzone. I wcale nie było płytkie. A.: - Jak blisko podeszli?

K.: - No cóż, przypomina pan sobie, że w całym tym zamieszaniu spadali już przedtem dwa razy: raz, kiedy siadł napęd grawitacyjny, i ponownie, gdy Solariowcy upuścili statek. Podczas tego trzeciego upadku podeszli do fotosfery bliżej niż przy poprzednich okazjach.

Dosłownie prześlizgnęli się po jej powierzchni.

A.: - A co z turbulencjami, panie doktorze!? Dlaczego statek nie został zgnieciony, skoro nie miał wewnętrznej grawitacji ani kompresji czasu?

K.: - Dzięki temu nie planowanemu nurkowaniu poznaliśmy o wiele lepiej heliofizykę. Przynajmniej tym razem chromosfera była znacznie spokojniejsza, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać... to znaczy - ktokolwiek z wyjątkiem kilku moich szanownych kolegów, którym winien jestem gorące przeprosiny. Uważam jednak, że najistotniejszym czynnikiem było pilotowanie statku. Mówiąc po prostu, Helene dokonała niemożliwego. Specjaliści z TAASF badają teraz czarną skrzynkę. Ich radość z powodu taśm mąci tylko żal, że nie mogą obdarować Helene medalem.

Generał Wade: - Owszem, stan załogi był dla zespołu ratunkowego TAASF przyczyną wielkiego zmartwienia. Statek wyglądał jak odwrót Napoleona spod Moskwy! Skoro nikt żywy nie mógł powiedzieć nam, co się stało, rozumiecie państwo niepewność, jaka towarzyszyła nam do chwili odtworzenia taśm.

Ngyuen, członek Komisji: - Mogę to sobie wyobrazić. Nieczęsto zdarza się dostać z piekła cały ładunek śnieżek. Panie doktorze, czy możemy przyjąć, że dowódca statku z oczywistych powodów przestawiła system pompowania ciepła na chłodzenie? K.: - Mówiąc najzupełniej otwarcie, proszę pana, nie sądzę, żebyśmy mogli to założyć.

Myślę, że jej zamiarem było raczej schłodzenie wnętrza po to, żeby mogły przetrwać zapisy. Gdyby laser chłodzący wychylił się zbytnio w drugą stronę, usmażyłyby się. Uważam, że jedynym jej celem była ochrona tych taśm. Prawdopodobnie spodziewała się, że po wydostaniu się ze Słońca będzie miała konsystencję taką mniej więcej, jak dżem truskawkowy. Nie sądzę, żeby myślała w ogóle o biologicznych skutkach zamarzania. Widzicie państwo, Helene była właściwie nieświadoma wielu rzeczy. W swojej dziedzinie była na bieżąco, ale myślę, że nie wiedziała o postępach w kriochirurgii,

które dokonały się od jej czasów. Przypuszczam, że będzie bardzo zdziwiona, kiedy obudzi się za rok. Inni uznają to pewnie za zwyczajny cud. Z wyjątkiem pana Demwy, oczywiście. Nie sądzę, żeby coś mogło go zdziwić... ani żeby uważał swój powrót do życia za cudowny. Ten człowiek jest niezniszczalny. I chociaż jego świadomość wędruje teraz po mroźnych snach, myślę, że wie o tym.

31. Ekspansja

Wiosną wieloryby znowu ruszają na północ.

Wielu z siwych garbów, które kładły się na spienionych falach w oddali, nie było jeszcze na świecie, kiedy ostami raz stał na brzegu i patrzył na migrację kalifornijską. Ciekawe, czy któryś z siwych wielorybów śpiewa jeszcze Balladę o „Jacobie i Sfinksie". Pewnie nie. Siwki i tak nigdy nie ceniły jej najwyżej. Pieśń była zbyt mało istotna, za bardzo... dorszowata, jak na ich stateczny temperament. Z Siwków były zadowolone z siebie snoby, ale i tak je kochał.

Powietrze ryczało hukiem łamaczy wgryzających się w skały u jego stóp. Mokre od morskiej wody powietrze napełniało jego płuca tym paradoksalnym uczuciem jednoczesnej sytości i głodu, którego inni doznają oddychając głęboko w piekarni. Pulsowanie oceanu niosło ze sobą spokój i nadzieję, że przypływ zawsze zmyje zmiany. W szpitalu w Santa Barbara dali mu fotel, Jacob wolał jednak laskę. Trudniej mu było się poruszać, ale ćwiczenia miały skrócić okres rekonwalescencji. Trzy miesiące po przebudzeniu w antyseptycznej fabryce organów pragnął desperacko stanąć na własnych nogach i doświadczyć czegoś, co było przyjemnie i naturalnie nieprzyzwoite. Na przykład sposób mówienia Helene. To naprawdę bezsensowne, żeby ktoś urodzony w pełni rozkwitu starej Biurokracji miał tak niewyparzony język, że czerwieni się Obywatel Konfederacji. Kiedy jednak Helene czuła, że jest pomiędzy przyjaciółmi, jej sposób mówienia robił wielkie wrażenie, a słownictwo zdumiewało. Powiedziała kiedyś, że wynika to z wychowania na satelicie energetycznym. Potem uśmiechnęła się i odmówiła wszelkich dalszych wyjaśnień, dopóki nie odwzajemni się działaniem, do którego, jak wiedziała, nie był jeszcze gotowy. Tak jakby ona była!

Jeszcze tylko miesiąc, zanim lekarze odstawią im leki blokujące hormony. Najpierw jednak musi odnowić się zasadnicza większość komórek. Potem kolejny miesiąc i pozwolą im na loty kosmiczne, gdzie procedury są najsurowsze. A ona jeszcze upierała się, żeby wziąć zaczytany egzemplarz NASA Sutra, zastanawiając się złośliwie, czy starczy mu energii! Cóż, lekarze powiedzieli, że porażka pomaga w powrocie do zdrowia. Wzmaga wolę powrotu do normalności, czy inna taka bzdura.

Jeśli Helene nie przestanie mu dokuczać, wszyscy się jeszcze zdziwią! Zresztą, Jacob i tak nie wierzył w harmonogramy.

Ifni! Ta woda wygląda wspaniale! Zimna i przyjemna. Musi być jakiś sposób, żeby zmusić nerwy do szybszego wzrostu! Coś, co pomaga nawet bardziej od autosugestii. Odwrócił się od skał i powoli wrócił na patio długiego, zbudowanego bez żadnego planu domu. Zamaszyście pomagał sobie laską, może nawet bardziej, niż było to konieczne, ciesząc się w duchu z efektu dramatycznego. Dzięki temu

bycie chorym stawało się odrobinę mniej nieprzyjemne.

Wuj James flirtował jak zwykle z Helene. A ona bezwstydnie go do tego zachęcała.

Służy to staremu sukinsynowi - pomyślał - i to po całym zamieszaniu, jakiego narobił. - Mój chłopcze - wuj James wyciągnął w górę ręce - właśnie mieliśmy zacząć cię szukać, słowo daję.

- Nie pali się, Jim - Jacob uśmiechnął się leniwie. - Jestem pewien, że nasz gwiezdny podróżnik miał do opowiedzenia mnóstwo interesujących historii. Opowiedziałaś mu tę o czarnej dziurze, kochanie?

Helene uśmiechnęła się złośliwie i zrobiła ukradkiem pewien gest. - No wiesz, Jake, sam mi mówiłeś, żebym tego nie robiła. Ale skoro uważasz, że twój wuj chciałby ją usłyszeć...

Jacob potrząsnął głową. Sam sobie da radę z wujem. Helene mogłaby zrobić się trochę nieprzyjemna.

Pani deSilva była wspaniałym pilotem, a w ciągu ostatnich kilku tygodni okazała się także współspiskowcem z dużą wyobraźnią. Jednak ich relacje osobiste przyprawiały Jacoba o zawrót głowy. Miała... potężną osobowość.

Kiedy po przebudzeniu dowiedziała się, że Calypso już dokonała Skoku, zaangażowała się do ekipy projektującej nowego Vesariusa II. Zrobiła to dlatego, jak bezczelnie oznajmiła, żeby poddać Jacoba Demwę trzyletniemu kursowi warunkowania metodą Pawłowa. Przy końcu tego okresu klasnęłaby, a wówczas on rzekomo miał się zdecydować na zostanie Skoczkiem.

Jacob miał pewne zastrzeżenia, ale było już jasne, że Helene deSilva ma całkowitą władzę nad jego ślinniankami.

Jeszcze nigdy nie widział wuja Jamesa tak zdenerwowanego. Ten niewzruszony zazwyczaj polityk najwyraźniej czuł się nieswojo. Zniknął gdzieś zawadiacki urok irlandzkiej krwi Alvarezów. Siwa głowa kiwała się nerwowo, a zielone oczy wyglądały nienaturalnie ponuro.

- Hm, Jacob, mój chłopcze. Przybyli nasi goście. Czekają w gabinecie; Christien jest z nimi. Mam nadzieję, że wykażesz w tej kwestii rozsądek. Naprawdę nie było powodu, żeby zapraszać tego człowieka z rządu. Mogliśmy załatwić to sami. W moim przekonaniu... - Wujku, proszę - Jacob podniósł rękę. - Już to przerabialiśmy. Ta sprawa musi być rozstrzygnięta raz na zawsze. Jeśli odmówisz skorzystania z pomocy ludzi z Rejestracji Tajemnic, będę musiał po prostu zwołać radę rodzinną i im przedstawić tę sprawę! Znasz wuja Jeremy'ego - najprawdopodobniej będzie za tym, żeby wszystko ogłosić publicznie. Reakcje prasy byłyby przychylne, to prawda, ale Wydział Postępowań Jawnych miałby przypadek do ścigania, a ty dostałbyś pięć lat z małą szpilką w krzyżu robiącą „pii... pii... pii" - Jacob oparł się na ramieniu Helene, bardziej dla dotyku niż podparcia, i mignął dłońmi przed oczyma wuja Jamesa. Przy każdym pii arystokratyczna twarz starszego mężczyzny bladła odrobinę. Helene zaczęła chichotać, a potem zakrztusiła się czkawką. - Przepraszam - powiedziała z przesadną skromnością.

- Bez ironii - rzucił Jacob. Uszczypnął ją i ponownie wsparł się na lasce. Gabinet nie był tak imponujący jak ten w pałacu Alvarezów w Caracas, ale ten dom był w Kalifornii. To

rekompensowało wiele. Jacob miał nadzieję, że po dzisiejszym dniu będą się z wujem ciągle do siebie odzywać.

Sztukateria na ścianach i imitacje belek stropowych podkreślały hiszpański wygląd pomieszczenia. Pomiędzy półkami na książki wyeksponowane były szafki zawierające kolekcję wydawnictw drugiego obiegu z okresu Biurokracji, którą szczycił się James.

Na gzymsie kominka wyryta była inskrypcja:

LUD ZJEDNOCZONY JEST NIEPOKONANY

Fagin wyśpiewał gorące powitanie. Jacob ukłonił się i rozpoczął długą ceremonię oficjalnego przywitania tylko po to, żeby zrobić przyjemność Kantenowi. Fagin odwiedzał go regularnie w szpitalu. Początkowo było im trudno dojść do porozumienia, bo każdy uważał, że ma wobec drugiego ogromny dług. Ostatecznie zgodzili się, że się nie zgadzają. Kiedy ludzie z zespołu ratunkowego TAASF dostali się na statek, który pędził przed siebie po wspomaganej przez laser orbicie hiperbolicznej, zaskoczył ich widok zamarzniętej ludzkiej załogi. Nie bardzo wiedzieli, co zrobić ze zmasakrowanym ciałem Pringa na odwrotnej stronie. Najbardziej jednak zdumiał ich Fagin, wiszący do góry nogami, uczepiony małymi, ostrymi kolcami wystającymi z korzenio-nóg, obok lasera, który ciągle pracował pełną mocą. Zimno nie rozerwało jednej czwartej jego komórek, jak to się stało u ludzi, i wyglądało na to, że wyszedł z szalonego lotu przez fotosferę bez szwanku. Na przekór samemu sobie, Fagin z Instytutu Postępu - wieczny obserwator i manipulant - stał się wyjątkową osobistością. Był prawdopodobnie jedynym w ogóle żywym sofontem, który mógł opisać jak to jest, kiedy leci się do góry nogami przez gęsty, nieprzenikniony ogień fotosfery. Miał wreszcie własną historię, którą mógł opowiadać. Musiało być to dla niego przykre. Nikt nie wierzył ani jednemu jego słowu, dopóki nie odtworzono taśm Helene.

Jacob powiedział „cześć" Pierre'owi LaRoque. Od czasu, gdy się ostatnio widzieli, dziennikarz odzyskał dawne rumieńce, nie mówiąc już o apetycie. Pożerał teraz łapczywie przystawki Christien. Nadal przykuty do fotela, uśmiechnął się i skinął w milczeniu głową Jacobowi i Helene. Jacob podejrzewał, że dziennikarz ma pełne usta i dlatego nie może mówić.

- Han Nielsen, do pańskich usług, panie Demwa. Już na podstawie samych tylko doniesień prasowych dumny jestem z poznania pana. Oczywiście Rejestracja Tajemnic wie wszystko, co wie rząd, jestem więc podwójnie poruszony. Rozumiem jednak, iż zaprosił nas pan do zajęcia się sprawą, o której rząd nie powinien wiedzieć? Jacob i Helene usiedli na kanapie pod drugiej stronie pokoju, plecami do okna wychodzącego na ocean.

- Owszem, to prawda, panie Nielsen. W rzeczywistości są nawet dwie sprawy.

Chcielibyśmy ubiegać się o klauzulę tajności i o orzeczenie Rady Terrageńskiej. - Musi pan sobie zapewne zdawać sprawę, że rada w tej chwili zaledwie raczkuje - Nielsen zmarszczył brwi. - Delegaci wyznaczeni przez kolonie jeszcze nawet nie przybyli! B... urzędnicy państwowi Konfederacji (w ostatniej chwili powstrzymał się przed wypowiedzeniem paskudnego słowa „biurokraci") bardzo nieprzychylnie odnoszą się do pomysłu, żeby ponadprawna Rejestracja Tajemnic stawiała uczciwość wyżej niż prawo. Rada Terrageńska jest jeszcze mniej popularna.

- Mimo dowodów, że jest to jedyny sposób na uporanie się z kryzysem, który przeżywamy od czasów Kontaktu? - spytała Helene.

- Mimo to, Federalni pogodzili się z faktem, że Rada przejmie w końcu jurysdykcję nad sprawami międzygwiezdnymi i międzygatunkowymi, ale wcale im się to nie podoba, więc co rusz grają na zwłokę.

- Ale o to właśnie chodzi - włączył się Jacob. - Kryzys był poważny jeszcze przed awanturą na Merkurym, na tyle poważny, żeby wymusić utworzenie Rady. Można było sobie jednak z nim poradzić. Słoneczny Nurek prawdopodobnie to zmienił. - Wiem - Nielsen miał ponurą minę.

- Naprawdę? - Jacob oparł ręce na kolanach i pochylił się. - Widział pan raport Fagina o prawdopodobnej reakcji Pilan na ujawnienie merkuriańskich sprawek Bubbakuba. A przecież ten raport powstał na długo przed tym, zanim wyszła na jaw cała afera z Kullą! - A Konfederacja wie o wszystkim - Nielsen skrzywił się. - O poczynaniach Kulli, jego dziwacznej apologii, słowem o wszystkim, co było w kapsule. - No cóż - westchnął Jacob - w końcu to oni są rządem. To oni prowadzą politykę zagraniczną. Poza tym Helene w żaden sposób nie mogła wiedzieć, że uda nam się przeżyć cały ten pasztet tam, na dole. Nagrała więc wszystko.

- Nigdy bym sama na to nie wpadła - włączyła się Helene, dopóki Fagin mi nie wyjaśnił, że może lepiej byłoby, gdyby Federalni nie poznali nigdy prawdy, i że może to Rada Terrageńska bardziej nadaje się do zajęcia się tym bałaganem. - Bardziej się nadaje... - może i tak, ale czego po nas, po Radzie, oczekujecie? Potrzeba lat, żeby zbudować uznanie i uzyskać legitymację prawną. Dlaczego mieliby to wszystko zaryzykować, interweniując w tę sytuację?

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Potem Nielsen wzruszył ramionami, wyciągnął z walizki mały rejestrator w kształcie rurki i umieścił go na środku pokoju, na podłodze. - Rejestracja Tajemnic obejmuje tę rozmowę klauzulą tajności. Proszę zacząć, doktor deSilva.

Helene zaczęła wyliczać punkty na palcach.

- Po pierwsze, wiemy, że Bubbakub popełnił zbrodnię w oczach zarówno Instytutu Biblioteki, jak i swojej własnej rasy, fałszując raport Biblioteki i dokonując oszustwa na Słonecznym Nurku, mianowicie utrzymując, że porozumiewa się z Solariowcami, i wykorzystując „pamiątkę po Letanich”, żeby chronić nas przed ich rzekomym gniewem. Sądzimy, że wiemy, dlaczego to zrobił. Bubbakub był zdeprymowany tym, że Bibliotece nie udało się dostarczyć informacji o Słonecznych Duchach. Chciał także przytrzeć nosa „szczenięcej” rasie i wykazać jej niższość. Według tradycji galaktycznej sytuacja ta rozwiązałaby się, gdyby Pilanie i Biblioteka przekupili Ziemię, żeby trzymała „gębę na kłódkę”. Konfederacja mogłaby sama wybrać nagrodę, z paroma może obwarowaniami, jednakże ludzkość musiałaby w przyszłości stawić czoło nienawiści Pilan, jako że zraniona została ich duma. Mogliby zwiększyć jeszcze swoje wysiłki zmierzające do odebrania naszym podopiecznym, szympansom i delfinom, warunkowego statusu sofontów. Mówi się o zepchnięciu ludzkości do pozycji jakichś „adoptowanych” podopiecznych, żeby „poprowadzić nas przez trudny okres przejściowy”. Czy jak na razie dobrze streściłam sytuację?

- W porządku - Jacob skinął głową. - Z wyjątkiem tego, że pominęłaś moją głupotę. Na Merkurym

oskarżyłem Bubbakuba publicznie! Nikt nie brał poważnie tego zobowiązania do dwuletniego milczenia, które podpisaliśmy, a Federalni zbyt długo czekali z objęciem tego przypadku embargiem. Do tej pory całą historię zna pewnie z pół ramienia spirali. Oznacza to, że straciliśmy wszelkie atuty, które mogłyby nam pomóc szantażować Pilan. Nie zawahają się ani przez moment w staraniach o „adoptowanie" nas, a „odszkodowanie" za zbrodnię Bubbakuba wykorzystają jako pretekst, żeby zmusić nas do przyjęcia wszelkiej pomocy, jakiej tylko nie chcemy - skinął na Helene, żeby kontynuowała. - Punkt numer dwa. Wiemy teraz, że przyczyną fiaska był Kulla. Pring najwyraźniej nie chciał, żeby ludzkość odkryła sprawki Bubbakuba. Zamierzał natomiast przeprowadzić własny plan szantażu. Zjednując sobie przyjaźń Jeffreya, spowodował wreszcie, że szympans próbował go „wyzwolić", co doprowadziło Bubbakuba do wściekłości. Późniejsza śmierć Jeffreya wprowadziła do Słonecznego Nurka takie zamieszanie, że Bubbakub miał podstawy sądzić, iż cokolwiek zrobi, będzie przyjęte za dobrą monetę. Możliwe, że wyraźne pogorszenie się stanu umysłowego Dwayne'a Keplera stanowiło część kampanii prowadzonej przez Kullę metodą „psychozy spojrzenia". Najistotniejszym elementem planu Pringa było oszustwo z człekokształtnymi Duchami. Jego wykonanie było znakomite, wszyscy dali się nabrać. Przy takich talentach Pringów nietrudno zrozumieć, dlaczego uważają, że mogą wystąpić do Pilan o niepodległość. To jedna z najbardziej podstępnych ras, z jakimi się zetknęłam i o jakich słyszałam.

- Ale skoro Pilanie byli opiekunami Pringów - zaprotestował James - i skoro wspomagali przodków Kulli od poziomu prawie zwierząt, to dlaczego Bubbakub nie zdawał sobie sprawy z możliwości, że Duchy są oszustwem Kulli? - Jeśli wolno mi wygłosić komentarz dotyczący tej kwestii - wyśpiewał Fagin - Pringom pozwolono na wybranie asystenta, który miał towarzyszyć Bubbakubowi. Mój instytut jest w posiadaniu niezależnych informacji, iż Kulla był na jednej z przekształconych przez nich planet dość ważną postacią w pewnym artystycznym przedsięwzięciu, którego aż do tej pory nie było nam dane oglądać. Skrytość Pringów w tej materii przypisywaliśmy zwyczajom odziedziczonym po Pilanach. Teraz wszakże możemy przypuścić, że i sami Pilanie nie wiedzieli o tej sztuce. Deprecjonując wysiłki swoich podopiecznych, w błogim poczuciu własnej wyższości, Pilanie musieli bezwiednie im dopomagać. - A tą formą sztuki jest...?

- Musi nią być, jak wynika logicznie, projekcja holograficzna. Możliwe, iż Pringowie eksperymentowali nad tym przez większość ze stu tysięcy lat swej rozumności, w tajemnicy przed swoimi opiekunami. Zdumiewa mnie poświęcenie, jakiego wymagało utrzymanie tajemnicy przez tak długi czas.

Nielsen cicho gwizdnął.

- Muszą straszliwie chcieć się uwolnić! Ale chociaż przesłuchałem wszystkie taśmy, ciągle nie rozumiem, dlaczego Kulla odstawiał te kawały ze Słonecznym Nurkiem! Jak oszustwo z człekokształtnymi Duchami, śmierć Jeffreya albo ujawnienie błędów Bubbakuba mogło w ogóle pomóc Pringom?

Helene rzuciła szybkie spojrzenie na Jacoba, a ten kiwnął głową.

- To jeszcze twoja kolej, Helene. Większości się domyśliłaś.

DeSilva wzięła głęboki oddech.

- Widzi pan, Kulla nie chciał nigdy, żeby Bubbakub został zdemaskowany na Merkurym. Pozwolił, żeby jego szef złapał się w sidła własnych kłamstw i afery z „pamiątką po Letanich", ale oczekiwał, że wszyscy uwierzą Bubbakubowi, przynajmniej tutaj. Gdyby jego plan się powiódł, przedstawiłby Instytutowi Biblioteki dwa wnioski: jeden, że Bubbakub jest głupcem i kłamcą, którego przed kompromitacją ocaliła tylko szybka orientacja jego asystenta; i drugi, że ludzie są stadem nieszkodliwych idiotów i nie powinno się na nich zwracać uwagi. Najpierw omówię drugi punkt. Już na pierwszy rzut oka jest oczywiste, że nikt tam nie uwierzyłby w tę historię z człekopodobnymi Duchami fruwającymi w gwieździe, zwłaszcza że Biblioteka nie wspomina o nich ani słowem! Wyobraźcie sobie, jak zareagowałaby Galaktyka na opowieść o stworzeniach z plazmy, które „potrząsają pięściami" i w cudowny sposób unikają zrobienia im zdjęć, tak że nie można zdobyć żadnego dowodu na ich istnienie! Po usłyszeniu tego większość obserwatorów nie zadałaby sobie nawet trudu, żeby zbadać dowody, które rzeczywiście posiadamy, to znaczy taśm z toroidami i z prawdziwymi Solariowcami! Galaktyka patrzy przeważnie na ziemskie „badania" z lekceważącym pobłażaniem. Najwyraźniej Kulla pragnął, żeby Słonecznego Nurka wyśmiano, nawet nas nie wysłuchawszy.

Siedzący po drugiej stronie pokoju Pierre LaRoque zaczerwienił się. Nikt nie wspomniał o uwagach na temat „ziemskich badań", jakie on sam czynił ponad rok temu. - Sam Kulla wyjaśnił krótko, kiedy próbował nas wszystkich zabić, że sfabrykował duchy dla naszego własnego dobra. Gdybyśmy wyszli na głupców, ogłoszenie życia na Słońcu nie byłoby wielką sensacją. A po jakimś czasie, który spędzilibyśmy prowadząc ciche badania i nadrabiając zaległości, to samo odkrycie przysporzyłoby ludzkości o wiele większej reklamy. - W tym może być sporo racji - zmarszczył brwi Nielsen.

Helene wzruszyła ramionami.

- Teraz jest już za późno. Tak czy owak wygląda na to, jak powiedziałam, że Kulla zamierzał donieść Bibliotece i Soranom, że ludzie są nieszkodliwymi idiotami oraz, co ważniejsze, że Bubbakub też uczestniczył w tym idiotyzmie, wierząc w Duchy i kłamiąc na podstawie tej wiary! Kancie Faginie, czy to jest rzetelne podsumowanie tego, o czym rozmawialiśmy wcześniej? - Helene odwróciła się do obcego. - Z całą pewnością - zagwizdał cicho Kanten. - Ufając klauzuli tajności Rejestracji Tajemnic, chciałbym poufnie oznajmić, że mój Instytut otrzymał informacje dotyczące działań Pringów i Pilan, które nabierają sensu w świetle tego, o czym się właśnie dowiedzieliśmy. Pringowie zaangażowali się najwyraźniej w kampanię mającą zdyskredytować Pilan. Tu kryje się niebezpieczeństwo, ale i szansa dla ludzkości. Szansa polega na tym, że gdyby wasza Konfederacja przedstawiła Pilanom dowody zdrady Kulli, Pilanie mogliby wykazać, jak ich oszukiwano. Wówczas Soranie wystąpiliby przeciwko Pringom i rasa Kulli zostałaby przyparta do muru, nie mogąc znaleźć obrońcy. Być może obniżono by im status, zlikwidowano kolonie, „zredukowano" populację. - Czyniąc to, ludzkość mogłaby zyskać natychmiast nagrodę, ale w długiej perspektywie nie przyczyniłoby się to do zmiany wrogości Pilan. Ich psychika jest inna. Mogliby zawiesić swoje próby „adoptowania" ludzkości. Mogliby zechcieć zrezygnować z obwarowań w odszkodowaniach, które będą próbowali wymusić przy płaceniu za zbrodnię Bubbakuba, ale na dłuższą metę nie zyskacie w ten sposób ich przyjaźni. Dług zaciągnięty u ludzkości wzmocni tylko ich nienawiść.

- Dochodzi do tego fakt, że wiele z bardziej „tolerancyjnych" ras, na których protekcji ludzkość mogła do tej pory polegać, nie byłoby uszczęśliwionych tym, że dostarczacie Pilanom casus belli do

następnej świętej wojny. Tymbrymczycy wycofaliby pewnie konsulat z Luny.

- W końcu pozostają względy etyczne. Zbyt dużo czasu zajęłoby mi omówienie wszystkich powodów. Niektórych z nich zapewne byście nie zrozumieli. W każdym razie Instytutowi Postępu zależy na tym, żeby Pringów nie wyniszczono. Są zbyt młodzi i impulsywni, prawie tak jak ludzie. Rokują jednak wielkie nadzieje. Byłoby straszną tragedią, gdyby cały gatunek miał cierpieć okrutne prześladowania dlatego tylko, że kilku jego członków wplątało się w intrygę mającą zakończyć sto tysiącleci poddaństwa. Z tych właśnie przyczyn zalecałbym objęcie przestępstw Kulli klauzulą tajności. Pogłoski oczywiście wkrótce się rozejdą, ale Soranie będą się odnosić z rezerwą do plotek rozgłaszanych przez takich jak ludzie - przez otwarte okno wpadł powiew i dzwoneczki Fagina zadźwięczały cichutko.

Nielsen wpatrywał się w podłogę.

- Nic dziwnego, że Kulla usiłował zabić siebie i wszystkich innych na pokładzie, kiedy Jacob go rozszyfrował! Jeśli Pilanie dostaną oficjalne świadectwo poczynań Kulli, los Pringów będzie przesądzony.

- Jak pan sądzi, co zrobi Konfederacja? - spytał Jacob.

- Co zrobi? - tamten zaśmiał się ponuro. - No, jak to co: na kolanach przyniosą Pilanom dowody, to jasne. Iti! To przecież szansa na powstrzymanie ich przed „obdarowaniem” nas kompletną, regionalną Filią Biblioteki wraz z dziesięcioma tysiącami fachowców, żeby ją obsadzić swoim personelem! To szansa na powstrzymanie ich przed obdarowaniem nas nowoczesnymi statkami, których konstrukcji żaden ziemski inżynier nie będzie w stanie pojąć i których żadna ludzka załoga nie będzie mogła obsługiwać bez „doradców”. To by też odsunęło te przeklęte „procedury adopcji” na nie wiadomo jak długo! - rozłożył ręce. - A jest absolutnie jasne, że Konfederacja nie będzie narażać głowy dla rasy sofonta, który zabił jednego z naszych podopiecznych, prawie że zrujnował nasz najbardziej pokazowy program i próbował zrobić z ludzi idiotów wobec wszystkich mieszkańców Galaktyki! I kiedy się nad tym dobrze zastanowić, to czy można ich winić?

Wuj James odchrząknął, żeby zwrócić na siebie uwagę.

- Możemy spróbować objąć cały ten epizod klauzulą tajności - zasugerował. - Posiadam niejakie wpływy w pewnych kręgach. Gdybym się wstawił... - Nie możesz się wstawić, Jim - wtrącił się Jacob. - Jesteś w tej rozróbie uczestnikiem, choć na niewielką skalę. Jeśli spróbujesz się zaangażować, prawda ostatecznie wyjdzie na jaw.

- A jaka to prawda? - spytał Nielsen.

Jacob rzucił krzywe spojrzenie najpierw na wuja, a potem na LaRoque’a. Francuz z najwyższym spokojem zaczął zajadać kolejną porcję przystawek. - Ci dwaj - wyjaśnił Jacob - są częścią intrygi, której celem jest złamanie Prawa Nadzoru. Taki jest drugi powód, dla którego pana tu zaprosiłem. Trzeba będzie coś zrobić, a lepiej zacząć od Rejestracji Tajemnic niż od pójścia na policję. Na wzmiankę o policji LaRoque przerwał jedzenie maleńkiej kanapki. Przyjrzał się jej, po czym odłożył ją z powrotem.

- Co to za intryga? - spytał Nielsen.

- Towarzystwo złożone z Nadzorowanych i pewnych sympatyzujących z nimi Obywateli, zajmujące się w konspiracji budową statków kosmicznych... statków z załogami złożonymi z Nadzorowanych.

- Co? - Nielsen aż się wyprostował.

- LaRoque odpowiada za ich program szkolenia astronautycznego. Jest także ich głównym szpiegiem. Próbował zmierzyć układ kalibracyjny generatora grawitacyjnego heliostatku. Mam taśmy, które mogą tego dowieść.

- Ale dlaczego mieliby robić coś takiego?

- Jak to, dlaczego? Trudno sobie wyobrazić bardziej symboliczny protest. Gdybym ja był Nadzorowanym, na pewno wziąłbym w tym udział. Jestem sympatykiem, ani trochę nie podoba mi się Prawo Nadzoru, ale jestem także realistą. Obecnie zrobiono z Nadzorowanych pariasów. Ich problemy psychologiczne są jak piętno, które nigdy ich nie opuszcza. Zachowują się bardzo po ludzku: zbierają się, żeby wspólnie nienawidzić oswojonego i posłusznego społeczeństwa dookoła nich. Mówią: „Wy, Obywatele, myślicie, że jestem brutalny, no to dobrze, do cholery, będę brutalny!" Większość Nadzorowanych nie skrzywdziłaby nigdy nikogo, cokolwiek by mówiły wyniki ich testów. Ale kiedy stawia się ich wobec stereotypu, stają się tacy, za jakich się ich uważa! - Może to prawda, a może i nie - odparł Nielsen. - Ale biorąc pod uwagę określoną sytuację, gdyby Nadzorowani zdobyli dostęp do kosmosu... - Ma pan oczywiście rację - Jacob westchnął. - Nie można do tego dopuścić. Jeszcze nie teraz. Z drugiej strony nie możemy też pozwolić Federalnym na rozpętanie z tego powodu społecznej histerii. To by tylko pogorszyło sprawę, a w przyszłości zaowocowało jakąś poważniejszą rebelią.

- Nie chce pan chyba sugerować, żeby Rada Terrageńska mieszała się do Prawa Nadzoru, co? - Nielsen wyraźnie się zaniepokoił. - Przecież to byłoby samobójstwo! Społeczeństwo nigdy by tego nie poparło!

- To prawda, nigdy - Jacob uśmiechnął się smutno. - Nawet wuj James musi to przyznać. Dzisiejsi Obywatele nie wezmą nawet pod uwagę zmiany statusu Nadzorowanych, a w obecnej sytuacji Rada nie ma żadnej władzy. Ale jaki jest zakres działań Rady? Tymczasem administruje ona koloniami poza Układem Słonecznym. Docelowo ma przejąć zwierzchnictwo nad wszystkimi sprawami międzygwiezdnymi. I tutaj właśnie może wtrącić się do Prawa Nadzoru, przynajmniej symbolicznie, nie zakłócając nikomu spokoju ducha. - Nie rozumiem, o co panu chodzi.

- No cóż, przypuszczam, że nie czytał pan Aldousa Huxleya, prawda? Nie? Kiedy Helene była mała, jego utwory były jeszcze popularne, a gdy byłem chłopcem, ode mnie i moich kuzynów... wymagano lektury niektórych z nich. Czasem były diabelnie trudne z powodu dziwnych odniesień historycznych, ale warte czytania ze względu na niewiarygodną intuicję i przenikliwość tego człowieka. Huxley napisał książkę zatytułowaną „Nowy wspaniały świat". - Tak, słyszałem o niej. Jakaś antyutopia, prawda?

- Można tak powiedzieć. Powinien pan to przeczytać. Są tam niesamowite proroctwa. Huxley

przedstawia w tej powieści społeczeństwo o niezbyt przyjemnych cechach, ale przy tym wewnętrznie spójne i posiadające swój własny rodzaj honoru. Honor ten jest pokrewny etyce ula, ale jednak jest to honor. Jak pan sądzi, co w państwie Huxleya robi się z tymi, którzy różnią się od pozostałych i nie mogą dopasować się do norm zachowania społecznego? - W państwie podobnym do ula? - Nielsen zmarszczył brwi, nie wiedząc, dokąd prowadzi to pytanie. - Myślę, że takich dewiantów eliminuje się, zabija. - Otóż nie, nie całkiem - Jacob podniósł palec. - Huxley przedstawia to tak, że to państwo jest na swój sposób mądre. Przywódcy mają świadomość, że bardzo surowy system, który ustanowili, może runąć w obliczu jakiegoś niespodziewanego zagrożenia. Zdają też sobie sprawę, że dewianci stanowią pewien potencjał, rezerwę, na której można się oprzeć w razie tarapatów, kiedy potrzebne są wszelkie środki. Ale jednocześnie nie mogą pozwolić, żeby dewianci wałęsali się wszędzie, niosąc ze sobą zagrożenie dla stabilności kultury. - Co więc robią?

- Zsyłają ich na wyspy. Tam pozwala się im bez przeszkód prowadzić własne eksperymenty kulturowe.

- Wyspy, co? - Nielsen podrapał się po głowie. - Frapujący pomysł. Ciekawe, że to odwrotność tego, co my sami robimy z Rezerwatami Pozaziemskimi, wysiedlając Nadzorowanych z terenów, które możemy kontrolować, a potem wpuszczając tam obcych, żeby mieszali się z Obywatelami mającymi prawo swobodnego wstępu. - Sytuacja nie do zniesienia - mruknął James. - Nie tylko dla Nadzorowanych, ale także dla pozaziemców. Kant Fagin właśnie mówił mi, jak bardzo chciałby odwiedzić Luwr, Agrę czy Yosemite!

- Wszystko przyjdzie z czasem, przyjacielu Jamesie Alvarez - wygwizdał Fagin. - Obecnie wdzięczny jestem za łaskę, która pozwala mi odwiedzić tę niewielką część Kalifornii, a jest to nagroda niezasłużona i zbyt hojna.

- Nie wiem, czy pomysł z „wyspami” byłby taki dobry - powiedział Nielsen po namyśle.

- Warto go oczywiście przedyskutować. Możemy się tym szczegółowo zająć innym razem.

Nie bardzo tylko rozumiem, co by to mogło mieć wspólnego z Radą Terrageńską. - Proszę się dobrze zastanowić - nalegał Jacob. - Być może sytuacja Nadzorowanych nieco by się polepszyła, gdyby założyć dla nich wyspę odosobnienia na Pacyfiku, gdzie mogliby żyć tak, jak chcą, bez nieustannej obserwacji, której dzisiaj poddani są wszędzie. Ale to byłoby za mało. Wielu Nadzorowanych czuje, że już od samego początku są upośledzeni. Nie dość, że przepisy ograniczają ich prawa rodzicielskie, to jeszcze odmówiono im uczestnictwa w najważniejszym przedsięwzięciu, jakie ludzkość kiedykolwiek prowadziła - nie mogą brać udziału w podboju kosmosu. Te gierki, w które zaplątali się LaRoque i James, są doskonałym przykładem problemów, które napotkamy, jeśli nie znajdziemy dla Nadzorowanych odpowiedniego miejsca, żeby mogli czuć, że są potrzebni. - Odpowiednie miejsce, wyspy, kosmos... Boże drogi, człowieku! Chyba nie mówisz tego poważnie! Kupić następną kolonię i dać ją Nadzorowanym? Mimo że tkwimy po uszy w długach za te trzy, które już mamy? Jeżeli myślisz, że to może przejść, to chyba jesteś zwariowanym optymistą!

Jacob poczuł, jak ręka Heleny wślizguje się w jego dłoń. Ledwie spojrzał na nią, ale wystarczył mu wyraz jej twarzy. Dumna, czujna i jak zawsze na samej granicy śmiechu. Splótł palce i odwzajemnił uścisk.

- Tak - odparł Nielsenowi. - Ostatnio stałem się trochę optymistą. I sądzę, że można tego dokonać.

- Ale skąd chce pan wziąć kredyty? I jak pan ukoi zranioną dumę własną pół miliarda Obywateli, którzy też chcą założyć kolonię, a pan tu daje kosmos Nadzorowanym? Cholera, zresztą taka kolonizacja i tak się nie uda. Nawet Vesarius II może przewieźć tylko dziesięć tysięcy. A Nadzorowanych jest prawie sto milionów!

- No, nie wszyscy będą pewnie chcieli polecieć, zwłaszcza jeśli dostaną też miejsce na wyspach. Poza tym myślę, że oni oczekują tylko uczciwego traktowania. Udziału. Prawdziwym problemem jest natomiast brak dostatecznie dużej kolonii i środków transportu. Ale może udałoby się namówić Instytut Biblioteki na „ofiarowanie" funduszy na kolonię czwartej klasy, a do tego kilku transportowców typu Orion, specjalnie uproszczonych i przystosowanych dla ludzkich załóg? - Jacob uśmiechnął się spokojnie. - I jak pan ich zamierza do tego przekonać? Są zobowiązani do wynagrodzenia nam za oszustwo Bubbakuba, ale będą chcieli zrobić to w sposób, który najlepiej służy ich interesom, na przykład całkowicie uzależniając nas od techniki Galaktów. Poprze ich w tym prawie każda rasa. Dlaczego mieliby zmienić postać odszkodowania? Jacob rozłożył ręce.

- Zapomina pan, że mamy teraz coś, na czym im zależy... coś bardzo cennego, bez czego Biblioteka nie może się obejść. Wiedzę! - Sięgnął do kieszeni i wyciągnął stamtąd kartkę papieru. - Oto zaszyfrowana wiadomość, którą przed chwilą otrzymałem od Millie Martine z Merkurego. Ciągle jest przykuta do fotela, ale tak bardzo jej tam potrzebowali, że już ponad miesiąc temu pozwolono jej na podróż. Martine pisze, że wznowiono pełne nurkowania w rejonach aktywnych. Brała już udział w jednym z nich, odpowiada za próby ponownego nawiązania kontaktu z Solariowcami. Na razie udało jej się nie zdradzić przed Federalnymi większości z tego, co odkryła. Chciałaby natomiast naradzić się z Faginem i ze mną. Wygląda na to, że doszło do kontaktu. Solariowcy rozmawiali z nią. Są błyskotliwi i mają bardzo długą pamięć.

- Niewiarygodne - westchnął Nielsen. - Ale mam wrażenie, że ma to jakieś implikacje polityczne odnoszące się do problemów, które tu dyskutujemy? - Proszę tylko pomyśleć. Biblioteka będzie pewna, że może zmusić nas do przyjęcia odszkodowania na ich warunkach. Ale jeśli odpowiednio tym pokierować, możemy skłonić ich szantażem do dania nam tego, czego naprawdę chcemy. Fakt, że Solariowcy chcą mówić i pamiętają zamierzchłą przeszłość - Millie daje do zrozumienia, że pamiętają nurkowania, których dokonywali jacyś starożytni sofonci, tak dawne, że mogli to być sami Praprzodkowie - no więc fakt ten oznacza, że trafiliśmy na wygraną, której wartość trudno przecenić. Oznacza to także, że Biblioteka musi próbować dowiedzieć się o nich wszystkiego, co tylko możliwe. A także że nasze odkrycie zyska ogromny rozgłos - Jacob uśmiechnął się szeroko. - Nie będzie to proste - mówił dalej. - Najpierw musimy wykorzystać ich obecne przekonanie, że Słoneczny Nurek to jedno wielkie fiasko. Niech Biblioteka przydzieli nam swój patent badawczy na Słońce. Będą sobie wyobrażać, że zrobimy z siebie jeszcze większych idiotów. A kiedy już zdadzą sobie sprawę, co trzymamy w garści, będą musieli to od nas kupić, i to po naszej cenie! Potrzebna będzie pomoc Fagina, żeby ich zręcznie podejść, plus cały spryt klanu Alvarezów i współpraca pańskich ludzi z Rady, ale można tego dokonać. Szczególnie wuj Jeremy ucieszy się, że zamierzam odkurzyć moje długo nie wykorzystywane umiejętności i włączyć się na jakiś czas w „brudną politykę", żeby trochę pomóc.

- Czekaj tylko, aż się dowiedzą kuzyni! - zaśmiał się James. - Już widzę, jak ich ciarki przechodzą!

- Możesz im powiedzieć, żeby się nie martwili. Albo nie, sam im powiem, kiedy Jeremy zwoła w tej sprawie radę rodzinną. Zamierzam dopilnować, żeby załatwiono się z całym tym bałaganem w trzy lata. A potem odchodzę z polityki na zawsze. I wyruszam w długą podróż. Helene wciągnęła głęboki oddech i wbiła mu paznokcie w udo. Jej mina wyrażała wszystko.

- Przy jednym będę obstawał - powiedział do niej Jacob, nie wiedząc, czy naprawdę chce opierać się nadciągającej fali wesołości, która ogarnęła już pozostałych. - Będziemy musieli znaleźć sposób, żeby zabrać z sobą pewnego delfina. Układa okropnie sprośne limeryki, ale może coś się za nie kupi w paru kosmicznych portach.

Słowa, które Swetoniusz przypisuje cesarzowi Kaliguli (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

Nieprzetłumaczalna gra słów: ET („Eatee”), czyli ExtraTerrestial („pozaziemiec”), może po angielsku kojarzyć

się z Jedzącym” (to eat - jeść).

Piktowie - dawny lud zamieszkujący Szkocję, być może jeszcze przedindoeuropejski.

Alka olbrzymia (Pinguinus impennis) - gatunek ptaka z rodziny alk, wytrzebiony w wyniku masowych

polowań w XVII i XVIII w. Ostatecznie wymarły na początku XIX w.

Umbra (łac. cień) to jądro plamy słonecznej.

Andrew Jackson, siódmy prezydent USA, zwany „Old Hickory” wsławił się jako żołnierz walcząc z Indianami i Anglikami.

„Indiańskie lato” to w USA ciepła i pogodna, złota jesień.